

ÉRIC

GIACOMETTI

JACQUES

RAVENNE

639



Geöffnet

TRIUMF
CIEMNOŚCI



WYDAWNICTWO
SONIA DĄBKA

ÉRIC
GIACOMETTI
JACQUES
RAVENNE

TRIUMF
CIEMNOŚCI

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak



Tytuł oryginału: *Le Soleil Noir. Le triomphe des ténèbres*

© 2018 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Aneta Iwan, Marta Chmarzyńska, Izabela Sieranc

ISBN: 978-83-8110-891-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Jak narodził się ten thriller...

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Część druga

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

Część trzecia

43

44

45

46

47

48

49

Epilog

Aby zrobić kolejny krok...

Bibliografia

Przypisy

*Dedykujemy naszym
Czytelnikom i Przyjaciółom*

Organizacja SS została zbudowana przez Himmlera na takich samych zasadach jak zakon jezuitów. Reguły zakonu, dotyczące ćwiczeń duchowych, spisane przez Ignacego Loyolę, stanowiły wzór, który Himmler usiłował starannie naśladować.

Brigadeführer SS Walter Schellenberg, szef departamentu wywiadu i kontrwywiadu RSHA, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy,
Wspomnienia (przeł. T. Rybowski, Wrocław 1987)

Jak narodził się ten thriller...

Moskwa, marzec 2016 roku, tajna kancelaria archiwum Armii Czerwonej. Kręcimy dla stacji France 5 dokument przedstawiający odyseję masońskich archiwów zagarniętych przez nazistów, a odzyskanych przez Rosjan¹. Przypadkiem inspiracją naszego pierwszego thrillera, *Rytuał ciemności*, otwierającego serię Marcasa, była właśnie ta niesamowita historia.

Wyobraźcie sobie surowy gmach w zaśmieczonym mieście, a w jego wnętrzu amfiladę słabo oświetlonych sal, w których zgromadzono zbiory, ten labirynt metalowych regałów uginających się pod ciężarem dwóch tysięcy starych, pożółkłych kartonów. Pod czujnym okiem rosyjskiego cerbera w szarym fartuchu odkrywamy w jednej ze skrzyń – zamkniętej od dziesiątków lat – francuski traktat alchemiczny z XVII wieku. Bezcenne dzieło zrabowane przez nazistów przekonanych, że masoni posiadli sekret kamienia filozoficznego. Ekipa zdjęciowa nie wierzyła własnym oczom. Tajemna okultystyczna księga przechowywana w archiwum armii i wywiadu dawnego KGB – to było jak Indiana Jones na żywo...

Powrót do źródeł zła

Podczas naszego śledztwa w Paryżu, Brukseli i Berlinie zgromadziliśmy wiele informacji na temat prac ezoterycznych prowadzonych w Trzeciej Rzeszy. Wiedzieliśmy już, że nie będziemy mogli wykorzystać ich wszystkich w dokumencie. I wtedy wyłoniła się pewna myśl: dlaczego nie posłużyć się nimi, pisząc następny thriller? Nie z Antoine'em Marcasem w roli głównej, ale coś, co byłoby powrotem do źródeł poprzez opowieść, która rozgrywałaby się w mrocznych dniach drugiej wojny światowej.

Czarownice i demony

Dwa tygodnie później w Paryżu, podczas gdy nasz przyjaciel, reżyser Jean-Pierre Devillers, montował film, dotarła do nas zadziwiająca wiadomość. W Pradze badacze odnaleźli tajną skrytkę, a w niej trzynaście tysięcy książek o magii, czarach i demonologii: osobiste zbiory Heinricha Himmlera, dowódcy SS i okrutnego Gestapo. Tak, jakkolwiek może się to wydać absurdalne, ten najpotężniejszy po Hitlerze dygnitarz nazistowskich Niemiec, mózg Shoah, był zafascynowany okultyzmem. Podjęliśmy decyzję. Kiedy tylko film dokumentalny zostanie ukończony, a my napiszemy powieść, nad którą pracowaliśmy, zabierzemy się do tworzenia nowej sagi, *Czarnego Słońca*, której pierwsza część nosić będzie tytuł *Triumf ciemności*.

Czarne Słońce

Nasi czytelnicy wiedzą, że nie lubimy brać ezoterycznych plew za duchowe ziarno. Książka, którą trzymacie w ręku, jest powieścią, a jej inspiracją stało się wiele faktów równie realnych, co zaskakujących. Niektóre z nich przedstawiamy w aneksie na końcu książki. Przekonacie się, że często rzeczywistość przerasta fantazję...

I jeszcze jedna, szczególnie istotna kwestia. Narodowy socjalizm spowodował śmierć sześćdziesięciu milionów osób, ofiar wojny światowej. Eksterminacji sześciu milionów mężczyzn, kobiet i dzieci, w większości Żydów, dokonano w obozach koncentracyjnych. Rzecz jasna, tego horroru nie można, nie popadając w absurd, sprowadzać wyłącznie do interpretacji ezoterycznej. Nazizm był przede wszystkim wynikiem splotu czynników politycznych i ekonomicznych. Natomiast w Niemczech mieliśmy też do czynienia z fenomenem o charakterze parareligijnym dotyczącym osoby Hitlera. Ojczyzna Goethego i Beethovena, jeden z najbardziej cywilizowanych krajów tamtych czasów, w ciągu kilku lat pogrążyła się w morderczym obłędzie, jakiego świat wcześniej nie widział. Gdzieś w mrocznych zakamarkach dusz nazistowskich przywódców przetrwała prawdziwa magiczna myśl, mistyczna wizja świata rządzącego się zasadą wyższości krwi i „rasy”. Nazywamy to „ezoteryką państwa”. Ta cecha odróżnia nazizm od innych dyktatur europejskich – włoskiego faszystów, radzieckiego komunizmu, reżimu Pétaine’a we Francji.

To właśnie wtajemniczeni nazywają czarnym słońcem ezoteryki...

Éric i Jacques

T D H R U Q A H Y Z H A Y L D I X
G X Q M A M N E I R K H H L Z D
X L W Y Z H N Z D Q A L L V Q Z Y
O F H A C P A N I Q
KLUCZ Mistrz Albionu

D A G Q Q G X E L Y N N Z
G M M W E C O M U A A
KLUCZ Mistrz swastyki

Prolog

Berlin

9 listopada 1938

Od żeliwnego piecyka węglowego biło w półmroku ciężkie ciepło. Stojąc przed wysokimi oknami o ramach z lśniącego drewna, profesor Otto Neumann patrzył na rozświetlone miasto. Jego miasto. Kochał je z całego serca, a jednak ten wieczór był ostatnim, który miał tu spędzić.

Ostatnia noc w Niemczech.

Księgarz wciąż nie mógł w to uwierzyć: on, który nigdy nie opuszczał Berlina, jutro o tej porze miał być w Paryżu, a pojutrze w Londynie. Nigdy w życiu nie leciał samolotem, ale w rozmowie telefonicznej jego żona mówiła z entuzjazmem: „To wspaniałe. Tam, w górze, czujesz się jak ptak”.

Słyszając radosny głos ukochanej Anny, odzyskał nadzieję. Wyleciała już przed tygodniem z wizą turystyczną, by nie wzbudzać podejrzeń. Teraz nadszedł czas, by on wyruszył na Tempelhof. Z niechęcią spojrzął na wiszący na ścianie zegar – było już prawie wpół do jedenastej, a jego przyjaciel nadal nie przychodził. A przecież z ambasady angielskiej można tu było dojechać samochodem w ciągu piętnastu minut. Oby tylko nie natknął się na dziki posterunek oddziału SA. Od kilku miesięcy ta dzicz w brunatnych koszulach zabawiała się w policjantów kierujących ruchem w mieście. Był to doskonały pretekst do bicia Żydów i rabowania ich samochodów.

– Panie Neumann, mogę już iść? Ułożyłem pudła, a umówiłem się z Gretą.

Wąty głos ucznia dobiegał z dołu, od kręconych schodów.

– Tak, Albercie, tylko wychodząc, zostaw otwarte drzwi, czekam na kogoś – odparł księgarz. – Do zobaczenia za tydzień.

Rozbrzmiał dzwonek u drzwi księgarni. Neumann nie zdobył się na pożegnanie z uczniem.

Przez kilka minut siedział nieruchomo pogrążony w zadumie. Już nigdy nie zobaczy tego chłopca. Oficjalnie zamykał księgarnię na tydzień i wyjeżdżał na wakacje do Francji, ale nie robił sobie żadnych złudzeń – kiedy władze zorientują się, że uciekł, na mocy ustaw o aryżacji mienia sklep zbiega zostanie przejęty.

Po dojściu nazistów do władzy stał się Mischlingiem, mieszkańcem żydowsko-aryjskim, byłym profesorem wyrzuconym z uniwersytetu. Został księgarzem. Dla uczonych twórców

obowiązującego prawa rasowego równało się to mieszance *podczłowieka z nadczłowiekiem*. Fatalnemu „skażeniu” rasy.

Przed pięciu laty rektor uniwersytetu w Heidelbergu, matematyk, zagorzały zwolennik nazizmu i wiceprezes towarzystwa naukowego Rzeszy, powołał się na to prawo, odbierając Ottonowi katedrę historii porównawczej. Neumann usiłował odwołać się do ścisłego umysłu rektora, tłumacząc, że „pod” i „nad” znoszą się zgodnie z algebraiczną regułą i że należy uważać go po prostu za *człowieka*. Co zresztą bardzo mu odpowiadało. Niestety, jego rozmówca, do którego ten dowcip nie dotarł, był niezłomny – po trzech miesiącach znany profesor Neumann musiał przeistoczyć się w antykwariusza specjalizującego się w starych księgach, które zawsze były jego pasją.

Wstał z fotela i zamknął kartonowe pudełko wypełnione cennymi książkami.

Moje kochane książki...

Nie mógł zabrać wszystkich. Tylko trzy kartony z najcenniejszymi dziełami, jego skarbami, miały zostać dyskretnie przesłane do Szwajcarii, do jego kolegi po fachu. Resztę – ponad tysiąc tytułów – musiał porzucić. Świadomość, że trafią w ręce tych fanatyków – równie ograniczonych, jak zagorzałych – przyprawiała go o dreszcz, lecz nie miał innego wyjścia.

Tylko jeden z tych wszystkich skarbów zabierał ze sobą do Londynu. Na razie książka leżała w bezpiecznym sejfie. Nie było mowy, żeby ten tytuł wpadł w ręce nazistów. Profesor wolał nawet nie zastanawiać się nad skutkami takiego świętokradztwa.

Widziane z okna miasto wydawało się tak spokojne, tak miłe. A przecież zło płynęło jego arteriami, przenikało kamienie i dusze, zatruchiwało nawet powietrze. Nie śmiał już nawet zwrócić oczu w prawo, bo za pierwszym rzędem budynków wznosił się potężny neoklasycystyczny gmach kwatery głównej Gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse. Wielki sztandar z symbolem swastyki co noc podświetlały wykierowane w górę reflektory. Złowieszcza swastyka. Czarna jak jadowity pająk pełznący na czterech tłustych odnóżach. Pająk, który stał się sztandarem.

„Swastyka. W Azji, a szczególnie w tradycyjnych Indiach, prastary symbol harmonii i pokoju”.

To były jego własne słowa, napisał tak przed dwudziestu laty w pracy poświęconej pogańskim symbolom.

Harmonia i pokój! Cóż za potworna ironia... Powinien był dodać: dotyczy to indyjskiej swastyki, zwróconej w lewo. Hitler nie był adeptem mądrości Wschodu. Obrócił ją w drugą stronę. To była totalna inwersja azjatyckiej tradycji.

Zbeczceścił swastykę, żeby przemienić ją w symbol hańby. Przynajmniej dla ras zwanych niższymi, na czele z piętnowanymi w Rzeszy Żydami. Niemcy upajały się, pełne uwielbienia dla tego złowrogiego krzyża.

Znów spojrzął na zegar ścienny. Czas mijał, a jego gość wciąż kazał na siebie czekać. Przeszedł przez pokój i przykucnął przed wmurowanym w ścianę sejfem. Pokręta obracały się szybko pod jego palcami, budząc opancerzone drzwiczki ze snu.

W chwili gdy wsuwał coś do teczki z rdzawej skóry, dzwonek u drzwi księgarni znów zabrzączał. Neumann odetchnął z ulgą. Jego przyjaciel nareszcie przyszedł. Księgarz położył teczkę na biurku i z radością w sercu zszedł na dół.

– Czekam już prawie godzinę – powiedział, pokonując ostatnie stopnie. – Doprawdy...

Serce skoczyło mu do gardła.

Przy ladzie stali trzej mężczyźni. Trzej ubrani jednakowo mężczyźni. Czapki z daszkiem i trupią główką, doskonale dopasowane czarne kurtki i spodnie, opaski ze swastyką na prawym ramieniu i buty z lśniącej czarnej skóry. Wszyscy mieli u pasa pistolety. Twarz najstarszego z nich się rozpogodziła. Jego prawy policzek przecinała delikatna blizna sięgająca skroni.

– Dzień dobry, profesorze – powiedział esesman, skłaniając głowę. – Spotkanie z panem to dla mnie zaszczyt.

Był wysokim, smukłym czterdziestolatkiem o krótkich siwych włosach, twarzy szczupłej i inteligentnej. Jego jasne oczy zwracały się na rozmówcę.

– Nazywam się Weistort. Pułkownik Karl Weistort – dodał.

Księgarz stał jak wryty, nie mogąc wydusić słowa. Dwaj pozostali esesmani odeszli od lady i myszkowali pomiędzy półkami.

– Tak... Miło mi... Właśnie zamierzałem zamknąć – wydukał w końcu.

Na twarzy pułkownika odmalowało się zakłopotanie.

– Czy mógłby pan zrobić dla mnie wyjątek? Przyjechałem z Monachium, żeby się z panem spotkać. Proszę zobaczyć, co panu przywiozłem – powiedział, kładąc na ladzie pożątkłą książkę. Na podniszczonej okładce widniał posąg brodatego mężczyzny siedzącego na tronie.

Neumann poprawił okulary i natychmiast rozpoznał swoją biografię cesarza Fryderyka Barbarossy.

– To wspaniałe dzieło – ciągnął esesman. – Przeczytałem je w młodości, gdy studiowałem w Kolonii. Stoi w mojej bibliotece na honorowym miejscu, obok dzieła o symbolach sakralnych. Cóż za erudycja!

– Dziękuję – odparł zażenowany księgarz.

– Nie ma za co, przecież to prawda. Z pewnością wie pan, że Führer jest bezgranicznie zafascynowany tym niezwykłym cesarzem.

– Nie wiedziałem o tym.

– Nie zgadzam się natomiast z panem w kwestii legendy Barbarossy. Mam na myśli tę, która głosi, że cesarz nie zmarł, lecz leży pogrążony we śnie w trzewiach magicznej góry.

I że kiedy się zbudzi, Rzesza powstanie, by istnieć po kres czasu.

Księgarz zmarszczył brwi, dając wyraz zakłopotaniu. Esesman dotknął palcem wskazującym okładki książki.

– Pańskim zdaniem to tylko bajka dla dzieci, podczas gdy mamy tu do czynienia z mitem o dużej sile, takim, który może wzruszyć serca wszystkich Niemców. Sfera wyobraźni, profesorze! Prawdziwe źródło władzy nad ludźmi. Ten, kto kontroluje sferę wyobraźni narodu, jest potężniejszy niż dziesięć armii razem wziętych. Ale w pańskich żyłach płynie za dużo żydowskiej krwi, by to zrozumieć... To nie pana wina.

Puls księgarza przyspieszył. Pułkownik położył rozprostowaną dłoń na ladzie.

– Bo jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to czyż Adolf Hitler nie jest reinkarnacją starego śpiącego cesarza? Obudził naród i zbuduje nową tysiącletnią Rzeszę. Jest wysłańcem opatrności. To powinien pan zrozumieć, bo przecież Żydzi od tysięcy lat czekają na swojego mesjasza. A my, Niemcy, doczekaliśmy się naszego przed wami.

– Tak... Zapewne.

Oczy pułkownika SS rozbłysły z podniecenia.

– I oto wznieśliśmy się do rangi nowego ludu wybranego. To ogromna odpowiedzialność!

– Bardzo mnie to cieszy... Czego właściwie pan ode mnie oczekuje, pułkowniku? – zapytał Neumann, starając się zachować neutralny ton głosu.

– Przepraszam, dałem się ponieść emocjom. Czasami bywam niepoprawnym romantykiem... Po pierwsze pańska dedykacja sprawiłaby mi wielką przyjemność – odparł zadziwiająco jowialnym tonem esesman.

Księgarz zauważył, że jego dwaj koledzy otwierają jeden z kartonów przygotowanych do wysyłki do Genewy.

– Te nie są na sprzedaż – powiedział Neumann.

Pułkownik uderzył książką o ladę.

– Pan pozwoli, profesorze, moi podkomendni są z natury bardzo ciekawi. To oznaka skuteczności. Proszę wziąć pióro i do dzieła!

Neumann zerknął na niego zniecierpliwiony. Musiał uwolnić się od tych gości przed przyjściem przyjaciela. Gdyby pojawił się w sklepie o tak późnej porze, natychmiast by go zgarnęli, a przy okazji także księgarza.

– Pójdę po coś do pisania.

– Proszę się nie fatygować – powstrzymał go Weistort, podając mu grube czarno-srebrne pióro z symbolem SS. – Prezent od samego Reichsführera Himmlera.

Księgarz wziął pióro niczym jadowitą zmiję.

– Dla Karla, kilka miłych słów – podjął żartobliwie pułkownik. – To zupełnie wystarczy. – Potem zwrócił się do podwładnych. – Gdyby Reichsführer dowiedział się, że pół-Żyd używał jego pióra, padłby trupem.

Obaj esesmani wybuchnęli śmiechem.

Neumann nie zareagował, robiąc, o co go poproszono.

– Gotowe. W czym jeszcze mogę pomóc?

Jeden z dwóch esesmanów podszedł, niosąc stos książek w pięknych oprawach, i położył je na ladzie.

– Proszę spojrzeć na te ukryte skarby – powiedział wysoki blondyn, wskazując na książki. – To zdumiewające! Znalazłem tu *Steganografię* opata Trytemiusza, wersję oryginalną, że nie wspomnę o *Mutus Liber* z przedmową Paracelsusa.

– A ja odkryłem dwie perełki – dodał drugi esesman, który szperał jeszcze w pudle. – Pierwsze wydanie *Malleus Maleficarum*! Byłem przekonany, że wszystkie księgi spłonęły w autodafe w Hamburgu w 1635 roku. I egzemplarz *Codex Demonicus* Wielkiego Inkwizytora Bawarii.

Neumann nie wierzył własnym uszom. Esesmani doskonale rozpoznali księgi. Skąd się wzięły te wykształcone dzikusy, ludzie zarazem bez pamięci zakochani w myśleniu symbolicznym i erudyci? Z reguły takie typki ograniczały się do brudnej policyjnej roboty i zapewniania ochrony dygnitarzom reżimu.

Pułkownik uchwycił jego zdziwione spojrzenie i sięgnął po książkę z dedykacją.

– Głupiec ze mnie, zapomniałem panu powiedzieć, jakie są nasze kompetencje. Pracujemy w Ahnenerbe, Instytucie Badawczo-Dydaktycznym Dziedzictwa Przodków. Ja pełnię funkcję dyrektora generalnego. Proszę nie zwracać uwagi na te mundury SS, podobnie jak pan jesteśmy wykładowcami, intelektualistami, ale czystej krwi.

Neumann zmarszczył brwi. Intelektualista i nazista... Cóż za ponury oksymoron, przemknęło mu przez myśl.

– Doprawdy... A z jakimi uniwersytetami są panowie związani? – zapytał ostrożnie.

Pułkownik skinął głową.

– Ja z uczelnią w Kolonii, jestem doktorem etnologii. Moi dwaj zastępcy pochodzą z Drezna. Kapitan wykłada w Katedrze Antropologii Uniwersytetu Monachijskiego, a porucznik zrezygnował ze stanowiska wykładowcy literatury średniowiecznej, by przyjąć nową funkcję w Ahnenerbe. W tej chwili mamy nawał pracy, zatrudniamy wiele osób. Niech pan sobie wyobrazi, że Himmler chce, bym utworzył ponad pięćdziesiąt sekcji badawczych! Nie wiem już, w co włożyć ręce...

Jeden z esesmanów starannie układał książki.

– Te dzieła znalazłyby się na honorowym miejscu w bibliotece naszego instytutu. Niestety, w tej chwili dysponujemy bardzo skromnym budżetem. Może nasz przyjaciel profesor zechciałby się zdobyć na pewien handlowy gest?

Neumann obserwował ich w milczeniu. Ci trzej mimo dyplomów nie byli warci więcej od innych nazistów. Oni także wykorzystywali panowanie terroru, by ograbić Żydów.

Błyskawicznie analizował sytuację: odmowa oznaczała narażenie się na problemy, zgoda równała się utracie skarbów. Podjął decyzję. To nie był czas na duchowe rozterki.

– Skoro te księgi tak się panom podobają, chętnie przekazę je instytutowi.

Pułkownik skinął głową usatysfakcjonowany.

– Jest pan naprawdę bardzo uprzejmy. Pozwolę sobie zresztą nadużyć pańskiej hojności. Otóż szukam pewnego dzieła, *Thule Borealis Kulten*, średniowiecznej księgi.

Księgarz zmrużył oczy. Poczul, że serce bije mu mocniej.

– Nie kojarzę. Sprawdź w rejestrze. Powiedział pan...

– *Thule Borealis* – powtórzył Weistort, niemal sylabizując.

Neumann drżącą ręką kartkował katalog.

– Nie, naprawdę niczego takiego tu nie widzę. Należałoby raczej zwrócić się do wyspecjalizowanych antykwariuszy.

Pułkownik przybrał zasmucony wyraz twarzy.

– Neumann, proszę się zastanowić, jest pan tego pewien? Chodzi o czysto aryjski wykład ezoteryczny. O cudowne nauczanie...

– Doprawdy... To musi być niezwykle interesujące – skłamał ostrożnie księgarz.

Pułkownik zwrócił się do podwładnych.

– Jak nazywał się ten Żyd, którego przesłuchiwaaliśmy wczoraj?

– Rabin Ransonovitch, uroczy człowiek, trochę mrukliwy – odparł porucznik. – Niestety, nie wytrzymał przesłuchania.

Księgarzowi krew zastygła w żyłach.

– No właśnie, Ransonovitch. To on mi powiedział, że jest pan w posiadaniu egzemplarza tego dzieła.

– Przykro mi, ale nie znam tego rabina – szepnął. – Jeżeli pan pozwoli, zamknę już księgarnię.

Pułkownik wzruszył ramionami i wyjął z portfela dwa banknoty.

– Szkoda. Zależało mi, żeby zdobyć tę książkę – powiedział, kładąc na ladzie dwieście marek.

Księgarz wytrzeszczył oczy.

– Daje mi pan zbyt dużą sumę, powiedziałem przecież, że te książki przekazuję za darmo.

Mężczyzna ze szramą uniósł dłonie.

– Źle mnie pan zrozumiał. Ta kwota pokrywa zakup pana księgarni. A i tak jestem bardzo hojny.

– Ja... ja nie sprzedaję sklepu. Proszę nie żartować.

– Oj, profesorze, wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby dobrowolnie przekazał mi pan *Thule Borealis*. Ze względu na podziw, jakim pana darzę... a naprawdę rzadko zdarza mi się podziwiać Żyda... rozstalibyśmy się jak przyjaciele. A pan uniknąłby czystki.

– Czystki?

Pułkownik zerknął na zastępców i ujął księgarza pod ramię.

– Już wkrótce pan to zrozumie. Tymczasem jednak zajrzymy do pańskiego gabinetu. Pana przyjaciel rabin, konając, zdążył szepnąć mi do ucha, że ta księga leży ukryta w sejfie.

– Klucz do sejfu trzymam w szufladzie w kasie – szepnął księgarz.

Pochylił się za ladą, wsunął rękę do koszyka i znalazł to, czego szukał.

– Niech się pan pospieszy, czas ucieka – powiedział beznamiętnym tonem pułkownik. – I nie działa na pana korzyść. Myślę, że...

Nie dokończył zdania, bo Neumann wyprostował się, celując w niego z mauzera.

– Wyjdźcie z mojej księgarni. Brukacie ją.

Weistort nawet nie mrugnął okiem. Jego dwaj zastępcy cofali się powoli.

– Ależ profesorze... Za grożenie esesmanowi bronią palną ponosi się karę śmierci. A czy chociaż potrafi się pan nią posługiwać?

Po raz pierwszy od wtargnięcia intruzów do księgarni na twarzy Neumanna pojawił się uśmiech.

– Uczestniczyłem w wojnie światowej. Krzyż Żelazny za bitwę nad Sommą – odparł. – Z pewnością zabiłem więcej ludzi niż pan, choć sprawiało mi to ogromną przykrość. Ale pański przypadek będzie wyjątkiem.

Nazista się cofnął, a jego twarz po raz pierwszy zdradziła lęk. Neumann poczuł ogarniającą go falę szczęścia. Przestraszyć esesmana to niezwykła przyjemność, której nie zapomni do końca życia. Wiedział jednak, że zabijając tych intelektualistów spod znaku trupiej główki, daje sobie mało czasu, bo wrócą tu całą sforą. Chyba że zdąży uciec i ukryć książkę.

Nagle najmłodszy z esesmanów wyciągnął pistolet, a księgarz ledwie zdążył zareagować, strzelając. Trafiony w głowę nazista runął w tył, przeraźliwie krzycząc. Neumann nie miał dość czasu, by wymierzyć w pułkownika, który był szybszy – już wyciągnął z kabury u pasa lugera i strzelił. Kula przebiła wysoko tułów księgarza i wyszła przez plecy, roztrzaskując obojczyk. Neumann osunął się na ziemię. Jego koszula przesiąkała krwią.

– Dureń! – westchnął Weistort. – Bierzemy go na górę.

– A Viktor? – zapytał kapitan, wskazując leżącego na podłodze kolegę.

– W Walhalli wojowników. Dziś wieczorem weźmie udział w uczcie Odyna.

Esesmani szli po schodach, podtrzymując Neumanna. Gdy go tak ciągnęli, krew ochlapывała stopnie. W biurze posadzili go w fotelu naprzeciwko okna.

Weistort zobaczył poniewierający się na podłodze zwój sznurka do pakowania.

– Weź ten sznur i przywiąż go do fotela.

Kiedy kapitan SS krępował Neumanna, Weistort przeszukiwał otwarty sejf.

– Gdzie schowałeś tę książkę?! – warknął, wyrzucając na podłogę pliki banknotów z sejfu.

– Idź do diabła! – odparł ranny, któremu umysł zaczynał się mącić.

Nagle Weistort zauważył teczkę leżącą na stole. Otworzył ją i wyciągnął cienką, oprawną w czerwoną skórę książkę.

– *Thule Borealis!*

Usiadł na kanapie i delikatnie otworzył księgę. W miarę jak przewracał kartki, w jego oczach rozpałał się blask zachwytu.

– Wspaniałe... Po prostu wspaniałe.

– Nie ma pan prawa...

Pułkownik wyciągnął palec, wskazując miasto za oknem.

– Dzisiejszego wieczoru Aryjczyk ma wszelkie prawa, a Żyd żadnych. Patrz!

Niebo stanęło w płomieniach. Żółto-czerwona luna wznosiła się nad całym miastem.

– Co się dzieje? – wyszeptał z trudem Neumann.

Wydawało się, że dzielnicę ogarnął pożar.

Weistort odłożył książkę, rozpostarł ramiona i wzniosł dłonie niczym kapłan w kościele.

– To czystka, przyjacielu. Czystka. Powinieneś włączyć radio i wysłuchać pocziwego doktora Goebbelsa. Wezwał naród niemiecki do wyjścia na ulicę i zmanifestowania słusznego gniewu na Żydów po podłym mordzie dokonany w Paryżu².

Szeroko otworzył okno. Rozbrzmiały wrzaski. Słychać było brzęk tłuczonego szkła.

Weistort splótł ręce na plecach. Płomienie buchnęły nad dachem synagogi położonej dalej na południe.

– Ale... policja...

– Zakaz opuszczania komisariatów. Tak samo jak strażacy, którzy mają zostać w remizach. Niemcy mogą wchodzić do domów i sklepów, wypędzać właścicieli, chłostać ich, poniżać, okradać, a nawet zabijać. Czystka... Cała ta niszczycielska moc przechodzi teraz niczym potężny kataklizm. Berlin, Monachium, Kolonia, Hamburg... wszędzie poleje się krew. Nieczysta krew, żydowska. A ktokolwiek spróbuje udzielić pomocy Żydom, zostanie uznany za wroga narodu. Tej nocy panuje tylko jedno prawo: prawo czystej krwi.

– Jesteście Złem, Złem...

Weistort poklepał rannego po zmiażdżonym ramieniu.

– Wszystko zależy od tego, po której stoisz stronie. Dla nas, narodowych socjalistów, wy, Żydzi, jesteście obcym wirusem, który zainfekował niemiecki organizm. Zatruliście nasz kraj i naszą krew jak choroba. To wy jesteście Złem. Eliminując was, dołączamy do obozu Dobra. Do obozu narodu.

– Jesteście obłąkani.

– Przecież tak łatwo to zrozumieć! Dobro to większość. A Zło to mniejszość.

– Dobro... to większość! Co za absurd... Ludzie się zbuntują.

– Wątpię. Wierzy pan, że wszystkich tych dzielnych Niemców, którzy dzisiejszej nocy uczestniczą w czystce, ogarnie poczucie winy? Skądże znowu. Jutro będzie im trochę wstyd, jak po za mocno zakrapianym wieczorze Oktoberfest. Ale potem pozostanie im w pamięci poczucie zbawiennego upojenia.

Weistort wsunął książkę do teczki i otworzył pozostałe okna. Krzyki brzmiały teraz jak wycie, słyhać było sprośny śmiech, tu i ówdzie rozlegały się patriotyczne pieśni. Wychylił się i spojrzął na ulicę. Przed splądrowanym sklepem z ubraniami trzech mężczyzn w czapkach z daszkiem i brunatnych koszulach zanosili się śmiechem, wlokąc za nogi starą kobietę w koszuli nocnej. Zakrwawiony starzec leżał w progu.

– Ci z SA to straszni idioci... – powiedział Weistort, wzdychając, a potem odwrócił się do księgarza. – Jeżeli to pana pocieszy, to zapewniam, że potępiam sadyzm.

– Ta przekłeta swastyka zatrąła wasze dusze.

– Nie, dzięki niej poznaliśmy siebie. Na tym polega jej moc. Jej magia. Profesorze, tak bardzo żałuję, że jest pan Mischlingiem! Mógłbym zaproponować panu stanowisko w Ahnenerbe, może nawet zostalibyśmy przyjaciółmi...

Księgarz próbował unieść głowę, ale ból przeszył jego kark.

– Niech pana diabli wezmą...

Pułkownik wybuchnął śmiechem.

– Przykro mi, wierzę wyłącznie w magię sił pogańskich, a nie w demony. Szatan to tylko judeochrześcijański wymysł dla słabych ludzi.

Neumann opadł z sił. Głos esesmana brzmiał w jego mózgu jak odległe echo. Płakał. Nie z bólu, nie. Ze złości. Na siebie.

Powinien był ukryć tę książkę w bezpiecznym miejscu.

Weistort wstał.

– Co z nim zrobimy? – zapytał kapitan, patrząc na wykrwawiającego się księgarza.

– Niech sobie spokojnie umrze, patrząc na tę cudowną noc.

– A księgarnia? Podpalamy?

– Nie. Jutro rano przyślesz tu ciężarówkę, żeby zabrać książki. Uzupełnią bibliotekę Reichsführera w zamku Wewelsburg. Niech zabiorą też ciało naszego kolegi, który poległ, wypełniając niebezpieczną misję, podstępnie zamordowany przez Żyda. Zostanie pośmiertnie odznaczony Krzyżem Żelaznym.

Pułkownik z blizną pochylił się nad Neumannem.

– Żegnam, profesorze. Dzięki panu, dzięki tej księdze Dobro w końcu zwycięży.

Esesmani wyszli, zostawiając księgarza. Za oknem ciężkie chmury czerwieniały w poświęcie bijącej od ulicy. Jakby zbierało się na krwawy deszcz.

Otto Neumann na swym fotelu zapadał się w mroczną otchłań. Synagoga za oknem przemieniła się w pochodnię. Teraz wiedział już, że pożar, który szaleje na jego oczach, to

tylko preludium.

Tej nocy ogień ogarnął Niemcy. Jutro ogarnie świat.

Z powodu jednej księgi.

Przeklętej księgi.

CZĘŚĆ PIERWSZA

„Wszystkie źródła władzy intelektualnej, naturalne i nadprzyrodzone – od nowoczesnej technologii po średniowieczną czarną magię, od nauki Pitagorasa po faustowskie zaklęcia pentagramu – powinny zostać wykorzystane do osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa”.

Wilhelm Wulff, osobisty astrolog Himmlera,
Zodiac and Swastika, Coward-McCann, Geoghegan, 1973

Tybet

Dolina Yarlung

Styczeń 1939

Burza stopniowo słabła. Pomruk grzmotów odbijał się dalekim echem ponad wierzchołkami drzew, a balet srebrzystych błyskawic przesuwiał się na północ, w kierunku przełęczy Yarlung.

Oślonięty przed lodowatym wiatrem, który od trzech dni dął w dolinie, mężczyzna w białym kombinezonie stał przed wejściem do groty i z uwagą wpatrywał się w ostatnie smugi światła, które padały na szczyty Himalajów. Manfred nie bał się piorunów, wręcz przeciwnie. Oswoił się z nimi przy ojcu, zapalonym alpinście, podczas wspólnych wspinaczek po urwistych zboczach Alp Bawarskich. Jego słowa nasuwały mu się na myśl zawsze, gdy szalała burza:

Kochaj pioruny, one oczyszczają powietrze i hartują serca silnych ludzi.

Jednak tu, w zagubionym zakątku Tybetu, w sercu zamkniętej wysokimi ścianami doliny, wyczuwało się coś nieczystego i nawet gromy nie były w stanie tego oczyścić. Pogoda przypominała rozregulowaną busołę. Nie spadł tu ani płatek śniegu, choć góry wokół przykryła gruba warstwa świeżego puchu. Jakby niewidzialna i podstępna siła narzuciła własne prawa najpotężniejszemu żywiołom natury.

Hauptmannführer SS Manfred Dalberg omiół ściany doliny wrogim spojrzeniem. Daleko im było do piękna bawarskich gór jego dzieciństwa. Nigdzie śladu roślinności, szary, jałowy świat, przytłaczający ogrom skalnych ścian najeżonych graniem ostrymi jak noże... Jakby ten krajobraz był stworzony tylko po to, by unicestwić każdą żywą istotę – człowieka i zwierzę.

Ziemia wyjących czaszek.

Tak Tybetańczycy nazwali to dziwne, zapomniane przez bogów i ludzi miejsce. Choć nie usłyszał złorzeczenia czaszek, nerwy targał mu zawodzący wiatr. Marzył tylko, by wrócić do Niemiec i dołączyć do swojej dywizji.

Manfred postawił kołnierz standardowego kombinezonu oddziałów alpejskich SS i właśnie wtedy z prawej strony dobiegł go znajomy dźwięk. Sięgnął po lornetkę, by spojrzeć w dół. Ciężarówka z brudną plandeką szybko sunęła po pełnym dołów szlaku, który pełnił tu funkcję drogi. Pył unosił się spod kół, ciągnąc się za samochodem niczym popielaty tren.

Schäfer jedzie.

Esesman odetchnął z ulgą. Dowódca dotrzymał słowa, zapanuje nad sytuacją.

Manfred nałożył kaptur i szybko zbiegł po kamiennych stopniach, które wily się nad smętną doliną, łącząc wejście do groty ze szlakiem.

Uciec z tej przeklętej dziury...

Już niemal dwa tygodnie temu opuścił Lhasę i większość sił wyprawy Schäfera, zabierając ze sobą tylko małą grupę badawczą z dwoma archeologami, lingwistę pełniącego funkcję tłumacza, pół tuzina tybetańskich tragarzy i trzech buddyjskich mnichów. Początkowo wszystko szło jak najlepiej. Ściśle trzymał się instrukcji i rozbił obóz. Dokładnie w miejscu opisanym w świętych zwojach ujrzał wciśniętą w zbocze grotę u wylotu szlaku Sanshai, a przy niej dwa szkarłatne czorteny, tybetańskie wieżyczki w kształcie stożków, gdzie znajdowały się młynki modlitewne. Tylko że tu nie było żadnych młynków, a groźne rzeźby rogatych demonów.

Wszystko zgadzało się z reprodukcjami rysunków ze zwoju Kandziuru, świętej księgi Tybetańczyków.

Drzwi wiodące do krainy czaszek.

Ledwie jednak założył bazę, dwaj tragarze zapadli na tajemniczą chorobę i wykrwawili się na śmierć. Wkrótce potem doszło do napięć między Niemcami a „cuchnącymi mnichami”, jak mawiał o nich jego adiutant. Mnisi nakazali tragarzom zamknąć wejście do nekropolii. Odtąd nie można już było wejść w głąb groty. Choć chwilami miał ochotę ich wystrzelać, nie chciał psuć stosunków dyplomatycznych swego kraju. Tybet był przecież oddanym przyjacielem Trzeciej Rzeszy i zabiegał o pomoc militarną w konflikcie z Chinami.

Wysłał wiadomość, domagając się wsparcia dowódcy, Hauptsturmführera Ernsta Schäfera. Przecież szef ekspedycji „Tybet, ziemia aryjska” zaprzyjaźnił się z najbardziej wpływowym człowiekiem w Lhasie, piątym Rinpocze³. Tak bardzo, że zdołał go nawet nakłonić do podarowania Niemcom zwojów świętego Kandziuru.

Manfred dotarł do szlaku, gdy pokryta istic księżycowym pyłem ciężarówka hamowała tuż przed nim. Przed samymi czortenami jeden z tragarzy właśnie czyścił uprzęż muła. Manfred obrzucił gniewnym spojrzeniem drobnego mężczyznę o twarzy pomarszczonej jak za mocno przypieczone jabłko. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Schäfer na każdym kroku powtarza, że ci podludzie należą do rasy aryjskiej.

Kiedy z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni w białych kurtkach polarnych, Manfred wyprężył się jak struna, regulaminowo wyciągając w ich stronę prawą rękę.

– *Heil Hitler!*

Obaj mężczyźni odpowiedzieli tym samym gestem. Bardziej masywny, zbudowany jak bokser, o śmiejącej się twarzy okolonej jasną brodą, żywiłowo uściśnął jego dłoń.

– Manfred, co za szczęście – rzucił egzaltowanym głosem Schäfer.

Potem wyciągnął rękę ku swemu kompanowi podróży, który zatrzymał się nieco za nimi.

– Przedstawiam ci pułkownika Karla Weistorta, dyrektora Ahnenerbe i członka osobistego sztabu Reichsführera. Przyjechał prosto z Berlina.

Esesman zbliżył się do Manfreda. Delikatna szrama przecinała jego skroń i policzek. Manfred widział już tego typu blizny u szermierzy z pruskich bractw studenckich. Mimo blizny esesman emanował swoistą życzliwością, rzadko spotykaną u wyższych oficerów SS.

Pułkownik uściśnął mu dłoń i serdecznie się uśmiechnął.

– Gratulacje, Obersturmführerze Dalberg. Jeżeli informacje są ścisłe, jesteśmy o krok od wspaniałego odkrycia. Pańska przyszłość w SS zapowiada się doskonale, młody przyjacielu.

Porucznik zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że nikt nie czytał jego listu.

– Schlebia mi to, panie pułkowniku, ale wspomniałem o pewnych trudnościach.

Oficer położył mu rękę na ramieniu.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

Porucznik z niechęcią spojrział w głąb grotu.

– W jaskini są olbrzymie drzwi bez zamków. Prowadzą do sanktuarium, w którym znajduje się... obiekt. Ale mnisi są wściekli, mówią, że mieli nam tylko pokazać grootę, a nie wprowadzać nas do nekropolii. Nie chcą, żeby obcy sprofanowali to sanktuarium.

Weistort wybuchnął śmiechem. Szczerym, wesołym śmiechem.

– Obcy? Oczywiście, że nie. W naszych żyłach płynie ta sama krew, chociaż na pierwszy rzut oka tego nie widać – powiedział, obserwując tragarza, który palił długą fajkę. – Chodźmy rozwiązać problem z naszymi „kuzynami”.

Wszyscy trzej ruszyli po schodach prowadzących do grotu.

– Jak mija pobyt w Lhasie? – zapytał Manfred.

– Świetnie. Skończyłem kręcenie mojego przyszłego dokumentu, no i zebraliśmy mnóstwo pierwszorzędnych informacji naukowych. Żałuję, że wkrótce musimy wracać do Berlina. To cudowny kraj, a Tybetańczycy są niezwykle ludźmi.

– Nie podzielam pańskiej opinii, Ernście – odparł młody porucznik.

Weistort, któremu wyraźnie dopisywał humor, skakał po schodach.

– Bez przesady, poruczniku. Do diabła, trochę optymizmu. Jest pan esesmanem. Jak Tybetańczycy nazywają tę ziemię?

Już tylko trzydzieści metrów dzieliło ich od wejścia do grotu zwieńczonej półkopiłą wykutą w skalnym zboczu.

– Ziemia Wyjających Czaszek – powiedział Manfred. – Mnisi uważają, że część zmarłych nadal żyje i nie może przejść reinkarnacji. Nieszczęśnicy błakają się po trzewiach ziemi, szeptem wyrażając rozpacz i nie potrafiąc znaleźć nowego ciała, by się w nie wcielić. Gdyby ktoś otworzył drzwi, na ziemi rozpętałoby się piekło. A ponieważ trzeba co najmniej dziesięciu ludzi, żeby wyrwać je z zawiasów...

Pułkownik Weistort się uśmiechnął.

– Zmarli błędzący w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Wspaniałe! Czyż to nie parabola losów naszego narodu? Niemcy zrozpaczeni po klęsce i zdradzie, oczekujący na swego wybawcę Adolfa Hitlera? Führer dał Niemcom nowe ciało. Silniejsze, pełne energii. Uwielbiam te prastare tradycje. Pozwalają nam zrozumieć ukryty sens Wszechświata.

Stopa pułkownika uderzyła poniewierającą się na schodach dużą puszkę po konserwie, która spadła ze stosu śmieci pozostawionych pod potężnym głazem. Weistort zatrzymał się w pół kroku, podniósł puszkę i rzucił ją na stertę nieczystości.

– Poruczniku, będzie pan uprzejmy niezwłocznie zakopać te śmieci.

Młody porucznik wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Weistort mu się przypatrywał, z dezaprobatą kręcąc głową.

– Zaśmiecanie natury to zbrodnia, poruczniku. Ziemia hojnie obdarza nas wspaniałościami, więc winni jesteśmy traktować ją z szacunkiem. Nie uczono pana tego na wykładach z ekologii w Instytucie SS?

– Nie, pułkowniku, wstąpiłem do SS w zeszłym roku.

– To poważny błąd. Powinien pan wiedzieć, że ekologia to słowo stworzone przez dobrego Niemca, biologa Ernsta Haeckela. Wywodzi się ono od greckiego *oikos*, oznaczającego dom i *logos*, czyli słowo, nauka.

Schäfer wtrącił z zapalem:

– Ten Haeckel to wielki prekursor, wierzył w nierówność ludzi i stawiał białych na szczycie ewolucji. Był członkiem założycielem Niemieckiego Towarzystwa Higieny Ras, powstałego na początku dwudziestego wieku, zanim jeszcze narodził się narodowy socjalizm.

– Oczywiście, jego dzieło *Lebenswunder*⁴ należy czytać i wracać do niego wiele razy – dodał Weistort. – Dam panu egzemplarz tej książki.

Zadowolony ze swojego krótkiego wykładu pułkownik SS znów ruszył po schodach. Upłynęło kilka minut, zanim panowie weszli do groty. Była tak duża jak monachijska piwiarnia, a oświetlały ją pochodnie zamocowane na ścianach szarych jak cała dolina. W głębi groty grupa mężczyzn leżała przy ognisku, nad którym unosił się gryzący dym. Woń rozgrzanego tłuszczu przesyciała zimne powietrze. Wysoki blondyn wybiegł im na spotkanie. Na jego twarzy malowało się napięcie. Nie tracił czasu nawet na oddanie honorów nowo przybyłym.

– Poruczniku, z jednym z tragarzy jest bardzo kiepsko, wymiotuje i pluje krwią.

Weistort i Schäfer spojrzeli na siebie z zaniepokojeniem.

– To już trzeci... – dodał młody Niemiec. – Zabrali go do innego pomieszczenia.

– Zechce pan mi go pokazać – powiedział półgłosem pułkownik.

Skręcili w prawo, w stronę zagłębienia, z którego dochodziło blade światło. Kilku ludzi siedziało przed kamiennym ołtarzem, na którym palił się chrust. Trzej mnisi w szafranowych

szatach przybrali pozycję lotosu, skupieni wokół leżącego na ziemi mężczyzny, który wił się z bólu pod przetartą derką. Jego twarz zroszona była potem, z kącika ust sączyła się krew.

Weistort podszedł do mnichów, skłaniając się, by ich powitać.

– Proszę tłumaczyć i niech im pan powie, że jestem wysłannikiem Adolfa Hitlera, wielkiego lamy Niemiec.

Tłumacz zwrócił się do mnichów, którzy jednak pozostali obojętni. Weistort przykucnął i położył rękę na czole chorego.

– Co mu dolega?

Jeden z mnichów wznosił oczy na oficera. Jego spojrzenie było srogie. Potem popłynął strumień słów, ostrych, dobitnych. Tłumacz uważnie słuchał, zanim wydukał niepewnym głosem:

– Ten tragarz, tak jak pozostali, został ukarany za to, że wszedł do sanktuarium. Skona tej nocy i dołączy do zmarłych, którzy pukają do drzwi. Jeżeli stąd nie odejdziemy, spotka nas podobny los.

Pułkownik Weistort z powagą skinął głową.

– Proszę tłumaczyć moją odpowiedź. Jestem głęboko rozczarowany. Chcieliśmy tylko złożyć hołd jego przodkom. Proszę mu powiedzieć, że odnoszę się z ogromnym szacunkiem do jego aryjskiej ziemi i obyczajów. W Niemczech przywracamy dawne obrzędy przodków, którymi chrześcijaństwo wzgardziło. Czy moglibyśmy złożyć jakąś ofiarę, obdarować zmarłych, by okazać im szacunek?

Tłumacz znów zabrał głos. W miarę jak mówił, mnich zamykał się w sobie. Wyszczekał parę słów i splunął na ziemię.

Tłumacz wytrzeszczył oczy i skinął głową.

– Trzeba zarznąć kozę pobłogosławioną przez najwyższego lamę z Lhasy. Niestety, nie mamy kozy.

Niemiecki oficer się uśmiechnął, a potem bez słowa wyciągnął nóż, który miał u pasa. Uniósł go i zaprezentował w słabym świetle ognia, a jego niebieskie oczy zdawały się odbijać metaliczny blask stali. Jego głos brzmiał dobitnie pośród kamiennych ścian.

– Niech mu pan powie, że ja także należę do duchowego zakonu, do SS, i że ten sztylet otrzymałem od mojego dowódcy Heinricha Himmlera. Na ostrzu wygrawerowana jest dewiza: „Mój honor to moja wierność”. – Wsunął ostrze w płomień. Stał zrobiła się czerwona. – Nie wiem, czy słowo honor znaczy coś w Tybecie, ale w mojej ojczyźnie zamyka w sobie trzy przymioty: dumę, odwagę i lojalność.

Pułkownik Weistort z uśmiechem zbliżył się do jednego z mnichów, trzymając w ręce rozżarzony sztylet. Jego głos brzmiał niemal kojąco, łagodnie. Przykucnął obok najstarszego z bonzów, który dotąd nie wypowiedział jeszcze ani słowa.

– Przyjaciele, nie wydaje mi się, byście dowiedli swej lojalności wobec nas.

Zanim ucichło echo tych słów, pułkownik poderżnął starcowi gardło. Ostrze zmiażdżyło głośnię i wbiło się w mięśnie. Chlusnęła jasna krew, plamiąc nieskazitelnie biały kombinezon oficera. Mnich padł twarzą na ziemię tuż obok chorego. Przez chwilę wił się jeszcze jak robak. Wszyscy poczuli woń palonego mięsa.

Dwaj pozostali mnisi nawet nie drgnęli. Ich twarze nie wyrażały żadnych emocji.

Schäfer podszedł bliżej.

– Oszalał pan, pułkowniku! To nie ich wina, że ten człowiek zachorował.

Weistort otarł ostrze o szatę mnicha i odparł pobłaźliwie:

– Drogi Ernście, ta naiwność czyni pana sympatycznym, ale pozwoli pan, że coś wyjaśnię. Proszę spojrzeć na to czerwone obramowanie szat naszych mnichów. Świadczy o ich przynależności do Ganpitry, wewnętrznego zakonu tybetańskich kapłanów, którego zadaniem jest ochrona wspólnoty. Za wszelką cenę. Wolno im łamać prawa i zabijać, kiedy to konieczne. Wilki w owczej skórze... Któż obawiałby się dobrych buddyjskich mnichów... Nie sądzi pan, że to bardzo sprytne?

– Nie widzę związku – odparł Schäfer, nie mając odwagi spojrzeć na nieruchome ciało starca.

– Ganpitra nigdy nie posługuje się bronią białą, zbyt prymitywną, używa trucizn. To specjalność tego zakonu. Przed przyjazdem przeczytałem wspomnienia włoskiego misjonarza, któremu przed trzydziestu laty zezwolono na pobyt w Potali⁵. Sądzę, że otruli tragarzy, żeby uwiarygodnić działanie klątwy i przegonić nas stąd.

Głos zabrał jeden z mnichów.

– Mówi, że uczniowie Buddy nie boją się ani pana, ani śmierci. Może ich pan zamordować, to niczego nie zmieni. Tragarze również na nic się nie przydadzą, ponieważ raczej dadzą się zabić, niż narażą się na spotkanie z wyjącmi zmarłymi.

Pułkownik z blizną pokiwał głową i znów sięgnął po nóż. Pochylił się nad zwłokami mnicha i nieco poniżej czoła nieszczęśnika wyciął krążek ciała o średnicy monety. Dokładnie u nasady nosa.

Uniósł trofeum, a potem rzucił je do ognia.

– Znów proszę o tłumaczenie. Ja również uprawiam ich magię, zabrałem ich koledze trzecie oko i spaliłem je. Odtąd jego dusza należy do mnie i zabawię się, dręcząc go na różne sposoby. Nigdy nie osiągnie nirwany.

Na twarzach mnichów zaszła gwałtowna zmiana. Przerażeni patrzyli na siebie.

Znów rozbrzmiał głos Weistorta:

– Oni doskonale znają te czary, ponieważ sami uciekają się do nich od czasu do czasu, żeby zastraszać wrogów Rinpocze. Ja tylko uważnie przeczytałem książkę duchownego, którego przysłał tu Watykan. Ten człowiek był świadkiem ich sztuczek. Teraz proszę im

powiedzieć, żeby wpłynęli na tragarzy, którzy mają otworzyć nam wrota sanktuarium. W przeciwnym razie, choć z wielkim żalem, zmuszony będę zająć się ich duszami.

Mnisi nie usłyszeli ostatnich słów tłumacza, bo błyskawicznie wstali i pobiegli do tej części grotty, w której leżeli przy ognisku tragarze, i zaczęli wydawać im polecenia.

Weistort spokojnie schował sztylet.

– A gdybyśmy tak otworzyli te wrota?

Dwie godziny później wejście do sanktuarium stało przed nimi otworem. Ciężkie skrzydła z brązu, ważące co najmniej pół tony, leżały na ziemi po dwóch stronach dziury, z której wydobywał się cierpki, a zarazem słodkawy zapach.

– Słodka woń śmierci – szepnął Weistort, który z pochodnią w ręce szedł już szerokim korytarzem. Za nim podążał Schäfer, trzymając palec na spuście pistoletu maszynowego.

Pozostali Niemcy zatrzymali się przed wejściem. Nie musieli przeganiać tragarzy, którzy przerażeni uciekli z grotty, wykrzykując słowa modlitw. Dwaj mnisi siedzieli w milczeniu przy ogniu.

Weistort i Schäfer wolno szli po wilgotnej ziemi, a pochodnie rzucały chwiejny blask na niemal sine ściany, które lśniły tysiącami metalicznych żyłek.

– To na pewno dawna kopalnia srebra – szepnął Schäfer. – Tybet obfituje w złoża cennych minerałów.

– To, czego tu szukamy, ma bez porównania większą wartość niż srebro czy złoto – odparł Weistort. – A tak przy okazji: nie pogratulowałem panu jeszcze tej inicjatywy. To doprawdy wspaniały pomysł, zaprzyjaźnić się z tybetańskim dygnitarzem i zacząć pracę nad przekładem ich świętej księgi.

Korytarz rozszerzył się, tworząc coś na kształt pogrążonej w ciemnościach podziemnej alei. Schäfer nadstawił ucha, zaintrygowany dziwnymi głuchymi odgłosami wokół. Przypominały drapanie.

– Pułkowniku, naprawdę wierzy pan w tę legendę? – szepnął niepewnym głosem szef wyprawy.

– W żywe trupy? Nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Ci, którzy ukryli tu obiekt, chcieli wystraszyć przesądny lud. Za to szczury, które...

Weistort nagle zamilkł i zwolnił kroku.

– Psiakrew!

Wyciągnął pochodnię.

Przed nimi wznosiła się czarna kwadratowa stela. Wysoka i potężna, przypominała gigantyczne płyty nagrobne z cmentarzy wojskowych w Prusach Wschodnich. Ale w połowie wysokości tej steli było coś, co odróżniało ją od niemieckich kamieni nagrobnych.

Rzeźba.

Popiersie człowieka, którego wykrzywiona twarz wyrażała głębokie cierpienie. Dolna partia ciała tej kamiennej istoty wydawała się wmurowana w stelę. Ramiona wyciągnięte były w przód, ręce unosiły metalową czaszę.

U stóp steli leżały kręgiem szkielety.

Obaj Niemcy podszli, miażdżąc butami kości. To, co odkryli, sprawiło, że zachowywali się jak zahipnotyzowani. Weistortowi rozpromieniła się twarz.

Wyjął z kieszeni kurtki książkę w oprawie z czerwonej skóry, na której gotykiem wyłoczono tytuł: *Thule Borealis Kulten*.

– Cóż za niesamowity trop wiodący przez kontynenty i epoki – westchnął. – Niech pan sobie wyobrazi, że wszystko zaczyna się od tej książki napisanej w średniowieczu w Niemczech, a należącej do pół-Żyda... Znalazłem tu akapit nawiązujący do świętych zwojów Wschodu i do istnienia... – Otworzył książkę na stronie oznaczonej zakładką i spojrzał na rycinę. – To ten sam posąg!

Zbliżyli się do dziwnej rzeźby. W czaszy leżał przedmiot barwy rubinu. Odbijał ciepły blask pochodni. Ten przedmiot był symbolem. Symbolem, który zachwycił obu esesmanów.

Swastyka.

Pułkownik oddał pochodnię podwładnemu i oburącz wyjął z czaszy swastykę. Jego głos brzmiał jak grzmot.

– Dziś zaczyna się rok pierwszy Trzeciej Rzeszy.

Katalonia

Styczeń 1939

– ¡No pasaràn!

Wzdłuż wyboistej drogi biegnącej w stronę linii frontu grupa żołnierzy witała jadącą ciężarówkę okrzykiem bojowym republikanów. Tristan, który rozsiadł się nonszalancko na tylnym siedzeniu forda, odpowiadał na te wrzaski, unosząc pięść, a równocześnie bawił się trzymanym w drugiej ręce cygarem. Dotąd nie miał kiedy go zapalić. Na cygaro trzeba mieć sporo czasu. Tak jak na dobry koniak, bo warto najpierw wciągnąć w nozdrza jego zapach, zatrzymać spojrzenie na jego płowej szacie... Gwałtowne hamowanie oderwało go od marzeń. Wezbrana rzeka zalała drogę strumieniem czarnego błota.

– Wszyscy z wozu!

Schrypnięty głos Jaimego rozbrzmiał jak uderzenie pięścią w stół. Niski, krępy, ze zwichrzonym wąsem rozgorączkowanego konkwistadora, dowódca grupy zeskoczył z ciężarówki z karabinem w ręce. Rzucił gniewne spojrzenie Tristanowi, który ostrożnie wsuwał cygaro do wewnętrznej kieszeni.

– Ty, *El Francès*, rusz zadek. Musimy być na miejscu przed wieczorem.

Dwunastka żołnierzy ustawiała się wokół Jaimego jak na inspekcję. Jeden postawił przetarty kołnierz, drugi wiązał sznurek, który służył mu jako pasek. Ich mundury były jak Republika – w strzępach. Tylko Tristan nosił wspaniałą kurtkę, której srebrne guziki połyskiwały w zimowym słońcu. Zabrał ją trupowi, podobnie zresztą jak cygaro.

– Przez ciebie i przez te nieszczęsne guziki wystrzelają nas jak zające – burknął Jaime. – W świetle księżyca rozbłyszczą jak świece wielkanocne.

Francuz uśmiechnął się i wyjął z kieszeni okrągłe pudełko.

– Jestem przygotowany: odrobina pasty i nie będzie ich widać.

Jaime szarpnął wąs. Nie znosił tego Francuza, którego nic nie było w stanie zbić z tropu czy zniechęcić – ani pusty brzuch, ani kule frankistów. Ten facet śmiał się śmierci w twarz, ot co. I zawsze na wszystko miał odpowiedź, oczywiście z uśmiechem na ustach. To rujnowało dyscyplinę! Gdyby to zależało od Jaimego, nigdy nie zgodziłby się wziąć sobie na kark takiego gościa. Wcisnęli mu go. Podczas tej niezwykle ważnej misji Tristan miał być ponoć niezastąpiony. Ale nie powiedziano mu dlaczego.

– Baczość!

Suche uderzenie rąk o kolby rozbrzmiało w lodowatym powietrzu. Jaime lubił ten dźwięk.

– Sprawdzić broń!

Doskonale naoliwiony zamek broni obrócił się po cichu. Niemiecka skuteczność, pomyślał Tristan, rozpoznając mauzera. Brak broni i amunicji był tak dotkliwy, że po stronie republikanów bez wahania ograbiano martwych wrogów pozostawionych na polu bitwy. Ale zdobyte w ten sposób mauzery przekazywano w pierwszej kolejności doborowym jednostkom.

– Coś mi mówi, że to nie będzie spokojna misja – skomentował żołnierz stojący obok Tristana, rudowłosy Irlandczyk, który dołączył do Brygad Międzynarodowych wiosną.

Jaime spiorunował go wzrokiem. Trudno mu było znieść tych ochotników, którzy przybywali z całej Europy, żeby bronić Republiki Hiszpańskiej. Uważali się za bohaterów i lekceważyli dyscyplinę.

– W lewo zwrot!

Przed nimi wznosiła się niesamowita góra. Na horyzoncie rysowały się setki szarych szczytów rozrzuconych chaotycznie, jakby kamienny wiatr najpierw je chłostał, a potem zmroził na wieczność. W wyźłobieniu wznosiła się ciemna dzwonnica, która wyglądała jak ostrze szpady. Jaime nerwowo wskazał ją ręką.

– To nasz cel. Klasztor Montserrat.

Czekali, aż zapadnie noc, by wśliznąć się pomiędzy pierwsze góry. Ścieżka poganiaczy mułów wiała się pośród granitowych ścian. Na wszelki wypadek Jaime rozkazał im zdjąć hełmy tuż przed podjęciem wspinaczki. Jedno uderzenie metalu o skałę sprawiłoby, że cała góra rozbrzmiałaby jak dzwon. *El Jefe*, jak nazywali go jego ludzie, dobrze przygotował swoją misję. A raczej dobrze ją dla niego przygotowano, myślał Tristan.

– Podobno klasztor ewakuowano – szepnął Irlandczyk. – Słyszałem nawet, że większość mnichów zabito. Zastanawiam się, po co idziemy na tę górę. Nie zostało tam już nic oprócz ruin i kruków.

– Może będziemy polowali na duchy, może to nowa tajna broń, żeby wreszcie wygrać tę wojnę...

Rudzielec przeżegnał się mimo woli.

– Zamknij się! U mnie, w Irlandii, nie igra się z duchami. Popatrz na te przekłete sterczące kamienie: wyglądają jak wojownicy zamienieni w skały przez demona. Czasami wydaje mi się, że zaraz się obudzą...

– Stać! – rozkazał Jaime.

Dotarli właśnie do rozległego płaskiego wzniesienia pod urwiskiem. Pod tym skalnym dachem migotały w blasku księżyca bystre wody źródła, które spływały do kamiennej niecki. Ludzie odłożyli broń, żeby ugasić pragnienie. Wspinaczka była ciężka. Jaime zapalił zapalną, która oświetliła jego twarz. W chwiejnym blasku wydawał się bledszy niż zwykle.

– Światło!

Podbiegł do niego jeden z żołnierzy. W ręku trzymał lampę, którą zapalił *El Jefe*. W jaśniejszym świetle ukazał się mur przylegający do falez. Nad zwieńczonymi łukiem drzwiami figura świętego błogosławiła przybyszom. Jaime splunął na ziemię. Najbardziej na świecie nienawidził księży. To przez nich Hiszpania pogrążyła się w wojnie domowej. Od stuleci utrzymywali lud w ignorancji i strachu. Hiszpanie nie wiedzieli, czym jest wolność, a bali się piekła. Ale powiał świeży wiatr i rozniecił zarzewia buntu, toteż Hiszpania stanęła w płomieniach.

– Irlandczyku – szepnął Jaime – urodziłeś się w katolickiej rodzinie?

Rudowłosy, który był fatalistą, pokiwał głową.

– W takim razie potrafisz się zorientować w klasztorze?

El Jefe wyciągnął plan i oświetlił go, unosząc lampę. Czerwony punkt znajdował się w rogu, tam gdzie klasztor łączył się z kościołem.

– Musimy iść tam.

Irlandczyk powiódł palcem po planie, a potem zaczął mówić:

– Najpierw musimy dostać się za furkę, potem przejść przez dziedziniec główny, żeby dotrzeć do kościoła. Prawie wszędzie będziemy na odkrytym terenie. Jeżeli na nikogo się nie natknemy, uda się, w przeciwnym razie...

– Wiele miesięcy temu wszyscy musieli opuścić klasztor, ale zezwolono pozostać dwóm osobom. Ojcu przełożonemu i kustoszowi. Dwóm duchownym.

Tristan, który właśnie zapalił cygaro, wtrącił się do rozmowy:

– Wątpię, żeby pozwolili nam spokojnie obrabować opactwo...

Rozwścieczony Jaime aż podskoczył.

– A kto ci powiedział, że idziemy rabować?

– Ten czerwony punkt jest dokładnie tam, gdzie w klasztorach mieści się skryptorium. W średniowieczu kopiowano tam manuskrypty dawnych tekstów. Tylko że od wynalazku ojczulka Gutenberga kopiści znaleźli się na bezrobociu...

– Przejdź do rzeczy – przerwał *El Jefe*, który nie znosił dezynwoltury Francuza. Ten zwyczaj drwienia ze wszystkiego mimo pozornej powagi budził w nim chęć mordu.

– Od co najmniej czterystu lat właśnie w dawnym skryptorium przechowuje się klasztorne bogactwa: przedmioty kultu z metali szlachetnych, dzieła sztuki... Słowem: skarby opactwa. Dlatego wątpię, by gospodarze powitali nas z otwartymi ramionami...

Skupieni wokół nich żołnierze z uwagą słuchali Francuza. Odkąd przydzielono im tę misję specjalną, pojawiały się wciąż nowe pytania. Wszyscy znali klasztor Montserrat, który od stuleci był celem pielgrzymek czczonym w całej Hiszpanii. Od Sewilli przez Barcelonę po Burgos ludzie spieszyli złożyć hołd cudownej Madonnie z opactwa. Na tej górze biło duchowe serce kraju. W dodatku ta aura świętości i tajemnicy wzbudzała przesądne lęki.

Niektórzy żołnierze już zerkali z obawą na mury klasztoru. Jaime szybko wyczuł, że jeżeli nie tchnie w nich odwagi, to niektórzy mogą stchórzyć. A wszystko przez tego przekłętego Francuza.

– Żołnierze! Republika wybrała was ze względu na waszą odwagę i zalety. Nasza wielkiej wagi misja może przesądzić o pokonaniu wroga! Tej nocy przyszłość Republiki spoczywa w waszych rękach! A zatem ruszamy!

Zmotywowana grupa ruszyła w dalszą drogę. Tylko Tristan został z tyłu, wpatrując się we fronton kaplicy. Księżyc oblał migotliwą poświatą figurę świętego, który zdawał się wynurzać z kamienia. Tuż nad jego głową promień padający na gwiazdę wydobył z niej blask godny misternie oszlifowanego diamentu.

– A ty, *El Francès*, jeżeli nadal będziesz wygadywał takie bzdury, źle skończysz, *El Jefe* ci to obiecuje.

Tristan nie odpowiedział. Chwycił karabin, przeładował i ruszył z uśmiechem na ustach. Wiedział, że w decydującej chwili Jaime będzie go potrzebował.

Ciemna bryła opactwa wtulała się między dwie skalne ściany niczym śpiące zwierzę, nie wiadomo było tylko, czy snuje piękny sen, czy dręczy ją koszmar. Aby zapewnić oddziałowi większe bezpieczeństwo, Jaime podzielił ludzi na dwie grupy, które kierowały się do wejścia, wzajemnie się osłaniając. Nigdy nic nie wiadomo. Kiedy jednak oba pododdziały połączyły się przed kratą, okazało się, że furta stoi otworem, jakby roztargniony mnich zapomniał ją zamknąć. To nieprzewidziane ułatwienie zaniepokoiło żołnierzy, tym bardziej że znajdowali się przed dziedzińcem głównym, gdzie przed wojną w każde święto kościelne gromadziły się tysiące wiernych. Teraz plac opustoszał, ale nie panowała tu cisza. Zimny wiatr szeleścił zwiedłymi liśćmi, które opadały z potężnych drzew ciemniejszych niż noc. Żaden z żołnierzy nie miał odwagi iść dalej. Ten nieustanny szelest wprawiał ich w rozdrażnienie. *El Jefe* również stał nieruchomo. Choć nie śmiał się do tego przyznać nawet przed sobą, wiedział, że tym razem po wkroczeniu na uświęcony teren nie będzie już mógł się wycofać. Niewidzialny próg – może przesądny strach przed świętokradztwem – wbrew jego woli zatrzymywał go na granicy. Odwrócił się do swoich ludzi. Wszyscy wtopili się w ciemność.

– Kto pójdzie na ochotnika do kościoła?

Nie usłyszał ani odgłosu kroków, ani słowa odpowiedzi.

– Trzeba znaleźć kustosza i opata, to rozkaz!

- Jeśli tylko tyle...

Ironiczny głos Tristana poprzedził jego gest. Francuz zsunął mauzera z ramienia, wycelował w niewidzialny punkt i strzelił. W ułamku sekundy masywny dzwon opactwa rozbrzmiał niczym armatni wystrzał, a jego jęk powracał, odbijając się echem pośród gór.

– Teraz wyjdą.

Jaime zacisnął pięści i z trudem powstrzymał się od walnięcia tego przeklętego Francuza w szczękę. Nie mógł marnować czasu, musiał zareagować, i to szybko:

– Irlandczyk, przyczaisz się przy drzwiach. Reszta okrążyć kościół. A ty, *El Francès*, lepiej siedź spokojnie i czekaj.

Zaskrzybiały drzwi. Pojawiło się światło, tuż za nim wyłoniła się sylwetka. Rudowłosy się nie zawahał. Wyskoczył z przedsionka i wycelował w człowieka w sutannie. Na jego piersi ujrzał lśniący srebrny krzyż. Jaime podbiegł.

– Gdzie kustosz? Mów albo umrzesz!

Duchowny nie musiał odpowiadać. Za jego plecami ktoś padł na kolana, żarliwie błagając:

– Panie Jezu, Maryjo, chrońcie nas przed demonami! Panie Jezu, Maryjo...

Modły kustosza nie dotarły do niebios. Kolba karabinu rozcięła mu wargi.

Republikanie zawlekli do kościoła obu duchownych, którzy oparci o konfesjonał z przerażeniem patrzyli, jak żołnierze szturmują drzwi skryptorium. Ludzie Jaimego rozładowywali strach towarzyszący im podczas wspinaczki, jakby brutalność była dla nich formą egzorcyzmów. W walce z przesadami prześcigali się w świętokradztwach. Kropielnice już leżały na posadzce, a na ich marmurowe odłamki posypał się grad potłuczonego szkła witrażowego, które roztrzaskiwało się na kamieniach. Uzbrojony w bagnet żołnierz okaleczał figury świętych, odcinając im nosy i uszy. Jaime pozwalał na to. Wiedział, że kiedy przeminie żądza zniszczenia, bez trudu przywróci dyscyplinę. A porządek był mu potrzebny, ponieważ przechodzili do głównego etapu misji.

Stare dębowe drzwi rozpadły się pośród piekielnych trzasków. Irlandczyk pierwszy wszedł do dawnego skryptorium. Była to długa sala o ciemnych kamiennych ścianach i gotyckim sklepieniu. Nie było tu okien, a światła dostarczały jedynie wąskie otwory strzelnicze, przez które wdzierał się ze świstem lodowaty wiatr. Gdyby nie duży komin przy drzwiach, sala przypominałaby raczej grobowiec zapomniany przez żywych. Mimo to nie była pusta. Pod ścianami długie płachty z kremowego płótna okrywały przedmioty, których rogi sterczały pod tkaniną. Tristan czuł się, jakby wszedł do zamku, gdzie z końcem lata służba osłania meble płótnem, by chronić je przed niszczycielską wilgocią zimy. Podejrzliwi żołnierze trzymali się z daleka od tych poszarzałych płacht kojarzących się im z całunem.

– Przeprowadźcie opata.

Kiedy ojciec przełożony wszedł, Jaime strzelił obcasami, rozłożył oficjalne pismo opatrzone pieczęcią i zdecydowanym gestem podał je duchownemu.

– W imieniu Republiki mam obowiązek zarekwirować wszystkie wartościowe przedmioty zgromadzone w klasztorze. Oto rozkaz podpisany przez legalne władze.

– Jakie legalne władze?! – krzyknął opat, gorączkowo zaciskając rękę na swym srebrnym krzyżu. – Ja znam tylko jedną władzę, a jest nią Bóg!

Jaime zwrócił się do Irlandczyka:

– Ściągnij to płótno, zobaczymy, co się pod nim kryje.

Rudzielec wykonał rozkaz. I natychmiast ich oczom ukazało się bogactwo złota i srebra. Lśniące cyboria, wysadzane perłami relikwiarze, cenne obrazy... Ogrom tego skarbu wprowadził Jaimego w panikę.

– Nie zdołamy przecież zabrać tego wszystkiego!

– Właśnie dlatego tu jestem – oznajmił Tristan. – Żeby odróżnić prawdę od fałszu, kąkol od ziarna, jak głosi ewangelia...

Jaime patrzył na niego w osłupieniu.

– Weźmy na przykład ten lichtarz...

Tristan uniósł srebrzący się kandelabr.

– Wygląda jak należy, lśni, mieni się, a jednak... wykonano go z bezwartościowego stopu. Jest tylko posrebrzany. To imitacja.

I roztrzaskał go o posadzkę.

– Natomiast to cudo... – Delikatnie wyciągnął palce ku bladoniebieskiemu naczyniu o długiej łabędziej szyjce. – To łzawnica. Przed wiekami zebrano do niej łzy świętego. Na licytacji warta byłaby majątek. Byłoby za co kupić broń dla Republiki.

Żołnierze żwawo podeszli do dzieł sztuki i zaczęli znosić swe zdobycze Tristanowi, jakby oddawali trofea zwycięskiemu generałowi. A on skinieniem ręki wskazywał te, które warte były zabrania. Inne zaś z potwornym hałasem ciskano na posadzkę. Opat padł na kolana, modląc się w milczeniu, podczas gdy z zakrwawionych ust kustosza dobywały się jęki zarzynanego zwierzęcia. Tylko Jaime nie uczestniczył w grabieży i lodowatym wzrokiem patrzył na zachłanne ręce, które napełniały worki przygotowane do tego celu. Irlandczyk pomagał Tristanowi, zapisując w kajecie każdą zdobycz wojenną.

– Srebrne cyborium... Relikwiarz inkrustowany kamieniami szlachetnymi i turkusami...

Francuz zatrzymał się przed serią małych, przykurzonych obrazów. Poczerniałe pejzaże wytyczały drogę krzyżową. Wziął do ręki jeden z nich, w rozpadającej się ramie. Pod spękany werniksem widać było wysoką górę zwieńczoną budowlą, nad którą świeciła gwiazda. Tristan wsunął obrazek do swojej torby.

– To coś warte? – zapytał Jaime, podchodząc do niego.

Francuz parsknął śmiechem.

– Złamanego grosza, ale będę miał pamiątkę! Dzięki temu kiedy spojrzę na ten bohomaz, pomyślę o wszystkim.

El Jefe brutalnie chwycił go za rękę.

– Kim ty jesteś, nieszczęsny Francuzie? Co tutaj robisz?

Tristan oswobodził się, patrząc na niego z góry.

– Jestem poszukiwaczem dzieł sztuki! Tropię, szukam, a kiedy znajdę... Popatrz!

Jeden z żołnierzy zrzucił na posadzkę płótno, odsłaniając wysoki krzyż z Chrystusem naturalnej wielkości. Teraz Francuz chwycił Jaimego za rękę.

– Barokowy Chrystus z szesnastego wieku. Krzyż jest hebanowy, Chrystus z kości słoniowej. To unikat.

El Jefe podszedł do krzyża. Jego twarz znajdowała się na poziomie stóp przebitych gwoździami o wypukłych łebkach.

– Zdejmijcie ukrzyżowanego...

Kustosz przeraźliwie krzyknął. Jeden z żołnierzy odciął bagnetem gwoździe. Figura z kości słoniowej zsunęła się na ziemię podtrzymywana przez Irlandczyka i Tristana. Jaime wpatrywał się w leżące na posadzce ciało Chrystusa.

– Jest za ciężki, żeby go zabrać. Odetnijcie głowę, wyrwijcie ręce i nogi, a resztę roztrzaskajcie. Sprzedamy kość słoniową na wagę.

Tristan zastąpił Jaimemu drogę do rzeźby.

– To zbrodnia...

Nie zdążył dokończyć zdania. Kustosz poderwał się na równe nogi, chwytając lichtarz.

– Bądź przeklęty, demonie!

Krzyknął, zanim się zamachnął. Błąd. Jaime odwrócił się i uchylił. Niesiony rozpędem kustosz potoczył się po posadzce. *El Jefe* wybuchnął diabolicznym śmiechem.

– Chciałeś ocalić swojego ukrzyżowanego? W takim razie skończysz jak on. Przybijcie go do krzyża!

Półtora roku później...

U schyłku lata roku 1940 światła demokracji gasły jedno po drugim w całej Europie.

U schyłku lata roku 1940 Adolf Hitler wygrał szaleńczy zakład. Nazistowskie Niemcy niepodzielnie panowały na starym kontynencie.

Na wschodzie okupowały Czechosłowację i Polskę. Na północy podbiły Norwegię i Danię. Na zachodzie, dzięki zuchwałym i błyskawicznym posunięciom, zmiażdżyły Holandię i Belgię. I ku zaskoczeniu całego świata Francja, uznawana od pierwszej wojny światowej ze niezwyciężoną, padła rozjechana gąsienicami dywizji pancernych. Kampania potoczyła się błyskawicznie i nawet Niemców wprowadziło w osłupienie to pasmo cudownych zwycięstw. A w końcu lud zaczął szeptać, że Führer jest wybranym Bogu.

Na południu faszystowskie Włochy Mussoliniego zablokowały śródziemnomorskie porty i szykowały się do napaści na Grecję.

Pozostałe państwa Europy podzieliły się na dwa obozy: wystraszonych i przychylnych. Pierwsze, jak Szwecja, przycupnęły, wybierając bojaźliwą neutralność. Drugie,

w większości dyktatury, jak państwa bałkańskie czy Półwysep Iberyjski, okazywały zaraźliwy podziw wobec Trzeciej Rzeszy.

U schyłku tego lata – rzecz niesłychana – czerwoni sprzymierzyli się z czarnymi, Stalin, komunistyczny car, zawarł pakt o nieagresji z Hitlerem, swym zagorzałym wrogiem, pozwalając mu zagarnąć ziemie leżące na wschodzie.

Lato dobiegało końca.

A władca swastyki napawał się swoim triumfem. Już tylko jeden naród stawiał mu czoło.

Jeden jedyny kraj: Anglia.

Naród osłabiony i upokorzony. Dniem i nocą bombowce Luftwaffe pustoszyły udręczoną wyspę, a atak od strony morza spodziewany był lada dzień.

Lato dobiegało końca.

Przez ostatnie miesiące triumfu ognia i stali wydarzyło się tyle dziwnych i okropnych rzeczy, a przecież to było nic wobec tego, co szykował zdobywca spod znaku swastyki. W imię Dobra, które wyśnił dla swego ludu, miał szerzyć zło. Zło, jakiego ludzkość nigdy dotąd nie widziała.

Lato dobiegało końca.

*Berlin, Kancelaria
Ministerialna Rada Obrony Rzeszy
Koniec września 1940*

Władca Rzeszy uderzył pięścią w stół.

– Ci ograniczeni Anglicy! Dlaczego odrzucają moje propozycje zawarcia pokoju? Uparli się, żeby się nam przeciwstawiać. Zapłacą za to.

Wszyscy siedzący przy owalnym stole z jasnego marmuru ozdobionego olbrzymią czerwoną swastyką milczeli. Siedmiu najpotężniejszych ludzi nowych Niemiec przywykło do nagłych wybuchów przywódcy. Ale wulkan nigdy nie pluł lawą zbyt długo. Toteż przeczekiwali kilka minut, by lawa zastygła.

Adolf Hitler nerwowo otworzył leżącą przed nim szarą teczkę, włożył grube okulary i zabrał głos.

– Panowie, mam nadzieję, że uważnie przeczytaliście raport dotyczący operacji Seelöwe6.
– Zamilkł, zdjął okulary i wodził oczyma po twarzach członków rady. – Morska inwazja na Anglię.

Każdy z siedmiu dygnitarzy czytał dokumenty. Obok Führera od lewej siedzieli kolejno marszałek sił lotniczych Hermann Göring, minister edukacji i propagandy Joseph Goebbels, Reichsführer SS Heinrich Himmler, architekt Albert Speer, dowódca sztabu generalnego generał Wilhelm Keitel. U szczytu stołu były miejsca Rudolfa Hessa, szefa partii, oraz Alfreda Rosenberga, oficjalnego ideologa państwa, człowieka odpowiedzialnego za grabież dzieł sztuki z państw okupowanych.

Ci bezlitośni, ale skuteczni ludzie – każdy na swój sposób – pomogli Hitlerowi w jego drodze na szczyt aż do objęcia władzy w roku 1933. Stanowili jego najbliższe otoczenie, Żelazny krąg, by przywołać słowa Führera. Łączył ich bezwarunkowy podziw dla wodza, a stykali się ze sobą od tylu lat, że mogli sobie pozwolić na żywienie wzajemnej, mniej lub bardziej kordialnej nienawiści.

W głębi, pod ścianą, jedyna przedstawicielka płci żeńskiej, osobista sekretarka Hitlera, w skupieniu pisała na maszynie marki Torpedo. Rzesza wielbiła kobietę jako matkę, kochankę, reproduktorkę, ale w sferze zawodowej pozostawiała jej tylko podrzędne funkcje.

W sali rozbrzmiał gromki głos:

– W samą porę! – warknął Hermann Göring. – Nie można dłużej zwlekać. Moje heinkele prowadzą naloty na miasta i obiekty przemysłowe. Anglia padnie, jak spada przejrzały owoc. Trzeba natychmiast rozpocząć inwazję!

Potężny marszałek lotnictwa był także premierem Prus i drugą osobą w państwie. Gdyby Hitler umarł, on przejąłby władzę. Łasy na tytuły, ten gorący wielbiciel przyrody nosił zresztą tytuł Leśnika i Wielkiego Łowczego Rzeszy. Na jego pełnej twarzy często gościł szeroki, zachłanny uśmiech. Dźwigał przed sobą tak wydatny brzuch, że jego osobisty krawiec musiał sprowadzać ze Stanów Zjednoczonych elastyczny materiał na ekstrawaganckie ubrania klienta.

Nosił przydomek Ogr, a to ze względu na nienasycony apetyt i legendarną pazerność na dzieła sztuki. Odkąd jego Führer stał u sterów państwa, wielki dom Göringa w Brandenburgii przeobraził się w niezwykle prywatne muzeum, pełne obrazów i rzeźb zagrabionych albo odkupionych za marne pieniądze od prześladowanych niemieckich Żydów.

– Gorąco popieram propozycje marszałka sił powietrznych. Anglicy są u kresu sił, nie oprą się naszym wojskom, gdy dokonamy desantu na wybrzeża. A w Londynie będziemy mogli nakręcić piękne obrazy!

Mężczyzna, który zabrał głos, siedział na prawo od Ogra. Równie wątły i wychudzony jak jego sąsiad masywny, Joseph Goebbels, bardzo wpływowy minister propagandy i oświecenia publicznego, wyniosłe splótł ramiona. Oczy, tak czarne jak zaczesane do tyłu, napomadowane włosy, spoglądały znad zapadłych policzków. To był czarodziej, ten, który urządził wielkie defilady reżimu i żelazną ręką władał światem sztuki i kultury. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności jak pisanie długich przemówień dla siebie i dla Führera. Był człowiekiem na miarę swoich czasów, fascynowały go nowe technologie komunikacyjne, jak radio, kino, a od niedawna telewizja. Nosił marynarki celowo zbyt szerokie w ramionach, a ostatni krawiec, który miał czelność zasugerować, by nieco je zwęzić, wyładował w obozie koncentracyjnym. Wrogowie Goebbelsa, liczni i potężni w partii oraz w armii, za jego plecami nazywali go Karłem.

– Mein Führer, wyobrażam sobie pana na balkonie Buckingham Palace – podjął z egzaltacją Goebbels – stojącego u boku króla Anglii podczas przeglądu naszych wojsk. Filmowała będzie Leni Riefenstahl⁷. Defiladę zamkną jeńcy idący z rękami skutymi na plecach, a na ich czele będzie kroczył ten drań, ten mason Winston Churchill. Amerykanie dwa razy pomyślą, zanim wypowiedzą nam wojnę.

Grymas wykrzywił twarz Hitlera, który nie miał nastroju do wysłuchiwanie kinematograficznych rojeń ministra. Zwrócił się do jedyne go doświadczonego żołnierza przy tym stole, szefa sztabu OKW⁸.

– Co pan o tym sądzi, feldmarszałku?

Żołnierz się wyprostował. Głębokie samozadowolenie wyzierające z jego twarzy maskowało całkowity brak silnej woli. Hitler wybrał tego człowieka ze względu na jego wyjątkową skłonność do posłuszeństwa i przekazywania podwładnym rozkazów, które mu wydano. Nazistowscy dygnitarze, a nawet niektórzy wyżsi oficerowie kpili z niego, żartobliwie nazywając go Lokajem⁹.

– Z uwagą zapoznałem się ze szczegółami planu inwazji, wszystko wydaje się doskonale opracowane. Mam jednak pewną poważną wątpliwość. Dotyczy brytyjskiej marynarki. To najlepsza flota świata. Może należałoby odłożyć inwazję na później.

Albert Speer uniósł palec, chcąc zabrać głos. Czekał, aż Hitler skinie głową.

– Nie jestem pewien, czy logistyka będzie gotowa. Musimy koniecznie odtworzyć zapasy amunicji i paliwa zużyte podczas kampanii w Belgii i we Francji. Trzeba odłożyć ten plan na później.

Speer zdobył galony, oczarowując Hitlera monumentalnymi projektami aryjskiej architektury. Jego makiety przyszłej stolicy Rzeszy, Germanii, zajmowały honorowe miejsce w gabinecie Führera. Speer, oportunistą, któremu obca była ideologia, poświęcał lwią część czasu na to, by nie dać się wciągnąć w żadne przymierza i walkę koterii. Nie bez racji prywatnie porównywał Ministerialną Radę Obrony Rzeszy do żmijowiska. Tylko znacznie groźniejszego.

Speer uchwycił spojrzenie marszałka Keitla, który przemówił w znacznie spokojniejszym tonie:

– Chciałbym dodać, że nasi ludzie potrzebują odpoczynku i...

Ogr walnął pięścią w stół.

– Odpoczynku? Wciąż ta sama śpiewka Wehrmachtu! Gdybyśmy was słuchali, nigdy nie podbiliśmy Francji!

Twarz Keitla oblała się purpurą.

– Zabraniam panu...!

Hitler postukał oprawką okularów o szklanę.

– Spokojnie. Nie wysłuchałem jeszcze opinii Reichsführera.

Mężczyzna, który nosił okulary w cienkich stalowych oprawkach i dopasowany czarny mundur SS, dzieło młodego, doskonale zapowiadającego się krawca, niejakiego Hugona Bossa, skłonił głowę. Był najbardziej jadowitym spośród wszystkich zebranych przy tym stole węży. Najbardziej zabójczym. Heinrich Himmler łączył dwa stanowiska, co czyniło go niewyobrażalnie groźnym. Był dowódcą SS, najbardziej elitarniej organizacji niemieckiej, która z biegiem czasu oddzieliła się od partii nazistowskiej i stała się państwem w państwie – miała własną policję, armię Waffen SS, a także odrębne finanse. Równocześnie Himmler piastował urząd budzącego lęk ministra bezpieczeństwa wewnętrznego i podlegało mu Gestapo. Był w posiadaniu dokumentów dotyczących każdej z siedzących przy stole osób

i delectował się, obserwując dewiacje tego czy innego dygnitarza. On, technokrata strachu, uważał się jednak za mnicha-żołnierza. SS było dla niego nowym zakonem rycerskim współczesnych Niemiec. Zakonem, którego religia sprowadzała się do credo: uwielbienie dla czystości aryjskiej krwi.

Twarz zimna jak lód, skronie wygolone na trzy centymetry nad uszami. Ten, którego zwano Magiem, choć Göring mówił o nim także Zimny Kurczak, bo w młodości Reichsführer był hodowcą drobiu, zmarszczył brwi, a potem zdjął okulary. Jak zwykle mówił z obliczoną na efekt powolnością.

– Zaszokuję panów, ale przyznam, że... lubię Anglików.

Nalana twarz Göringa wyostrzyła się w gniewie. Himmler ciągnął z isticie stoickim spokojem:

– Anglicy to nasi aryjscy kuzyni, ubolewałbym, gdyby przyszło nam rozlewać ich krew, podczas gdy miliony Żydów i innych podludzi zatruwają jeszcze Europę. Po co się spieszyć?

Jego głos brzmiał łagodnie, niemal ciepło. Zamilkł na chwilę i skierował do zebranych błady uśmiech, jakby pragnął okazać, że dąży do zgody.

Przyklasnął mu Rudolf Hess dzielający jego poglądy.

– Brawo! Całkowicie zgadzam się z Reichsführerem. Mam wielu wysoko postawionych angielskich przyjaciół, którzy ubolewają nad bezsensowną strategią Churchilla.

Hess sprawiał wrażenie egzaltowanego. Pod krzaczastymi brwiami i czołem, które wystawało nad oczami jak most zwodzony, jego uśmiech wydawał się wręcz nieludzki. Za jego plecami mawiano, że wygląda jak Quasimodo. Związany z Hitlerem od najwcześniejszych lat działalności, przezywany był Szaleńcem, bo przed wojną spędził jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym.

– Brednie – grzmiał Göring. – Anglicy są zdani na naszą łaskę i niełaskę.

Mag pokiwał głową i podjął:

– Zgadzam się, drogi Hermannie. Churchill to tylko wystraszony i wygłodzony buldog bez zębów i pazurów. Jego wojska lądowe praktycznie nie istnieją po tym, co się stało pod Dunkierką. Jednak z drugiej strony nasze służby wywiadowcze donoszą, że Anglicy ściągają flotę z Atlantyku do portów. Nie należy lekceważyć ich morskiej potęgi. Dlatego proponuję zaczekać z realizacją doskonałego planu inwazji do czasu otwarcia nowego frontu, by osłabić obronę Albionu.

Pozostali członkowie rady patrzyli na siebie zaskoczeni. Goebbels rozłożył chude ramiona pływające w za szerokiej marynarce i pochylił się nad stołem.

– Chyba nie chce pan zaatakować Sowietów? Zawarliśmy pakt ze Stalinem.

Himmler się uśmiechnął.

– Josephie, kto mówi o Rosji? Miałem na myśli Hiszpanię.

Göring wybuchnął gromkim śmiechem, wznosząc ręce ku niebu, jakby błagał je o pomoc.

– Hiszpanię? Naprawdę? Co znowu ukrywa przed nami drogi Heinrich? Wszyscy wiemy, że Reichsführer organizuje wyprawy i rozsyła je po całym świecie, żeby udowodnić swoje teorie ezoteryczne. Czyżby tym razem zamierzał dowieść, że korrida ma aryjskie korzenie? Że flamenco stworzyli wikingowie?

Gruby marszałek nienawidził SS, organizacji jak na jego gust zbyt potężnej. Poza tym nigdy nie tracił okazji, by zadrwić ze spirytystycznych doktryn Maga.

Reichsführer rzucił okiem na Rudolfa Hessa i Alfreda Rosenberga, jedynych członków rady, którzy nie uśmiechnęli się, słuchając tyrady Göringa. Obaj byli jego sprzymierzeńcami. I obaj podzielali jego mistyczną wizję Rzeszy.

Alfred Rosenberg pospieszył mu z pomocą. Czuł wstręt do Ogra, który parął się grabieżą dzieł sztuki na wielką skalę.

– Odnoszę wrażenie, że marszałek nie uchwycił subtelności słów Reichsführera, który liczy na przystąpienie generała Franco do wojny przeciw Anglii.

Himmler skłonił głowę, dziękując mu.

– Właśnie. Caudillo musi spłacić długi. Po tym, co zrobiliśmy, wspierając go w walce z dostawcami broni i udziałem naszych żołnierzy. Gdyby nie nasz legion lotniczy Condor, nie wyszedłby zwycięsko z wojny domowej.

– Co dokładnie pan proponuje? – zwrócił się Hitler do Himmlera.

– Poprosić oficjalnie o spotkanie z generałem Franco – odparł szef SS. – Najlepiej u niego. Proszę go skłonić do wypowiedzenia Anglii wojny. Nie może panu niczego odmówić.

– A pod jakim to wydumany pretekstem Hiszpanie, wykrwawieni po czterech latach wojny domowej, mają podjąć taką operację? – zapytał słodkim głosem Goebbels.

Himmler odpowiedział wyrozumiale, ponieważ wziął sobie za punkt honoru, by skrywać pogardę:

– Josephie, powodem będzie rzecz jasna Gibraltar. Obszary Gibraltaru od ponad dwustu lat należą do Anglii, dla Hiszpanii to nie do przyjęcia. To teren najdalej wysunięty na południe półwyspu, skraj Andaluzji. Tancerka flamenco nie może przecież nosić brytyjskich trzewików. Gdyby Hiszpania przystąpiła do wojny, Churchill byłby zmuszony skierować w jej rejon część floty, aby ochraniać swoją bazę, i odsłoniłby wybrzeże Anglii. Byłoby tak przynajmniej dopóty, dopóki by sądził, że zarzuciliśmy plan inwazji.

Hitler przymknął na moment oczy, a kiedy je otworzył, na jego twarzy rozkwitł promienny uśmiech.

– Świetnie, drogi Heinrichu. Jakież uwagi?

Nikt nie zabrał głosu. Göring i Goebbels doskonale wiedzieli, że Mag znów zauroczył Führera.

– Dobrze! Masz rację, Heinrichu. Przesunę operację Seelöwe, ale Londyn ma być stale bombardowany. Jutro zwrócę się do Franco. Pod moją nieobecność sprawami kraju będzie

kierował Göring. Zamykam posiedzenie.

Himmler wsunął na nos okulary i dodał unizonym tonem:

– Mein Führer, byłbym spokojniejszy, gdybym mógł towarzyszyć panu w Hiszpanii. Osobiście przeprowadziłbym inspekcję ich wojsk, aby sprawdzić, czy sprostają sytuacji. Nie darowałbym sobie, gdybym źle panu doradził.

Hitler już wstał. Machnął tylko ręką.

– Będzie mi miło. Życzę wszystkim dobrej nocy. Chce mi się spać, to dobry znak.

Siedmiu mężczyzn również wstało, by oddać honory wodzowi, patrząc za nim, kiedy się oddalał.

Himmler zebrał papiery i grzecznie pożegnał członków rady. Jego wzrok zatrzymał się na Ogrze i Karle.

– Mam nadzieję, że moja sugestia nie zawodzi waszych nadziei. Inwazja na Anglię została tylko odsunięta w czasie, wiecie o tym. To kwestia miesiąca czy dwóch.

Göring odparł kpiącym tonem:

– Skądże znowu, Heinrichu. Niech pan wybierze sprzyjającą datę, prosząc o pomoc ekspertów od run10 z SS. – I nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Hessa: – A co do pana, Rudolfie, to proszę się nie wahać i postawić sobie tarota, żeby sprawdzić, czy Franco wyśle na podbój Anglii swą budzącą postrach hiszpańską armadę.

Ogr parsknął szyderczym śmiechem, obserwując reakcję ludzi, których sprowokował. Hess wzruszył ramionami i wyszedł bez pożegnania, a wraz z nim salę opuścili Rosenberg i Himmler, który po drodze nałożył czapkę.

Wiodąc za nimi wzrokiem, Goebbels szepnął do Ogra:

– Po co jedzie z naszym drogim Führerem do Hiszpanii? Na pewno coś mu chodzi po głowie.

Ogr skrzywił się, jakby połknął cuchnącą kiełbasę.

– Nie mam pojęcia, co on knuje. Jedno jest pewne: Führer popełnił wielki błąd, nie dopuszczając do inwazji na Anglię. – Göring wstał z krzesła z nadspodziewaną lekkością jak na człowieka ważącego sto trzydzieści kilogramów. Poprawił pas na nieskazitelnie białym mundurze i dodał głosem, w którym wyczuwało się napięcie: – Drugiej takiej okazji nie będziemy już mieli. A Anglicy kiedyś każą nam za to zapłacić. Słono.

Katalonia

Castellón de Ampurias

Październik 1940

W kącie opustoszałego muzeum radio wyrzucało z siebie wiadomości dnia. Nagle chrapliwy, tonący pośród trzasków głos spikera wzniósł się przy wtórze wojskowej muzyki. Tristan nadstawił ucha. Właśnie podawano ważną informację: pod koniec miesiąca generał Franco ma się spotkać z Adolfem Hitlerem. Głos w odbiorniku radiowym był coraz bardziej rozentuzjasmowany. Przywódcy państw podjęli negocjacje polityczne i dyplomatyczne, które mogą przesądzić o przyszłości Europy. Słuchając madryckiej propagandy, można było uwierzyć, że człowiek, który uratował Hiszpanię przed komunizmem i anarchią, rozmawia jak równy z równym z nowym władcą Europy!

Tristan gorzko się uśmiechnął. W rzeczywistości po śmierci setek tysięcy ludzi Caudillo musiał przywrócić utracony prestiż Hiszpanii, a przede wszystkim wzbudzić w udręczonym narodzie poczucie, że nareszcie znów stanie się wielkim. Rozbrzmiał hymn Hiszpanii. Tristan wyłączył radio. Spotkanie Caudilla z Führerem miało się odbyć w Hendaye, na francuskiej ziemi. Serce ścisnęło mu się na myśl o tak poniżającym zdarzeniu. Od czerwca połowa kraju, od Dunkierki po Limousin, od Paryża po Pireneje, znalazła się pod okupacją, a spotkanie w mieście zdeptanym przez nazistów stało się strasliwym symbolem upadku Francji.

Nie chcąc pogrążyć się w smutku, Tristan wyjrzał przez okno. Plac przed katedrą był opustoszały, dopiero w porze mszy pojawił się na nim kilka kobiet w czerni. Połowa ludności Castellón, ta, która wybrała Republikę, żyła teraz w strachu przed nalotami policji, bezpodstawnymi aresztowaniami i szybkimi egzekucjami na rogu ulicy. Co tydzień rozegzaltowani frankiści defilowali po mieście, prężąc torsy zwycięzców i wsłuchując się w radosne okrzyki drugiej połowy mieszkańców miasta.

O dziwo, nigdy nie przychodzili do muzeum. Historia ich nie interesowała. Mijając budynek, lekceważąco zerkali na mozaikę na fasadzie i stukając butami o bruk, śpiewali *Cara al sol*, hymn ich partii.

Ta obojętność była Tristanowi na rękę.

W mieście wszyscy znali go jako Juana Labio, młodego konserwatora z muzeum w Barcelonie. Wichry wojny rzuciły go na bruk Castellón. Oczywiście czasami mówił

z lekkim akcentem, który jednak zniknął bez śladu, gdy z werwą rozprawiał o malarstwie i rzeźbie, oczarowując słuchaczy. Życzliwy, oddany, kompetentny, zamieszkał w opuszczonym przez strażników muzeum, by chronić zbiory przed rabunkiem. Potem z własnej woli przystąpił do inwentaryzacji i szacowania zbiorów, czego nikt nigdy nie uznał za potrzebne. Kiedy w mieście pojawiły się nowe władze, najzwyczajniej w świecie zatrzymały Juana na stanowisku, przyznając mu nędzną pensyjke. Potem zapomniano i o nim, i o muzeum.

Prawdziwy Juan dziwiłby się, że prowadzi takie życie, ponieważ jednak rozkładał się w milczeniu pod gruzami barcelońskiej kamienicy, nie miało to już znaczenia. Ważne było tylko, że jego dokumenty szczęśliwym trafem znalazły się w rękach Tristana. Co prawda zdjęcie trochę się wytarło na poziomie ust i oczu, ale rozpoznawano bez cienia wątpliwości wysokie czoło, ciemne włosy, wydatne policzki i mocno zarysowaną brodę. Krótko mówiąc, od ponad roku Tristan był Juanem Labio, i to ku powszechnemu zadowoleniu – szczególnie zaś ku zadowoleniu Lucii.

W każdą niedzielę przed mszą Lucia szła ulicą wiodącą na plac i do katedry i w końcu zauważyła tego młodego człowieka o ironicznym spojrzeniu, dyskretnie palącego papierosa – zapewne z kontrabandy – przy oknie gabinetu. Po kilku tygodniach, wsłuchując się w rozmowy kumoszek na targu, znała już wszystkie pogłoski powtarzane w mieście na temat przybysza.

Opinia publiczna była mu przychylna, Lucia też. Pozostało jej tylko znaleźć sposób zawarcia z nim znajomości. Kiedy usłyszała, że nowy konserwator rozpoczyna inwentaryzację zbiorów, przypomniała sobie, że jej dziadek ofiarował muzeum obrazy religijne. Dyskretnie przeszukała stare rodzinne papiery, znalazła kilka listów od ówczesnego konserwatora i uzbrojona w te niepodważalne dowody, wkroczyła do muzeum. Tristan nie był przyzwyczajony do wizyt, zwłaszcza do wizyt kobiet. Oniemiał na widok młodej dziewczyny w szerokiej, wirującej spódnicy. A ona położyła na jego biurku poźółkłe dokumenty. Gorąco podziękował, poprosił o kilka dni na zapoznanie się z korespondencją i zasugerował czarującej nieznajomej, by przyszła ponownie. Lucia nie kazała się prosić – pojawiła się po tygodniu w równie olśniewającej sukience i poprosiła, by oprowadził ją po muzeum.

Mieściło się ono w starym średniowiecznym domu, którego parter i piętro zamieniono w sale wystawowe. Na dole zgromadzono eksponaty z regionu. Pokolenia archeologów amatorów znosiły tu ciosane kamienie, groty strzał, rozmaite kości, ale nikt nie przejmował się chronologią ani nie starał się opisać prezentowanych znalezisk. Lucia nigdy wcześniej nie zwiedzała muzeum, toteż miała wrażenie, że weszła do sklepu, w którym kupuje się krzemień na tuziny i czeka się, aż przecenią fajansowe naczynia. Wyobraziwszy sobie Tristana w roli handlarza artykułami metalowymi, parsknęła śmiechem, opanowała się

jednak, gdy szli po schodach do sali, w której eksponowano obrazy. To już nie był sklep z artykułami metalowymi, ale prawdziwy pchli targ. Zawieszona krzywo na ścianach albo poniewierające się w kurzu dziesiątki obrazów czekały na lepsze czasy. Tristanowi udało się jednak przywrócić dawny splendor kilku dziełom religijnym, które wyeksponował w witrynie. Lucia ogromnie się ucieszyła, widząc, że w tej chronionej strefie znalazło się jedno z malowideł ofiarowanych przez jej rodzinę. Podziękowała Francuzowi subtelnym uśmiechem i oświadczyła, że jeśli sobie życzy, to raz w tygodniu może pomagać mu w pracy.

Dlatego też Tristan czekał przy oknie na cotygodniową wizytę Lucii.

Teoretycznie dziewczyna pomagała mu w klasyfikacji licznych dzieł zgromadzonych w muzeum. Zaczął wiosną, opisując rzymskie zabytki piętrzące się w magazynie. O ile jednak Lucia szybko zainteresowała się postaciami zwierząt – sów, byków – wyobrażonymi na fragmentach mozaiki, o tyle Tristan błyskawicznie skupił się na sukienkach nowej współpracownicy. Trzeba przyznać, że nosiła je z wielką gracją, a do tego z pewną zuchwałością na poziomie kolan. Czasami koronkowy rąbek unosił się o kilka centymetrów – jeśli niebo było czyste, a słońce życzliwe, czasami znowu tkanina opadała aż do kostek, gdy horyzont zasnuwały chmury. Ta zaczepna i słodka gra urzekała Tristana. I natychmiast tajemnice przeszłości i niepewność przyszłości, które czasem spędzały mu sen z oczu, ulatywały jak wiatr.

Wczesnym latem zabrali się za zbiory średniowieczne, opisywali powgniatane hełmy i zardzewiałe miecze. Czasem ich ręce musnęły się nad zdobioną herbem tarczą. I nie zawsze Lucia pierwsza oblewała się rumieńcem. Kiedy nadeszły nieznośne upały, dziewczyna przychodziła w cieniutkiej bluzce, której dekolt sięgał tam, gdzie zarysowywały się już piersi. Włosy splatała w warkocz, by nie grzały jej czoła i karku, a i tak kropelki potu lśniły na jej ciele. Któregoś popołudnia, kiedy opisywali stare eksponaty, spojrzenie Tristana padło na te kropelki spływające leniwą strużką po złocistej skórze Lucii. Zafascynowany przypatrywał się temu delikatnemu strumykowi błyszczącemu jak zwierciadło. Zbliżył do niego usta i złożył pocałunek tuż przy lamówce bluzki. Piersi Lucii gwałtownie zafalowały. Tristan poczuł odurzający smak soli. By nie unicestwić tej cudownej chwili, Francuz cofnął się powoli i zanurzył się w lekturze dokumentu, jednak litery wirowały mu przed oczyma. Był ciekaw, jaką minę ma teraz Lucia, ale nie śmiał unieść głowy. Myślał o Montserracie, o nocnej wspinaczce, o zajęciu opactwa... Ani przez chwilę nie zabrakło mu wtedy odwagi, a teraz nie potrafił spojrzeć w oczy dziewczynie. Lekko kaszlnęła i wyciągnęła rękę, by wziąć dokument. A on zapragnął chwycić tę dłoń i złożyć na niej serce, by Lucia zobaczyła, że bije tylko dla niej.

– Lucio...

Położyła mu palec na ustach. Ona też nie chciała, by czar prysnął. Tristana przebiegł dreszcz rozkoszy. I natychmiast poczuł się tak lekko, jakby zrzucił brzemień ciężące mu na barkach. Dawne życie, błędy i tułaczka – wszystko gdzieś uleciało, nagle się zatarło. Uśmiechnął się. Odtąd – wiedział o tym – każdy dzień przynosił mu będzie szczęście. Każdy dzień, w którym ujrzy Lucię.

Oparty o parapet wpatrywał się w róg ulicy, czekając, aż się pojawi. Drgnął, słysząc pieśń bojową. Na końcu placu dostrzegł grupę mężczyzn w niebieskich koszulach. Wypolerowane buty, spodnie do jazdy konnej – falangiści¹¹ chcieli upodobnić się do włoskich czarnych koszul¹², ale stali się ich karykaturą. Wyraźnie podchmieleni, bełkotliwym głosem rzucali podniosłe slogany ku chwale nieśmiertelnej Hiszpanii i jej wodza zwanego Caudillem. Tristan z niepokojem zerknął na uliczkę, z której dobiegał już stukot obcasów Lucii. Błyskawicznie przeszedł przez salę, wyskoczył na korytarz i zbiegł po schodach. Drzwi muzeum były otwarte. Pierwszy gwizd odbił się echem od fasad, w ślad za nim rozbrzmiał gromki śmiech. Jeden z frankistów poruszał biodrami, niedwuznacznie pokazując, co mu chodzi po głowie. Rozległa się kolejna salwa obleśnego śmiechu. Lucia zwolniła, ale rozkrzyczana horda już ją opadła.

– Cóż to, pequeña, przechadzasz się sama po ulicy?

– Nie nauczyli cię, że miejsce kobiety jest w domu?

– Kogoś szukasz?

– Popatrzcie tylko na jej sukienkę, prowokuje nas!

Jeden z mężczyzn chwycił ją za rękę.

– Dobrze wiemy, jak obchodzić się z takimi putas jak ty.

– A jak obchodzisz się z mężczyznami, co? – rzucił pod jego adresem Tristan.

Zaskoczony milicjant odwrócił głowę. Na widok przeciwnika uśmiechnął się pogardliwie.

– ¡Un intelectual! I taki szuka zaczepki! Przyda ci się dobra nauczka!

Podniósł dłoń w czarnej rękawiczce, ale w tej samej chwili pięść Tristana trafiła go prosto w twarz. Przerażliwy trask kości wdarł się pod czaszkę. Zaatakowany nie wiedział już nawet, jak się nazywa. Zepchnięta pod mur Lucia krzyknęła ile tchu w piersi, zanim cała banda rzuciła się na jej ukochanego. Przerażona patrzyła na ciosy sypiące się jak grad.

– Hijo de puta, zatłuczemy cię!

– Zabić tego podłego zdrajcę!

Tristan cofał się, odciągając hordę jak najdalej od Lucii. Po jego twarzy już spływała krew. Żywym gestem kazał jej uciekać. Spanikowana wahała się chwilę, ale potem pobiegła. Po raz ostatni zobaczył, jak jej suknia tańczy wokół kostek. W pewnej chwili wydawało mu się, że słyszy stukot jej obcasów o bruk, ale zaraz potem cios pałki dosięgnął jego potylicy.

I zapadła noc.

*Katalonia**25 października 1940*

Oficjalny konwój z dużą prędkością dojechał do bram na pół zburzonego miasteczka. Opancerzony mercedes, czarny i lśniący jak skarabeusz, poprzedzał oddział motocyklowy armii hiszpańskiej. Na przedzie karoserii dwa proporce z czarną swastyką na białym tle łopotały na wietrze, który niósł drobiny pyłu.

Jeden z jadących na czele motocyklistów polecił kierowcy limuzyny zwolnić. Konwój skręcił, by wjechać przed ratusz, na plac otoczony szpalerami kalekich platanów i pokancerowanymi domami. Tłum falangistów entuzjastycznie przeżył ramiona w powitalnym geście. Za nimi trzydziestu wychudzonych i nędznie ubranych mieszkańców machało niemieckimi chorągiewkami.

Siedzący na tylnej kanapie auta Reichsführer opuścił szybę i wpatrywał się w oblicze wybawcy katolickiej Hiszpanii zawieszzone na fasadzie budowli z szarego kamienia. Portret, mimo że gigantyczny, nie zdołał osłonić ospowatych dziobów po kulach, które trafiły w mur. Generał Franco miał smagłą, puciołowatą twarz, a jego zsunięte brwi zdradzały podejrzliwość.

Himmler westchnął, biorąc chusteczkę, którą podał mu siedzący przed nim tłumacz, kapitan SS, blondyn jak z obrazka.

– Niezbyt aryjski ten Caudillo... Nie zdziwiłbym się, gdyby miał żydowskich przodków. – Reichsführer wydmuchał nos i podjął z powątpiewaniem: – Bardzo miło ze strony gubernatora Katalonii, że powiadomił wszystkie wsie, przez które przejeżdżamy. Ale czy witają nas prawdziwi mieszkańcy czy aktorzy, którym zapłacono, żeby serdecznie nas ugościli?

Młody kapitan pokręcił głową.

– Nowa Hiszpania oczyściła się z chorej tkanki komunistycznej i masońskiej. Ma pan przed sobą dumnych, żarliwych Hiszpanów.

Himmler lekko się skrzywił.

– I cwanych... Wydalili swoich Żydów w 1492 roku, rozpuścili ich po całej Europie. A dziś to my musimy uporać się z tym „problemem”... W tej kwestii nie mam do Franco nawet odrobiny zaufania, ponoć zresztą on wcale nie jest antysemitą.

– Z całą pewnością jest zagorzałym antykomunistą i antymasonem. Nie ma co do tego wątpliwości.

Kapitan Wehrmachtu wyznaczony przez ambasadę w Madrycie na tłumacza Himmlera był podczas wojny domowej przez trzy lata oficerem łącznikowym między swym krajem a hiszpańskimi nacjonalistami. Przez ten czas zdążył pokochać tę ziemię i jej mieszkańców – przynajmniej tych, którzy dołączyli do obozu Caudilla.

Ciągnął tym samym tonem:

– Walczyłem u boku żołnierzy Franco przeciw czerwonym. I mogę pana zapewnić, że ten człowiek jest wielkim przyjacielem Niemiec.

Himmler głośno pociągnął nosem.

– Tuż przed wyjazdem z Barcelony rozmawiałem telefonicznie z Führerem przebywającym w Hendaye. Miał za sobą dwie godziny negocjacji z tym pańskim „wielkim przyjacielem”.

– Podpiszą układ? Hiszpania wypowie wojnę Anglii?

Samochód opuścił już plac i rozpaczliwie wolno toczył się po wyboistej ulicy.

Himmler pokręcił głową, z politowaniem patrząc na kapitana.

– Niezupełnie... Oto co mi powiedział na temat Caudilla: „Wolałbym pozwolić, żeby wyrwali mi trzy zęby, niż znowu negocjować z tym typkiem”. Ten iberyjski zuchwalec przedstawił całą listę wygórowanych żądań. Führer wpadł w szal. Powiedziałbym, że Churchill może spać spokojnie, „pańscy przyjaciele” Hiszpanie nigdy nie zajmą Gibraltaru.

Kolumna przyspieszyła, opuszczając miasteczko, i pojechała wąską drogą wijącą się u stóp masywu górskiego.

– To niepojęte – powiedział kapitan. – Niemcy zmiażdżyły wszystkich wrogów, są przyszłością Europy.

Na ustach Himmlera pojawił się cień uśmiechu.

– Już od czterech dni jeżdżę po tym kraju wyniszczonym czteroletnią wojną domową. Franco zręcznie nas czaruje. Urządził dla nas w Madrycie defiladę najlepiej wyposażonych oddziałów, oprowadził nas po muzeum Prado, przedstawił arystokracji i nacjonalistycznej elicie obecnej podczas wystawnych przyjęć. Być może fasada nowej Hiszpanii błyszczą, ale rzeczywistość bliższa jest tym zdewastowanym miasteczkom, przez które przejeżdżamy. Ten kraj to ruina, naród jest wycieńczony, armia wyczerpana. Franco doskonale o tym wie. W dodatku ten fanatyczny bigot chce tu wprowadzić cuchnący narodowy katolicyzm; jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć na każdym kroku tyłu księży i biskupów. Nienawidzę tego.

Samochód jechał drogą, która pięła się między pastwiskami. Kapitan się nie poddawał:

– Czy jednak nie zaimponowało panu, w jaki sposób oczyszcza kraj? Więzienia pękają w szwach, rebelianci, którzy ocalili podczas wojny, są ściżeni, resocjalizowani albo

rozstrzeliwani. Ponoć w obozach około stu tysięcy oczekuje na wyrok. Wielu pewnie zdechnie do tego czasu z głodu albo z gorąca.

Samochód mijał stado wychudzonych krów, które leniwie pasły się przy drodze.

Reichsführer zwrócił się do kapitana:

– Barbarzyńcy! Jak można zadawać takie cierpienia i czerpać z tego przyjemność...

Kapitan wytrzeszczył oczy. Himmler osobiście zalegalizował stosowanie tortur przez Gestapo i zamknął w obozach dziesiątki tysięcy niemieckich opozycjonistów.

– Chyba nie nadążam.

Himmler ze smutkiem przyglądał się krowom.

– Mówię o korridzie! Co za haniebnie widowisko.

Dwa dni wcześniej w Madrycie zaproszono ich na arenę Las Ventas. Aby uczcić „odwieczną przyjaźń niemiecko-hiszpańską”. Przez dwie długie godziny, co prawda osłonięty przed słońcem, ale jednak w ciężkim upale, Himmler obserwował korridę, zlany potem i zdegustowany. Kiedy burmistrz oprowadzał go po pomieszczeniach aren, gdzie mieli się spotkać z torreadorami, Himmler o mało nie zemdlął na widok jeszcze ciepłych trupów byków. Powietrze w suterrenach przesiąknięte było odrażającą, oblepiającą wonią udręczonych zwierząt i śmierci. Podobnie jak Führer, szef SS kochał zwierzęta i nie mógł pogodzić się z tym, że robi im się krzywdę.

Mercedes wił się serpentynami ciągnącymi się bez końca. Słońce zbliżało się do kresu codziennej wędrówki ponad masywami górskimi. Ciężkie chmury barwiły się na pomarańczowo.

Himmler stuknął w tylną szybę sygnetem, na którym widniały dwie runy SS.

– Naród iberyjski kipi okrucieństwem. Zbyt dużo krwi Maurów płynie w jego żyłach.

– Tak pan sądzi? – zdziwił się kapitan.

Władca SS zwrócił na podwładnego poirytowaną twarz.

– Wydaje mi się, że nie podziela pan mojej opinii. Może byłoby lepiej, gdyby opuścił pan już ten kraj. Powinienem znaleźć panu przydział zgodny z pana osobowością. W obozie w Dachau brakuje nam oficerów...

Kapitan poczuł mrowienie na karku. Serce biło mu coraz szybciej.

– Ma pan rację, to było haniebnie widowisko.

Himmler przypatrywał mu się przez chwilę, a potem parsknął czymś, co miało być gromkim śmiechem, brzmiało jednak raczej jak ciąg świszczących, drażniących uszy spazmów.

- Żartowałem, mój Wilfredziku. Zapewniam, że toleruję u podwładnych pewną niezależność poglądów. Wolno panu lubić korridę, o ile oczywiście pozostaje pan wobec mnie lojalny aż do... krwi.

Kolumna zwolniła, wchodząc w długi zakręt nad przepaścią.

Przed zmęczonymi oczyma podróżnych wyrósł masyw najeżony ostrymi jak piła skałami. Poniżej, w połowie góry, ujrzeni sześciany budynków uczeponych urwistego zbocza w kształcie wyciągniętych palców.

– Nareszcie – szepnął Himmler – klasztor Montserrat.

– Ambasador mówił mi, że przedłużył pan podróż o jeden dzień specjalnie po to, żeby przyjechać tu po... Graala. To prawda?

Wyraz twarzy Himmlera uległ dziwnej zmianie. Jego oczy się zwężyły, tworząc dwie szparki za małymi okularami w stalowych oprawkach.

– Ambasador nie potrafi utrzymać języka za zębami, ale mniejsza o to. Zna pan Parsifala Wagnera? Czytał pan książkę Wolframa von Eschenbacha o Graalu?

Kapitan ugryzł się w język, by nie powiedzieć, że nie miał okazji bywać w operze ani czytać przez lata wojny domowej.

– Tak, ale to było ładnych kilka lat temu.

Kolumna szybko zbliżała się do celu. Po obu stronach poszerzonej drogi przy wjeździe na teren klasztoru stały opancerzone wozy uzbrojone w karabiny maszynowe. Na skały padało łagodne, niemal różowe światło zachodzącego słońca.

Himmler wsunął dłonie w czarne rękawiczki.

– Święty kielich Graal przechowywano w zamku wtulonym w zbocze góry. To mityczne miejsce nosiło nazwę Montsalvaje i zgodnie ze wskazówkami Eschenbacha znajdowało się w Pirenejach. Podobieństwo etymologiczne wskazuje, że może to być Montserrat.

Kapitan słuchał w skupieniu.

– Graal... On zawsze był mi przeznaczony!

Nagle twarz Reichsführera rozbłysła. Ogarniał go trans. Jego ręce gorączkowo się poruszały, jakby lada chwila miał ująć w nie święty kielich.

– Ale czy Graal to nie legenda?

– Dostrzega pan tylko zewnętrzną skorupę rzeczy, nie widzi pan kryjącej się pod nią rozpalonej lawy. Prawdziwy Graal jest zupełnie czym innym. To Czarne Słońce Aryjczyków.

Kapitan zachował pozorną obojętność, mimo że dziwne słowa najpotężniejszego po Führerze obywatela Rzeszy wprawiły go w osłupienie. Czarne Słońce? Dowódca SS postradał rozum.

Uznał jednak, że bezpieczniej będzie zachować takie wnioski dla siebie.

Kolumna toczyła się aleją biegnącą między szpalerami sosen i lip, wiodącą na imponujących rozmiarów dziedzińcu, gdzie czekała zwarta grupa ludzi w mundurach. Oddział Legii Hiszpańskiej, brzuchaty generał w otoczeniu sześciu oficerów, mnisi w czarnych habitach, a nad głowami ich wszystkich ogromne flagi hiszpańskie i niemieckie zatknięte na murach. Z boku, oparty o granitowy krzyż, stał wysoki, szczupły mężczyzna w garniturze tak jasnym jak jego cera. Na głowie miał panamę wsuniętą lekko na bakier.

Himmler usiadł prosto, z jego twarzy zniknęły ekstaza i rozmarzenie.

– A przecież prosiłem, żeby nie czekał tu na mnie żaden komitet powitalny... Na szczęście jest też drogi Oberführer Weistort. To wielki podróżnik, przemierzył egzotyczne kraje, towarzyszył wyprawie Schäfera do Tybetu, tej, o której pisano w „Völkischer Beobachter”.

– Wskazał palcem cywila, który zgniótł czubkiem buta niedopałek papierosa i teraz patrzył w ich stronę. Mężczyzna z blizną lekko skinął im głową. – Słyszał pan o nim? – zapytał Himmler.

– Tak, oczywiście – odparł kapitan, nadając głosowi obojętne brzmienie, by ukryć, że jest zaskoczony, ponieważ służby wywiadowcze z ambasady nie uprzedziły go o obecności oficera SS. Słyszał o Weistorcie od młodszego brata, który wstąpił do SS przed trzema laty. Oberführer był jednym z bliskich współpracowników Himmlera i żelazną ręką trzymał formacje rozproszone po szkołach oficerskich Czarnej Kolumny. Krążyły pogłoski, jakoby organizował dziwne ceremonie, mówiło się też, że w swej nienawiści do chrześcijaństwa posunął się do spoliczkowania biskupa Kolonii, gdy hierarcha sprzeciwił się prześladowaniu Żydów. Jego ogromny wpływ na Himmlera przysporzył mu wielu wrogów w sztabie generalnym.

– Dlaczego nie nosi regulaminowego munduru SS? – zapytał kapitan.

– Regulaminów nie tworzy się dla ludzi takich jak on – powiedział Himmler, wkładając czarną czapkę na spoczone czoło.

Kolumna zatrzymała się tuż przed komitetem powitalnym, którego członkowie jak jeden mąż stanęli na baczność. Podoficer Legii podszedł, by otworzyć drzwiczki mercedesa. Himmler wysiadł z auta przed kapitanem i mechanicznie odpowiadał na faszystowskie pozdrowienie Hiszpanów. Uprzejmie wysłuchał wyrazów wdzięczności padających z ust generała, choć nie rozumiał z tego wszystkiego ani słowa, a potem zwrócił się do zakonników, którzy z szacunkiem skłonili przed nim głowy. Jeden z mnichów wydukał kilka słów, które przetłumaczył mu kapitan:

– Ojciec Andreu cieszy się, że może pana gościć. Pragnie przeprosić w imieniu opata, który przebywa obecnie w Gironie. Zbyt późno powiadomiono go o pańskim przybyciu.

Himmler ze znużeniem machnął ręką i pochylił się, by szepnąć kapitanowi do ucha:

– Proszę im powiedzieć, że nie życzę sobie, by zakłócano mi spokój podczas pobytu w klasztorze.

– To zbędne.

Odwrócili się obaj. Stał przed nimi mężczyzna z blizną. Wyciągnął rękę, pozdrawiając Himmlera.

– Heil Hitler. Przekonałem generała Ariagasa, by nie towarzyszył nam podczas tej wizyty. Powiedziałem mu, że przed wyjazdem do Niemiec chciałby pan pomodlić się do Czarnej Madonny.

Himmler wydał usta, udając, że słowa Weistorta wzbudziły jego dezaprobatę.

– Ja miałbym się modlić do Madonny... Świetny dowcip, Karl.

Oberführer szeroko się do niego uśmiechnął.

– Tak się cieszę, że pana widzę – ciągnął Himmler. – Niech mi pan nie każe czekać! Znalazł pan drugą swastykę, o której mówi się w Thule Borealis Kulten?

Oberführer patrzył na niego, wciąż się uśmiechając.

– W książce napisano, że znajduje się ona w miejscu zwanym Montseg, to zaś mogłaby być dawna nazwa Montserratu.

– Udało się panu przeszukać to miejsce?

– Nie, Reichsführerze, dotarłem tu dopiero przed godziną. Mój samolot miał awarię i po lądowaniu w Tuluzie nie udało nam się już wystartować. Dalszą drogę pokonałem samochodem tej nocy. Pomyśleć, że przemierzyłem połowę Indii i część Tybetu i transport nigdy nie nastęczał mi problemów... Ale wracając do pańskich pytań... Mnich, który udzielił na nie odpowiedzi, czeka na nas w swej celi. Potrzebny nam będzie tylko pański tłumacz.

Weistort zerknął przez ramię Himmlera na kapitana, który rozmawiał z generałem.

– To ten?

– Tak, poprzedni zawiódł mnie już pierwszego dnia, zatrucie pokarmowe czy coś w tym rodzaju. Ten jest od niego bystrzejszy, chociaż jak na mój gust, za bardzo rozmiłował się w Hiszpanii.

– Jest z Wehrmachtu...

– Wiem, ale nie mamy legionu hiszpańskojęzycznych esesmanów.

Himmler skinął na tłumacza, który wbiegł po schodach, by do nich dołączyć. Oddał honory Weistortowi, który bacznie mu się przyglądał.

– Kapitanie, pańskie zdolności będą nam potrzebne.

– Rozkaz – odparł młody oficer, który czuł się niezręcznie pod przenikliwym spojrzeniem nowo przybyłego.

Gdy trzej Niemcy weszli do budynku głównego, w ciemnym, chłodnym korytarzu unosiła się woń kwiatów pomarańczy. Szli pośród gołych białych ścian. Himmler poruszał się bardzo szybko, Weistort dotrzymywał mu kroku, a kapitan zachowywał stosowny dystans.

Himmler zniżył głos:

– Aż trudno uwierzyć, że realizacja głównego celu mojej podróży do Hiszpanii zależy od jakiegoś mnicha.

Przeszli przez imponującą bibliotekę, minęli wejście do kaplicy i znaleźli się przed szeregiem drzwi do cel. Jedne z nich były szeroko otwarte. Z sąsiedniego pokoiku przenikała smuga światła, na krótko przesłonił ją cień, który nagle zniknął.

Himmler zatrzymał się w progu, dwaj pozostali weszli. Wewnątrz na prostym krześle siedział mężczyzna z tonsurą. Jego twarz pokryta była gęstą siatką drobnych ciemnych

zmarszczek. Mamrotał modlitwy, przesuając duże jak oliwki paciorki różańca. Jego brudny habit cuchnął stęchlizną.

Weistort mimowolnie obrzucił pełnym pogardy spojrzeniem wiszący na ścianie za mnichem krucyfiks i bladego wychudzonego Chrystusa. Krew obficie spływała z jego nóg i czoła.

Mnich przywitał ich skłonieniem głowy, nie okazując jednak szczególnego szacunku. Jego oczy zdawały się zdradzać, że myślami jest daleko.

Weistort położył dłoń na ramieniu kapitana.

– Proszę go zapytać, czy słyszał o małym obrazie, na którym namalowany jest zamek, a nad nim gwiazda.

Zdziwiony kapitan uniósł brew.

– Wydawało mi się, że Reichsführera interesuje Graal.

– Nie dyskutować, tłumaczyć! – warknął Oberführer.

Kapitan wypełnił rozkaz, ale mnich pokręcił głową.

– Mówi, że prawie dwa lata temu republikanie splądrowali klasztor. Ale pamięta obraz ukryty w skrypcorium.

Weistort nie okazywał emocji, lecz jego odpowiedź była błyskawiczna:

– Czy przypomina sobie jakieś szczegóły? Jakies nazwisko?

Mnich obserwował go pustym wzrokiem, mówiąc do ucha tłumacza, który skinął głową.

– Mówi, że to byli sami czerwoni, dzicz, nazywa ich synami demona. Ukrzyżowali jednego z zakonników. Ich dowódcą był niejaki Jaime, a towarzyszył mu pewien Francuz. To on miał ukraść i zabrać ten obraz. Mnich nic więcej nie wie.

Weistort uderzył pięścią w ścianę. Jego twarz wyglądała jak wykuta w granicie. Himmler, który wszystko słyszał, nie starał się ukryć rozczarowania.

– Dwa lata... Do diabła! Jeżeli nie zostali zabici, to uciekli do Francji. Obawiam się, że przyjechałem tu na darmo. Pomyśleć tylko, że nakłoniłem Führera do spotkania z tym osłem Franco, bo zależało mi na tej podróży.

Ciężkim krokiem wyszli z celi.

– Nie mam w tym kraju już nic do roboty. – Himmler wykrzywił usta. – Co do pana, Weistort, podążaj pan ich tropem. Niezwłocznie. Musimy za wszelką cenę zdobyć ten obraz.

Weistort strzelił obcasami.

– Rozkaz!

Nieoczekiwanie z sąsiedniej celi wyszedł duchowny. Masywny olbrzym o szerokim czole.

– Reichsführer, to dla mnie zaszczyt poznać pana – zakrzyknął w nienagannej niemczyźnie.

Wyciągnął rękę do Himmlera, który instynktownie się cofnął. Nigdy nie podawał ręki rozmówcom. Ze względów higienicznych.

Weistort poczuł się zobowiązany do interwencji.

– Kim pan jest?

Mężczyzna uśmiechnął się pogodnie.

– Ojciec Matteus, jałmużnik garnizonu Barcelony. Często tu przyjeżdżam, żeby umocnić się duchowo.

– Dobrze włada ojciec naszym językiem – zauważył Weistort.

Duchowny pogładził szeroką jak łopata ręką niedogoloną brodę.

– To dlatego, że podczas wojny domowej spędziłem pół roku w Monachium. Udałem się tam jako członek delegacji Kościoła hiszpańskiego. Jestem pełen podziwu dla waszego Führera, mimo że ponoć nie bywa na mszy tak często jak nasz Caudillo. – Kątem oka zerknął na celę, z której przed chwilą wyszli. – Pozwoliłem sobie przysłuchiwać się rozmowie. Wybaczą mi panowie... – Zawahał się, a po chwili podjął: – Tak się składa, że ze względu na moją funkcję jestem często wzywany do narodowych obozów resocjalizacji, by wskazać drogę zagubionym duszom, a nieraz także udzielać sakramentów skazanym na śmierć.

Himmler przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Z niektórymi nawiązałem znajomość – ciągnął ksiądz. – Czasami nawet dyskutujemy sobie w celi. Próbowiałem ratować tych, którzy są tego warci. Zresztą papież Pius XII przyznał, że...

Oberführer uniósł rękę, przerywając mu.

– Ojcie, nasz czas jest cenny. Proszę przejść do sedna sprawy.

Olbrzym znów pogładził brodę.

– Tak, oczywiście... Proszę wybaczyć. Dwa tygodnie temu poznałem niejakiego Tristana. U nas to dość rzadkie imię. Nie przypominam sobie już jego nazwiska, ale jego doskonale pamiętam. To Francuz. Człowiek wielkiej kultury, doskonale znający ewangelie. A wśród czerwonych to raczej rzadkość. Należał do tych przeklętych brygad międzynarodowych, które bardzo nam zaszkodziły... Być może...

Twarz Weistorta rozbłysła.

– Nareszcie jakiś trop! Wie ojciec, w którym jest więzieniu?

– Nie, był w grupie czekającej w obozie tymczasowym. Po zwycięstwie było wielu więźniów. Wydaje mi się, że nowe władze nie pomyślały o stworzeniu wystarczającej liczby więzień. Stąd te masowe egzekucje... – Duchowny sprawiał wrażenie szczerze zasmuconego, gdy wypowiedział ostatnie słowo.

– Coś jeszcze?

– Nie. Mam nadzieję, że zdołałem pomóc. Nie chciałbym nadużywać panów łaskawości, ale mam drobną prośbę.

Weistort zerknął na niego podejrzliwie, jednak skinął głową i wyteżył uwagę. Duchowny podjął niemal błagalnym tonem:

– W Monachium pozwalałem sobie tylko na jeden grzeszek... Piwo Tannenberg. Fantastyczne. Wiem, że wasz ambasador sprowadza je na przyjęcia. Czy mógłbym liczyć na skrzyneczkę albo dwie?

Himmler się uśmiechnął.

– To będzie dla mnie przyjemność, ojcze. Nawet dziesięć. Zajmę się tym osobiście.

Trzej mężczyźni odeszli korytarzem, zostawiając rozpromienionego olbrzyma w sutannie. Himmler sprawiał wrażenie odprężonego.

– Gdybym nadal był katolikiem, powiedziałbym, że ten dzielny człowiek to znak Opatrzności. Teraz zostało nam tylko odnaleźć Tristana i mieć nadzieję, że frankiści jeszcze go nie rozstrzelali. Chce pan zatrzymać mojego tłumacza?

Weistort odruchowo dotknął cienkiej blizny i rzucił okiem na kapitana, który szedł za nimi jak posłuszny pies.

– Proszę dać mi kilka minut i zerknąć w tym czasie na ołtarz w kaplicy. Muszę z nim pomówić.

Himmler wzruszył ramionami i skierował się w stronę kaplicy, podczas gdy Weistort przywołał kapitana.

– Proszę za mną, chcę panu coś pokazać.

Weszli razem do sali kapitulnej, która kończyła się szerokim balkonem. Weistort szybkim krokiem przemierzył kapitularz, by wyjść na świeże powietrze. Miał teraz przed sobą zbocza góry Montserrat, a w dole przyprawiającą o zawrót głowy przepaść.

Wszedł na parapet balkonu, tak wąski, że ledwie mieściły się na nim jego buty, i ogarnął panoramę okiem zdobywcy.

– Proszę do mnie dołączyć, kapitanie.

Tłumacz wypełnił rozkaz, ale zrobił to wbrew sobie, od dziecka zmagając się bowiem z lękiem wysokości. Nie zamierzał jednak ujawniać tej słabostki przy zwierzchniku. Wdrapał się na parapet i stanął obok Weistorta. Nie śmiał spojrzeć w dół. Już czuł lekki zawrót głowy, ale nie dał tego po sobie poznać.

Weistort napawał się górskimi pejzażami. Rozpostarł ręce, jakby chciał wyrazić podziw dla tej potęgi.

– Kocham góry, ich nigdy nie da się oszukać. Czy nie jest to prawdziwe miejsce esesmana? Postawić się ponad ludzkością?

– Tak... Oberführer, ale ja nie jestem esesmanem.

Młody oficer czuł, że uginają się pod nim nogi, i ze wszystkich sił starał się nie okazywać słabości. Przepaść pod nim miała prawdopodobnie około trzystu metrów.

Weistort nadał głosowi łagodne brzmienie:

– Reichsführer zaproponował mi pańskie usługi, muszę jednak wiedzieć, czy mogę panu zaufać. Rozumie pan?

– Oczywiście. Z radością będę pracował u pana boku.

Weistort położył mu rękę na ramieniu.

– Świetnie... Proszę się odprężyć i nacieszyć tymi widokami. Niech pan podziwia te wspaniałe góry wokół nas. Przyroda to świątynia, którą trzeba chronić.

– Tak...

– Cudowne! Góry... Najwspanialszy przykład piękna i harmonii. Jak nasze narodowosocjalistyczne dzieło. Sam Führer wybrał na kwatery główną Berghof. Miejsce piękne i natchnione. Legenda głosi, że cesarz Fryderyk Barbarossa jest tam pochowany i czeka na przebudzenie.

Oberführer spuścił oczy, by spojrzeć w przepaść.

– Miło powiedzieć, że ostatnia rzecz, jaką powinno się widzieć przed śmiercią, to coś pięknego.

I gwałtownym ruchem zepchnął kapitana w przepaść. Przez ułamek sekundy nieszczęśnik machał rękami jak niezgrabne ptaszysko, a potem z przeraźliwym krzykiem runął w dół wzdłuż urwiska. Jego ciało wiele razy odbiło się od skał niczym szmaciana lalka.

Weistort zaczekał na ostatnie uderzenie, a potem z zadowoleniem zszedł z balkonu. Po zaledwie kilku minutach dołączył do Himmlera czekającego przed wejściem do kaplicy.

– A gdzie kapitan?

– Przydarzył mu się tragiczny upadek. To wielkie nieszczęście, gdy tracimy niemiecką krew.

– Ale co się stało?

Twarz Oberführera stwardniała.

– Nie miałem nic przeciwko niemu, ale nie możemy zostawiać żadnych świadków. Nasze poszukiwania są zbyt ważne.

– Tak, ale przecież żeby odnaleźć tego Francuza, będzie pan potrzebował tłumacza.

Weistort potrząsnął głową.

– No es un problema. Me gusta hablar en español aunque no es un idioma aria¹³.

Himmler się uśmiechnął.

– Zapomniałem o pańskich zdolnościach językowych, drogi Karlu. Osobiście wolałbym, żeby ludzkość mówiła tylko jednym językiem. Po niemiecku.

Pół roku później
Więzenie Montjuic
Barcelona
Maj 1941

Wiosna przejmowała panowanie w Barcelonie. Chociaż była tak wczesna, słońce bezlitośnie prażyło miasto. W zrujnowanych uliczkach sąsiadujących z Las Ramblas trudno było znaleźć skrawek cienia. Tak samo trudno jak mieszkańców. Wśród domów w ruinie rozprutych przez pociski, wśród poszarpanych kulami broni maszynowej fasad i gruzu piętrzącego się aż po okna w starym mieście żyło więcej szczurów niż ludzi. A jednak ostatni, którzy ocalili na tych zgłiszczach, choć pogrążeni w rozpacz, mieli jeszcze marną pociechę. Ale nie w Bogu, który ich porzucił, lecz w cieniu. W złowieszczym cieniu więzienia Montjuic, które dominowało nad Barceloną.

Wystarczyło, że matka, która nie miała dość mleka dla dziecka, spojrzała na surową bryłę fortecy, a natychmiast dziękowała Bogu, że kona z głodu, ale nie tkwi zamknięta w tych murach śmierci.

Tam, w górze, w palącym słońcu spragnieni, chłostani przez suchy wiatr od lądu tłoczyli się republikańscy więźniowie, których tysiące zamknięto, by ginęli pod gołym niebem.

Tam, w górze, na dnie podziemnego lochu, gnili także Irlandczyk, Jaime i Tristan.

Każdego ranka sędzia Tiersos wbijał się mimo upału w czarny garnitur i czekał na autobus u podnóża góry Montjuic. Po tym, jak miasto wpadło w ręce frankistów, wrócił do służby. Powierzono mu wrażliwe akta: miał demaskować zatwardziałych komunistów i fanatycznych anarchistów wśród tysięcy uwięzionych żołnierzy. Od ponad roku przez jego biuro przewinęli się wszyscy zatrzymani, wzywał ich pojedynczo, żeby poddać drobiazgowemu przesłuchaniu. I pod koniec każdego tygodnia widział w dole, pod swoim oknem, że wyrosły nowe wzgórki świeżo przekopanej ziemi, co świadczyło o skuteczności jego pracy.

Jednak po kilku plutonach egzekucyjnych na tydzień komuniści stawali się rzadkim towarem, a anarchiści całkowicie zniknęli z rynku. Dlatego powierzono mu nowe zadanie.

Wysiadłszy z autobusu, sędzia Tiersos zacierał ręce, zanim przeszedł przez most. Nowa sprawa była fascynująca: tym razem nie chodziło o pogrzebanie wrogów politycznych, ale o wykrycie bandy grabieżców. Kilka miesięcy przed upadkiem Barcelony republikańskie komando zawładnęło klasztorem Montserrat i zagarnęło jego bogactwa. Ale ich

świętokradztwo nie skończyło się na tym – zanim uciekli, ośmielili się podnieść rękę na jednego z duchownych. Przybili go do krzyża. Biedak nie przeżył tortur. Czoło sędziego zmarszczyło się w gniewie. Jak śmieli tknąć święte dobra Kościoła? A co gorsza, duchownego? Dobrze, że to jemu powierzono tę sprawę. Będzie bezlitosny wobec sprawców.

Kiedy wszedł do biura, kancelista wręczył mu akta. Sędzia ich nie otworzył. Jak zwykle wolał wypytać swoją prawą rękę.

– Jak zidentyfikowano tych ludzi?

Kancelista był rzetelnym urzędnikiem. Nie było ani jednej toczącej się sprawy, której nie znałby szczegółowo.

– Uzbrojona grupa, która zaatakowała klasztor, składała się z czternastu ludzi. Dwunastu Hiszpanów i dwóch cudzoziemskich ochotników. Żeby ich odnaleźć, powiązaliśmy zeznania opata z materiałami z republikańskich archiwów, gdzie zachowała się lista członków komanda. Większość poległa w walkach, które potem się toczyły. Jesteśmy pewni śmierci dziewięciu z nich. Dwóch uznano za zaginionych. Być może są po drugiej stronie Pirenejów.

Twarz sędziego Tierosa zastygła w grymasie odrazy. Ponad półtora miliona republikanów uciekło do Francji. Tchórze, zdrajcy!

Odczekawszy uprzejmie, aż upłynie minuta cichego oburzenia sędziego, kancelista podjął:

– Trzech żyjących przebywa tutaj. Jaime Etcheverria, Bask pojmany z bronią w rękę w okolicach Girony. Colman Flanders, Irlandczyk zatrzymany przy próbie sprzedaży srebrnego kielicha; zamierzał przedostać się do Francji.

– Cudzoziemiec, złodziej i paser... – szepnął w zadumie Tieros.

– I jeszcze Francuz...

– A jego gdzie zgarnęliście?

– W muzeum miejskim w Castellón de Ampurias.

– Uprawiał turystykę kulturalną? – zakpił sędzia.

– Nie, podawał się za stróża. W tym zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Doskonale mówi po hiszpańsku, miał ogromną wiedzę o zbiorach... A ponieważ burmistrz, rada miejska i urzędnicy uciekli, a został tylko on, odznaczono go dla przykładu.

– Żartuje pan? – krzyknął Tieros.

– Skądże, panie sędzio. Wpadł, bo wdał się w bójkę z członkami partii. Do tego czasu wodził wszystkich za nos, funkcjonując pod fałszywą tożsamością. Istny kameleon.

– Zapewniam, że dołożę starań, żeby odechciało mu się metamorfozy. Jeszcze jedno pytanie: co się stało z łupem?

Kancelista wznosił ręce nad łysą głowę.

– Tego nikt nie wie. Z zeznań wynika, że grabieżcy przekazali go republikańskim władzom, ale potem...

– Potem te pazerne psy się nachapały, nie ma co do tego wątpliwości! Jeden wziął złoty relikwiarz, drugi srebrny świecznik i wszystko skończyło przetopione w ukryciu. Nigdy niczego nie odnajdziemy, chociaż... Powiedział pan, że Irlandczyk próbował sprzedać kielich?

– Właśnie, panie sędzio.

– Jeszcze jeden o lepkich łapach... Niech go przesłucha Guardia Civil. I niech mi go sprowadzą jutro rano. Oczywiście jeżeli dożyje...

– A co z tamtymi dwoma?

Sędzia wyjrzał przez okno, które wychodziło na dawne ogrody. Pojawiły się cztery nowe wzgórki. Jego koledzy nie próżnowali. Co gorsza, zyskiwali przewagę. Nie mógł pozwolić, by znacznie go wyprzedzili.

– Co do Baska... Mord na kapłanie, czyny sadystyczne, świętokradztwo... Trzeba go przykładowo ukarać. Nowi więźniowie będą tu dziś o jedenastej rano, tak? I jak zwykle przejdą górnym tarasem?

– Tak, panie sędzio. Dwustu więźniów pochodzących z całej Hiszpanii. Sami twardziele.

– W takim razie pokażemy im! Kiedy ci nędznicy będą na tarasie nad nami, strażnicy mają ustawić ich w szeregu, a słowo daję, że przygotuję dla nich wyjątkowe widowisko!

Kancelistę przebiegł dreszcz.

– Oczywiście, panie sędzio.

Tieros zatarł dłonie. Poranek dobrze się zaczynał.

– A teraz proszę mi sprowadzić tego Francuza...

Gdy Tristan wszedł do gabinetu, sędzia natychmiast skupił spojrzenie na precyzyjnie wybranym punkcie jego twarzy usytuowanym tuż nad brwiami. Tieros zauważył, że takie nachalne spojrzenie wytrąca więźniów z równowagi, bo wydaje im się, że jest zwrócone na coś za nimi. Raz po raz odwracają głowę, zastanawiają, niepokoją i gubią się w ogniu pytań. W rzeczywistości przychodzi im walczyć z dwoma przeciwnikami: z sędzią i z własną wyobraźnią, toteż zawsze się płaczą. Ale Tristan się uśmiechał. Przez moment widział swe odbicie w lustrze. Mimo tej brody pustelnika i zmierzwionych włosów nadal był do siebie podobny. Wielu więźniów, wychudłych po długotrwałej głodówce, wyniszczonych potwornymi warunkami w więzieniu, zatraciło już nawet blask oczu. Ale nie Tristan. Sędzia zauważył, że zerknął w lustro.

– I co, Juanie, zobaczyłeś w sobie straszdyło czy zjawę?

– Zjawę – odparł Tristan. – One mają dar przenikania przez mury i drzwi. W więzieniu to może się przydać.

Sędzia nie dał się sprowokować. Z Montjuic nikt nigdy nie uciekł. Ani żywy, ani martwy.

– Zjawy mają jeszcze inny dar. Doskonale pamiętają swą przeszłość. A ty nie. Nawiasem mówiąc, zatrzymano cię jako Juana Labia. Jak na Francuza nosiłeś bardzo hiszpańskie

nazwisko.

Tristan nie zareagował, pozwalając sędziemu kontynuować.

– Ale my ustaliliśmy twoją inną tożsamość. Tristan Destrée. O ile oczywiście i ta tożsamość nie jest fałszywa. W nasze ręce trafił także dotyczący cię raport z archiwum administracji nieboszczki armii republikańskiej – ciągnął Tiers, uśmiechając się ironicznie i obnażając kieł. Ten uśmieszek kącikiem ust pojawiał się na jego twarzy zawsze, gdy zyskiwał przewagę. – Widzę, że studiowałeś w Paryżu historię sztuki... a potem pracowałeś u rodziny... Blochów... Międzynarodowa finansjera, która odkryła w sobie malarską pasję...

– Pragnęli stworzyć kolekcję dzieł sztuki, doradzałem im przy ich zakupie.

– Podróże do Londynu, Mediolanu... Tuż przed wojną domową byłeś w Madrycie. Co tam robiłeś?

– Wyceniałem prywatną kolekcję, której część zamierzał nabyć mój pracodawca.

– Tak, kolekcję markiza Valdemossy. Arystokraty o republikańskich poglądach. Nie przyniosło mu to szczęścia. Nie żyje, a jego obrazy stały się własnością państwa.

– Miał wspaniałe Velázquezy – skomentował posępnie Francuz.

– Jesienią 1939 pojawiaasz się znów w Barcelonie. Osobliwe miejsce jak na wielbiciela sztuki. Miasto ogarnięte anarchią...

– Markiz Valdemossa miał na peryferiach miasta posiadłość, w której znajdowała się część jego zbiorów. Poprosił, żebym zajął się ich przewiezieniem do Francji.

Sędzia obrzucił Tristana ironicznym spojrzeniem.

– Coś w rodzaju polisy na życie... Powiedziałbym, że przydałaby się raczej tobie. Co robiłeś nocą 12 stycznia 1939 roku?

Tristan odwrócił głowę do okna. Z zewnątrz płynął dziwny zapach. A właściwie dwa. Najpierw woń poruszonej ziemi, niemal słodka, potem inna, bardziej odurzająca, ale nie potrafił jej rozpoznać. Przymknął oczy, by skupić się na węchu.

– Szperasz w pamięci? W takim razie postaram się ją odświeżyć. Tamtej nocy wraz z trzynastoma innymi grabieżcami zaatakowałeś i splądrowałeś klasztor Montserrat. A, zapomniałbym, zabiliście tam człowieka.

Tiers przywykł do tego, że gdy komuś zarzuca się morderstwo, człowiek ten natychmiast protestuje, ale Francuz nie reagował, jakby było mu obojętne, co może się stać.

– A mówiąc ściśle, ukrzyżowaliście go, on zaś nie przeżył. A zatem zbezczeszczenie sanktuarium, kradzież przedmiotów kultu, mord na duchownym...

Sędzia zawiesił głos. Wyrok był oczywisty, on jednak przedłużał niepewność. Człowiek przekonany, że umrze, staje się rozmowny.

– Wydaje się, że to rezeda – powiedział wolno Tristan. – Ten zapach, który wpada przez okno.

Tieros gniewnie zacisnął usta. Uwielbiał podczas przesłuchań bawić się w okrutną grę w kotka i myszkę, a nienawidził, gdy ktoś odbierał mu tę przyjemność. Lubił napawać się strachem, lubił patrzeć, jak powoli wypełza na twarz, aż wreszcie deformuje jej rysy, lubił słyszeć jego brzmienie w słowach zdradzieckich albo poniżających... A ten Francuz myśli, że pozbawi go tej drobnej radości? Żałosny kretyn!

– Kancelisto, która godzina?

– Dochodzi jedenasta, panie sędzio.

– Przekazał pan moje wskazówki?

– Tak, panie sędzio. Bask jest już na dole.

Tieros wstał. Sprawdził, czy Francuz jest dobrze skuty. Tylko by brakowało, żeby wyskoczył przez okno.

– Proszę za mną.

Tristan usłuchał. W ogrodzie, zataczając się między dwoma gwardzistami, stał Jaime. Jego nogi zamieniły się w dwie otwarte rany.

– Guardia Civil ma swoje metody przesłuchań. Sypanie soli na rany to jedna z nich. Podobno ból jest nie do wytrzymania. Też mi się tak wydaje, bo twój przyjaciel El Jefe zrobił się bardzo rozmowny. Powiedział, że to ty przybiłeś księdza do krzyża.

Tristan nie odpowiadał.

– Dodam, że ja w to nie wierzę. Opat Montserratu zeznał z pełnym przekonaniem, że to Jaime Etcheverria popełnił ten czyn, którego skutki były nieodwracalne. I za to teraz zapłaci.

Tieros dwukrotnie skinął głową. Jeden ze strażników pilnujących Jaimego pochylił się i ściągnął leżącą na ziemi płachtę, której Tristan nie zauważył.

Ukazała się ciemna ziemia dołu.

– Świeżo wykopany – wyjaśnił sędzia.

Tuż nad ich głowami rozbrzmiał tupot.

– Przybyli właśnie nowi więźniowie. Będą mieli okazję popatrzeć na widowisko. Zazwyczaj rozstrzeliwujemy skazanych w mieście, dla przykładu, a potem ich tu grzebiemy. Ale dla twojego przyjaciela Jaimego przewidziałem coś specjalnego.

Pod oknem strażnicy sprawdzali więzy skazańca. Garota na szyi, pętla zaciśnięta na rękach, połączone łańcuchy na kostkach.

– Wrzucie go.

Jaime, wyjąc, zwałił się do dołu twarzą do ziemi.

– Odwróćcie go – rozkazał Tieros – chcę, by widział, że umiera. – A potem zwrócił się do Tristana i dodał: – Zastanawiałeś się, jaki zapach dochodzi z ogrodu? – Pierwsza łopata ziemi wpadła do dołu. – Woń egzekucji za każdym razem jest inna. Ciało podziurawione kulami ma ostry odpychający zapach, ale długo się nie utrzymuje. Wisielcy cuchną ekskrementami, które wypływają...

Nogi Jaimego były już czarne od ziemi. Przestał krzyczeć. Zwrócił rozszerzone źrenice na niebo błękitne niczym okrutna tajemnica.

– Natomiast pogrzebani żywcem wydzielają kwaśną woń, zapach strachu... Zaczynasz już czuć?

Tylko twarz wynurzała się w otoczce ciemnej ziemi. Stojący obok strażnicy trzymali łopaty, czekając, aż sędzia rozkaże zakończyć egzekucję. Tieros skinął głową. Łopata sypnęła ziemią.

– Zastanawiasz się, jak będziesz cuchnął, kiedy cię zabijemy? – spytał sędzia.

Poleciała kolejna porcja ziemi, cięższa.

– Ty, Tristianie Destrée, czy jak tam naprawdę się nazywasz, skonasz we krwi. We własnej krwi.

Wschodnie tereny Prus
Puszcza Schorfheide
Maj 1941

Palilo go w gardle, krew buzowała w tętnicach jak groźnie wezbrany strumień. Nie uwierzyłyby, że jego ciało może mu zadawać tyle cierpienia. Zwolnił kroku i osunął się na omszały kamień.

Starał się nabrać tchu, ale mroźne powietrze ledwie przeciskało się do jego płuc. Spojrzał w stronę trawiastego stoku, który ciągnął się od lasu, i dostrzegł w dole światła Heisenbergu. Od miasta dzieliły go już tylko dwa, może trzy kilometry. Tam może znajdzie schronienie.

Dziękuję, Panie Boże.

Gdy masował obolałe łydki, ogarnęła go fala nadziei. Musi wytrwać, nie załamywać się. Ojciec Breno nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Może raz, w Kolonii, żeby schwytać złodzieja, który ukradł srebrny krucyfiks z kaplicy niższego seminarium. To było ponad trzydzieści lat temu. Odkąd pełnił służbę duszpasterską, mało używał nóg. Odprawiał msze, udzielał ślubów, odprowadzał zmarłych do grobu, odwiedzał chorych parafian w domach, ale taka aktywność nie pozwalała utrzymać kondycji fizycznej.

Kręciło mu się w głowie, piekły go oczy. Proboszcz zerknął za siebie, ale ciemne drzewa i skały tańczyły mu przed oczami. Gdyby nie był ścigany, zatrzymałby się, żeby nacieszyć oczy wspianym krajobrazem, który się przed nim rozpościerał. Ten las był piękny. Piękny i okrutny. Sprzymierzył się z tymi, którzy go ścigali. Ksiądz czuł to w głębi duszy. W mrocznych lasach Bóg nie był mile widziany, a tym bardziej jego sługa. Może nie był już mile widziany nigdzie w Niemczech. I w Europie.

Otarł łzy spływające po szorstkich policzkach.

Kiedy przed trzema dniami do prezbiterium przyszli po niego trzej gestapowcy, nie był zaskoczony. Policjanci zachowywali się uprzejmie. Chodziło tylko o krótką rozmowę na komendzie. Ale on nie był naiwny, wiedział, dlaczego go zabierają. W minionym tygodniu, gdy wracał na rowerze od wieśniaka, któremu udzielił ostatniego namaszczenia, zatrzymał się przy przejeździe. Stał tam pociąg towarowy, chyba zepsuła się lokomotywa. Inny pociąg zatrzymał się nieco dalej na torach. Żołnierze SS krążyli między dwoma konwojami.

Ukrył się w zaroślach, bał się bowiem, że wezmą go za szpiega. A potem rozległy się metaliczne odgłosy, krzyki i drzwi wagonów otworzyły się, wypływając ludzki ładunek.

Kobiety, mężczyzn, dzieci. Esesmani z wrzaskiem przepędzali ich do drugiego pociągu. Po raz pierwszy zło wtargnęło w życie kapłana. Oczywiście, jak wielu Niemców wiedział, że Żydów deportowano do „obozów pracy”, ale tu odkrył rzeczywistość, która nie mieściła mu się w głowie.

I doszło do morderstw. Dwoje starszków, którzy wypadli z wagonu, nie mogło się podnieść. Oficer podszedł i zabił oboje strzałem w głowę. Ukryty w zaroślach ojciec Breno nie mógł oderwać oczu od twarzy zabójcy, zahipnotyzowany tą wielką jowialną gębą. Potem dwaj żołnierze odrzucili zwłoki na pobocze, jakby to były worki ze śmieciami.

Przerażony pozostał w ukryciu przez ponad godzinę, dopóki drugi piekielny transport nie zniknął w świetle zachodzącego słońca. Ojciec Breno w ten zimny wieczór zrozumiał dwie rzeczy.

Szatan istnieje. I jest Niemcem.

Po powrocie do kościoła padł na kolana przed ołtarzem, by modlić się za tych nieszczęsnych ludzi. Ale to nie pomogło. Dręczyły go wyrzuty sumienia, czuł, że jest jak ci, którzy patrzyli na Chrystusa pokonującego drogę krzyżową i nic nie zrobili. Nie mógł tego tak zostawić.

Po trzech dniach z ambony wygłosił ostre kazanie. Najpiękniejsze ze wszystkich swoich kazań. I opowiedział o tym, co widział. Twarze parafian zamarły. Po mszy prawie wszyscy się ulotnili. Ze strachu. A potem tchórzostwo zrodziło donosicielstwo.

Policjanci nie zawieźli go na komendę, tylko do jakiegoś leśnego schroniska, zagubionego pośród kniei i zamkniętego za wysokim kamiennym murem rozległej posiadłości. Lżyli go, nazywali zdrajcą Führera, ale o dziwo – nie bili. Dawali mu jeść i przynieśli nowe ubrania. W sąsiednich celach byli dwaj inni więźniowie, lecz kolejno zniknęli. Pewnego wieczoru, tego wieczoru, jeden ze strażników, ubrany w strój myśliwski, wszedł do jego celi.

– Ojcie, przyjadą jutro rano, by zabrać ojca do obozu w Dachau. Tam trafiają księża i pastory nielojalni wobec partii¹⁴. To przedsiónek piekła. Zostawię otwarte drzwi.

– Dlaczego pan to robi?

– Jestem nazistą, ale dobrym katolikiem. Nie mogę pozwolić, by zabito sługę Bożego. Proszę już iść, powiem, że mnie ojciec ogłuszył.

Wy tłumaczył mu, jak dojść przez las do Heisenbergu. Tuż przed wyjściem ojciec Breno zapytał, gdzie się znajduje. Myśliwy wyjaśnił to dość enigmatycznie:

– W kryjówce Ogra, ojcie. On nie ma litości dla zwierzyny. Niech ojciec biegnie. Biegnie, jakby diabeł deptał mu po piętach.

Od chwili ucieczki minęła godzina. Zmusił się do wolniejszego oddychania. Uspokoić oddech, przepędzić strach. Ale strach wciąż w nim tkwił.

Chrapliwe wycie rozbrzmiało za drzewami. Potem kolejne i jeszcze jedno.

Poderwał się na równe nogi.

To nie było wycie, lecz ujadanie psów. Dogów tresowanych do ścigania i rozrywania zwierzyny, którą wytropiły. Widział je, gdy rozszarpywały żywe króliki, które strażnicy dla zabawy rzucali im do kojców. Jednak okrucieństwo psów nie dorównywało podłości ich panów. To oni byli prawdziwymi bydlakami. Byli sadystyczni. Mamili go fałszywą nadzieją. Strażnik zadrwił sobie z niego.

Był tylko zwierzyną, którą trzeba wytropić i zabić. Niczym więcej.

W lesie rozbrzmiał dźwięk rogu. Tu i ówdzie błyskały światła.

Sfora się niecierpliwiła.

Ojciec Breno ścisnął z całej siły krucyfiks, który pozwolono mu zatrzymać na szyi, i zaczął szeptać słabym głosem.

Słysząc już było krzyki. Dotarło do niego też rzenie i ciągły tętent koni galopujących po mokrej ziemi.

Sfora była radosna.

Wiedział, że nie ma szansy w porę dotrzeć do Heisenbergu. Chrystus wybrał tę piękną noc, by zabrać go do siebie.

Wzniósł zaczerwienione oczy ku niebu, na którym lśnił księżyc.

Strach wygasał.

Stanie przed oprawcami, jak Chrystus stanął przed swymi dwa tysiące lat wcześniej. Teraz wszystko wydawało się bardziej zrozumiałe.

Jego śmierć była darem. Darem Stwórcy pozwalającym mu odkupić lata zaślepienia, posłuszeństwa i egoizmu.

Podniósł suchą gałąź i przełamał ją na pół na kolanie. Potem zdjął krzyż z łańcucha, którym połączył obie gałęzie. Nowy krzyż był trochę koślawy, gałęzie gięły się na końcach, a jednak nigdy w życiu nie widział równie pięknego.

Wsunął go w szczelinę w skale i ukląkł przed tym prowizorycznym ołtarzem.

Ojcze Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, bądź Królestwo Twoje...

Nie zdążył dokończyć, szczekanie przemieniło się w warczenie. Bardzo bliskie warczenie.

Odwrócił się powoli. Stało przed nim pięć dogów. Naprężone ciała, przymknięte ślepie, obnażone zęby lśniące w świetle księżyca niczym ostrza.

Sfora domagała się łupu.

Bestie były świetnie wytresowane, nigdy nie atakowały bez polecenia pana.

Ogr.

I nagle wszystko zrozumiał. Psy, chata w posiadłości, ci ludzie ubrani jak myśliwi... Był na ziemiach Wielkiego Łowczego Rzeszy, zarządcy lasów. Marszałka Hermanna Göringa.

Za psami ciemność rozdzierały smugi światła. Coraz wyraźniej słysząc było okrzyki podnieconych myśliwych.

Ojciec Breno wyprostował się i splótł ręce na znak determinacji. Ofiaruje im swe przebaczenie, ale nie strach.

Pomiędzy drzewami pojawili się dwaj jeźdźcy na koniach.

Jeden wydawał się nieproporcjonalnie duży, jakby dosiadał maleńkiego konia. Jego ciało wylewało się z siodła. Trzymał strzelbę, celując.

Ogr na koniu.

Ojciec Breno się uśmiechnął. Przed oczyma stanął mu śmieszny obraz: Sancho Pansa, tłuścioch, kompan Don Kichota, dosiadający osła.

Jeździec obok marszałka – szczuplejszy – miał lepsze proporcje wobec konia białego jak zjawa. W prawej ręce trzymał długą kuszę.

Nadszedł czas.

Ojciec Breno uniósł rękę, by pobłogosławić katom.

Przebacz im, bo nie wiedzą, co...

Nie zdążył dokończyć zdania – rozbrzmiał wystrzał. Siła pocisku rzuciła go na skałę. Osunął się wolno na ziemię, trąc plecami o kamień. Ostry ból rozdzierał mu prawą stronę jamy brzusznej. Przytknął rękę do lepkiej plamy, która powiększała się na jego koszuli.

Czy wielki łowczy był marnym myśliwym, czy może chciał przedłużyć przyjemność?

Angriff!

Krzyk marszałka rozbrzmiał w ciemnościach. Sfora rzuciła się na kapłana, tętent galopujących koni zagłuszył noc.

Ojciec Breno zamknął oczy, drżąc na całym ciele.

Boże, spraw, by to się stało szybko. Ja... nie mam siły męczenników.

Jego modlitwa została prawie wysłuchana. Strzała z kuszy wbiła się w jego pierś. Tuż pod sercem. Czuł pierwsze ugryzienia dwóch psów, które najszybciej go dopadły.

Leg dich schlafen!

Głos Ogra tuż nad nim. Jak za sprawą cudu dogi z zakrwawionymi pyskami puściły jego nogi i ułożyły się na ziemi.

Rozpoznał gniewny głos Göringa, który zwracał się do jeźdźcy wsuwającego kuszę do sakwy przy siodle.

– Fräulein von Essling, zwierzyzna była szczuta. Odbiera pani moim psom nagrodę, na którą czekały, a mnie pozbawia wyjątkowego widowiska.

Ostatnią twarzą, którą ujrzał ojciec Breno, była buzia bardzo ładnej blondynki o oczach w kształcie migdałów. Dosiadała konia jak wytrawna amazonka i przypatrywała się agonii księdza. Jej jasne oczy pozostały niewzruszone.

Tego wieczoru goście tłumnie ściągnęli do Carinhall, okazałej posiadłości myśliwskiej marszałka Rzeszy oddalonej o godzinę drogi od Berlina. Jak co roku wielki łowczy organizował wspaniałą uroczystość na zakończenie sezonu. Imponujący salon, którego

ściany zdobiły łby jeleni, danieli, niedźwiedzi, dzików, pękał w szwach. Ponad dwustu wybrańców, myśliwych z małżonkami, radośnie kołysało się w rytm walca granego przez orkiestrę w regionalnych strojach – skórzanych spodenkach i kapeluszach z piórkiem. Panowała euforia, większość zgromadzonych tu mężczyzn brała udział w zwycięskich kampaniach wojennych Rzeszy.

W odróżnieniu od oficjalnych przyjęć rządowych przynależność do wyższych sfer partyjnych nie wystarczała, by otrzymać zaproszenie od marszałka. Bywalcy jego rezydencji tworzyli dość osobliwą mieszankę społeczną: burżuazja, arystokracja, wpływowi przedstawiciele administracji Rzeszy, oficerowie Wehrmachtu, ale także pasjonaci pochodzenia chłopskiego, często najlepsze strzelby kraju. W Trzeciej Rzeszy polowanie pozostawało prawdziwą instytucją, miało własną symbolikę, zasady, a jego miłośnicy byli rozproszeni po całym kraju. Potężna społeczność, bardziej otwarta od wielbicieli polowania z nagonką w Anglii, ale równie zazdrośnie strzegąca swego elitarnego charakteru. Ten, kto mógł się pochwalić znacznymi sukcesami myśliwskimi, trzymał w ręku klucz otwierający drzwi do kariery i uzyskiwania korzyści choćby z pominięciem prawa – klucz niemal równie skuteczny jak legitymacje pierwszych członków partii. W Niemczech łowiectwo miało wielkie wpływy, wykorzystywane dyskretnie, zanim jeszcze Hitler przyszedł na świat. O ile Führera wstrętem napawało polowanie i mięso, o tyle wielki łowczy oddawał mu się z pasją i ku swej korzyści. Ogr kierował bractwem mięsożerców z wielką radością, a trzymał je żelazną ręką – jak swoje sportowe mauzery. Sformułował zresztą dewizę, którą polecił wypisać złotymi literami w swoim berlińskim gabinecie:

Polowanie to sztuka dokonywania rozlewu krwi w gronie ludzi z towarzystwa.

Nagle dźwięki Nad pięknym, modrym Dunajem ucichły. Dyrygent orkiestry odebrał sygnał o nadejściu pana domu. Obrócił pałeczkę. Pierwsze nuty Symfonii heroicznej rozbrzmiały pośród kłębow dymu z cygar: gospodarz wieczoru pojawił się u szczytu monumentalnych schodów z jasnego marmuru.

W marynarce z szarego jedwabiu, przewiązany białą szarfą, w skórzanych spodniach dopasowanych do oficerów, Ogr raz jeszcze dowiódł, że trudno go prześcignąć ekscentryzmem stroju.

Gromkie brawa rozległy się w salonie, gdy satrapa wszedł na estradę, by przemówić. I jak przed chwilą Johann Strauss, tak teraz nagle zamilkł Beethoven. Gromki głos Göringa wypełnił salon.

– Panie i panowie. Serdecznie witam w Carinhallu, świątyni łowów i związanych z nimi przyjemności. W tym roku na kolację podane zostaną najlepsze mięsiwa ze sztuk, które osobiście zabiłem. Biorąc pod uwagę, jak jesteście liczni, zaznaczam, że mocno się dla was napracowałem. Nie powtarzajcie tego Führerowi, bo gotów pomyśleć, że zaniedbywałem służbę w Luftwaffe i że na Anglików spadnie mniej bomb.

Rozległy się śmiechy, a łasy na pochlebstwa Ogr wodził wzrokiem po salonie. Był jedynym nazistowskim dygnitarzem mogącym pozwolić sobie na żarty w każdej sytuacji.

– Gdyby w tej sali znalazł się jakiś zbłąkany wegetarianin, to sugeruję, by postarał się o zaproszenie do Reichsführera Himmlera. W przyszłym tygodniu wydaje przyjęcie, na którym serwować będą ogórki i aryjskie dynie.

Towarzystwo było rozbawione, nawet garstka oficerów i myśliwych z SS nie zdołała się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

– Drodzy przyjaciele, ogłaszam oficjalne zakończenie polowania i początek zabawy.

Göring torował sobie drogę między gośćmi, którzy zmierzaali już w stronę jadalni. Przechodząc, serdecznie ścisnął dłonie grubymi palcami, na których połyskiwały duże sygnety. Obok polowań, opium, mody i malarstwa pasją marszałka była biżuteria, którą uwielbiał jak dziewiętnastowieczne kokoty.

Wypatrzył młodą blondynkę o ogorzalej buzi i sylwetce Diany łowczynie, tę, która zepsuła mu zabawę z ludzką zwierzyną. Nietrudno zresztą było ją zauważyć, ponieważ Erika von Essling jako jedyna z obecnych na przyjęciu pań pojawiła się w spodniach i butach z cholewami. Prowokowała, on jednak zawsze cenił zuchwałe i ekscentryczne zachowania, co różniło go od innych dostojników reżimu. Göring znał ją od dawna, przyjaźnił się z jej nieboszczykiem ojcem, hrabią von Esslingiem. Nadreński arystokrata, rozczarowany, że nie urodził mu się syn, czuwał nad wychowaniem jedynaczki. Nauczył ją tego, czego nigdy nie uczono kobiet z wyższych sfer: polowania, szermierki, strzelania. W nowych Niemczech, gdzie kobietę wielbiono albo dla jej urody, albo z racji jej daru reproduktorki rasy aryjskiej, Erika wyraźnie odbiegała od wzorców. Ale mogła sobie na to pozwolić – jej rodzina posiadała stalownie i fabryki broni, które pracowały pełną parą. Pociski, blindaze i bomby stały się rodzinną specjalnością. Z upływem stuleci natura władzy uległa zmianie, oni nie. Kiedy miotła historii wymiatała, oni zawsze stali po właściwej stronie. Jak wielu przedsiębiorców, ojciec Eriki finansował dojście do władzy Hitlera, który jawił mu się jako ostatni bastion oporu wobec komunizmu. Hrabia von Essling nie doczekał przejścia władzy przez konia, na którego postawił – zginął w wypadku na polowaniu w przededniu objęcia urzędu przez nowego kanclerza. Odtąd firmami zarządzała z Berlina wdowa. Córka natomiast pasjonowała się archeologią i wyrobiła sobie doskonałą reputację w kręgach uniwersyteckich, deklasując mężczyzn, kolegów po fachu.

Ogr podszedł do młodej kobiety, gdy przystanąła z dala od gości. Wydawała się zafascynowana ogromnym płótnem przedstawiającym siedzącą na sofie kobietę o łagodnej twarzy i nieco przywiedłej elegancji.

– W Trzeciej Rzeszy dobrze ułożona kobieta powinna ubierać się na przyjęcia w suknię – powiedział Göring, patrząc na amazonkę.

Erika, która nie odrywała oczu od obrazu, nie odwracając głowy, odpała:

– Nigdy nie dbałam o konwenanse.

Göring zbliżył się do niej i również wpatrzył się w płótno. Jego nalana twarz przygasła w smutku. Dwie drobne łzy lśniły w kącikach oczu.

– Poznała ją pani... Carin, moja pierwsza żona, zmarła w 1931. Wielka miłość mego życia. Ona również nienawidziła konwenansów. Tak wiele jej zawdzięczam... Nazwałem tę rezydencję Carinhall w hołdzie jej pamięci. Może trudno w to uwierzyć, ale jestem bardzo sentymentalny.

– Wspaniała kobieta. A jak się miewa Emmy¹⁵? – spytała Erika.

– Dobrze, przebywa u wód, w Baden-Baden. Nie lubię, kiedy płacze mi się pod nogami podczas polowań. – Ujął ją pod rękę. – Fräulein von Essling, rozczarowała mnie pani. Dlaczego, do diabła, zabiła pani zwierzynę pierwszym strzałem? Zaszczyciłem panią zaproszeniem na moje ostatnie prywatne polowanie w tym sezonie. Udział w nagonce na człowieka to wyróżnienie, które spotyka nielicznych gości.

Kobieta spokojnie zwróciła ku niemu twarz.

– Nie uprzedził mnie pan, że zapolujemy na istotę ludzką. To nieco zaskakujące jak na człowieka bardzo sentymentalnego.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Nie wszyscy ludzie mają jednakową wartość. A poza tym lubię niespodzianki. W tym kraju do rzadkości należą kobiety takie jak pani: polujące i mogące się pochwalić zdobyczami, których pozazdrościłoby im wielu mężczyzn. Sądziłem, że zrobię pani przyjemność. Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Spojrzała grubasowi prosto w oczy.

– Proszę to złożyć na karb staroświeckiego protestanckiego wychowania. Zlitowałam się nad tym nieszczęsnym księdzem. Dlaczego pan go wybrał?

Göring parsknął śmiechem i policzki mu zafalowały, jakby pod skórą w warstwie tłuszczu płynęła woda.

– Dowiedziałem się o tym w ostatniej chwili. Co roku Zimny Kurczak... o przepraszam, Reichsführer Himmler, przysyła mi trzech wybranych więźniów na polowanie. Zazwyczaj to Żydzi albo komuniści, ale tym razem wcisnął do stadka księdza. Przypuszczam, że miał to być dowcip.

Młoda kobieta obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Nie widzę nic zabawnego w ściganiu nieszczęśników po lesie i mordowaniu ich.

Gruby marszałek zmrużył oczy.

– Ależ moja droga... Po tym, jak skróciła pani cierpienia naszej zwierzyny, wnoszę, że nie po raz pierwszy zabiła pani istotę ludzką. Muszę przyznać, że trochę mnie to zaskoczyło. Spodziewałem się, że pozostawi mi pani robotę. Nawet się pani nie domyśla, jak wielu gościom w ostatniej chwili brakło odwagi, by nacisnąć na spust.

Erika nie odpowiedziała. W nowym nazistowskim państwie nauczyła się ukrywać emocje. Ale Göring zbijał ją z tropu. Ten mężczyzna, którego miała przed sobą, potrafił ocierać najprawdziwsze łzy przed portretem żony i zabijać nieszczęsnych ludzi podczas parodii polowania z nagonką. W gruncie rzeczy był równie bezlitosny jak jej ojciec, hrabia. Nic dziwnego, że się zaprzyjaźnili.

Göring przybrał obłudny ton i objął ją ramieniem.

– Eriko, o ile mam dokładne informacje, zamierza pani pracować dla Ahnenerbe, instytutu Himmlera.

– Jest pan poinformowany lepiej niż ja. Wiem tylko, że zaprosił mnie do zamku Wewelsburg, dokąd mam się udać w najbliższych dniach.

Wielki łowczy przestał się dobrotliwie uśmiechać.

– Niech pani uważa, żeby nie wdepnąć w coś tymi ślicznymi botkami, Fräulein von Essling. Narodowy socjalizm to wspaniałe dzieło, które przeobraziło Niemcy. Rewolucja w dziejach ludzkości. A ja jestem jedną z jej podpór. Podobnie jak Führer wyobrażam ją sobie jako pełną blasku gwiazdę, która opromieni świat, choćby miała zwięglić tych, którzy nie są godni żyć w jej świetle. Jednak są i tacy, którzy obrali bardziej radykalny kierunek. Himmler i jego przekłęci esesmani, ci fanatyczni żołnierze-zakonnicy, są tego doskonałym uosobieniem. Himmler wyznaje dziwne, absurdalne doktryny. I niestety jego imperium stale się powiększa.

Młoda kobieta uniosła delikatnie zarysowaną brew.

– A zatem?

– Jeśli SS to galaktyka, to Ahnenerbe jest jej Czarnym Słońcem.

Hiszpania

Więzienie Montjuic

Maj 1941

Jak zwykle o dziesiątej rano badawcze oko świdrowało półmrok brudnej celi numer 108. Loch usytuowany na poziomie fundamentów ledwie rozświetlała smuga światła wpadającego przez dawny otwór strzelniczy.

– Madre de Dios, jak tu cuchnie! Nie sądzisz, że powinniśmy tam wejść? Może on już zdycha?

Jeden ze strażników przez judasza obserwował ziemię przykrytą brudną słomą i skulone ciało, które nie zdradzało żadnych oznak życia.

– To ten Francuz, mówią, że zabił jakiegoś księdza. Naprawdę chcesz zajmować się tą padliną?

– Sędzia Teros powiedział, że szykuje dla niego odstraszącą karę. Wolałbym, żeby nam się przedtem nie wykończył.

– Gnije tu już trzy tygodnie. Twój sędzia dawno o nim zapomniał. Co tydzień zapełnia tyle nowych grobów... Wiesz co, my też po prostu o nim zapomnijmy. Wstaw mu wodę i miskę zupy. Wrócimy tu jutro. Jeżeli nie ruszy jedzenia...

– Będziemy kryci.

– A przede wszystkim pozbędziemy się go. Trzeba będzie tylko dokładnie wyczyścić celę. Nie może tak cuchnąć. Coś mi się wydaje, że robaki już zżerają mu trzewia.

Suchy trzask. Judasz się zamknął. Kroki strażników cichły, gdy oddalali się korytarzem. W celi numer 108 poruszyła się ręka, powędrowała wzdłuż korpusu i zanurzyła się pod torse. Nieznośny smród wypełnił pomieszczenie, a rozkładający się trup szczura wylądował pod murem.

Tristan zabił go sześć dni wcześniej.

Tego ranka usiadł w najciemniejszym kącie celi, pozostawiając na środku miskę zupy, którą wsunięto mu pod drzwiami. Wyszedł pierwszy szczur, wyciągnął się, bił ogonem o ziemię. Zwiadowca. Nie zbliżając się do jedzenia, przemknął pod ścianą, potem pod drugą i wreszcie się wycofał. Po nim pojawił się drugi, który ostrożnie zbliżył się do miski i zastępnął jak sparaliżowany. Wartownik, pomyślał Tristan. Wtapia się w otoczenie i czeka, żeby sprawdzić, czy nie nadejdzie niebezpieczeństwo. Cała sztuka w tym, żeby wykazać się

większą cierpliwością niż on. Po kilku długich minutach ogon wartownika drgnął, potem zaczął wić się po ziemi. W końcu szczur się poruszył. Podszedł do jedzenia, ale go nie tknął. Kiedy jego pyszczek przesiąkł już zapachem wydobywającym się z miski, zawrócił i zniknął.

Bez pośpiechu, jak gość zaproszony na ucztę, z dziury w słomie wynurzył się szczur zadziwiających rozmiarów. Samiec dominujący. Wysłał podporządkowanego sługę na rekonesans. Teraz mógł się nażreć w spokoju. Tylko że o czymś zapomniałeś...

Gryzoń opychał się gęstą zupą. Nawiasem mówiąc, za gęstą. Zwykle była to mętna woda, w której pływała skibka zapleśniałego chleba. Tymczasem ta zupa była nadzwyczajnie gęsta... Zapomniałeś o tym, że testujesz jedzenie.

Nagle ucichło gorączkowe szuranie samca dominującego, który zjadał wszystko, na co trafił. Tristan wstał. Mimo półmroku zdołał zobaczyć zastygłe w osłupieniu ślepie gryzonia. Ciało odmówiło mu posłuchu. On, który dotąd bił wszystkich rywali i gryzł do krwi samice, już nigdy więcej nikogo nie sterroryzuje. Za kilka sekund jego osłupiałe oczy zagasną, a zwierzę nie rozumiało, co mu się przydarzyło. Nie rozumiało, że saletra, którą Tristan zeskrobał z zawilgoconych ścian i zmieszał z zupą, jest dla szczura zabójcza. Nawet dla samca dominującego.

Jeszcze kilka minut i woń jego śmierci wywabi byłych poddanych. Zdychały z głodu i ziały nienawiścią. Ich padły przywódca skończyłyby pożarty, pochłonięty... gdyby nie to, że Tristan miał wobec niego inne zamiary.

W ciągu kilku dni truchło gryzonia uległo głębokiemu rozkładowi i odrażający smród wypełnił celę. Francuz oddalił się i przycupnął skulony w najciemniejszym kącie lochu. Ze względu na codzienny napływ nowych więźniów strażnicy robili obchód biegiem. Podejrzany odór, nieruchome ciało. Jak przystało na dobrych funkcjonariuszy, stosowali uniwersalną zasadę: zaczekać. Po ich porannym przejściu Tristan wiedział, że ma przed sobą dwadzieścia cztery godziny. Żaden z cerberów nie otworzy judasza do następnego ranka. Woń śmierci, którą wypełnił celę, zapewniała mu samotność i chroniła go.

Siedząc tu, zdążył zmierzyć długość i szerokość celi, przyjrzeć się konstrukcji sklepienia, oszacować grubość murów; doszedł do wniosku, że próba ucieczki nie powiodłaby się – nie miał szans w starciu z solidnym rzemiosłem średniowiecznych budowniczych.

Mimo to nie dawał mu spokoju pewien szczegół. Co rano, niemal o tej samej porze, słyszał wodę płynącą dokładnie na obrzeżu otworu strzelniczego. Najpierw myślał, że to rura biegnąca wzdłuż muru, ale nie dostrzegł śladów wilgoci, a przecież woda musiałaby ochlapać wąski pionowy otwór. Doszedł do wniosku, że w samym murze znajduje się kanał pochodzący z czasów budowy zamku. Na pewno spust latryny. Takie kanały zazwyczaj były dość szerokie, ponieważ rzucano do nich wszelkiego rodzaju odpady.

Dziś tego kanału używać musiała więzienna kuchnia, zauważył bowiem, że woda płynie zawsze po obiedzie i po kolacji. Innymi słowy, droga była wolna przez całą noc.

Tristan oparł się piętą o dolne obramowanie otworu strzelniczego i obmacał kamienie pod nim. W półmroku czuł pod palcami gąbczasty mech, który prawdopodobnie zaatakował także zawiasy. Zeskoczył na ziemię, poszperał w słomie i wyciągnął kawałek zakrzywionego metalu.

Trafił do więzienia w żołnierskich butach, których obcasy były podkute metalem w kształcie półksiężyca. Zdzierając sobie palce, zdołał oderwać ten kawałek żelaza, a teraz mógł go użyć jako ostrza.

Zaprawa murarska między kamieniami była krucha. W ciągu dwóch godzin Tristan usunął ją wokół bryły, którą wyciągał teraz centymetr po centymetrze. W końcu kamień wypadł. Kanał musiał znajdować się tuż za nim, ale w celi było zbyt ciemno, by to sprawdzić. Mimo że szczur piekielnie śmierdział, Tristan chwycił go za ogon i wrzucił do czarnej dziury. Na twarzy Francuza pojawił się uśmiech: seria coraz łagodniejszych uderzeń dobiegała z otworu w ścianie. Dominujący niegdyś samiec rozpadał się na kawałki w średniowiecznej kanalizacji. Tristan się nie pomylił. Jednak otwór był za ciasny, żeby zmieścić się w nim człowiek. Musiał usunąć drugi kamień.

Wyciągnął go w niespełną godzinę. Tak powiększone przejście było już wystarczające.

Pionowy szyb okazał się szerszy, niż sądził. Mimo panujących w nim ciemności dostrzegał w regularnych odstępach rozświetlone kwadraty biegnące w górę. Zapewne były to wywietrzniki, które mogą mu posłużyć jako stopnie. Mocno przywarł plecami do muru. Miał nadzieję, że zdoła się wspiąć przynajmniej o jedno piętro. Wśliznął się w otwór, złączył stopy i wysunął ręce, szukając po omacku wystającego kamienia. Znalazł skruszoną zaprawę i zdołał się wspiąć do najbliższego wywietrznika. Miał wrażenie, że czołga się w pionie. Jego oddech odbijał się od murów. Tristan nie śmiał spojrzeć w dół, w zachłanne oko studni bez dna. To, co czekało go na górze, nie mogło być gorsze od tego, co znajdowało się tam, w dole. Ściskający trzewia strach kazał mu wspinać się jak najszybciej, byle uwolnić się od lęku przed upadkiem. W końcu zakrwawionymi już palcami wyczuł obrzeże muru. Wspiął się i upadł zwrócony twarzą do otworu w ścianie. To był wylot zwyczajnej rury. Szukając po omacku spojeń, z których wykruszała się zaprawa, Tristan zorientował się, że ściana jest z cegły. Zbudowana w pośpiechu, zapewne niedawno. Starając się oddychać jak najciszej, przez kilka minut nasłuchiwał. Ale za ścianą panowała głucha cisza. Dalsze wahanie nie miało sensu. Choć zbolały, stanął przed murem i mocno kopnął go obcasem. Pierwsza cegła spadła po drugiej stronie, zaraz potem następna. W ciągu kilku minut w murze powstała wyrwa. Tristan wsunął się w nią, raniąc klatkę piersiową gruzem. Odwrócił się i zobaczył, że jest w czymś w rodzaju szafy pełnej rur odpływowych, a zamkniętej zwyczajnymi drzwiami. Delikatnie je uchylił.

Kuchnia była pogrążona w ciemnościach. Tristan szedł przez nią bezszelestnie, kierując się do jednego z okien. Znajdowało się dziesięć metrów nad głównym dziedzińcem.

Niebezpieczne i bezcelowe. Lepiej wyjść drzwiami i jakoś wydostać się stąd przez budynek. Dwa podniszczone fartuchy wisały przy wyjściu. Tristan wziął jeden, a potem pochylił się nad zlewem, żeby umyć twarz. Wolał na siebie nie patrzeć, ale w tym więzieniu, gdzie strażnicy byli równie zawszeni jak więźniowie, miał szansę przejść niezauważony.

Nie chcąc, by spojrzenia zwracały się na jego twarz, utykał i szurał podeszwą o posadzkę. Zarówno dwaj strażnicy, jak i pielęgniarka, gdy ich mijał, patrzyli tylko na jego nogę i przyspieszali kroku. Udało mu się pokonać długi korytarz i nie zwrócić na siebie uwagi. Jeśli się nie mylił, szedł w stronę zewnętrznego muru, więc oddalał się od dziedzińca wewnętrznego. Wszystkie wyjścia były strzeżone, lecz służbowe z pewnością nie tak pilnie.

A Tristan szukał przede wszystkim jednego. Prowadził go zapach.

Śmierć ma trzy zapachy.

Pierwszy jest kwaśny i ulotny, ale przesiąka wszystko na swej drodze. I właśnie za tym zapachem świeżych zwłok szedł Tristan. Wyczuł go przy końcu korytarza, unosił się przy schodach.

Wystarczyło dotrzeć do źródła.

W miarę jak szedł w dół po oświetlonych dogorywającą żarówką schodach, odór się nasilał. To już nie była ta kwaśnawa woń co na początku, ale cierpkie wyziewy napływające gęstymi falami.

Odór ciał, które tracą resztkę godności.

Kostnica znajdowała się tuż obok. Woń śmierci chwytiała za gardło, zamieniała się w koszmar. Francuz wstrzymał oddech i pchnął drzwi.

Przestrzeń w tym magazynie podzielono na dwie strefy: po jednej stronie rozstrzelani, których część czekała na swój dół od wielu dni, po drugiej więźniowie zmarli z głodu albo na skutek choroby, o przezroczystej skórze służącej za całun szkieletom. Tristan szedł przez salę. Żeby zaoszczędzić trochę miejsca, niektóre ciała układano w stosach; rozkładając się jedno na drugich, zlewały się niczym topniejący sorbet. Zapach był inny, nie działał już na węch, ale raczej na wyobraźnię, przywołując obrazy toczonych przez robactwo rozkładających się trupów, czarnego lotu kruków... Tristan zatoczył się, ale zapanował nad sobą: tu przynajmniej nikt nie będzie go szukał. Po przesłuchaniu przez sędziego Tierosa wiedział, że ciała rozstrzelanych grzebane są w dołach na terenie więzienia, a inne trupy rzucone do zbiorowych grobów na zewnątrz. Potwierdzeniem tego był rząd worków leżących na podłodze przed zamkniętymi drzwiami.

Tych worków było jedenaście. Wszystkie z grubsza takie same. Wszystkie z siemieżnego płótna. Z płótna z odzysku, zszytego byle jak grubymi nićmi. Na jednym z worków widać było jeszcze nadruk: ziarna kawy. Śmierć przetwarzała wszystko.

Tristan dokładnie oglądał prowizoryczne całuny. Siódmy wydał mu się odpowiedni: nie cuchnął jeszcze zbyt mocno i nic nie przeciekało przez płótno. Chwycił nić, którą go zaszyto,

i ostrożnie wyciągnął. Potrzebował jej. Ciało leżało na plecach, wychudzone i wzdęte. Tristan chwycił je za nogi i przetoczył na galaretowatą stertę rozstrzelanych.

Teraz miejsce się zwolniło.

Kroki rozbrzmiały tuż przed południem. Ciężkie buty miarowo stukają o posadzkę.

– Ile mamy zabrać dzisiaj?

Szelest papieru.

– Jedenaście.

– Tam gdzie zwykle?

– Nie, dół jest pełen. Ostatnio okoliczni mieszkańcy zobaczyli wystającą z ziemi rękę. Robi się zamieszanie. Trzeba znaleźć inne miejsce, w pobliżu, ale na uboczu.

– I znowu mamy tyrać jak katorżnicy? Mam tego serdecznie dość! Powiedz, czy te trupy są ubrane?

– Sam zobacz.

Tristan usłyszał, jak coś się rozdziera.

– Nagi jak Adam w raju! To dobrze. Nic z nich nie zostanie.

– Gdzie chcesz się ich pozbyć?

– Na Tibidabo.

– Na wzgórzu?

– Tak, od początku wojny jest tam tylko jeden myśliwy, więc aż się roi od zwierzyny. Zwłaszcza od dzików. A te stworzenia żrą wszystko.

Francuz usłyszał, że znów coś się rozdziera. Jedne ze zwłok ożyły.

– Tylko nie dziki, tylko nie dziki!

– Zawołaj sędziego! – wrzasnął jeden ze strażników. – To więzień. Chciał dać nogę.

Leżąc w całunie, Tristan zrozumiał, że wszystko na nic. Kiedy dwaj więźniowie niezależnie od siebie próbują wcielić w życie taki sam pomysł ucieczki, zwykle obaj wpadają.

– Otworzyć wszystkie worki – syknął sędzia, który natychmiast przybiegł.

Ostrze noża, którym rozcięto worek, skaleczyło ucho Francuza. Krzyknął z bólu.

– A ja cię wszędzie szukałem – rozpromienił się Teros. – Mam dla ciebie nowinę.

Tristan wstał, chwiejąc się na nogach. Sędzia uśmiechnął się do niego.

– Dziś umrzesz.

Londyn

Kwatera w Westminsterze

Maj 1941

Kiedy wyszedł z podziemnego bunkra, wyziewy zimnego popiołu chwyciły go za gardło. Paskudne, duszące jak gazy bojowe. Kasłał, zasłaniając usta jedwabną chusteczką z wyhaftowanym dużym C, i wtedy ujrzał wznoszące się przed nim kamienne szkielety. Z aroganckich i majestatycznych wiktoriańskich rezydencji dziś pozostały tylko osmolone fasady bez okien. Za nimi olbrzymie cienie tańczyły w promieniach zachodzącego słońca. Tańczyły i pożerały.

– Mój Boże... a więc tak wygląda Apokalipsa – szepnął rwącym się głosem.

Wokół niego wszędzie słyhać było eksplozje i wycie syren. Uniósł głowę i zobaczył drobne metalowe meteoryty, które spadały z nieba, ciągnąc za sobą smugę ognia. To nie były niemieckie samoloty. Chciało mu się wyć ze złości, ale z jego wyschniętych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Na jego oczach Londyn zamienił się w stos ruin. Płomieni. I zabitych.

Za betonowym schronem rozległ się głuchy odgłos. Kolejna eksplozja. Kamienie wypadły nie wiedzieć skąd i wylądowały na czubkach jego zabłoconych pantofli.

– Trzeba wrócić do środka, panie premierze! – krzyknął stojący obok niego człowiek, pułkownik w brudnym, podartym mundurze.

Winston Churchill zwrócił oczy na wojskowego, ale nie miał siły mu odpowiedzieć. Zanim zdążył zaprotestować, dwóch wartowników odciągnęło go do tyłu, by wrócił do swej nory.

Mózg prawie go już nie słuchał, stał się wyłącznie ciężarem dla jego ciała. Lekarstwa, do których przyjmowania dniem i nocą zmuszał go osobisty lekarz, kilka tygodni temu unicestwiły jego wolę.

Po kilku minutach wędrówki przez cuchnący wilgocią tunel znalazł się w sali konferencyjnej przed grupą oficerów o zmęczonych twarzach.

– Wszystko przypadło, panie premierze – rzucił jeden z nich, generał o sumiastych wąsach. – Niemcy mają City, a na północy wkraczają na Piccadilly Circus.

Churchill z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Gdzie się podział Wessex? Musi skierować swoich pancerniaków do Hyde Parku. Ocali nas!

Oficerowie wymienili niepewne spojrzenia.

– Generał Wessex nie żyje, a jego jednostka wycofuje się w rozsypce – odparł jeden z wojskowych. – Musi pan podjąć stosowne decyzje, panie premierze. I schronić się w bezpiecznym miejscu. Zanim...

Twarz Churchilla się zasepiła, można by rzec, że jego usta się zapadły. Wyciągnął drżący palec w stronę oficerów.

– Nigdy! Słyszycie? – zagrział. – Nigdy. Wolę tu zginąć, niż uciekać jak tchórz. A co z królem Jerzym, gdzie teraz przebywa?

– W Cardiffie wraz z rodziną królewską. Są gotowi do wejścia na pokład pancernika Dreadnought, by popłynąć do Irlandii. Niemcy zapewnili, że nie zostaną uwięzieni.

Churchill znużonym gestem rzucił cygaro. Jego oczy wpatrywały się w portret króla surowo patrzącego ze ściany.

– A zatem jestem ostatnim, który stara się ocalić honor imperium.

Pułkownik, który towarzyszył mu poza bunkrem, ujął go za ramiona.

– Proszę jechać do Szkocji! Jeszcze nie jest za późno. Most powietrzny utrzymuje się nadal nad parkiem w Kensington. Lancaster czeka tylko na pański znak do startu. Zabierze pana do Edynburga, gdzie...

Premier walnął pięścią w ścianę.

– A jeżeli Niemcy mnie schwytają? Pomyślał pan o tym? Będą mnie włóczyli po ulicach, żeby mnie poniżyć! Hitler każe mi tańczyć na sznurku. Nie zamierzam sprawiać mu takiej uciechy. Zresztą podjąłem już decyzję. – Wsunął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął z niej małe puzderko z poczerńskiego metalu. Otworzył je i ujął w palce małą szklaną ampułkę z bursztynowym płynem. – Cyjanek jako ostatni drink, ja...

W chwili, gdy miał dokończyć zdanie, nad nimi doszło do potężnej eksplozji. Była tak silna, że mury runęły na oficerów, a salę wypełniła chmura pyłu.

Upłynęło kilka sekund, zanim Churchill z trudem podźwignął się i stanął na rumowisku. Kasłał jak potępieniec.

Nagle pojawili się przed nim mężczyźni w mundurach polowych. Ich twarze kryły się pod maskami przeciwgazowymi. I wszyscy trzej mieli niemieckie hełmy.

Premier cofnął się i przywarł plecami do betonowej ściany.

Jeden z żołnierzy zbliżył się o kilka kroków i ściągnął maskę. Miał jasne włosy i szlachetne, regularne rysy twarzy. Ta twarz wydawałaby się łagodna, niemal anielska, gdyby nie pałające gniewem niebieskie oczy. Można by pomyśleć, że do schronu wszedł archanioł Jerzy.

A on, Winston Churchill, był demonem. Usiłował się skulić, wiedział jednak, że to nic nie da.

Niemiec wyciągnął rękę nad jego głową i warknął gniewnie:

– Przyszedłem po ciebie. Anglia musi umrzeć. Ty przed nią.

Churchill przeraźliwie krzyknął.

I się obudził.

Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

Wokół panował spokój. Tylko mruczenie generatora wypełniało ciszę, w jakiej pogrążona była jego sypialnia. Włączył lampkę nocną i odruchowo sięgnął po browninga 12, który leżał przy łóżku. W tej samej chwili zapukano do drzwi.

– Panie premierze! Wszystko w porządku?

– W porządku, Andrews. – Churchill jak zwykle mruknął te słowa pod nosem. – Jestem... jestem głodny, podaj mi śniadanie.

Rzucił okiem na okrągły zegar wiszący na ścianie przed nim. Była dopiero szósta. Za późno, żeby próbować znowu zasnąć. Usiadł w łóżku i zapalił pierwsze tego dnia cygaro, rozglądając się po pokoju, w którym się znajdował.

Niski sufit, betonowe ściany obwieszane mapami Europy upstrzonymi swastykami. Brytyjska flaga i portret Jego Wysokości króla Jerzego V dopełniały wystroju wnętrza. W końcu pokoju – o ile była to odpowiednia nazwa dla tego pomieszczenia – metalowy stół i cztery dopasowane do niego krzesła. Jedynymi kłócącymi się z tym stylem elementami były wiktoriańskie lampy z malinowymi abażurami oraz bardzo wyszukany dywan z Woolgore and Brothers. Radio było włączone, ale kontakt działał tylko okresowo.

Posępne.

To było pierwsze słowo, jakie mu się nasunęło. Strzepnął cygaro nad popielniczką i podjął pierwszą rozsądną decyzję tego dnia. Wieczorem wróci do domu, przenocuje na powierzchni, na Downing Street 10. Tysiąc razy lepiej narazić się na śmierć od bomby Luftwaffe, niż zaszywać się w tej mysiej dziurze. War Rooms, wojenna siedziba rządu w schronach, będzie odtąd służyła tylko do narad.

Kwadrans później mężczyzna o ceglastej cerze wszedł do pokoju z dużą tacą.

– Dzień dobry, panie premierze. Dobrze pan spał?

– Fatalnie. Śnił mi się paskudny koszmar. Niemcy wygrali i przyszli łaskotać mnie w nogi. Nigdy więcej tu nie przenocuję. Wykończyłbym się na depresję.

Churchill wstał i usiadł do śniadania, podczas gdy jego adiutant nakrywał do stołu.

Kawa, jajecznica, marmolada śliwkowa, świeży chleb, masło i plastry bekonu z fasolką. W skazanej na racjonowanie żywności Anglii był to prawdziwy luksus, ale Churchill nie zamierzał udawać, że się wstydzi. Za tak wielką odpowiedzialność należało mu się królewskie śniadanie. Zresztą był to jedyny zbytek, na jaki sobie pozwalał, jeśli pomijając cygara i whisky. Adiutant otworzył drzwi szafy wbudowanej w betonową ścianę.

– Który garnitur dziś pan włoży?

– Ten szary tweedowy, który żona podarowała mi na pocieszenie po zawarciu układu monachijskiego. A właśnie, proszę ją uprzedzić, że wracam dziś na noc do domu.

Trzydziestoletnia brunetka wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

– Panie premierze, dokumenty na Radę Wojenną.

– Dziękuję, Kate, proszę położyć na biurku – powiedział, nie odwracając się.

Sekretarka w skromnej szarej spódnicy przeszła przez pokój sprężystym krokiem i położyła stos dokumentów na jeszcze pustym rogu biurka. Grube arkusze papieru były przewiązane szeroką gumą.

– Posiedzenie ma się zacząć za półtorej godziny, panie premierze.

– Dziękuję. Jak się miewają pani córeczki?

– Obie zostały wysłane na farmę w Surrey razem z całą klasą.

– To dobrze, przynajmniej nie spadnie im na głowy żadne gówno tego grubasa Göringa.

Młoda kobieta w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech rozdarł serce premiera. Bo był uśmiechem matki rozdzielonej z dziećmi i niechęcej okazywać cierpienia. Tak zachowywały się dziesiątki tysięcy dzielnych Angielek.

Powiódł za nią wzrokiem, a kiedy zamknęła drzwi, odwrócił się do adiutanta i unosząc do ust filiżankę z kawą, powiedział:

– We śnie chciałem popełnić samobójstwo. Czy istnieją kapsułki cyjanku o smaku whisky?

– Nic mi o tym nie wiadomo, sprawdzę to. A gdyby istniały, woli pan pur malt czy z nutką torfu?

Churchill się uśmiechnął. Cenił swojego adiutanta również za celny dowcip. Pochłonął wielką kanapkę z mnóstwem marmolady, a potem rozparł się na krześle i z ponurą miną przeglądał plan dnia. Był wypełniony do dziesiątej wieczorem.

– Do diabła! Prowadzę wojnę, muszę podejmować decyzje, które mają nieobliczalne konsekwencje dla kraju, a ktoś każe mi się spotykać z przedstawicielem masarży z Yorkshire. To jakiś żart?

– Prawdopodobnie pański sekretarz chce uzupełnić zapasy w lodówkach w schronie. To spotkanie o ogromnym znaczeniu strategicznym.

– Litości. Andrews, uwolnij mnie od spotkań. Albo je skróć. Jeżeli tylko szkopy nie wylądują w ciągu dnia w Dover, chciałbym być wieczorem w domu.

Adiutant zmarszczył brwi i przez kilka sekund jego długopis kołysał się nad kartką. Słyszał tylko, jak chleb chrupie w ustach Churchilla.

– Można by przesunąć spotkanie z siedemnastej z przedstawicielami przemysłu odzieżowego. Spotkałby się pan z nimi w przyszłym tygodniu w siedzibie stowarzyszenia pracodawców. Mógłby pan przyjąć komandora Malorleya z SOE zaraz po śniadaniu. Był umówiony tuż przed południem.

Twarz premiera się rozpozogodziła. SOE, Special Operations Executive¹⁶, była to służba kontrwywiadu, którą osobiście powołał latem 1940 roku, tuż po klęsce Francji. Jego dziecko. Jednostka wywiadu niezależna od tradycyjnych służb takich jak MI6¹⁷, podlegająca

wyłącznie jemu. SOE, jak lubił mawiać, miała „rozpalać okupowaną Europę”. Sabotaże, zabójstwa, podstępne działania i akcja dezinformacyjna – oto słowa klucze „urwisów z Baker Street”, jak ironicznie nazywali ich bardziej tradycyjni koledzy z MI6. Zamyślony premier podrapał się po głowie.

– Malorley... Malorley... A tak, szef propagandy i wojny psychologicznej. Mógłby pan szybko go ściągnąć?

– Tak, wcześniej rano przyszedł przeprowadzić inspekcję zabezpieczeń schronów rządowych. Przypuszczam, że jest teraz w zachodnim skrzydle.

Minął co najmniej kwadrans, zanim wysoki mężczyzna w oficerskim mundurze wszedł do pokoju. Około czterdziestki, z zakolami, miał mocno zarysowaną brodę i przenikliwe spojrzenie.

– Moje uszanowanie, panie premierze.

Churchill serdecznie uścisnął mu dłoń.

– Malorley, jak miło. Widzieliśmy się w ubiegłym roku, kiedy przyszedłem na otwarcie waszej siedziby. Studiował pan w Oksfordzie i służył w trzecim pułku w Indiach, tak?

Malorley skłonił głowę.

– Owszem.

Churchill wskazał mu krzesło na wprost siebie.

– Zechce pan usiąść. Proszę przejść do rzeczy. Czeka mnie ciężki dzień, a wieczorem chciałbym wrócić na Downing Street.

– Jak pan sobie życzy – odparł Malorley, otwierając teczkę, którą położył na stole, obok śniadania. Wyjął z niej plik kartek i rozłożył je przed Churchillem. – Znajdzie pan tu ocenę morale ludności, tak jak pan prosił. Obawiam się, że nie wygląda to najlepiej. Współpracownicy dali mi także szczegółowy raport o ruchach niemieckich jednostek w Normandii. Został już przekazany do Sztabu Generalnego. Może pan też zapoznać się z raportem o sabotażowych działaniach Niemców w naszych fabrykach zbrojeniowych w Coventry i Birmingham. Wczoraj zatrzymaliśmy trzech nazistowskich szpiegów.

– Brawo, Malorley. Nareszcie jakaś dobra wiadomość tego ranka. Coś jeszcze?

Oficer wyciągnął czarną teczkę.

– Chciałbym, żeby zerknął pan na raport dotyczący podróży Reichsführera Himmlera do Hiszpanii minionej jesieni.

Churchill otarł usta serwetką.

– Hiszpania... Czy pan wie, że nasz ambasador w Madrycie w zeszłym roku odtąńczył gigę na wieść o tym, że Hitler wyjechał z Hendaye z podkulonym ogonem po niepowodzeniu rozmów z Franco? Mam nadzieję, że nie powie mi pan, że Caudillo zmienił zdanie?

– Nie, proszę się nie martwić. Tak się składa, że jeden z naszych agentów pracujących w Hiszpanii przekazał nam ciekawe informacje.

– Jakiego rodzaju? Zaintrygował mnie pan.

– Na temat poszukiwań archeologicznych, na których Himmlerowi najwyraźniej bardzo zależy. Podczas podróży do Katalonii w klasztorze Montserrat towarzyszył mu jeden z bliskich współpracowników, pułkownik SS Karl Weistort. Otóż Weistort ostatnio wrócił do Barcelony.

Churchill zmarszczył brwi.

– Proszę mi przypomnieć, kto to taki.

– Szef Ahnenerbe. To instytut, który w 1938 roku sfinansował ekspedycję SS do Tybetu. Sporządziłem notatkę w tej sprawie.

– Nie słyszałem.

– Ahnenerbe to instytut kultury podlegający SS, a zajmujący się badaniami archeologicznymi i ezoterycznymi. Jestem niemal pewny, że dowódca SS odbył podróż do Hiszpanii wyłącznie po to, żeby odwiedzić klasztor. Ten człowiek jest zafascynowany wiedzą okultystyczną, a jak pan wie, wielu nazistowskich dygnitarzy pasjonuje się ezoteryką. Nawet Hitler miał w młodości...

Churchill uniósł rękę.

– Życzę powodzenia! Niech wezwie Szatana i zniknie z powierzchni ziemi. Malorley, mój drogi, nie miej mi tego za złe, ale naprawdę nie mam czasu zajmować się dziwactwami nazistów. Muszę prowadzić wojnę, za kwadrans zbiera się Rada Wojenna. Ma pan jeszcze coś ważnego?

Oficer zachował kamienną twarz. Zamknął aktówkę, ale czarną kartonową teczkę zostawił na stole.

– Nie, to już wszystko. Zostawiam panu ten raport. Gdyby zechciał pan się zapoznać...

Churchill wstał i wziął przedstawiciela SOE pod rękę.

– Dobrze, ale między nami mówiąc, niech pan nie trwoni czasu na takie bzdury. Mam gdzieś wariactwa Himmlera. Nie uczestniczymy w przygodach Allana Quatermaina¹⁸, a na mnie czekają setki innych, znacznie ważniejszych dokumentów, z którymi muszę się zapoznać. Proszę się skupić na podstawowych zadaniach.

Malorley opuścił schron rządowy. Samochód z kierowcą czekał na niego na pobliskim parkingu. Wsiadł do auta i przymknął oczy. Kierowca wiedział, że ma wrócić do siedziby SOE. Hillman 14 ruszył i w porannej mgle oddalał się od budek wartowniczych. Widoczność nie przekraczała kilku metrów.

Szef wydziału psychologicznego SOE zapalił papierosa. Spoglądał na chodniki oświetlone latarniami sodowymi i pełne przechodniów, którzy poruszali się we mgle jak zjawy. Od wybuchu wojny pracę zaczynało się godzinę wcześniej. Malorley wypuszczał kłęby białego dymu, który unosił się spiralnym ruchem, jakby mgła wcisnęła się z zewnątrz do samochodu. Mężczyzna trzeźwo oceniał sytuację – nie przekonał premiera. Poniósł totalną klęskę.

Był wściekły, lecz mimo wszystko nie chciał uznać się za pokonanego – stawka była o wiele za wysoka. Poprzysiągł to sobie dwa lata temu, tamtej tragicznej nocy w Berlinie.

– Profesorze!

Księgarz siedział w fotelu z głową zwieszoną w bok, jakby był zepsutą lalką. Utrzymywał wyprostowaną pozycję wyłącznie dlatego, że jego tors przywiązany był do oparcia sznurami. Na jego koszuli widniały brunatne plamy krwi.

– A, to pan... angielski przyjaciel... Czekałem na pana...

Próbował rozwiązać sznury, ale były zbyt mocno zaciśnięte.

– Zabrali... książkę. Ten nazista, esesman ją ukradł. Nazywa się... Weistort.

– Zawiozę pana do szpitala. Zaparkowałem samochód dwa kroki stąd.

Otto Neumann konał, słowa wyrywały się z jego ust jak spazm.

– Niech pan się zaopiekuje... moją żoną...

– Nie! – krzyknął Anglik.

– W gabinecie... zostawiłem notes... Borealis.

Malorley zdołał wreszcie rozsypać węzły. Księgarz osunął się w dół. Jego oczy wpatrywały się w płonące miasto. Jego miasto.

– Otto, niech pan się trzyma!

– Nie... przyjacielu, ja już odchodzę z tego piekła.

Malorley znów wodził oczyma po tłumach londyńczyków udających się do pracy. Kwadrans spóźnienia... Zaledwie kwadrans, który mógłby odmienić bieg rzeczy. Mógłby ocalić życie Neumannowi i uchronić Thule Borealis Kulten przed kradzieżą. Przeklęta książka. Ileż razy przeżywał na nowo tamte tragiczne minuty! Dochodząc do księgarni, minął na ulicy dwóch esesmanów. Szli spokojnie, choć dzielnica tonęła w morzu ognia i krwi. Na ułamek sekundy jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem jednego z nich, tego z bliźną. Nigdy nie zapomni tej twarzy, twarzy kata swego starego niemieckiego przyjaciela.

Malorley otworzył okno hillmana, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Udało mu się wynieść z księgarni notatnik poświęcony Borealis. Zapelnione zapiskami kartki, na których jego przyjaciel starannie narysował średniowieczny zamek.

Przez chwilę masował brwi, starając się przegnać przed oczu twarz zmarłego. Churchill jest uparty, ale on także! Miał w zanadrzu jeszcze jedną kartę. Prawdziwego asa. Nie znalazł tej karty w kasynie, ale w łoży. Łoży masonskiej. Największej w Anglii.

*Katalonia**Maj 1941*

Gorące powietrze omiotło go, kiedy tylko adiutant otworzył drzwiczki mercedesa. Suchy, palący wiatr wiał od sierry ku dolinie. Ubrany w czarny mundur Weistort przyglądał się jałowym wzgórzom, które pięły się aż do Pirenejów, a dalej urwistymi zboczami wpadały do morza. Dęby korkowe w lasach i rosące kępami pinie jęczały smagane wiatrem. Tylko drzewa oliwne stały spokojne i ciche pod osłoną kamiennych murków. Kilka kroków od szefa Ahnenerbe hiszpański pułkownik w paradnym mundurze strzelił obcasami i zasalutował.

– Mam nadzieję, że podróż z Barcelony upłynie spokojnie, panie Oberführer.

Weistort skinął głową, rzucając mu obojętne spojrzenie. Nie lubił, kiedy przerywano mu medytację. Przed piętnastoma wiekami, w epoce inwazji barbarzyńców, plemiona germańskie – Wandalowie, a potem Wizygoci – podbili Hiszpanię i uczynili z niej swoje królestwo. Królestwo wielkich wojowników, bladych i jasnowłosych. Nie mieli nic wspólnego z tym cherlawym hiszpańskim oficerem o oliwkowej cerze i kędzierzawych włosach. Weistort uśmiechnął się wzgardliwie. Niemiecka armia podbiła już Polskę, Francję, a na Hiszpanię wkrótce przyjdzie pora. Pewnego dnia cała Europa będzie germańska.

– Pozwoli pan, że przedstawię don Montalbana, który gości nas dzisiaj na swojej arenie – spróbował niepewnym głosem oficer.

Na te słowa Weistort wreszcie zdecydował się spojrzeć na Hiszpanów. Musiał przyznać, że korrida to jedyna szlachetna rozrywka, jaką stworzyli ich rodacy. Ujawniała zarówno wartość człowieka, jak i – w większej mierze – odwagę zwierzęcia.

– Niech mi pan pokaże te byki.

– Ale... ekscelencjo, władze nalegały, by na pana cześć...

Don Montalban nie wiedział, jak to powiedzieć. Przez czterdzieści lat pracy nigdy nie żądano od niego czegoś takiego. Pułkownik Orsana pospieszył mu z pomocą.

– Panie Oberführer, odrobinę zmodyfikowaliśmy dla pana program korridy... Nie będzie byków.

Weistort z trudem powstrzymał się od wybuchu. Czy ten kędzierzawy kurdupel wie chociaż, że zabijanie byków to tradycja antyczna? Że czyniono tak w rzymskich legionach, składając w ten sposób hołd cnocie waleczności? Że związane z imieniem Mitry złożenie

byka w ofierze dało początek prawdziwej religii konkurującej z innymi aż do nastania chrześcijaństwa?

– Mówi pan, że nie będzie byków?

– Ani torreadora, panie Oberführer, przynajmniej takiego jak zwykle. Ale jeśli zechce pan się pofatygować, przejdziemy na arenę kilka kroków stąd.

Mimo gniewu Weistort podążył za pułkownikiem. Minęli zarośla, które pochylały się na wietrze, i ujrzeli długi biały mur. Jeźdźcy na koniach, których sierść lśniła od potu, paradowali przed bramą. Każdy z nich trzymał pikę i popisywał się, obracając nią.

– To pikadorzy – wyjaśnił Montalban. – Kiedy zaczyna się korrida, mają za zadanie rozjuszyć byki, raniąc je w okolicy kręgosłupa.

Wewnątrz arena lśniła bielą kontrastującą z ciemną barwą piachu. Widać było, że przed chwilą polano go wodą. Odrobina chłodu docierała do ław, na których usiadł Weistort.

– Skoro nie ma byków ani matadora...

Trzasnęły drzwi i pojawił się jeden z jeźdźców. Zmienił konia. Zamiast ogiera, nerwowego i smukłego, dosiadał teraz konia o grubym karku, który upodabniał go do centaury. Zatrzymał się pośrodku areny, wyniośle skinął głową, nakazując koniowi uderzyć kopytami, a potem zwrócił się w stronę drzwi z czerwonego drewna.

– Zaraz zacznie się widowisko – oznajmił Orsana.

Skrzydło wolno się odchyliło, ukazując ciemny korytarz, z którego wyłonił się wolno, niepewnie nagi człowiek – kościsty, toczący błędnym wzrokiem.

– Victor Abril, anarchista skazany na śmierć za gwałt na mniszkach z klasztoru w Gironie.

Za plecami więźnia świsnął bat. Pchnięty do przodu Abril padł na piasek.

– Wstawaj, psie, i walcz jak mężczyzna – wrzasnął hiszpański oficer.

– A czym ma walczyć? – zapytał Weistort.

– Tym, co posłużyło mu do popełnienia zbrodni: rękami i...

Ale pikador już się zniecierpliwiał. Krążył wokół ofiary jak drapieżny ptak, dźgając skażenka przy każdej rundzie. Wkrótce plecy nagiego mężczyzny spłynęły krwią.

– Panie Oberführer, czy pan wie, dlaczego przed korridą polewa się arenę? Otóż dla przyjemności, żeby piasek nie wchłaniał tak szybko krwi.

– Przynajmniej piach stoi w tej walce na wysokości zadania – odparł drwiąco Weistort.

Pułkownik spochmurniał. Uniósł rękę, kierując kciuk w dół. Pikador przestał krążyć. Potężnym ciosem wbił stalowe ostrze pod pachę Abrila i rzucił go na plecy.

Z rozpostartymi rękami i zakrwawionym ciałem Victor Abril wyglądał jak Chrystus na krzyżu.

– Pokażę panu, jak traktuje się u nas tchórzy! Hombre, kawalkada dla naszego gościa!

Pikador ruszył truchtem. Przy każdym kroku ziemia głucho dudniła, jakby koń chciał naznaczyć piach kopytami. Dwa metry przed leżącym człowiekiem jeździec zwolnił.

– Stęp!

Pierwsze uderzenie kopyta zmiażdżyło kostkę Abrila. Krew i strzępy ciała wzleciały w powietrze niczym chmara owadów. Drugie zgmiotło mu jądra.

– Dzielnemu bykowi obcina się klejnoty, tchórzy to nie dotyczy – skomentował Orsana.

Mimo potwornego bólu Abril próbował się uwolnić. Uniósł głowę, potem tułów, ale to był jego ostatni wysiłek za życia. Ciężkie końskie kopyto wbiło się w jego brzuch. Gejzer trzewi wystrzelił jak fajerwerki, a potem opadł ciemnymi ochłapami na piach. Siedzący obok Weistorta don Montalban zgiął się wpół. On, który widział tyle byków konających na kolanach na środku areny, o mało nie zwymiotował.

– To przez to słońce – tłumaczył się, głośno dysząc.

Pułkownik otarł czoło. Tylko Weistort pozostał niewzruszony. Wpatrywał się w twarz zmarłego. Strzęp jelita zwisał mu z ust. Jego ostatni krzyk zdławił ochłap trzewi, który spadł z nieba. Ten obraz upodlenia rozbawił Weistorta. Właśnie tak powinna wyglądać śmierć pokonanych, powinna być poniżeniem. Stracić życie to za mało, trzeba je stracić w hańbie.

– Oberführer, mam nadzieję, że podobało się panu widowisko?

Szef Ahnenerbe tylko skinął głową. Zastanawiał się. Zaraz po powrocie do Berlina powoła nową grupę badawczą. Historyków i antropologów, których zadaniem będzie opisanie, w jaki sposób dawne cywilizacje uśmiercały jeńców wojennych. Himmlerowi na pewno się to spodoba. Weistort chciał jak najszybciej powiedzieć Reichsführerowi o swoim pomysle.

– Mamy jeszcze jednego więźnia, Francuza. On także napadł na klasztor.

Weistort gwałtownie odwrócił głowę.

– Na jaki klasztor?

– Na największą świętość, panie Oberführer. Na Montserrat, duchowe światło Hiszpanii... Ale oto i skazaniec.

Tristan szedł ciemnym korytarzem w stronę drzwiczek wahadłowych. Tuż nad nimi ujrzął białe stopnie areny pod niebem, po którym wiatr pędził sznur niemal przejrzystych obłoków. Wczoraj wyciągnęli go z Montjuic i wraz z innymi więźniami wsadzili do wojskowej ciężarówki. Jechali przez hiszpańską wieś, gdzie dotąd widać było blizny po wojnie domowej. Spalone osady, zaniedbane pola, osmalone wraki samochodów... Wszędzie unosił się zapach kłęski. W miarę jak pokonywali wyboiste drogi, z ciężarówki ubywało więźniów, których pozostawiano w rękach żołnierzy Guardia Civil. W jednym przypadku gwardziści nie odczekali nawet, aż ciężarówka się oddali – salwa rozdarła nocną ciszę, potem ciało głucho uderzyło o ziemię i stoczyło się do dołu.

Wkrótce został już tylko on.

Rankiem oddano go żołnierzom w nienaganych mundurach, ci zaś doprowadzili go do tego korytarza jak gladiatora przed igrzyskami.

Arena była pusta. Wiatr, który zawodził między stopniami, pogłębiał wrażenie samotności. Tristan odwrócił się na dźwięk gwizdka. Tuż nad wejściem siedzieli trzej mężczyźni. Cywil i dwóch wojskowych. Jeden z nich nosił obcy mundur.

– Wyjdź na środek areny.

Mimo upału piasek wydawał się wilgotny. Co bardziej zaskakujące, utrzymywał się tu zapach, którego Tristan nie potrafił rozpoznać, uporczywa woń, jakby na arenie zalegał muł wydobyty z błotnistej stawy.

– Stój!

Skrzydło drzwi trzasnęło jak pchnięte niewidzialną ręką. Ze środka areny korytarz, z którego wyszedł, wyglądał jak otchłań. Wrota ciemności, szepnął Tristan i niemal w tej samej chwili usłyszał głuchy, miarowy odgłos, który nasilał się jak burza. Na widowni jeden z mężczyzn wstał. Teraz Tristan rozpoznał jego mundur. Na epoletach lśniły dwie srebrne błyskawice.

Niczym wypłuty przez piekło pojawił się jeździec.

W prawej ręce trzymał pikę wsuniętą pod pachę i szarżował jak średniowieczny rycerz. Kilka metrów od Tristana zniżył pikę, celując w podbrzusze.

To był błąd.

Tristan rzucił się przed konia, który spłoszony stanął dęba i opadł, ciężko uderzając kopytami o ziemię. Kiedy Francuz przeturlał się na bok, jeździec próbował utrzymać się w siodle, ale zwrócona w dół pika wbiła się w piach, przez co mężczyzna z wrzaskiem przeleciał nad łbem konia.

Gdy Tristan się podniósł, ujrzał ciało pikadora nabite na jego własną broń. Drzewce pękło, przesywając klatkę piersiową jeźdźca, którego niepotrzebne już ręce zwisały, drgając.

Pułkownik Orsana wpadł w szal. Złościł się jak dzieciak, któremu ktoś zepsuł zabawkę. Obok niego don Montalban wpatrywał się w rozpaczony w przebite ciało. Jak to się mogło stać? Zauważył tylko, że ten przeklęty Francuz wyskoczył przed konia jak sędzia na boisku przed karnym, a potem...

– To czarownik... Czarownik...! – krzyknął don Montalban. Zwrócił się do Weistorta, jakby oczekiwał od niego potwierdzenia. – Konie, których dosiadają pikadorzy, mają zawsze okulary przy uprzęży, więc są praktycznie ślepe... Francuz nie mógł go przestraszyć, wyskakując mu pod kopyta... To wykluczone.

Szef Ahnenerbe wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Tego konia nie spłoszył więzień – wskazał słońce, które rozświetlało arenę – ale światło. Skacząc, Francuz po prostu zerwał mu okular.

Zaskoczony i zawstydzony tak prostym wyjaśnieniem pułkownik dał upust gniewowi.

– Tak łatwo się nie wymiga! Don Montalban, proszę wyprowadzić byka i psiakrew...

– Nie masakruje się człowieka, który zdołał pokonać śmierć – przerwał mu Weistort.

– Zatem chce go pan po prostu zabić?

– Proszę mi go dać.

Orsana wolał nie wiedzieć po co. Podczas wojny domowej widział, na co stać Niemców, bo Hitler przysłał ochotników, żeby wesprzeć frankistów... Ci fanatycy, którzy bez wahania bombardowali wieś, nie przejmowali się losem ludzi. Byli sprzymierzeńcami, owszem, ale sprzymierzeńcami, dla których życie przeciwnika nie miało żadnej wartości.

– A po co on panu, Oberführer?

Weistort pochylił ku niemu głowę:

– Proszę mi wierzyć, pułkowniku, lepiej, żeby pan się nigdy nie dowiedział...

Hiszpan spuścił głowę. Krążyły niesamowite pogłoski o torturach, jakim naziści potrafili poddawać wrogów. Katusze i sposoby zabijania wykraczały poza granice ludzkiej wyobraźni. A Orsana chciał spokojnie sypiać.

– Jest pański.

Nie dziękując, Weistort zszedł po stopniach na arenę. Piasek skrzypiał pod jego butami. Stał obok Tristana.

– Wymknąłeś się śmierci tylko po to, by wpaść w szpony diabła.

Londyn
Maj 1941

Lepki deszcz smagał Covent Garden. Jak po każdym bombardowaniu irytująca woń – mieszanka spalonego drewna i wilgotnego kamienia – przesączyła powietrze, ale londyńczycy przestali już zwracać na to uwagę.

W minionym tygodniu zniknęły trzy kamienice tuż przy Freemasons' Hall, który ocalał niemal cudem. Na pierwszy rzut oka budynek wyglądał jak kościół albo świątynia, ale uważny przechodzień zauważyłby dwa detale, które różniły go od budowli sakralnych. Pierwszy znajdował się na fasadzie – tarcza z cyrklem i węgielnicą. Drugim była data wygrawerowana na tabliczce: 1717. Rok oficjalnego powstania masonerii. W królestwie Albionu bracia się nie kryli, wykuwali swą potęgę w kamieniu i otwarcie jej dowodzili.

Na frontowej ścianie gmachu ciężkie drzwi z brązu pokrywającego się patyną od ponad wieku i grubsze niż kadłub pancernika zamykały wejście z zewnątrz. Zza murów nie dobiegał żaden dźwięk i można by pomyśleć, że to miejsce opustoszało, tak jak pobliskie ulice, a jednak wielka świątynia była wypełniona po brzegi. Był to dzień posiedzenia szacownej Wielkiej Zjednoczonej Loży Anglii.

– Ukochani bracia, nadszedł czas, by zakończyć spotkanie. Niech nasze myśli skupią się na braciach, którzy służą w RAF-ie19. Dzięki podziwu godnej odwadze wygrają bitwę o niebo nad Anglią.

Słowa księcia Kentu, ósmego wielkiego mistrza Wielkiej Zjednoczonej Loży Anglii, rozbrzmiewały w świątyni ogromnej jak pół boiska rugby, a wysokiej jak katedra. Siedząc w fotelu mistrza, równie majestatycznym jak królewski tron, spoglądał z góry na czterystu braci zajmujących miejsca przed nim, w dziesięciu rzędach ławek ustawionych w półkole. Wszyscy ubrani byli w czarne spodnie i marynarki oraz krawaty, a do pasa przypięte mieli masońskie fartuchy. Większość z nich, w zaawansowanym wieku, nie podlegała już mobilizacji. Młodszy bracia zgłosili się do armii i nie mogli uczestniczyć w posiedzeniu.

– Nie wiem, jak długo potrwa ta wojna, ale w końcu światło zatriumfuje nad mrokiem. Nazistowskie Niemcy skapitulują, a ich dzieciom nie pozostanie żadne źródło prócz własnych łez. – Arystokrata zamilkł na chwilę, po czym podjął grzmiącym głosem: – Dla Boga. Dla naszego umiłowanego króla. Rzekłem!

Siedzący w najdalszym rzędzie, tuż przy jednym z wewnętrznych wyjść, komandor Malorley poruszał ustami równocześnie z arystokratą. Znał tę mowę na pamięć. I nie bez powodu, ponieważ to on dwa dni wcześniej ją napisał. Człowiek z SOE odczuwał satysfakcję – księżę Kentu wspaniale wygłaszał swoje przemówienie. Może nawet poczułby dreszcz, gdyby potrafił uwierzyć w choć jedno słowo tego podsumowania. Propaganda szerzyła się nawet w łóżach... Nadzieja była luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić, jednak dla tak ciężko doświadczonych Anglików stała się nieodzowna.

– Baczość, bracia!

Arystokrata trzykrotnie klasnął. Czterystu braci wstało jak jeden mąż. Wyprostowani jak struny, z rękami na szwach spodni. Spotkanie dobiegło końca. Podwójne wewnętrzne drzwi świątyni otwały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i masoni zaczęli rzędami opuszczać salę.

Upłynął dobry kwadrans, zanim świątynia opustoszała. Malorley wyszedł jako jeden z ostatnich i dyskretnie skręcił w korytarz prowadzący do południowego skrzydła budynku, gdzie znajdowała się administracja Wielkiej Loży, o tak późnej porze już wyludniona. Przyspieszył kroku, czując na sobie srogie spojrzenia wielkich mistrzów loży, których portrety wisiały na pokrytych boazerią ścianach. Wszyscy byli arystokratami z najwyższych sfer, poczynając od świętej pamięci króla Edwarda VII. W królestwie angielskim masoneria zawsze stanowiła podporę panującego ładu i cieszyła się opieką dynastii panujących. Windsorowie nie naruszyli tej reguły: obecny władca Jerzy VI regularnie odwiedzał swoją lożę.

Malorley pchnął drzwi, za którymi znajdowały się pogrążone w półmroku schody, i szybko zbiegł po stopniach. Minutę później był już na zewnątrz, na Great Queen Street, która biegła wzdłuż gmachu Wielkiej Loży.

Okrążył, srebrzący się jak szyling księżyc wisiał nad opustoszałą ulicą. Mężczyzna poczekał, aż jego oczy oswoją się z mrokiem. Odkąd trwała wojna, Londyn co wieczór pogrążał się w ciemnościach i przechodniom pozostawało liczyć na bładą poświatę martwego satelity. Malorley smętnie patrzył na niebo. Dziesięć balonów zaporowych w ciszy kołysało się w ciemnościach. Fascynowały go te sterowce przymocowane za pomocą stalowych lin do dachów londyńskich domów. Uważano, że przeszkadzają nieprzyjacielskim samolotom zniżać się tuż nad ziemię, ale miały w sobie coś groźnego, były niczym wielkie owady, które w każdej chwili mogą wybuchnąć nad miastem.

Przyspieszył kroku i dotarł do granatowego rolls-royce'a zaparkowanego przy chodniku. Kierowca w liberii już czekał i na jego widok otworzył drzwi. Malorley się uśmiechnął – właściciel auta, Sebastian Moran, był zapewne jednym z ostatnich bankierów zatrudniających tak wystrojonego szofera.

Pochylił głowę i z elegancją zajął miejsce na siedzeniu z białej skóry. Mężczyzna o włosach koloru tapicerki siedział na wprost niego. Był żwawym sześćdziesięcioletkiem, miał bystre spojrzenie, a jego czoło przecinały trzy głębokie zmarszczki.

– Sebastianie, dlaczego chciałeś, byśmy wyszli ze świątyni osobno?

– Niektórzy bracia są, jak na mój gust, zbyt ciekawscy – odparł bankier. – Istne sroki...

Głos miał nieco chropowaty, ale taki twardy akcent był typowy dla osób pochodzących z Sussex.

Samochód ruszył, a potężny silnik pracował tak cicho, że ledwie słyszeli jego pomruk. Malorley podziękował za cygaro, które zaoferował mu bankier.

– A jak mowa wielkiego mistrza na zakończenie posiedzenia?

– Wspaniała... Pod każdym względem.

Malorley ze zrozumieniem skinął głową.

– W tej chwili niewielu uważa nas za wspaniałych, przynajmniej na kontynencie. Adolf i jego przyjaciele zatruwają życie naszym braciom. Dowiedziałem się, że we Francji marszałek Pétain przygotował ustawę, na mocy której masoni zostaną usunięci z administracji państwowej.

– Ubolewam nad tym, ale część francuskich masonów zbyt się upolitycyziła. Przyszło im drogo zapłacić za antyfaszyzm.

Rolls sunął niemal pustą arterią.

– Jesteś gotów do wystąpienia przed naszym małym komitetem? – podjął Moran.

– Tak. Mam nadzieję, że zdołam skuteczniej przekonać słuchaczy niż premiera.

– Mój drogi, nie można obwiniać Churchilla. I nie gwarantuję, że nasi członkowie okażą większe zrozumienie. Być może jednak dowiodą otwartości umysłu.

Brzegi Tamizy zasnuł przyprawiający o dreszcz woal mgły. Samochód ominął baterię dział przeciwlotniczych, które wpatrywały się w niebo ze środka ulicy.

Minęły dwie minuty, nim auto zaparkowało na Craven Street, przy na pół zburzonej stacji Embankment, tuż przed urokliwą fasadą kamienicy z szarego kamienia. Dwaj mężczyźni wysiedli z rollsa i weszli po schodach prowadzących do drzwi z ciemnego drewna. Malorley uniósł brew na widok tabliczki umieszczonej nad dzwonkiem. Widniała na niej nazwa: Prospero's Mansion.

– Prospero... Czyżby to było nawiązanie do Burzy Szekspira?

– Właśnie tak – odparł Moran. – Prospero, ten książę Mediolanu, wygnany wraz z córką Mirandą, trafia na zagubioną na morzu wyspę i spotyka przekłętą Kalibana. A potem Prospero staje się czarownikiem i mistrzem uroków. Doskonała sztuka.

Bankier uderzył w mosiężny dzwonek zawieszony na murze. Po chwili uchylił się judasz i zlustrowało ich badawcze spojrzenie.

– Przyszliśmy na przedstawienie, na jedenastą – powiedział Moran.

Drzwi otwarły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ukazał się w nich służący, który uklonił się im z szacunkiem.

– Oczekiwano na panów przybycie – oznajmił ceremonialnie, odbierając od gości pałta.

Obaj panowie ruszyli przez wspaniałą wiktoriański hol o ścianach pokrytych szkarłatnym welurem. Imponujących rozmiarów żyrandol, zdobiony kiściami czeskich granatów, dawał łagodne światło o ciepłych refleksach. Lokaj pchnął uchylone drzwi, wręczył bankierowi srebrny klucz i cofnął się, by ich przepuścić. Znaleźli się w biegnącym półkolem korytarzu, z którego wchodziło się do łóż zasłoniętych kotarami. Jak w teatrze. Szef wywiadu nadstawił ucha. Raz po raz rozlegały się krzyki i kłaśnięcia. Zwolnił, dochodząc do pustej łoży, której kotara była zsunięta, i zobaczył w dole małą scenę teatralną.

– Rzuć okiem, mój drogi – szepnął siwowłosa mężczyzna.

Malorley zrobił krok do przodu i stanął jak wryty na widok tego, co działo się niżej.

Dwie uzbrojone w szpicruty rude kobiety w gorsetach z czerwonej skóry i dopasowanych nagolennikach chłostały łysogo faceta z sumiastym wąsem, gołego jak nowo narodzone dziecko i trzymającego w dłoniach czaszkę.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytał zaintrygowany komandor.

Bankier ironicznie się uśmiechnął.

– Czyżby tajny agent Jego Królewskiej Wysokości dał się wprowadzić w błąd?

– Zajmuję się wywiadem, a nie obyczajówką, nie obchodzą mnie seksualne wybryki rodaków.

Uległy próbował wygłosić swoją kwestię między dwoma jękami. Potężniej zbudowana dziewczyna kopnęła go obcasem w plecy. Osunął się na ziemię na oczach podekscytowanych dręczycielek.

– Być albo nie być! – wykrzyknął Moran, który nie krył, że bawi go to widowisko. – Przecież to Hamlet! Akt trzeci, scena pierwsza: duński książę rozmyśla nad swym losem.

– Powinien raczej powiedzieć: cierpieć albo nie cierpieć – zadrwił Malorley. – Nie przypominam sobie, by scenografia sugerowała skłonności sadomasochistyczne.

Bankier położył palec na ustach.

– Czasami dwór Prospera prezentuje Szekspira w wersji nieco bardziej... erotycznej. Łoże, które widzisz, zajmują wielbicieli geniusza ze Stratford-upon-Avon, ale o mocno rozwiniętych skłonnościach erotomanów. Ten Hamlet to jeden z moich angielskich kolegów; należy do grona najbardziej wpływowych w City.

– A ja mam zabrać głos tuż po nim? W towarzystwie tych czarujących pańienek?

– Nie obawiaj się, nasze spotkanie odbędzie się w innej części teatru. Powiedzmy, że ze względów bezpieczeństwa nasz krąg za każdym razem spotyka się w innym miejscu. Ten lokal należy do członka łoży i tak się złożyło, że dziś zbieramy się właśnie tu.

Malorley z niecierpliwością czekał na spotkanie z członkami Kręgu Gordona, do którego należał jego brat z loży. To była jego ostatnia nadzieja. Wśród wpływowych grup intrygujących w stolicy krąg zaliczany był do najpotężniejszych. Jego nazwa była hołdem złożonym generałowi Charlesowi Gordonowi, bohaterowi wiktoriańskiej Anglii. Obdarzony przydomkiem Gordon Pasza, zmarł w Sudanie podczas wojny z Mahdim, nawiedzonym mistykiem, wodzem muzułmańskich plemion, poświęconym przez ówczesne władze brytyjskie ze względów politycznych. Skandal, jaki to wywołało, skłonił grupę przemysłowców, bankierów i wysokich rangą wojskowych do stworzenia grupy nacisku na rząd, by nie dopuścić do powtórzenia tak tragicznych błędów. Po cichu mówiło się, że właśnie Krąg Gordona popierał kandydaturę outsidera Churchilla na stanowisko premiera. Jego kontrkandydatem i faworytem był lord Halifax.

– Kazałeś zainstalować projektor? – spytał Malorley.

– Tak, nie martw się. A, jeszcze jedno... Nie przejmuj się grubiaństwem niektórych osób, to element tej próby.

Sebastian Moran wyjął klucz, gdy zbliżali się do zamkniętych drzwi, na których widniała wykrzywiona maska. Delikatnie je otworzył i obaj weszli do salonu, gdzie światło było przytłumione. Nie było tu też ani jednego okna.

Pomieszczenie było niskie, a sufit wspierały ustawione w równych odstępach kolumny doryckie. Jedenastu mężczyzn i jedna kobieta siedzieli przy owalnym stole. Za nimi, na trójnogu, ustawiono projektor kinowy z zapełnioną do połowy szpulą.

Bankier wraz ze swoim gościem zbliżył się do stołu.

– Drodzy przyjaciele, pragnę przedstawić wam komandora Malorleya, szefa wydziału działań psychologicznych SOE. Postanowił poświęcić swój cenny czas, by podzielić się z nami informacjami, oględnie rzecz ujmując... szczególnie. Proszę, byście wysłuchali go z uwagą.

Malorley powitał zebranych. Część z nich znał z widzenia. Po prawej rozpoznał sir Alana Lascellesa, osobistego sekretarza króla, Clementa Attlee, lorda tajnej pieczęci, generała Francisa Brooke'a, dowódcę wojsk obrony terytorialnej. Po lewej siedziała sześćdziesięcioletnia pani o kruczoczarnych włosach, lady Beltham, czwarta w gronie najbogatszych obywateli Anglii, a u jej boku admirał Cunningham. Sześciu pozostałych osób nie znał.

Do tego grona dołączył król Jerzy VI, a przynajmniej jego portret wiszący na jednej ze ścian. Władca spokojnie przypatrywał się zebranym w salonie.

Malorley podszedł do białego ekranu na ścianie na wprost stołu, a Sebastian Moran włączył projektor. Światła w salonie przygasły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Najpierw rozbrzmiało ciche mruczenie. Wiązka białego światła padła na ekran, a oficer przesunął się nieco w bok, by go nie oślepiła.

Jego niski głos dźwięczał w półmroku:

– Informacje, które zamierzam dziś państwu przekazać, mogą podważyć państwa przekonania dotyczące tej wojny. To, co usłyszycie, nie znalazło się w żadnym raporcie sztabowym i nigdy nie będzie przedmiotem żadnego pisemnego komunikatu. To informacje z natury nieprzeznaczone dla społeczeństwa. Zaprzeczę, że powiedziałem cokolwiek z tego, co tu usłyszycie, gdyby ktoś z was niebacznie je przywołał.

W półmroku ledwie widział twarze zebranych. Podjął już głośniej:

– Przed dwoma laty Reichsführer Himmler wysłał do Tybetu ekspedycję. Była to wyprawa naukowa pod kierunkiem etnologa SS Ernsta Schäfera. Znaleźli...

Barcelona
Gran Hotel
Maj 1941

Drzwi były zamknięte na klucz, mógł jednak otworzyć okno. Ale wysokość skutecznie zniechęcała do podejmowania prób ucieczki. Po miesiącach spędzonych w celi Montjuic Tristan nie mógł uwierzyć, że przetrzymują go w pokoju z woskowanym parkietem, gdzie codziennie zmieniana jest pościel. Co rano skromna Hiszpanka przychodziła ze spuszczoneymi oczyma i zamkniętą buzią, by zasłać łóżko, jakby był ważnym gościem. Łącząc fakty, Tristan doszedł do wniosku, że sprowadzono go do hotelu dominującego nad miastem, jednego z tych gmachów wzniesionych na przełomie wieków i goszczących przed wojną całą kosmopolityczną śmietankę towarzyską Europy. Jak na ironię, dziś w tym hotelu zagościła SS, a wielka flaga ze swastyką powiewała nad wejściem. Tam gdzie kiedyś krążyli tragarze i windziarze, teraz stali wartownicy w czarnych mundurach, nieruchomi i obojętni jak posągi.

Już od pięciu dni tkwił w tym pokoju, jakby o nim zapomniano. Zdążył zapamiętać każdy detal tapety, wpatrywał się w migotliwe światło słoneczne padające na stiuki sufitu i niebieską linię morza na horyzoncie. W rzeczywistości Tristan doskonale wiedział, że o nim nie zapomniano. Nie, dano mu czas, by miotał się między obawami i nadzieją, czekano, aż dojrzeje do pierwszego przesłuchania. Miał wrażenie, że naziści tracą czas po to, aby ostatecznie na nim zyskać. Żeby nie pozwolić swemu umysłowi na bezsensowne dywagacje w chwilach paniki i lęku, Tristan wyciągał się na łóżku i wspominał muzea, które niegdyś zwiedzał. Dwa dni zajęła mu wędrowka po ważniejszych galeriach Luwru, jeden dzień po madryckim Prado (trzeba przyznać, że zwiedzał je niemal biegiem w ogniu wojny domowej), a od wczoraj skupił się na galeriach florenckich.

Właśnie podziwiał pewien szczegół – lśniąca czerń zbroi – Bitwy pod San Romano Paola Uccella, kiedy drzwi się otwarły, a o podłogę stuknęły podkute buty wartownika. Po chwili Tristan znalazł się w korytarzu. Sprowadzono go po szerokich schodach wiodących do salonów.

Zamiast głębokich kanap i stolików karcianych mrowie sekretarek jasnowłosych jak walkirie gorączkowo stukało na maszynach do pisania albo piskliwymi głosami odpowiadało na telefony. Najwyraźniej dawny luksusowy hotel stał się newralgicznym punktem

niemieckich sił w Barcelonie. Tristan szedł przez ogromne pomieszczenie pośród całkowitej obojętności: mechanizm nazistowskiej wojny działał pełną parą i nic nie mogło uszkodzić najdrobniejszego trybiku tej maszyny.

– Stać!

Francuz zatrzymał się przed oknem weneckim wychodzącym na ogród bukszpanowy. Zbliżał się wieczór i na niebie malowały się już delikatne pasma w odcieniach pomarańczy. Ta niezwykła subtelność kontrastowała z mrowiskiem, które huczało za jego plecami. Wrócił myślami do wspomnienia, które ożywił – Bitwy pod San Romano, gdzie na pierwszym planie, w niesamowitym chaosie, widać walczących na śmierć i życie rycerzy; ale dalej, pośród bukolicznych pejzaży, pojawiają się biegnące zające i charty. Tristan nie potrafił pojąć, jak malarz mógł umieścić tuż obok siebie scenę wojenną i ten obraz harmonii. Teraz już rozumiał. Zło może doskonale współistnieć z pięknem.

Pomiędzy nim a niebem pojawił się cień. To wyrwało Tristana z zadumy. Dwa kroki od niego stał oficer, który zabrał go z areny. Zamiast budzącego taki strach czarnego munduru nosił elegancki garnitur podróżny, jakby przed chwilą zameldował się w hotelu. Mimo cywilnego ubrania strażnik zwrócił się do niego zgodnie z wojskową nomenklaturą:

– Panie Oberführer, oto więzień.

Weistort odprawił go bez słowa i ruszył w stronę ogrodu. Tristan poszedł za nim do stolika, przy którym esesman usiadł. Park schodził tarasami do krętej drogi, która wiodła do miasta i nad morze. Z daleka Barcelona wydawała się nietknięta. Tylko kilka ciemnych wyrw pomiędzy domami przypominało o zaciekłości ulicznych walk. Weistort zwrócił spojrzenie w inną stronę, na dębowy las, który porastał zbocza.

– Lasy są dla mnie inspiracją. Lubię na nie patrzeć, wdychać ich woń, wsłuchiwać się w ich głos. W Niemczech lasy są królestwem nocy. Światło nie przenika przez gęste świerki, a w mroku wciąż ukrywają się dawni bogowie. – Wyciągnął rękę, wskazując kapliczkę z krzyżem z omszałego drewna wznoszącą się w głębi ogrodu. – Jak wierzyć w boga tak głupiego, że skończył na krzyżu? Ale nadeszły nowe czasy i wkrótce nowy krzyż zdominuje świat, by zaprowadzić porządek i potęgę.

– Nie jestem pewien, czy mieszkańcy Guerniki po doświadczeniu waszej potęgi pod postacią bomb, które zrównały z ziemią ich miasto, podzielają pańskie upodobanie do porządku.

– To historyczny szczegół, o którym nikt nie będzie pamiętał – odparł Weistort. – Tak jak o panu, jeśli zechcę.

Otworzył leżącą na stole czerwoną teczkę o zagiętych rogach i pochylił się nad kartkami maszynopisu opatrzonego licznymi adnotacjami na marginesach.

– Sędzia, który przesłuchiwał pana w Montjuic, wykonał dobrą robotę. To dziwne, bo jest Hiszpanem. Widzę, że władza pan kilkoma językami, w tym niemieckim. Studiował pan

w Paryżu?

– Mam licencjat z historii sztuki.

– Tak, ze specjalizacją z dawnego malarstwa. Widzę, że zajmował się pan Paolem Uccellem. Zapewne wie pan, że jego najwybitniejsze dzieło, Bitwa pod San Romano, zostało podzielone na trzy części?

– Tak. Jedna jest w Paryżu, druga w Londynie, a trzecia we Włoszech.

– Wkrótce Rzesza otworzy w Berlinie największe muzeum świata. Pracuje już nad tym Albert Speer. I nie wątpię, że ten wspaniały obraz w całości trafi właśnie tam. Przecież okupujemy Paryż, a wkrótce przyjdzie kolej na Londyn.

Tristan przerwał mu, wtrącając spokojnie:

– Być może. Obawiam się jednak, że wasz przyjaciel Mussolini nie odda wam w prezencie fragmentu znajdującego się we Florencji.

– Duce! Jak dotąd nie zdołał bez naszej pomocy pokonać nawet Greków. Nie ma cienia wątpliwości, że za oszczędzenie mu takiego upokorzenia z radością podaruje Niemcom skarby sztuki, których zapagniemy.

– Coś w rodzaju trybutu...

– Trybutu opłaconego krwią. Ale to pana przerasta, pan tropi dzieła sztuki jak zwierzynę łowną, żeby sprzedawać je za ogromne pieniądze bogatym kolekcjonerom. Idę o zakład, że w większości to Żydzi.

– Nie pytam klientów, czy są obrzezani czy ochrzczeni, tylko czy kochają sztukę.

– I czy są skłonni słono za nią płacić, bo według pana wszystko jest na sprzedaż i wszystko można kupić. Tak, jest pan myśliwym w świecie dzieł sztuki, najemnikiem na tym polu.

– Najemnikiem w służbie sztuki – poprawił Tristan.

Weistort zamknął teczkę. Czas na potyczki słowne dobiegł końca, teraz musiało dojść do walki zapaśniczej.

– Ale każdy najemnik ma swoją cenę. I właśnie dlatego pan się tu znalazł. Chcę zaproponować panu pewną transakcję.

Mimo zaskoczenia Tristan wciąż patrzył w dal, w stronę otaczającego ogród żywopłotu. Chwilami nad nienagannie przyciętym bukszpanem pojawiał się szary hełm i słychać było stukanie żołnierskich butów. Nawet w tym urokliwym parku trudno mu było zapomnieć, że jest w więzieniu.

– Kilka dni temu Heinrich Himmler złożył oficjalną wizytę w Hiszpanii. Skorzystał z okazji, by udać się do klasztoru Montserrat.

– Nie wiedziałem, że dowódca SS tak ceni życie duchowe...

Weistort zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Ale spotkała go przykra niespodzianka, nie znalazł bowiem tego, po co przyjechał. Otóż wydaje mi się, że na krótko przed wizytą Reichsführera pan również uległ nieodpartej chęci udania się do tego opactwa.

Tristan postanowił odpowiedzieć w tym samym tonie:

– Podobnie jak Reichsführer, ja również korzystam z każdej okazji, by się uczyć.

– A jak wiadomo, dużo lepiej uczyć się nocą, w towarzystwie uzbrojonych przyjaciół, nieprawdaż?

– Hiszpania nie jest obecnie zbyt bezpieczna.

– A ten kustosz? Domyślam się, że ukrzyżowaliście go, ponieważ był kiepskim przewodnikiem?

W pojedynku na florecie przegrywa zawsze ten, kto nie potrafi się w porę zatrzymać. Tristan postanowił zrezygnować z riposty w tym pojedynku na ironię.

– Jeżeli to aluzja do klasztornego skarbu, to już pan wie, że został w całości przekazany władzom republikańskim. To było tuż przed klęską. Nic z niego nie zostało.

Weistort spokojnie strzepnął pyłki z jednego rękawa garnituru, potem z drugiego i po chwili podjął:

– Widzi pan, Reichsführera nie interesują ani monstrancje, ani krucyfiksy, a tym bardziej relikwiarze. Natomiast pasjonuje go malarstwo. Wiedział pan o tym?

Stosunek nazistów do sztuki był ambiwalentny. Hitler, który w młodości nie dostał się do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, uznał wszystko, co namalowano, narysowano lub wyrzeźbiono po jego przyjsciu na świat, za sztukę zdegenerowaną. Na przykład Monet i Picasso byli malarzami zdegenerowanymi, niegodnymi miejsca w muzeum. Ten wydany z wściekłości wyrok absolutnie nie przeszkadzał niektórym nazistowskim dygnitarzom w rozwijaniu kolekcjonerskich pasji i gromadzeniu dzieł impresjonistów albo kubistów.

– Jak marszałka Göringa, wielkiego kolekcjonera cudzych dzieł?

Weistort pozwolił sobie na uśmiech. Dowódca Luftwaffe słynął z gorączkowego ograbiania muzeów na ziemiach podbitych. W oczach esesmanów ta pazerność była haniebna.

– Reichsführer, w przeciwieństwie do Göringa, ma bardzo określone upodobania estetyczne. W tej chwili interesuje go obraz, który znajdował się w Montserratcie. Ale teraz proszę raczej spojrzeć na ten zachód słońca! Rozpaliło cały las. Cóż za piękno! Kojarzy mi się ze średniowiecznymi iluminacjami. Można by niemal uwierzyć, że lada chwila pojawią się rycerze Okrągłego Stołu.

Tristan uprzejmie pokiwał głową. Uznał, że nie warto wyjaśniać rozmówcy, że poszukiwanie Graala, zanim stało się mitem uniwersalnym, było francuską powieścią rycerską; z pewnością natychmiast wskazałby niemiecką legendę – jedyne prawdziwe źródło arturiańskich inspiracji.

– Jeśli chodzi o malarstwo, to osobiście najbardziej cenię średniowieczne miniatury – podjął Weistort. – Lubię ich naiwność, niewinność, te panny z utrefionymi włosami i ich rycerzy w złotych zbrojach...

– Choć zajmowałem się tą epoką, bardziej wzruszają mnie dzieła renesansu. Może dlatego, że miarą wszystkiego jest w nich człowiek.

– Są ludzie i ludzie. Nie wszyscy są tyle samo warci. Jestem zresztą przekonany, że wielcy artyści, którymi chlubi się Italia, byli Aryjczykami. Właściwie należałoby podjąć badania genealogiczne i ustalić pochodzenie tych wybitnych malarzy. Ahnenerbe mogłoby się tym zająć...

Weistort wyobraził sobie twarz Duce, tę jego kanciastą czaszkę, gdyby oznajmiono mu, że Leonardo da Vinci i Michał Anioł byli pochodzenia germańskiego!

– Reichsführera pasjonują drogi krzyżowe i miał nadzieję ujrzeć tę z Montserratu. Wyobraża pan sobie jego rozczarowanie, gdy usłyszał nieszczęsną wieść, że już jej tam nie ma...

– Zabieraliśmy tylko cenne przedmioty ze złota, kamieni szlachetnych czy kości słoniowej. Jeśli chodzi o obrazy wchodzące w skład drogi krzyżowej, nie ruszyliśmy ich po prostu dlatego, że nie miały żadnej wartości. Anonimowe dzieła artysty, którego nikt nie znał. Jeżeli mnisi twierdzą, że je ukradliśmy, to kłamią.

– Prawdę mówiąc – podjął ugodowym tonem Weistort – opat nie twierdzi, że ukradziono mu obrazy. Powiedział, że to pan ukradł jeden obraz.

Tristan nie zaprzeczył. Czasami, jak w szachach, kiedy jest się w złym położeniu, lepiej poczekać na następny ruch.

– Nawiasem mówiąc, opat Montserratu jest bardzo precyzyjny. Zabrał pan obraz. Tylko jeden. Domyślam się, że to dzieło pana urzekło, ale może pobrał pan w tej formie swój procent?

– Równie dobrze jak ja wie pan, że ten obraz jest bezwartościowy.

– Owszem, nie ma żadnej wartości artystycznej. Dlaczego więc go pan wziął?

– Intuicja estetyczna...

Na twarzy Weistorta pojawił się dziwny uśmiech.

– A zatem w Montserracie, mając przed oczyma tyle piękna gromadzonego przez stulecia, nie zdołał się pan oprzeć i uległ starym demonom? I spośród wszystkich tych pokrytych grubą warstwą kurzu przedmiotów wybrał pan zupełnie przypadkowy?

Tristan pokręcił głową.

– Nie, to nie był przypadkowy wybór. Droga krzyżowa składała się z dwunastu malowideł, a ja wybrałem to, które przedstawiało górę Montserrat. To swego rodzaju pamiątka.

Szef Ahnenerbe klasnął w dłonie. Pojawił się żołnierz.

– Powiadom straże, schodzimy.

Weistort wstał i ruszył w dół ogrodu. Tristan poszedł za nim.

– W swych najlepszych latach ten hotel był świadkiem szalonych nocy hiszpańskiej Belle Époque. Przyjeżdżano tu z całej Europy, żeby się bawić, żeby się pokazać. Spotykało się tu bogatych przemysłowców, zrujnowaną szlachtę, zaprawione w bojach kurtyzany, hazardzistów... Ale o reputacji tego luksusowego hotelu nie przesądziły łoża głębokie jak alkowy, jak by powiedział jeden z waszych dekadencjonalnych poetów, ani stoliki do diabelskich gier. Nie. Rozsławiła go piwnica.

Doszli właśnie do ostrołukowych drzwi, których strzegło dwóch żołnierzy w mundurach polowych.

– Mówi się, że hotel wybudowano na wzniesieniu, żeby wykuć w skale najdoskonalszą do przechowywania win piwnicę. Zresztą sam pan się przekona.

Jeden z wartowników otworzył drzwi i wziął pochodnię. Powietrze było przesiąknięte zapachem żywicy.

– Ostatni dyrektor kazał zainstalować oświetlenie elektryczne w tej piwnicy. To anachronizm, a co gorsza, herezja. Oczywiście zdemontowaliśmy je. Nawiasem mówiąc, mrok znacznie bardziej sprzyja naszym działaniom.

Blask płomienia rozświetlił tysiące kryształków kwarcu na sklepieniu wykutym w doskonały łuk. Tristan zrozumiał, dlaczego to miejsce podoba się Weistortowi: przypominało podziemia średniowiecznego zamku. Wchodząc tu, oczekiwało się, że nagle zabłysną zbroje, a ze ścian wysuną się włócznie.

– Jeżeli szuka pan butelek – oznajmił Oberführer, pokazując puste miejsca wzdłuż ścian – to się pan rozczaruje. W hotelu był kiedyś szpital wojskowy, a długa wizyta w piwnicy stała się częścią samowolnie ułożonego programu rekonwalescencji żołnierzy.

Szli po miękkiej warstwie piachu, który skrzypiał pod butami.

– Natomiast piasek nie ma nic wspólnego z przechowywaniem wina. To ja kazałem go tu rozsypać. Odciska się w nim każdy krok, każda podeszwa. Kiedy stąd wychodzę, zawsze jest wyrównywany. Czasem robi się to kilka razy w ciągu dnia. Gdyby ktoś się tu zakradł...

Tristan ze zdziwieniem patrzył na wysokie metalowe skrzynie bez butelek. Po co ta ostrożność? Tu już od dawna nie było niczego, co można by ukraść.

– Żeby stworzyć optymalne warunki przechowywania najlepszych win, w piwnicy należy utrzymać stały chłód i dlatego właściciele hotelu wykopali tu studnię.

Weistort wyciągnął rękę. W głębi piwnicy Tristan zobaczył wysoką cembrowinę z kamieniami rzeźbionymi jak gargulce. Zaskoczony podszedł do niej, ale studnię przykryto grubą kamienną płytą podziurawioną jak sito.

– Czy pan wie, że w średniowieczu cech studniarzy, którzy kopali i czyścili studnie, był podejrzewany o czary? Nikt nie zapuszcza się bezkarnie pod ziemię. Studnia to często otwarte drzwi do piekieł.

Wartownik odłożył pochodnię i za pomocą kołowrotu uniósł ciężką płytę zamykającą studnię.

– Od niepamiętnych czasów ludzie bali się studni, tego oka patrzącego z głębiny, obserwującego ich.

– Ten strach już nie istnieje.

– Tak pan sądzi? Więc proszę spojrzeć!

Ledwie Tristan pochylił się nad kamienną cembrowiną, zaraz cofnął się przerażony. Wzdłuż ściany, uczepieni wystających kamieni, ludzie wisieli nad przepaścią jak muchy w pajęczej sieci.

– Nawet już nie krzyczą – powiedział Weistort – tak bardzo boją się stracić resztkę siły i runąć w otchłań.

– Kim są ci ludzie?

– To Niemcy, zdrajcy, którzy przyłączyli się do republikanów. Większość to komuniści, przyjechali do Hiszpanii, żeby się szkolić. Ich informacje i kontakty mają dla nas ogromne znaczenie, pomogą rozbić ich tajne struktury w Niemczech.

Jeden z więźniów z coraz większym trudem trzymał się ściany. Tristan zauważył, że na jego огоłonej głowie wytatuowano numer.

– Dwudziesty ósmy – przeczytał Weistort. – Był już dwukrotnie przesłuchiwany, nic więcej nam nie powie.

Wartownik podszedł do kołowrotu, żeby stopniowo zamknąć studnię.

– Opuść płytę gwałtownie – rozkazał Oberführer.

Żołnierz wykonał rozkaz. Rozległ się potworny huk.

A zaraz potem przeraźliwy krzyk.

Mężczyzna w studni puścił kamienie.

Weistort chwycił Tristana za ramię.

– Może teraz zechce mi pan powiedzieć, gdzie jest ten obraz?

Londyn

Prospero's Mansion

Krąg Gordona

W sali panowała głęboka cisza. Członkowie Kręgu Gordona uważnie wpatrywali się w obrazy przesuwające się po ekranie.

Jasnowłosi, uśmiechnięci Europejczycy siedzieli na ziemi przy niskim stole wraz z tybetańskimi mnichami. Ktoś dokonywał pomiaru czaszki rozbawionej wieśniaczki. Pomędzy tymi scenami pojawiały się ośnieżone szczyty i karawana wędrująca po krętej drodze na dużej wysokości.

– Przypominam sobie – krzyknął lord tajnej pieczęci. – Wyprawa Schäfera... O ile mnie pamięć nie myli, podejrzewano Niemców o nawiązanie kontaktów politycznych z rządem tybetańskim. Żeby powstrzymać nas na granicy Indii.

– Pańskie informacje są prawdziwe, ale częściowe – powiedział Malorley. – Po wyjeździe Schäfera regent królestwa, Rinpocze, skontaktował się z naszym agentem w Lhasie. Wpadł w panikę. Według niego naziści nadużyli jego zaufania i wykradli bezcenny dla jego narodu talizman.

Na ekranie pojawił się nowy obraz. Była to rzeźba, posąg wysokiego mężczyzny o azjatyckich rysach twarzy trzymającego w rękach swastykę.

– Swastyka z Kandziuru – podjął Malorley. – Miała zapewniać stabilność świata i dawać wiedzę o wszystkim. Niemcy ją ukradli, zamordowali mnichów, którzy jej strzegli, i wysłali ją do Berlina. Miało to nieprzewidziane konsekwencje...

Pojawiły się nowe obrazy.

– Co za potworność! – krzyknęła lady Beltham.

Byli to dwaj ludzie w szpitalnych łózkach. Ich zmaltretowane twarze wyglądały jak po poparzeniu kwasem. Epiderma odpadała płatami, włosy zniknęły, odsłaniając postrzępioną skórę na czaszkach, po oczach pozostały bezkształtne kraterzy, a nosy dosłownie się rozplynęły.

– To zdjęcie, wykonane w berlińskim szpitalu wojskowym, zdobył jeden z naszych agentów. Pięciu esesmanów, którzy konwojowali świętą swastykę, zapadło na tajemniczą chorobę. Z raportów medycznych wynika, że ich organizmy wyniszczały się od wewnątrz. Biedacy zostali poddani eutanazji, a ich zwłoki natychmiast skremowano. Ale najbardziej

szokujące jest to, co znalazło się w jednym z raportów: otóż ci esesmani zostali napromieniowani przez energię, która zgromadziła się prawdopodobnie w swastyce.

– Substancja radioaktywna? – zapytał dowódca wojsk obrony terytorialnej.

– Nie, panie generale – zaprzeczył Malorley. – Proszę, by zechciał pan uważnie posłuchać: niemieccy lekarze zaznaczyli w raporcie: „energia nieznanego rodzaju, tysiącrotnie silniejsza od radioaktywności”.

W salonie znów rozległy się szepty. Malorley poprosił o ciszę i podjął:

– Swastykę następnie wysłano do Wewelsburga, prywatnego zamku Himmlera. To forteca nie do zdobycia. Przejęcie swastyki nastąpiło w marcu 1939, pół roku przed inwazją na Polskę, czyli przed wybuchem wojny.

Lady Beltham znów zabrała głos. Wydawała się mocno skupiona na tym, co mówił Malorley:

– Czegoś w pańskiej opowieści nie rozumiem. Skąd Niemcy wiedzieli o istnieniu tego talizmanu?

Malorleyowi twarz się zasepiła. Bolesne wspomnienia wracały na powierzchnię, wpełzały z zakamarków, w które je zepchnął. Dał Sebastianowi znak, żeby znów uruchomił projektor. Na ekranie pojawiła się postać średniowiecznego króla – brodatego, o zuchwałym spojrzeniu.

– Wpadła im w ręce księga uważana za legendarną, Thule Borealis Kulten. Została skradziona berlińskiemu księgarzowi. To napisane w średniowieczu dzieło należało ponoć do cesarza Fryderyka Barbarossy. Potem zaginęło. Opowiada dziwną historię z dawnych czasów, znacznie przed starożytną Grecją, a nawet przed wzniesieniem piramid. Mityczny kontynent Hiperborea, kolebka tak zwanej rasy aryjskiej, miał ulec zniszczeniu na skutek postępującego zlodowacenia. Tamtejszy lud rozproszył się po innych kontynentach, natomiast władcy, których było czterech, ukryli w różnych miejscach insygnia swej mocy. Cztery swastyki będące symbolami żywiołów: wody, powietrza, ziemi i ognia. I właśnie jedną z nich, czczoną przez Tybetańczyków, mieli odnaleźć w roku 1939 naziści.

Ekran zgasł, projektor już nie pracował. Malorley wyjaśnił:

– Thule Borealis Kulten dostarcza precyzyjnych wskazówek co do miejsca, gdzie ukryto artefakty.

Głos zabrał admirał:

– Mówi pan poważnie, komandorze? Słuchając pana, można pomyśleć, że ta tybetańska swastyka ma... magiczną moc. Czyżby mogła przekonać Hitlera do wszczęcia wojny?

– Nie posuwałbym się do mówienia o magii – odparł oschle Malorley. – Nie wierzę w takie rzeczy, odkąd nauczyłem się samodzielnie wkładać spodnie. Jednak mój zawód zmusza do brania pod uwagę wszelkich hipotez. Nawet najbardziej niewiarygodnych. Jestem przekonany, że w ręce Niemców wpadł potencjalnie niebezpieczny przedmiot, który miał

ewidentny wpływ na wywołanie wojny. A problem polega na tym, że jeszcze trzy inne są nie wiadomo gdzie.

Admirał Cunningham uniósł brwi i odparł lekceważącym tonem:

– Przed wojną dwukrotnie odwiedzałem Niemcy na zaproszenie naszego ambasadora: raz podczas igrzysk olimpijskich, a rok później uczestniczyłem w rozmowach bilateralnych. Spotkałem się z moimi odpowiednikami z Kriegsmarine, miałem też okazję rozmawiać z generałami z Wehrmachtu. To ludzie, którzy mocno stąpają po ziemi w swojej cholerniej Rzeszy. Mówili o czołgach, bombowcach i stali, ale nie o czarach i księgach zaklęć.

– Z całym szacunkiem: po prostu nie spotkał pan właściwych osób...

– Co pan ma na myśli?

Malorley spojrział na bankiera, potrzebując jego wsparcia. Zobaczył przyjazny uśmiech. Podjął:

– Przepraszam, wyraziłem się niezbyt precyzyjnie. Mówiąc o Niemcach, nie myślałem o oficerach armii ani o większości wyższych urzędników nazistowskich, ale o niektórych dygnitarzach, zarazem pragmatycznych i skłonnych przyjąć wierzenia z dawnych epok.

– Albo powiedział pan za dużo, albo zbyt mało. Proszę to dokładnie wyjaśnić – włączyła się lady Beltham.

Malorley spodziewał się niedowierzania. Dał znak bankierowi, który znów włączył projektor.

W sali panowała głęboka cisza. Członkowie Kręgu Gordona uważnie wpatrywali się w obrazy przesuwające się po ekranie.

– Aby przybliżyć problem, opowiem o ezoterycznym nurcie, który wywierał wpływ na partię narodowosocjalistyczną od chwili jej powstania. Proszę uważnie przyjrzeć się rysunkowi na ekranie.



– To herb Thule Gesellschaft – podjął Malorley. W sali panowała głęboka cisza; członkowie Kręgu Gordona uważnie wpatrywali się w obrazy przesuwane się po ekranie. – Było to tajne stowarzyszenie, które powstało w Niemczech w roku 1919, rok po kapitulacji. Proszę zwrócić uwagę na symbol za rękojeścią sztyletu: krzyż słoneczny, a raczej swastyka o lekko zakrzywionych ramionach. Do Thule należeli arystokraci, burżuazja, filozofowie i rozgoryczeni klęską Niemiec wojskowi. Winą za tę klęskę obarczali komunistów, Żydów i masonów, w żadnym stopniu zaś nie winili niekompetentnych generałów. Nie były to szczególnie oryginalne poglądy, dominowały w kręgach ówczesnych nacjonalistów, w tak zwanym Germanorden. Tym, co różniło Thule od innych organizacji völkisch, był niezwykle silny ezoteryzm. Wszyscy członkowie fascynowali się okultyzmem, mistycyzmem i uczestniczyli w pogańskich rytuałach.

Uniosła się ręka.

– Co rozumie pan przez völkisch?

– Chodzi o nacjonalistyczne grupy, które powstawały w całych Niemczech w drugiej połowie XIX wieku i głosiły nacjonalizm zabarwiony ksenofobią. Uważały, że jedność narodowa może zrodzić się tylko dzięki świadomej germańskości, która jest podstawowym czynnikiem rasowym.

Na ekranie pojawił się tymczasem nowy rysunek: jasnowłosy wojownik z toporem w ręce szykował się do walki z niedźwiedziem polarnym.

– Powróćmy do grupy Thule. Według jej członków ponad sto tysięcy lat temu żyła rasa wyższa, biała, zamieszkująca legendarny kontynent usytuowany na biegunie północnym. Ten kontynent nazywał się Hiperborea. Rasa borejska. Według ideologii Thule inne rasy niższe,

nie białe, Murzyni i Żydzi, zbuntowały się przeciwko rasie borejskiej i zamierzały ją wyeliminować. Zgodnie z tą wizją świata historia ludzkości sprowadza się od tysiącleci do bezwzględnej walki między rasami. A oczywiście to Aryjczycy mają panować nad innymi, choćby musieli wyniszczyć podludzi. Czy to państwu coś przypomina?

– Legendę z tej pańskiej książki, Borealis coś tam – odparł słuchający pilnie generał Brooke.

– Przywódcy Thule uznali, że potrzebują poparcia ludu, by sączyć jad. Stworzyli fasadową strukturę polityczną, Niemiecką Partię Robotników. Znamy ją pod inną nazwą...

W sali rozległ się szmer.

– Narodowosocjalistyczna? – podsunął jeden z obecnych.

– Właśnie. I wtedy na scenę wszedł człowiek, którego dobrze znacie, niejaki Adolf Hitler. Wówczas był zwyczajnym zdemobilizowanym kapralem, samotnikiem, który jak miliony Niemców zmagał się z frustracją i wegetował w zrujnowanym kraju. Niewydarzony malarz bez grosza przy duszy, zgodził się zostać szpiclem wywiadu tego, co przetrwało z armii. W roku 1919 zwierzchnicy polecieli mu szpiegować grupkę agitatorów.

Po prawej stronie stołu rozbrzmiał męski głos, którego Malorley nie rozpoznał:

– Więc to nie Hitler założył partię nazistowską?

– Właśnie. Natomiast zwrócił na siebie uwagę talentem oratorskim. W niespełna pół roku z wtyczki przeistoczył się w charyzmatycznego lidera. Pod skrzydłami grupy Thule, która wbijała mu do głowy swoje chore wierzenia. Swastyka, pozdrowienie Sig Heil, wiara w rasę aryjską i jej świętą krew...

– A w ciągu kolejnych czternastu lat przeszedł metamorfozę: od malarza amatora do zawodowego dyktatora – wtrącił Sebastian Moran. – Doskonały model zmiany ścieżki kariery.

Pełne aprobaty szepty rozbrzmiały w sali. Malorley wiedział, że szala przechyliła się na jego stronę. Ale jeszcze nie wygrał.

Admirał rzucił zjadliwym tonem:

– A ten żaloszny wąż Führera... to też element ezoteryczny?

Zgromadzeni śmiali się pod nosem.

– Komandorze, o ile dobrze zrozumiałem – podjął admirał – usiłuje nam pan wytłumaczyć, że nazizm czerpie inspirację ze swoistego perwersyjnego mistycyzmu, a Hitler był marionetką w rękach bandy wariatów. Wydaje mi się, że to dość dziwaczna próba wyjaśnienia jego kariery. Gdyby nie był pan jednym z szefów SOE, już dawno opuściłbym to zgromadzenie.

– Uściślę swoją myśl. Rzecz jasna, Hitler doszedł do władzy dzięki splotowi wielu okoliczności, które były całkowicie racjonalne. Kraj poniżony klęską roku 1918, wyniszczony kryzysem gospodarczym, poddany zgubnej propagandzie... Hitler uzyskał

poparcie przemysłowców i wojskowych, a przede wszystkim potrafił wykorzystać mechanizmy systemu demokratycznego, żeby wyborcy wynieśli go do władzy. Nie, pragnę tylko, żeby dostrzegli państwo głęboki dualizm nazizmu. To nie tylko nurt polityczny, ale i religia. I jak każda religia, opiera się na wierzeniach, a jej przywódcy utożsamiają się duchowo i mentalnie z tą irracjonalną częścią. Jeżeli Hitler jest prorokiem nazizmu, to powiedziałbym, że pierwotną wersję jego biblii napisał ktoś inny. Chciałbym...

– Nie rozumiem, jak to wszystko miałyby nam pomóc w wygraniu wojny. Co pan sugeruje? Mamy wysłać oddział, który wymorduje przywódców tej sekty Thule?

Malorley znów pokręcił głową.

– Nie. Kiedy Hitler zaczął robić karierę, coraz bardziej dystansował się wobec tajnego stowarzyszenia, choć część ludzi z jego ścisłego otoczenia wciąż do niego należała, jak choćby Rudolf Hess, przywódca partii. A po dojściu do władzy w roku 1933 Hitler po prostu rozwiązał Thule. Teraz doszliśmy do istoty sprawy. Tu do gry włącza się groźna postać, człowiek, którego wszyscy znamy.

Ekran się ożywił, widać było nazistowską paradę: długie szeregi ludzi w czarnych mundurach, maszerujących sprężystym krokiem pośród nocy. Pochodnie oświetlały ich twarze. Mężczyzna w małych okularach, o twarzy przypominającej łasicę, pozdrawiał ich z satysfakcją ubrany w galowy mundur SS. Kamera zatrzymała się na nim.

– Himmler, w Niemczech najpotężniejszy i najgroźniejszy człowiek zaraz po Hitlerze. Zapewne jednak nie wiedzą państwo, że szef policji SS również zafascynowany jest okultyzmem, magią, pogańską mistyką. Nie należał do Thule, ale posunął się znacznie dalej, tworząc od zera SS i nadając jej strukturę zakonu rycerskiego. Z rytuałami, stopniami oraz wiarą w magiczne walory aryjskiej krwi, tej czystej, którą należy chronić. Himmler pała nienawiścią do Żydów i do chrześcijaństwa i pragnie przywrócić w całych Niemczech pogański kult. On i niektórzy inni dygnitarze partyjni, podobnie jak Hitler, nie rozumują tak jak my. Himmler jest uosobieniem dualizmu cechującego nazizm. Ten człowiek okazał się zdolny do utworzenia obozu w Dachau, a równocześnie do powołania instytutu Ahnenerbe Forschungs und Lehrgemeinschaft, którego zadaniem jest umacnianie okultystycznej wizji świata i wspieranie jej autorytetem poważanych uczonych. We dnie jego pasją są metody tortur z wykorzystaniem prądu, a wieczorami organizuje wyprawy na Kanary, by szukały Atlantydy.

– Co pan sugeruje? – zapytała lady Beltham. – Żebyśmy sfinansowali operację komandosów, którzy mieliby odzyskać tę przeklętą swastykę?

Admirał pokręcił głową. Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Sebastian Moran:

– Misja byłaby niewykonalna, ten przedmiot jest chroniony równie dobrze jak złoto w podziemiach Banku Anglii.

Malorley oparł się rękami o stół i powiedział spokojnie:

– Z najnowszych informacji wynika, że istnieje drugi taki obiekt, o identycznej mocy. I nie może wpaść w ręce nazistów. Byłoby to katastrofalne w skutkach.

– Gdzie może być? W Tybecie? – rzucił generał Brooke.

– Nie. W ubiegłym roku Heinrich Himmler udał się do Hiszpanii, a dokładniej do Katalonii, do klasztoru Montserrat, aby go zdobyć. Nie było go tam, jednak jego ludzie trafili na trop wiodący za Pireneje i obecnie prowadzone są poszukiwania w zamku na południu Francji. Trzeba za wszelką cenę przechwycić ten obiekt, bo jeśli zagarną go Niemcy, to obawiam się, że przyjdzie nam ostatecznie pożegnać się z wolnym światem.

– Jak dotąd nie dowiedzieliśmy się jeszcze, jaki charakter ma talizman wykradziony Tybetańczykom – rzucił szorstko admirał.

– To jest praca badaczy. Moim zadaniem jest odzyskać przedmiot kultu przed Niemcami. A w tym celu trzeba przekonać premiera o konieczności jak najszybszego wysłania tam oddziału. Dlatego właśnie zwracam się dziś do państwa.

– Żałosne... Groteskowe... – mamrotał admirał.

Głos zabrał bankier:

– Znamie mnie przecież, trudno znaleźć człowieka bardziej racjonalnego niż ja, jednak nie zwykłem w niczym zdawać się na przypadek. Tak zbudowałem fortunę. Trzeba pomóc komandorowi i przycisnąć premiera. Jeden oddział to drobiazg w skali toczącej się wojny.

Mężczyzna, który dotąd zachowywał milczenie, podniósł rękę, prosząc o głos. Tym człowiekiem był sekretarz króla Jerzego VI.

– Proponuję przejść do głosowania.

Castellón de Ampurias
Maj 1941

Przytłaczający cień katedry padał na mury jak ciemna chmura przed burzą. Dom Boży miażdżył wszystko swą kamienną masą. Pobliskie domy zdawały się klęczeć, zastygłe w modlitwie. Za zamkniętymi ze względu na upał okiennicami mieszkańcy śnili chyba koszmary, straszni wizjami krypt i gargulców. Tak czy inaczej, nikt nie ośmielił się wyjść na ulicę. Wóz pancerny, który poprzedzał konwój, posuwał się powoli. Czarna paszcza jego działka zdawała się obwąchiwać niczym psi nos każdą uliczkę, każdą fasadę, poszukując groźnej zwierzyny. Trzeba przyznać, że choć w Madrycie generał Franco świętował zwycięstwo nad swoim narodem, to nie miał jeszcze w ręku całej Hiszpanii. Oddziały partyzanckie wciąż trwały w pewnych rejonach Pirenejów i stamtąd podejmowały ataki na równinę. Oberführer Weistort nie wystawiał się na ryzyko. Od wyjazdu z Barcelony przemieszczał się po pełnych pyłu drogach gruntowych z ochroną. Samochód pancerny właśnie wtoczył się na plac. Czarna wieżyczka działka omiotła wszystkie zakamarki, zanim auta z kolumny odważyły się zaparkować przed katedrą. Trzasnęły drzwi, żołnierze wybiegli na pusty plac i zablokowali wszystkie wiodące do niego drogi.

– Teren zabezpieczony, panie Oberführer!

Weistort, i tym razem po cywilnemu, rozprostował długie ciało, jakby na drogę zamkniętego go w skrzyni. Mimo panującej w samochodzie ciasnoty jego garnitur był tylko nieznacznie pognieciony. Jednak esesman uważnie mu się przyglądał, wygładzając każde załamanie. Kiedy już skończył, rozejrzał się po placu i zatrzymał wzrok na typowo średniowiecznej fasadzie obok ratusza.

Muséo Gotico.

Tristan wysiadł z drugiego auta wraz z dwoma strażnikami. Pozwolili mu zrobić kilka kroków, jednak czuł ich spojrzenia na karku. Tam gdzie postrzał byłby tragiczny w skutkach.

– A więc to jest muzeum, w którym ukrywał się pan po upadku Barcelony? – zapytał Weistort, choć znał odpowiedź.

Francuz podszedł i wskazał palcem zakratowane okna z widokiem na plac.

– Tam był mój gabinet.

– Jak to się stało, że miejscowi pana zatrudnili? – spytał zdziwiony Weistort.

– Pojawiłem się tu pewnego ranka, powiedziałem, że byłem pracownikiem muzeum historycznego w Barcelonie i że upadek miasta zmusił mnie do tułaczki. Nie było tu żadnych lokalnych władz, mieszkańcy bali się grabieży, a ponieważ nie żądałem żadnej zapłaty poza jedzeniem...

– Jednak po trzech miesiącach przyznali panu prawdziwą pensję, a po sześciu podwoili ją.

– Ponieważ zwiedzających było niewiele, sporządziłem porządną, pełny katalog zbiorów.

Nie rozwiąło to wątpliwości Oberführera.

– Mogę uwierzyć, że zapłacili panu za tę pracę, ale już ta podwyżka...

– Powiedziałem im, że najcenniejsze eksponaty znajdujące się w muzeum to dary rodzin notabli miejskich. Wie pan, że archiwa potrafią mówić to, czego od nich oczekujemy. Toteż nazwałem poszczególne sale muzeum nazwiskami różnych rodzin, a to bardzo im schlebiało...

Twarz Niemca wykrzywiła się w uśmiechu. Doprawdy, pycha była największą wadą Hiszpanów.

Zatrzymali się przed drzwiami muzeum. Przerażony urzędnik natychmiast opuścił miejsce pracy, nie prosząc o żadne wyjaśnienia. W budynku unosił się zapach saletry przedostający się przez szpary w deskach podłogi. Zapach złowieszczy, jakby piwnice miały lada chwila pochłonąć stary budynek. Nie zwracając uwagi na rzymskie i średniowieczne eksponaty zgromadzone w witrynach, Weistort szedł do sali malarstwa. Dwie madonny karmiące bujną piersią dzieciątko Jezus sąsiadowały z portretami znamienitych nieznanym: przedwcześnie wyłysiałych, o wypomadowanych włosach. Pod pocerniałym werniksem ich wypisane wyblakłym już złotem nazwiska stawały się nieczytelne, znikwały. W samotnej, jakby zapomnianej w kącie witrynie wyeksponowano chaotycznie obrazy, które nie pasowały do żadnego cyklu. Portrety uduchowionych świętych, Chrystus z sercem roztaczającym promienie... Cała ta religijna zbieranina, której nie chciały nawet handlarz starzyzną.

– Jest!

Zadziwiająco białą dłonią szef Ahnenerbe wskazał niewielkich rozmiarów płótno, którego wyblakłe kolory nie przyciągały spojrzeń. Ukazywało górę w kształcie ściętego stożka i wznoszące się na niej mury oraz wieżę. Na niebie błyszczała biała pięcioramienna gwiazda, której mocno przesadzona wielkość zakłócała harmonię całości.

– Pozycja AF 133, „przypuszczalnie pejzaż Montserratu, artysta nieznan, data nieustalona” – oznajmił Tristan.

Usłyszawszy słowo „przypuszczalnie”, Weistort rzucił Francuzowi pytające spojrzenie. Tristan podszedł do ściany i zdjął inną rycinę w rozpadającej się ramie.

– To widok na Montserrat. Jak pan z pewnością zauważył, opactwo nie wznosi się na szczycie, ale w wyźłobieniu góry. Poza tym klasztoru nie otacza żaden mur.

– Co pan z tego wnosi?

– Że ten obraz nie przedstawia Montserratu, ale inne miejsce. I że to nie opactwo, tylko jakiś zamek. Proszę uważnie przyjrzeć się wieży, która wznosi się nad murami: jest blankowana. To nie dzwonnica, tylko baszta obronna.

– Potrafiłby pan określić wiek tego zamku?

Tristan skupił się na szczegółach.

– Nie jestem specjalistą od historii średniowiecza, ale w murach nie ma machikułów na górze, żadnego barbakanu, a wieże są bez flankowania. Czyli nie mamy tu żadnego porządnego systemu obronnego. Wydaje mi się, że obraz przedstawia castrum, zamek z XII albo XIII wieku.

– A to oznacza, że artysta, który go tak namalował, widział go na własne oczy?

Francuz pokręcił głową.

– Nie, bo chociaż nie udało mi się precyzyjnie określić czasu powstania obrazu, to maniera malarza, dobór kolorów... niewątpliwie namalowano go po roku 1500.

Weistort lubił zagadki. Uważał, że uczony, nawet jeśli nosi mundur, powinien pozostać badaczem. Uważnie wpatrywał się w obraz, żeby zweryfikować to, co powiedział więzień. Po chwili znów zapytał:

– Pańska hipoteza?

– To musi być kopia znacznie starszego obrazu albo rysunku. Na pewno średniowiecznego. Można założyć, że oryginalne dzieło przez dziesięciolecia ulegało zniszczeniu, więc wykonano jego kopię... A potem włączono ją do drogi krzyżowej. Być może po to, żeby nie przyciągało uwagi.

Podejrzliwy Oberführer obejrzał się, lecz strażnicy zostali przed wejściem do sali i nie mogli ich słyszeć. Znów skupił się na obrazie. Ten Francuz był nie tylko kompetentny, ale i pełen inwencji. Może nawet za bardzo.

– Czyli istnieje rysunek albo malowidło przedstawiające zamek z połowy średniowiecza i skopowane po stuleciach, a potem ukryte między stacjami banalnej drogi krzyżowej, tak?

Tristan pokiwał głową. Weistort potrzebował chyba przeformułować te informacje, żeby lepiej je przyswoić.

– A ten zamek... potrafiłby go pan rozpoznać?

– Może. Gdybym go zobaczył. Ale obrazu nie namalowano tak, żeby ułatwić rozpoznanie miejsca. Przeciwnie, ponieważ ani góra, ani mury czy wreszcie wieża nie wyróżniają się żadnym charakterystycznym detalem.

– Po co w takim razie ktoś miałby ukrywać ten pejzaż w cyklu drogi krzyżowej?

– Może trzeba go dokładniej zbadać...

Weistort delikatnie odsunął szybę, która osłaniała gablotę, i wyjął obraz, dbając, by dotykać go tylko od spodu i nie spowodować, że już spękany werniks odpryśnie. Widziana z bliska gwiazda znajdowała się dokładnie na osi wieży, natomiast na murach Weistort

dostrzegł teraz czarne paseczki, prawdopodobnie mające wyobrażać otwory strzelnicze. U podnóża muru góra wyglądała na wzmocnioną liniami kamiennych murów zabezpieczających drogę do zamku. Jednak oprócz tych szczegółów architektonicznych na powierzchni obrazu nie udało się znaleźć żadnej wskazówki. Niebo było jednolicie błękitne, a góra bladoszara.

A jednak pewien drobny element intrygował Tristana. Na górze, tuż pod ramą, dostrzegł liczbę zapisaną cyframi rzymskimi. Pokazał ją Weistortowi.

– „XI” – przeczytał Oberführer. – Na drodze krzyżowej jedenasta stacja to scena ukrzyżowania Chrystusa.

– Tymczasem tu nie ma ani krzyża, ani ukrzyżowanego... Jedynym charakterystycznym elementem jest góra, ponieważ ewangeliści podają, że Chrystus został ukrzyżowany na Golgocie, górze Kalwarii.

– Co oznacza, że trzeba się skupić na górze?

– Na miejscu albo na słowie – dodał Tristan. – Ale to nie wystarczy. Jeżeli ten obraz ma nam coś powiedzieć, to na pewno zawiera jeszcze inne wskazówki.

Weistort zobaczył stojący w rogu sali stary hiszpański fotel obity sfatygowaną skórą. Zapewne pamiątka Złotego Wieku. Przysunął go do witryny i rozsiadł się niczym możnowładca z minionych czasów. Zawsze twierdził, że najlepiej myśli się na siedząco.

– Przeanalizujmy to systematycznie – zaproponował. – Jeśli wychodzimy z założenia, że jakiś znak, wskazówka kryjąca się na obrazie ma umożliwić lokalizację zamku, to gdzie jej szukać? W ramie?

Tristan uśmiechnął się ironicznie. Będąc w muzeum, rzecz jasna zdemontował już ramę, która zakrywała część płótna. Chciał sprawdzić, czy nie ma tam sygnatury. To zawodowy elementarz każdego „łowcy obrazów”.

– Z pana uśmiechu wnioskuję, że możemy odrzucić tę hipotezę. Przypuszczam, że sprawdził pan też odwrotną stronę obrazu?

– Płótno zostało naciągnięte na drewniany blejtram. Żadnych widocznych znaków. Ani napisu, ani pieczęci, monogramu, nic. Moim zdaniem jednak taki prosty blejtram to już pewna wskazówka: płótno można szybko zdjąć, zwinąć, zabrać...

– ...i ukryć.

– Czyli informacja jest tu, w samym malowidle.

Weistort usiadł prosto i położył dłonie na udach. Chciał się skoncentrować. Ponieważ milczał, Tristan kontynuował:

– Widzę tylko dwie możliwości. Albo wskazówka kryje się w samym dziele, pod warstwą farby lub werniksu, albo w elementach składających się na to dzieło.

– Może pan uściślić?

Mimo zagrożenia Tristan czuł, że ogarnia go pewnego rodzaju entuzjazm. Jak zawsze, kiedy miał do czynienia z nieznanym dziełem sztuki, czuł nieodpartą potrzebę odkrycia

sensu, który czas albo ludzie ukryli. W takich dociekaniach rozkochał się już w dzieciństwie, to właśnie sprawiało, że patrzył na każdy obraz jak na zagadkę, którą trzeba rozwikłać. Również za sprawą nienasyconej potrzeby zmagania się z tajemnicą zyskał reputację w kręgach sztuki. Dzieło było dla niego nie tylko pięknem, ale i historią do odkrycia, opowieścią do odtworzenia.

– W czasach gdy namalowano ten obraz, w epoce renesansu, intelektualiści i artyści pasjonowali się dwuznacznością. To czasy, gdy wynaleziono szyfry. Żeby je odczytać, trzeba znaleźć to, co wymyka się logice, spójności przedstawiania, do jakiej przywykliśmy. Trzeba na to spojrzeć z innego punktu widzenia.

– Na pierwszy rzut oka to nie może być zamek ani mury czy wieża... To wszystko jest zgodne z tradycyjną wizją fortecy.

– Podobnie jak gwiazda: choć taka duża, w tamtych czasach przedstawiano ją jako pięcioramienną.

– Pozostaje góra. Nic pana w niej nie zaskakuje?

Tristan na próżno wpatrywał się w każdy szczegół – nie dostrzegł niczego wyjątkowego. Przeciwnie. Malarz ukazał górę w rażąco banalny sposób. Artysta, któremu widocznie się spieszyło, nie zadał sobie nawet trudu, by stylizować bloki skalne albo dorzucić zielone kępy drzew. Wyglądało to tak, jakby skupił się wyłącznie na malowaniu ścieżki, która wiała się i rozgałęziała aż po szczyt. Właściwie aż za bardzo – pomyślał Tristan. – Nie potrzeba tego tyle. W dodatku wszystkie rozwidlenia są podwójne. W rzeczywistości wchodzenie od tej strony zajęłoby wiele godzin, to kompletnie...

Urwał tę myśl. Obrócił obraz z prawej w lewo.

– Mam.

Weistort poderwał się z fotela. Widziana w ten sposób ścieżka zniknęła, zamiast niej pojawiły się sploty wyglądające jak wypracowany podpis.

– To ukryte słowo – krzyknął Francuz. – Proszę spojrzeć na dół, na pierwszą literę.

– To „s”, a za nim „e” z akcentem.

Francuz odwrócił obraz. Wówczas okazało się, że akcent pokrywa się ze spojeniem murku biegnącego wzdłuż ścieżki. Oberführer chwycił obraz, żeby łatwiej odszyfrować litery.

– Trzecia litera to „g”.

– A za nią „u”.

– „Ségu...”

– „Séгур” – dokończył Tristan, który z zaciekawieniem pochylał się znowu nad obrazem.

– Czego pan szuka? – zapytał podejrzliwie Weistort.

– Ten akcent nad „e”... w hiszpańskim to rzadkość.

Teraz to Oberführer wpatrywał się w płótno. Ale nie było cienia wątpliwości, nad „e” rzeczywiście był taki akcent. Na wniosek Tristana nie trzeba było długo czekać:

– Ten akcent nad „e” wskazuje raczej na francuski. Skoro ta nazwa, „Ségur”, pisana jest w taki sposób, to znaczy, że oznacza miejsce znajdujące się we Francji.

– A w tym miejscu wznosi się średniowieczny zamek – dodał Weistort. – Wznosi się na górze w kształcie stożka.

Tristan klasnął w rękę. Stojący przy drzwiach strażnik odwrócił się, zdejmując broń z ramienia.

– Montségur! To zamek na południu Francji, u podnóża Pirenejów. Postawiony na szczycie... Jest znany, bo...

Nie zdążył dokończyć.

– Straże!

Głos Oberführera odbił się echem od murów starego muzeum. Przybiegli żołnierze.

– Zabrać więźnia.

W ułamku sekundy skuli rękę Tristana.

– I zamknąć go!

Kiedy Francuza wyprowadzono z muzeum, esesman wezwał swego adiutanta.

– Priorytetowa wiadomość do przekazania Reichsführerowi do rąk własnych. Niech wyślą oddział SS i ekipę poszukiwawczą do zamku Montségur we francuskiej wolnej strefie.

Londyn

Kwatera Główna Special Operations Executive (SOE)

Baker Street

Walenie młota nasilało się w przerwach między wyciem wiertarki udarowej. Drobny pył zaczął opadać z sufitu sali, przyprószając dokumenty, z którymi się zapoznawał.

Znowu się zaczyna.

Malorley potarł zaczerwienione ze zmęczenia oczy, a potem usunął wierzchem dłoni szary pył. W takich warunkach nigdy nie potrafił się skupić. Nie dość, że wydziałowi propagandy i wojny psychologicznej przydzielono pomieszczenia w najwilgotniejszym skrzydle budynku, to teraz jeszcze musiał znosić hałasy, bo od dwóch tygodni trwał remont.

Odwracając głowę w stronę uchylonych drzwi do kłitki, w której pracowała sekretarka, krzyknął:

– Penny, litości, niech im pani powie, żeby przerwali te piekielne roboty, kiedy ja tu pracuję.

Jowialna twarz rudowłosej kobiety pojawiła się w drzwiach.

– To niemożliwe, komandorze, robotnicy kończą remont na najwyższym piętrze, ale mogę panu pomóc, mam waciki do uszu. Oczywiście, jeżeli oficer pańskiej rangi może sobie na to pozwolić.

Malorley uśmiechnął się w duchu. Sekretarka, którą on i trzech inni szefowie służb zarzucali nadmiarem pracy, miała niesamowity dar rozładowywania napięć. A kiedy się pracowało w centrum dowodzenia SOE, była to wielka zaleta. Wstał ociężale i oparł się łokciami o parapet okna, którego futryna była równie zmęczona jak on. W dole, na Baker Street, falowało morze parasoli. Krążyła plotka, że Churchill osobiście wybrał ten adres, powodowany wręcz niesłychanym upodobaniem do śledztw Sherlocka Holmesa²⁰. Z zewnątrz elegancki budynek nie różnił się niczym od sąsiednich domów, jednak dyskretna tabliczka przy wejściu informowała, że mieści się tu Inter Service Research Bureau, ale ta nazwa mówiła niewiele i mogła oznaczać wszystko. Jednak w tych urokliwych murach pracował potężny Special Operations Executive. Setka mężczyzn i kobiet trudziła się dniem i nocą w jednym jedynym celu – by wywołać chaos w opanowanej przez nazistów Europie.

Tu obmyślano sabotaże, organizowano zrzuty spadochronowe agentów, broni i amunicji. Planowano nawet zabójstwa. O ile dyrekcja była brytyjska do szpiku kości, o tyle

w korytarzach słyszało się całą gamę cudzoziemskich akcentów, ale wszystkich, których tu zwerbowano, łączyła nienawiść do triumfujących Niemiec. I wszyscy byli zdecydowani zrobić wszystko, by podźwignąć się po poniżeniach, jakich zaznali w okupowanej ojczyźnie. Żołnierze dawnej armii polskiej stykali się z francuskimi oficerami ocalałymi pod Dunkierką, a czescy policjanci wracali ze szkoleń w oddziałach komandosów, gdzie otarli się o dawnych holenderskich włamywaczy, belgijskich rojalistów i norweskich socjalistów. Wszyscy na jakiś czas zagościli w wieży Babel zbrojnej dywersji i niecierpliwie czekali, aż przerzucą ich do ojczyzny, by rozniecili zarzewia oporu.

A Malorley niemal od początku pełnił w tej wieży Babel ważne funkcje. Na samym początku wojny odrzucił propozycję objęcia stanowiska w prestiżowej MI6, oficjalnej służbie kontrwywiadu, i znalazł się w wydziale operacji psychologicznych i propagandowych SOE. Czuł się tam jak ryba w wodzie. A nawet w samym SOE, gdzie był numerem trzy, jego wydział uważano za prowadzący najbardziej podstępne działania. Akcje dezinformacji i intoksykacji, montaż stacji radiowych, które wędrowały z miejsca na miejsce, tworzenie profili i rozpracowywanie ułomności nazistowskich dowódców, manipulacja stosowana wobec dyplomatów... Służby psychologiczne stały się w SOE nieodzowne.

Sekretarka spojrzała na niego porozumiewawczo.

– Proszę nie tracić nadziei, komandorze. Sekcja F opuści swoje pomieszczenia i przeniesie się na Orchard Court. Jesteśmy na początku listy tych, którzy o nie zabiegają.

– Skoro już mowa o sekcji F, to zechce pani zwrócić im te akta – powiedział Malorley, wskazując plik żółtych teczek na swoim biurku. – I proszę powiedzieć pułkownikowi Buckmasterowi, że w końcu wybrałem dwóch jego agentów.

– Jak znam F21, to nie pożyczą ich panu z lekkim sercem. Traktuje ich jak własne dzieci.

– Trzeba nauczyć się odcinać pępowinę – odparł spokojnie Malorley. – Wpadnę do niego za kwadrans.

– Nie ma takiej potrzeby, wciąż dzwoni. Przypuszczam, że wpadnie tu nagle, jak kukułka do gniazda jaskółek.

Odczekał, aż sekretarka zamknie drzwi, by zapalić morlanda otrzymanego od przyjaciela z admiralicji, kapitana Fleminga, którego poznał w „Timesie”. Morlandy były jego wielką słabością – doskonale dopracowaną mieszanką tytoni z przemytu, z Turcji i z Bałkanów. Wypuścił kłęb rozkosznie karmelowego dymu, a potem jeszcze raz przyjrzał się fotografiom agentów, których wybrał do udziału w swojej operacji specjalnej.

Mężczyzny i kobiety.

On około trzydziestki, brunet o włosach zaczesanych do tyłu. Twarz banalna, zmęczona, spojrzenie posępne, oczy podkrążone. Takiego typu nikt o nic nie podejrzewa, pomyślał Malorley. W jego karcie widniało nazwisko Charles Grandel. Kapitan francuskich wojsk lądowych, 2. Regiment Piechoty. Do Londynu dotarł w sierpniu 1940 roku i na ochotnika

wstąpił do SOE. Zrzucony do departamentu Loire-Atlantique, tworzył tam z niczego siatkę ruchu oporu. Agent działał pod pseudonimem Charles.

Malorley przysunął drugie zdjęcie, zakrywając nim pierwsze. Jane Colson. Dwadzieścia siedem lat, pochodzenie francusko-angielskie, urodzona w Besançon. Córka pułkownika armii indyjskiej i francuskiej pielęgniarki. Rodzina przeniosła się do Anglii dwa lata przed wybuchem wojny. Malorley wziął do ręki biało-czarną fotografię. Młoda blondynka miała nadąsaną minę i drwiące spojrzenie. Od powstania służb czynnych zwerbowano do nich zaledwie garść agentek. Większość ochotniczek kierowano do administracji i koordynacji.

Malorley wahał się jeszcze co do tej drugiej kandydatury, czuł się nieswojo, myśląc o wysłaniu do Francji kobiety. Robiło mu się niedobrze, ilekroć uświadamiał sobie, że ta dziewczyna może trafić w ręce Gestapo i być poddana najpodlejszym torturom. Jednak F nalegał, by w przeprawie na południowy zachód kraju towarzyszyła mu kobieta. Pary na ogół nie wzbudzały podejrzeń i jak dotąd żadna agentka nie została zatrzymana przez Niemców.

Malorley nie dał się zwieść pozorom życzliwości F, który przecież interweniował na samej górze, sprzeciwiając się operacji, zwłaszcza ze względu na osobiste zaangażowanie. Gdyby wysoki rangą oficer trafił do niewoli, byłaby to dla SOE katastrofa.

Odłożył zdjęcie i zaciągnął się papierosem. Za oknem londyńskie niebo zalewał już czarny atrament.

W tej chwili Malorley stał już pod ścianą. Czym innym jest planowanie operacji, czym innym udział w niej. Za dwa dni zostanie zrzucony w rejonie Bordeaux, w strefie okupowanej. Na wrogim terytorium, gdzie w razie schwytania przez Niemców będzie traktowany jak szpieg. Z szansą na przeżycie porównywalną do wołu w ubojni i perspektywą bolesnej śmierci.

Otworzył szufladę i wyjął butelkę siedemnastoletniego obana. Dostał tę whisky na urodziny od kolegów.

Nalał sobie pół szklanki i wzniosł cichy toast za Ottona Neumanna, swego niemieckiego przyjaciela, który umarł śmiercią męczeńską. Potem uniósł szklankę, patrząc na zdjęcie Churchilla zawieszone na ścianie nad szafą z szufladami. Wszystko rozstrzygnęło się wczoraj, kiedy został pilnie wezwany na Downing Street 10.

W gabinecie premiera powietrze cuchnęło cygarami. Churchill z uwagą wpatrywał się w wiszącą na ścianie mapę Europy i nawet nie odwrócił głowy, żeby przywitać komandora.

– Cóż to, Malorley, teraz nad moją głową negocjuje się szaleńcze pomysły?

Malorley stał wyprężony jak kij do krykieta.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli, panie premierze.

Churchill odwrócił się rozwścieczony.

– Nie kpij ze mnie, komandorze! Odebrałem telefon z sekretariatu Jego Wysokości z poleceniem, bym przeczytał ten pański raport pełen bredni o... Jak pan to, do diabła, nazywa?

– Ahnenerbe.

– Właśnie... Powiem otwarcie, Malorley. Gdyby to zależało tylko ode mnie, natychmiast bym pana zdymisjonował. Nigdy w życiu nie wierzyłem w magię, ezoteryzm ani żadne inne mity z dawnych czasów. I nie zdołałby mi pan wmówić, że talizman znaleziony w Tybecie mógłby pomóc Hitlerowi w wygraniu tej wojny! Nigdy!

– Ja nie...

– Pozwoli pan, że dokończę. Wydaje się oczywiste, że zdołał pan przekonać Krąg Gordona do udzielenia panu poparcia. Mówi to dużo o zdrowiu umysłowym niektórych przedstawicieli naszych elit. Proszę więc od razu przejść do sedna. Czego dokładnie pan chce?

Malorey spojrział mu prosto w oczy.

– Zielonego światła dla przeprowadzenia operacji specjalnej na południu Francji w celu przejęcia drugiego artefaktu pożądanego przez naszych wrogów. Przerzucenie sześciu agentów SOE, a na miejscu wsparcie ze strony miejscowego ruchu oporu powinno wystarczyć.

Premier przybrał minę przebiegłego buldoga.

– Sześciu agentów, doprawdy, drobnostka... Jeżeli naprawdę wierzy pan w te bzdury, to jak bardzo jest pan gotów się zaangażować? W końcu chce pan ryzykować życie sześciu cennych agentów, którzy znacznie bardziej przydaliby się do innych operacji strategicznych.

Malorley bez zmruczenia oka zniósł ironiczne spojrzenie premiera.

– Nie rozumiem, panie premierze.

– W takim razie powiem wprost. Czy jest pan gotów stanąć na czele oddziału i wejść do jaskini lwa?

Malorleyowi serce skoczyło w piersi. Nie spodziewał się takiej propozycji. Sekundy mijają, a on milczał.

– Byłby to dla mnie zaszczyt – odparł w końcu.

Churchill wyglądał na przygnębionego.

– Boże, jest pan równie szalony jak ci naziści. Chciałem tylko sprawdzić, na ile jest pan zdeterminowany.

– Pojadę.

Churchill pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne, za dużo wie pan o SOE.

Malorley oparł dłonie o biurko.

– Mamy nowe kapsułki cyjanku umieszczane w plombach dentystycznych. Stomatolog z naszego wydziału potrafi robić cuda.

Premier ciężkim krokiem, ze spuszczoną głową, chodził po gabinecie. W pewnym momencie zatrzymał się i zwrócił oczy na Malorleya. Widać było, że podjął decyzję.

– OK. Daję panu carte blanche, może pan wysłać tam grupę. Ale we wszystkich raportach będzie pan wskazywał cel nieprawdziwy, za to realistyczny. Nie chcę, żeby po mojej śmierci znaleziono w archiwach przyzwolenie na wznowienie poszukiwań z czasów króla Artura, i to w środku wojny. Po powrocie poinformuje mnie pan o swoich... odkryciach, ale wyłącznie ustnie. O ile oczywiście cokolwiek pan odkryje, no i wróci zdrow i cały. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak, panie premierze.

– I ma pan prawo zabrać tylko dwóch agentów SOE, co do reszty, musi się pan dogadać z francuską partyzantką. Już widzę ich miny, kiedy powie im pan, jaki jest cel tej operacji. Szczegóły omówi pan z F. I... – Zawiesił na chwilę głos, a potem rzucił: – Udanej podróży do piekła!

Malorley skłonił głowę i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Kiedy miał już wychodzić, rozbrzmiał głos Churchilla:

– Komandorze, nie znoszę, kiedy coś się na mnie wymusza, nawet jeśli robi to sam król. Niech pan nigdy więcej nie waży się robić mi takich rzeczy, bo przysięgam, że w przeciwnym razie zatknę pana głowę na czubku londyńskiej Tower.

Uderzenia młotem ustały, teraz słychać było przejmujące wycie wiertarki. Właśnie gdy zamierzał zatkać uszy watą, drzwi jego gabinetu otworzyły się z hukiem. Wysoki mężczyzna o przeredzonych jasnych włosach i pociągłej bladej twarzy stanął przed jego biurkiem.

– Wybrał pan?

Malorley przesunął dwa zdjęcia, by je mu pokazać. Twarz pułkownika Buckmastera sposepniała.

– Tylko nie Charles! Nie skończył tworzenia siatki. Ma pan do wyboru dziesięciu innych o podobnym profilu.

Malorley pokręcił głową.

– On jeden z tej listy spędził całe dzieciństwo, aż do matury, w departamencie Ariège. W Lavelanet, dziesięć kilometrów od celu. Zna ten rejon jak własną kieszeń. Przyzna pan, że znajomość terenu to poważny atut, pułkowniku.

F zareagował gwałtownie:

– Cel? Pomówmy o nim. Jestem szefem sekcji Francja i wciąż nie rozumiem, dlaczego gabinet premiera robi z tej misji tajemnicę. Malorley, do cholery, czyżby próbował pan zająć moje miejsce?

Komandor wytrzeszczył oczy.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza...

F odsunął akta i usiadł na biurku.

– Niech pan nie próbuje być taki przebiegły. Po raz pierwszy od powołania sekcji Francja nie zostałem poinformowany o operacji, która wymaga zaangażowania moich agentów. To musi być sprawa wielkiej wagi, bo przecież osobiście pan w niej uczestniczy. A z tego wynika, że jeśli się uda, zbierze pan laury.

Na twarzy Malorleya pojawił się uśmiech.

– Wyniki tej misji, pozytywne czy negatywne, nigdy nie zostaną ujawnione w SOE. Ale może pan spać spokojnie: nie mam ani zamiaru, ani możliwości, żeby zabiegać o pańskie stanowisko. Mogę nawet dać panu pisemne zobowiązanie.

F przypatrywał mu się przez chwilę, potem bez pytania sięgnął po papierosa.

– Dziwny z pana gość, Malorley, naprawdę dziwny. W zasadzie rozumiem, że właśnie panu powierzono wydział oddziaływania psychologicznego... W porządku, jak zamierza pan to przeprowadzić?

Malorley rozłożył mapę południowej części Francji i przycisnął rogi książkami.

– Za tydzień wylatuję z Jane, o ile pogoda nie spleta nam figla. Zrzucają nas w Pessac, gdzie przejmie nas dowódca siatki w Żyrondzie. Tam ma na nas czekać Charles. – Między Pessac a Tuluzą nakreślone były dwie żółte linie. – Jane i ja wsiądziemy do pociągu na dworcu w Bordeaux, żeby przekroczyć linię demarkacyjną i dotrzeć do Tuluzy, drugiego etapu podróży, gdzie ma czekać drugi kontakt. Grandel pojedzie sam ciężarówką, żeby ograniczyć ryzyko demaskacji.

Potem Malorley przesunął palcem po czerwonej linii, wytyczającej krętą drogę i zatrzymującej się w jakiejś miejscowości. Buckmaster włożył okulary do czytania i pochylił się nad mapą.

– Montségur... Nigdy nie słyszałem. Co tak ważnego może się znajdować w tej dziurze?

Buckmaster, zgodnie z tym, co o nim mówiono, nigdy nie dawał za wygraną. Malorley powiedział spokojnie:

– Kontynuując... Po wykonaniu zadania udamy się do małego portu śródziemnomorskiego Collioure, gdzie na pełnym morzu będzie na nas czekać łódź podwodna.

– Łódź podwodna, nieźle... Zwykle moi agenci wracają przez Hiszpanię i Portugalię, skąd zabiera ich samolot. Nadal upiera się pan, żeby nie powiedzieć mi, co to za cyrk?

– Przykro mi, pułkowniku. Ale proszę na to spojrzeć od pozytywnej strony: gdybym nie wrócił, będzie pan mógł wpłynąć na wybór mojego następcy. I z pewnością nie będzie to gość tak dziwny jak ja...

F zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa.

– Wbrew temu, co pan myśli, naprawdę pana cenię. I mam nadzieję, że pańska misja się powiedzie. Oczywiście chciałbym, żeby zwrócił mi pan moich agentów całych i zdrowych.

– Zrobię co w mojej mocy.

– W naszym fachu zrobić co w naszej mocy to tylko pierwszy etap. Życzę powodzenia.

Malorley patrzył w zamyśleniu na drzwi, które zamknęły się za F. Takie pożegnanie było w każdym razie znacznie miłsze od ostatnich słów Churchilla.

Wyjął z szuflady teczkę, otworzył ją i sięgnął po zdjęcie. Lodowaty uśmiech na twarzy, czapka z czarnym daszkiem i trupią główką. Cienka blizna przecinająca policzek. Mimo uśmiechu wyraz twarzy pozostawał wyniosły. Do fotografii przyklejono kwadratową etykietkę, na której drobnym kaligraficznym pismem podano nazwisko.

Oberführer Karl Weistort.

Widział go tylko raz, w Berlinie, w kryształową noc. Pomiędzy nimi dwoma była śmierć: śmierć przyjaciela, którego Malorley nie zdołał ocalić, profesora Neumanna.

Malorley powiódł palcem po kiepskiej odbitce.

Weistort... Tym razem już się nie miniemy.

Trzy dni później
Castellón de Ampurias
Maj 1941

Tristan wypadł z piwnicy w muzeum wypchnięty przez dwóch żołnierzy, którzy wrzeszczeli jak opętani. Jeden z samochodów zaparkowanych przed katedrą gwałtownie ruszył, opony przeraźliwie piszczały na brukowanym placu. Wystraszeni mieszkańcy zza okiennic obserwowali tę scenę. Kim jest człowiek wleczony po ziemi? I skąd się wzięli ci żołnierze w mundurach czarnych jak noc? Ich gardłowe krzyki rozbrzmiewały wśród murów. Brutalnie podnieśli więźnia i rzucili go do samochodu, którego silnik już warczał. Za oknami kobiety żegnały się znakiem krzyża, a mężczyźni, bezsilnie zaciskając pięści, odmawiali już modlitwę za zmarłych.

Samochód znowu ruszył. Jego długa sylwetka rzucała drapieżny cień na fasady, jakby już tropiła kolejną ofiarę. Gdy zapadła cisza, Weistort wyszedł na schody muzeum. W słomkowym kapeluszu wyglądał jak typowy turysta. Mieszkańcy nic już nie rozumieli. Ale podczas wojny domowej przywykli do potworności, więc jeden koszar więcej wcale ich nie zaszokował. Weistort trzymał w ręku obraz. Jutro płótno pojedzie do Berlina z pocztą dyplomatyczną i trafi do laboratorium Ahnenerbe. Tam malowidło zostanie poddane drobiazgowym badaniom. Eksperci oczyszczą werniks, który odzyska przejrzystość, przyjrzą się każdemu pociągnięciu pędzlem, każdemu refleksowi... Ale ta dogłębna analiza nic nie da, Oberführer był tego pewien. Tristan już odnalazł informację. Informację pochodzącą sprzed wieków, a mającą wynieść Rzeszę na firmament.

Weistort przeszedł przez plac. Za nim ruszył samochód opancerzony. Wkrótce znikną równie anonimowo, jak się tu pojawili. I nikt nie dowie się nigdy, że losy wojny przesądziły się właśnie tu, w Castellón de Ampurias.

Ale przedtem musiał zająć się Tristanem, którego uwięził do czasu wysłania ekipy poszukiwawczej do Montségur.

Na skraju miasta fragment muru przetrwał ataki i zniszczenie. Wybudowany z ciężkich ochrowych kamieni, wznosił się przy dawnej fosie, której nie udało się dobrze osuszyć. Żołnierze nie przypadkiem wybrali to miejsce. Było idealne do egzekucji. Kule przebijające ciało utykały w murze, natomiast trupy spadały na dno fosy, gdzie łatwo było kopać podmokłą ziemię. Tam znajdowały miejsce ostatecznego spoczynku. Weistort z wielką

uwagą obserwował rytuał formowania plutonu egzekucyjnego. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy, a rytuały – zwłaszcza będące prefiguracją śmierci – zawsze go fascynowały.

Po ustawieniu żołnierzy sierżant wskazał strzelców. W sumie pięciu. Ludzie występowali z szeregu i podawali broń. Sierżant zabrał karabiny i odszedł. To on miał je załadować, włożyć nabój, uzbroić. Potem wracał i kładł karabiny na ziemi. Wywoływani po nazwisku żołnierze podchodzili i wybierali broń. Przypadkową. Wszyscy wiedzieli, że jeden z karabinów jest niezaładowany, więc każdy mógł wierzyć, że to nie on oddał zabójczy strzał.

Weistort wzruszył ramionami. Ten rytuał był żaloszny, niegodny żołnierzy Rzeszy. Nowy człowiek, który buduje nazistowskie Niemcy, nie powinien wiedzieć, co to strach i wyrzuty sumienia. Powinien być posłuszny jedynie woli, sile i bezwzględnej wierze w swą wyższość. Wkrótce sumienie i człowieczeństwo staną się odległym wspomnieniem, pozostałością po unicestwionej przeszłości, tak jak wypalone mury synagog od Berlina po Warszawę.

Tristan nadal był w samochodzie. Strażnik przytrzymywał jego głowę, wciskając mu twarz w tył siedzenia kierowcy. Francuz z trudem chwycił oddech. Serce biło mu tak, jakby chciało się wyrwać z piersi, uciec jak najdalej od ciała, któremu groziło niebezpieczeństwo. Na zewnątrz rozbrzmiał okrzyk i wtedy strażnik wyprowadził go z auta. Słońce go oślepiło. Był spragniony. Sierżant brutalnie ściągnął z niego marynarkę, sprawdził, czy nie ma łańcuszka albo medalika, który mógłby zmienić tor lotu kuli, a potem związał mu ręce i poprowadził go pod mur.

Tristan zrozumiał, kiedy poczuł, jak wypukłe kamienie wciskają mu się w plecy. Pluton był już na miejscu, żołnierze trzymali broń przy nodze. Przed oczyma stanął mu obraz Goyi, El Tres de Mayo, który pewnego wiosennego dnia oglądał w Madrycie, te poskręcane ciała poszarpane przez kule. Zmarli byli Hiszpanami, kule były francuskie, ale pluton egzekucyjny od stuleci był zawsze taki sam: niewzruszony i milczący. Spojrzał na dół barwy popiołu. Nigdy nie przypuszczał, że skona twarzą do ziemi. Sierżant strzelił obcasami i rozwinął czarną przepaskę. Tristan odmówił. Odbiorą mu życie, ale nie ukradną śmierci. Chciał patrzeć jej w oczy. Podoficer obrócił się jak na paradyzie i dołączył do plutonu.

Padł pierwszy rozkaz.

Żołnierze wycelowali.

Padł drugi rozkaz, ale Tristan już go nie usłyszał. Jego ciałem rzuciło o mur, a potem siła bezwładności pchnęła je do fosy.

Ocknął się, kiedy odrywano mu koszulę od ciała, i zaraz krzyknął z bólu. Uderzenia kul zwęgliły tkaninę, która wbiła się w ciało.

– I oto jest pan jak Chrystus – rzucił ironicznym tonem Weistort. – Naznaczony stygmatami.

Tristan bezwiednie uniósł rękę do piersi, ale wtedy grudki ziemi sypnęły mu się na twarz. Kaszłąc, otworzył oczy. Tuż obok niego żołnierz kopał dół.

– Proszę się nie bać, nie pogrzebiemy pana żywcem.

Kiedy już żołnierze ściągnęli z niego koszulę, szybko zdjęli mu także buty. Tristan rozpoznał sierżanta, który dowodził plutonem egzekucyjnym.

– Co robicie? – wybełkotał.

– Kończymy pana zabijać – odparł spokojnie Oberführer. – Na razie wszyscy myślą, że pan nie żyje, i żołnierze, którzy strzelali, i mieszkańcy, którzy słyszeli strzały. Ale to za mało. Niech pan ściąga spodnie.

Wciąż nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje, Tristan wykonał polecenie. Znow poczuł przejmujący ból. Miał cztery okrągłe dziury w piersi.

– To amunicja ćwiczebna. Sierżant załadował nią karabiny. Teraz to pali i krwawi, czasem rana ropieje, ale od tego się nie umiera.

Tristanowi zrobiło się niedobrze. Poczł ohydny smród. To niemożliwe. Jedna z tych przekłętych kul musiała go przebić i teraz gnije już od środka.

– On faktycznie zaczyna już cuchnąć – przyznał Weistort – ale przecież leży w bagażniku co najmniej od dwóch godzin.

Francuz zaczynał wierzyć, że oszalał.

– Niech pan spojrzy w górę, nad sobą.

Na skraju fosy zobaczył zwisającą bezwładnie rękę, którą obsiadła chmara much.

– Znaleźliśmy go przy drodze. To pewnie jakiś więzień rozstrzelany w pośpiechu. Mniej więcej w pana wieku, prawie tego samego wzrostu, ma włosy tego samego koloru i dwie kule w sercu. Wystarczy dodać jeszcze dwie.

Tymczasem sierżant ubierał już trupa w ubranie Tristana.

– Nie zapomnij zawiązać sznurowadeł.

Tristan stał teraz oparty o ścianę fosy. Kręciło mu się w głowie, a wokół niego machina SS działała niesłychanie dynamicznie. Dół nabierał już kształtu grobu, a zwłoki upodobały się do Tristana. Oberführer podał sierżantowi fałszywe dokumenty Francuza. Krew zalała fotografię.

– Wsuńcie to do tylnej kieszeni spodni i kończcie robotę.

Podoficer cofnął się, wycelował i strzelił dwa razy w klatkę piersiową nieboszczyka.

– Teraz jest pan już martwy – oznajmił Weistort.

Tristan zatoczył się oszołomiony.

– Wyjaśnię panu, co będzie dalej. Za godzinę czy dwie zbiegną się tu mieszkańcy. Oczywiście wyciągną zwłoki z grobu i przetrząsną kieszenie. A kiedy zobaczą, że to obcokrajowiec, przerażą się i natychmiast zawiadomią Guardia Civil.

Tristan domyślał się dalszego ciągu. Po stwierdzeniu, że został rozstrzelany, władze prześlą informację do ambasady francuskiej w Madrycie. Za miesiąc czy dwa uznają go za zmarłego. Oficjalnie. Ostatecznie.

– Już pan nie istnieje – oświadczył Weistort. – Będzie się pan musiał z tym pogodzić.

Żołnierz, który zdążył już pobieżnie zasypać grób, otworzył plecak i podał Francuzowi szarozielony mundur. Skołowany Tristan włożył bluzę. Kiedy szorstka tkanina otarła się o rany, krzyknął z bólu. Ten ból potęgowało poczucie bezradności. Rzeczywiście, powrócił z krainy zmarłych tylko po to, by trafić do piekła.

W cieniu kępy popielatych od pyłu drzew stał zaparkowany samochód. Sierżant otworzył już drzwi. Broń służbową wsunął za pas zwróconą kolbą w prawo. Żeby ją szybko chwycić. Weistort dał Francuzowi znak, by wsiadł.

– Jedziemy. Droga do granicy jest jeszcze długa.

Dwa proporczyki ze swastyką łopotąły nad maską samochodu, tuż przy reflektorach. Tristan siedział z tyłu, obok podoficera, który nie spuszczał go z oka. Na widok nazistowskiego symbolu szlabany posterunków drogowych podnosiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niektórzy hiszpańscy oficerowie posuwali się w służalczości, a może podziwie do wznoszenia ręki w nazistowskim pozdrowieniu, na które Weistort odpowiadał jakby od niechcienia. Na rogatkach Girony podsunęto mu nawet wycięte z gazetki propagandowej zdjęcie Hitlera i musiał go dotknąć niczym relikwii.

– Kościół katolicki ma w tym kraju zbyt silny wpływ na ludzi, pogrąża ich w zabobonach i prostackim, ogłupiającym fanatyzmie. Tristanie, jest pan wierzący?

– W tej chwili nie.

Weistort parsknął śmiechem.

– A powinien pan: czyż nie powstał pan z martwych? Nie wspominając o tym, że właśnie przechodzi pan reinkarnację w skórę niemieckiego żołnierza. To znaczy awans.

– Dlaczego nie kazał mnie pan zabić?

– Ponieważ szanuję inteligencję, a pańska może służyć dobru Wielkich Niemiec.

Tristan nie zadawał więcej pytań. Zatrzymali się właśnie w miasteczku o tak wąskich uliczkach, że fasady domów zdawały się stykać. Mimo panującego tam cienia upał był przytłaczający. Szofer podniósł pokrywę silnika, żeby trochę go schłodzić, i poszedł po wodę. Trzasnęły drzwi, pojawiła się młoda kobieta z wiklinowym koszykiem pod pachą. Zmierzała w stronę pralni. Jej espadryle radośnie uderzały o bruk. Ani upał, ani żołnierze nie psuli jej humoru. Zdawała się być sercem tego miasteczka, sercem, które wreszcie biło. Gdy mijala samochód, Tristan usłyszał jedwabisty szelest jej sukienki ocierającej się o karoserię. Przymknął oczy, by dłużej rozkoszować się tą muzyką ciała. Od jak dawna nie śnił o kobiecie? Głos espadryli dogasał, ale nie nadzieja, którą rozbudził. Istniał świat odmienny od tego, w którym trupy porzucało się na skraju drogi, a w więzieniach ludzie wyli,

bezlitośnie katowani. Tylko on zapomniał o tym zwyczajnym świecie. Nagle poczuł, że ma przed sobą przyszłość, nadzieję – lekką jak kwiaty, ale już uginającą się pod ciężarem owoców, które z nich wyrosną.

Pokrywa silnika zamknęła się z trzaskiem. Z silnika wydobywała się lekka para. Tristan się zastanawiał, czy to wszystko nie było przywidzeniem. W czasach mitycznych tak właśnie znikają boginie – w smudze mgiełki. Weistort zaczynał się niecierpliwić.

– Możemy już jechać?

Szofer strzelił obcasami i powiedział:

– Tak jest.

Samochód ruszył. Gdy tylko opuścili miasteczko, ich oczom ukazały się sinawe masywy Pirenejów. Już ostatnie gaje oliwne pięły się tarasowo wzdłuż coraz wyższych, coraz bardziej kamienistych zboczy. Piniowe lasy porastały szarą skorupę gór. Granica z Francją była coraz bliżej.

– Jak daleko do przejścia?

Sierżant rozłożył mapę, powiódł palcem wzdłuż drogi, która wiała się między zielonymi plamami lasów, a potem urywała w oznaczonym na czerwono punkcie.

– Dwie godziny, panie Oberführer.

Weistort odwrócił się do Tristana. Z profilu jego podobieństwo do drapieżnego ptaka było uderzające.

– Tuż przed granicą damy panu niemieckie dokumenty wojskowe. Będzie pan miał nazwisko i stopień. Jeśli o coś zapytają, odpowiem za pana, ale potem będzie pan już sobie radził sam, bo przecież mówi pan po niemiecku. A teraz, skoro wszystko jest jasne... kierunek Montségur!

CZĘŚĆ DRUGA

„Przypominam sobie sektę anabaptystów Knipperdollinga w Münsterze. Tam, jak w Trzeciej Rzeszy, romantyczne idee zbawienia, okrucieństwa, altruizm religijny łączyły się w groteskowe dziwactwa. Poświęcenie mieszało się z brutalnością, nieokiełznane posłuszeństwo łączyło się z entuzjastycznym dyletanctwem, tworząc fresk wspólnoty, która w XVI wieku przywiodła małe miasto w Westfalii na skraj ruiny, a w XX wieku pogrążyła w chaosie świat”.

Albert Speer, architekt Adolfa Hitlera i minister ds. uzbrojenia Rzeszy,
Propos sur le nazisme, w: L'empire SS, Robert Laffont, 1981

Wewelsburg

Westfalia

Maj 1941

Ciemna bryła zamku ledwie majaczyła w mroku, który zapadał nad okolicą. Jadąc z północy, dostrzegało się tylko zarys okrągłej wieży, której blankowany szczyt zdawał się nikać w niebie. W tę zimną noc gwiazdy ukryły się za skłębionymi chmurami pędzącymi w bezkres wschodu. Gdyby nie uciążliwy warkot silnika i blade światło reflektorów samochodowych, można by pomyśleć, że to powrót do innej epoki, do czasów błędnych rycerzy i zgłodniałych wilków. Krótka odnoga drogi doprowadziła samochód nad brzeg fosy, w światłach pojawiła się kolumna ludzi. Mimo dotkliwego chłodu tej wiosennej nocy szli w milczeniu ubrani tylko w koszule, w szeregach, eskortowani przez strażników na koniach. Siedzący obok kierowcy oficer odwrócił głowę.

– To jeńcy z obozu Niederhagen, pracują przy remoncie zamku. Na rozkaz Reichsführera, który chciał przyspieszyć prace.

Erika von Essling siedziała z nogą założoną na nogę, trzymając ręce na kolanach. Nie drgnęła, nie odezwała się. Patrzyła na tę grupę mężczyzn o przygaszonych oczach, gdy szli jak lunatycy.

– W ten sposób – ciągnął z zapalem oficer – nawet odszczepieńcy, polityczni czy rasowi, uczestniczą w zbiorowym trudzie budowy naszej Wielkiej Rzeszy.

Nie przestając mówić, z zaciekawieniem zerkał na młodą kobietę i starał się odgadnąć, jakie kształty kryją się pod skromną szarą garsonką. Wygładził kołnierz, by zwrócić jej uwagę na dwie srebrzące się litery S, ale to nic nie dało. Od początku podróży praktycznie się nie odzywała.

– Za ile dojedziemy na miejsce?

– Za niespełna pięć minut.

Usilnie wypatrywał bramy zamku na końcu drogi. Tam przynajmniej spotka kompanów z SS, przy których nareszcie będzie mógł być sobą. Odkąd zajmował się tą... Kim ona jest? A tak, archeologiem... Przez cały ten czas czuł się skrępowany – on, który walczył na pierwszej linii w Polsce i we Francji! Prawdę mówiąc, przytłaczała go obojętność tej kobiety. Dla niej on po prostu nie istniał – znów był jak jego chłopscy przodkowie, anonimowi z ojca na syna, zdolni co najwyżej do tego, żeby uprawiać marny skrawek pańskiej ziemi. Ona

natomiast należała do rasy panów. Jej nazwisko rozbrzmiewało na wszystkich polach bitewnych Europy od dziesięciu wieków, a potem stało się jednym z filarów niemieckiego przemysłu.

– Dojeżdżamy.

Erika wyjrzała przez okno. Rzędy pochodni oświetlały uśpiony most, który prowadził na dziedziniec główny zamku. Samochód zwolnił.

– Proszę się zatrzymać, wolę przejść się piechotą.

Kierowca natychmiast stanął, a oficer szybko wysiadł, by otworzyć jej drzwi. Młoda kobieta zauważyła, że wykorzystał okazję, by zerknąć ukradkiem na jej nogi. Doprawdy, ci esesmani, którzy uważają się za nową niemiecką elitę, mają braki w wychowaniu. I z pewnością ani połyskliwy czarny mundur, ani wypolerowane jak lustro buty nie zmieniają jej opinii.

– Czy wolno zapytać, dlaczego jest pani... hm... archeologiem?

Uśmiechnęła się ironicznie. Ileż razy zadawano jej to pytanie! Przeszukiwanie stanowiska, sporządzanie wykazów, publikowanie raportów – wielu uważało, że to niewyobrażalne dla kobiety. Zwłaszcza w epoce, gdy męskość wszędzie manifestowała się marszowym krokiem na ulicach i wojennymi okrzykami na stadionach.

Archeolog... Kiedy osiągnęła wiek stosowny, by wybrać męża, wolała skupić się na studiach historycznych. Niewątpliwie pod wpływem wuja, wielkiego podróżnika, który przed snem, kiedy była mała, opowiadał jej fantastyczne historie. O odkryciu Troi, o egipskich piramidach, o ruinach miast Majów... Te i inne magiczne opowieści zrobiły na niej ogromne wrażenie.

Na uniwersytecie w Kolonii była jedyną kobietą studiującą archeologię. A w dodatku osiągnęła najlepsze wyniki na swoim roku.

– Nie odpowiedziała mi pani – odezwał się po chwili esesman.

Weszli właśnie na duży brukowany dziedziniec zamkowy. Wiele okien było rozświetlonych, dzięki czemu z mroku wyłaniały się średniowieczne rzeźby na fasadzie.

– Naprawdę chciałby pan wiedzieć, na czym polega praca archeologa? W takim razie proszę spojrzeć w górę. Widzi pan tę rzeźbę na rogu?

– Tak, to scenka myśliwska. Uzbrojony w łuk jeździec pędzi za dzikiem.

– Tyle że ten zamek... wystarczy spojrzeć na kształt okien... zbudowano w XVII wieku, a wtedy już od dawna nie polowano z łukiem.

– Nie rozumiem...

– Mówił mi pan, że w zamku prowadzone są prace. Nie wątpię, że wasz przełożony, Himmler, którego tak niesłychanie pasjonuje średniowiecze, chciał go trochę postarzyć, choćby nawet kosztem przekłamań.

– Reichsführer to człowiek wielkiej kultury, niemożliwe, żeby...

– Proszę popatrzeć na ten łuk.

Zbity z tropu oficer uniósł głowę.

– Cięciwa jest o wiele za mocno napięta, żeby dało się oddać celny strzał. Wykluczone, by strzała ugodziła zwierzynę, zadając jej śmierć. W średniowieczu nie popełniano takich błędów. To falsyfikat.

Doszli do głównych schodów wiodących do górnych komnat.

– Ale skąd pani to wszystko wie?

– Pierwszego jelenia ustrzeliłam jako piętnastolatka. Wystarczyła mi do tego jedna strzała.

Wzniesiony przez biskupa, który nie ufał ani swoim chłopom, ani szlachcie z sąsiedztwa, zamek budowano tak, by wzbudzał strach. Na zewnątrz respekt wymuszały trzy szare, groźne wieże, wewnątrz niekończące się ciasne korytarze, zimne sale, wąskie schody niknące w mroku. Tylko część zamku została odrestaurowana i tam znajdowały się sale wykładowe dla oficerów SS. W korytarzach roіło się zresztą od blond włosów, czarnych mundurów i miarowo stukających butów. Było to zabiegane mrowisko, bardzo zdyscyplinowane, przez co i tak ciężka atmosfera tego miejsca stawała się przytłaczająca.

– Tu kształcimy elitę przyszłych Niemiec, czystą rasowo i pewną ideologicznie. Najlepsze jednostki Zakonu uczą się tu podstawowych prawd o wyższości rasy germańskiej.

– Zakonu? – podchwyciła zdziwiona Erika.

– Oczywiście! Jesteśmy prawdziwym zakonem rycerskim, jak niegdyś zakon krzyżacki czy rycerze Okrągłego Stołu.

Pani archeolog pokręciła głową.

– Ale pan wie, że rycerze króla Artura nigdy nie istnieli? Że to fikcja stworzona przez francuskiego mnicha? Nie ma żadnych historycznych dowodów...

Młody oficer pokazał jej salę zajęć, gdzie elewi robili notatki pod portretem Adolfa Hitlera.

– Mamy tu najlepszych specjalistów z dziedziny literatury i historii. Jestem pewien, że udowodnię, iż król Artur naprawdę istniał, i oczywiście że był pochodzenia germańskiego.

Erika nie odpowiedziała. Teraz pragnęła już tylko, żeby to zwiedzanie dobiegło końca.

– Zostałam zaproszona przez Reichsführera, a tymczasem już od pół godziny oprowadza mnie pan po tym... pensjonacie. Nie chciałabym kazać mu czekać.

Oficer spojrział na zegarek.

– Reichsführer Himmler osobiście ułożył taki program wizyty. Zależało mu, żeby na własne oczy zobaczyła pani tę młodzież, która jest przyszłością SS, tych ludzi, którzy...

Drzwi w korytarzu gwałtownie się otworzyły. Prowadzony przez dwóch żołnierzy więzień bełkotał w obcym języku, z trudem poruszając ustami, z których spływała krew. Po ubraniu Erika rozpoznała, że to jeden z robotników spotkanych po drodze.

– Zdarzają się tacy szaleńcy, którzy usiłują stąd uciec – skomentował oficer. – Ale proszę się nie obawiać, esesmani wiedzą, jak radzić sobie z takimi problemami. Zabierzcie go do

krypty. – Potem z uśmiechem zwrócił się do Eriki: – Jestem przekonany, że Reichsführer z radością zaprosi panią na spektakl jego śmierci.

Francja
Roussillon
Maj 1941

Posterunek graniczny wyglądał jak domek letniskowy z geranium w oknach i świeżo pomalowanymi na zielono okiennicami. Celnik palił papierosa przy drzwiach, kryjąc się w cieniu dachu, a jego kolega z nonszalancją kontrolował wózek załadowany drewnem. Ani tragiczna klęska poniesiona w lipcu 1940 roku, ani tysiące republikańskich uchodźców, którzy przekraczali granicę po zakończeniu wojny domowej, nie pozostawiły tu chyba żadnych śladów – niewzruszona francuska administracja mruczała jak kot, który przeciąga się w słońcu. Przecież od Loary po Morze Śródziemne południe Francji uniknęło okupacji, co należało uznać za przywilej, gdy tyle europejskich państw spływało krwią pod nazistowskim butem.

Poirytowany ślamazarnością kontroli kierowca wcisnął klakson, to jednak nie spowodowało żadnej reakcji. Można było pomyśleć, że udając obojętność, celnicy dla zabawy kazali czekać niemieckiemu samochodowi. Tristan uśmiechnął się w duchu: opór zawsze zaczyna się od drobiazgów.

– To nie do przyjęcia, panie Oberführer! – krzyknął kierowca. – Oni z nas kpią.

Funkcjonariusz, który dopalił papierosa, podszedł ostentacyjnie powolnym krokiem i bez słowa wyciągnął rękę po dokumenty. Siedzący za kierownicą żołnierz wrzał zniecierpliwiony.

– Nie zasalutował, nie powiedział ani słowa... To prowokacja!

Urażony osłupiał, kiedy celnik wyjął z kieszeni lupę i zaczął uważnie oglądać każdą stronę dokumentów. Tristan zwiesił głowę, by nikt nie zobaczył, że się śmieje. Tylko Weistort zachowywał taką obojętność, jakby cała ta komedia jego nie dotyczyła.

– To oficjalna misja! – wybuchnął kierowca. – Pilne, spieszyć się, zrozumiano?

Funkcjonariusz uniósł rękę do ucha na znak bezsilności. To przecież nie jego wina, że nie zna tego języka. I cofnął się o dwie strony, jakby chciał sprawdzić szczegół, który przeoczył. A potem bez uprzedzenia oddał im papiery, odwrócił się i kazał podnieść szlaban. Samochód ruszył z kopyta, kierując się ku Montségur.

– Pewna kwestia nie daje mi spokoju – rzucił Tristan. – Jak pan wpadł na trop obrazu z Montserratu?

Weistort przez chwilę wodził palcem po bliźnie na policzku. Potem powiedział:

– Skoro i tak jest pan już martwy, mogę wyjaśnić. Otóż przed wojną wpadła nam w ręce niezwykła książka, Thule Borealis Kulen. Tradycja głosi, że została napisana przez cesarza Fryderyka Barbarosę. Znajduje się w niej ilustracja przedstawiająca obraz, który pan ukradł. I wskazówka geograficzna: Montser.

– Gdybym wiedział, że ten obraz przysporzy mi tylu problemów, zrobiłbym jak inni, ukradłbym cyborium albo relikwiarz – zadrwił Tristan.

– Powinien pan raczej pogratulować sobie intuicji, bo gdyby nie ten obraz, nie ocaliłbym pana od śmierci podczas tej korridy.

Tuż za granicą krajobraz zdecydowanie się zmienił. Samochód jechał między pokrytymi grubym płaszczem zielonych dębów wzgórzami a szarymi szczytami, które muskały strzępy chmur.

– Jesteśmy w kraju katarów – oznajmił Weistort. – A co pan wie o Montségur?

– Że zamek był ośrodkiem średniowiecznej herezji, kataryzmu; że po oblężeniu zdobyli go krzyżowcy, którzy nadeszli z północy; że ta herezja została wypłeniona ogniem i mieczem. Jak dziesiątki innych w tamtej epoce. Nic niezwykłego.

– Jest pan w błędzie – podjął esesman. – Wyznawcy tej herezji stali się potwornym zagrożeniem dla Kościoła katolickiego.

– Dlaczego?

– Ponieważ katarzy utrzymywali, że są bliżsi Boga niż ciemni księża i biskupi obsypani złotem. Odrzucali autorytet duchowieństwa, nie godzili się płacić dziesięciny, uczęszczać na mszę, spowiadać się, przystępować do komunii... Według nich Kościół stanowił przeszkodę w kontakcie człowieka z Bogiem. Przeszkodę, która powinna zniknąć.

– W takim razie nie wszyscy darzyli ich sympatią.

– To prawda, zwłaszcza że ich ruch rozlał się jak oliwa od Montpellier po Bajonę, od Pirenejów po Dordogne. Zarówno wśród wieśniaków, którzy głodowali obłożeni podatkami przez Kościół, jak wśród notabli, wciąż skonfliktowanych z ciemnym, zachłannym klerem. Krótko mówiąc, na początku XII wieku całe południe Francji popadło w herezję.

– A jak zareagował na to Kościół katolicki?

– Początkowo wysyłając „emblematyczne postacie”, jak święty Bernard czy święty Dominik, i próbując odzyskać wiarę ludu. Ale zakończyło się to druzgocącą porażką. Żeby wyraźnie dać do zrozumienia katolikom, że nie mają na tych ziemiach nic do roboty, w roku 1242 katarscy rycerze zamordowali legata papieskiego. Kilka miesięcy później zaczęło się oblężenie Montségur.

– Ale dlaczego właśnie tego zamku? Przecież na pewno nie był jedynym, którego panowie przystali do heretyków?

– Oczywiście, było wiele innych, większych, jak choćby Peyrepertuse, czy lepiej bronionych, jak Queribus... Mimo to wszyscy katarscy dygnitarze postanowili schronić się

w Montségur. Bez wątplenia mieli ku temu jakiś skrywany powód... który do dziś pozostaje zagadką.

– Jak długo trwało oblężenie?

– Dziesięć miesięcy, co należy do rzadkości, ale położenie geograficzne zamku wzniesionego na wysokości ponad tysiąca dwustu metrów nad poziomem morza czyniło go niemal nieosiągalnym. Żeby osiągnąć cel, trzeba było przeszło sześciu tysięcy ludzi, a jak na tamte czasy to znaczna liczba. Zresztą...

Samochód wjechał na pociętą dolinami wyżynę. Ujrzeni ochrowe dachy domostw wioski wtulonej w jedną z dolin. Jednak uwagę Tristana skupił cień. Potężny cień, który padał na kamieniste, porośnięte kępami trawy łąki i ścieżki. Francuz uniósł głowę. Góra sterczała jak wzniesiona ku niebu włócznia. Na szczycie wyłaniała się zza chmur wyszczerbiona korona muru.

Głos Weistorta rozbrzmiał w samochodzie jak okrzyk:

– Montségur!

Wewelsburg

Maj 1941

Więzień zniknął, wleczony przez strażników. Smuga krwi wiała się po parkiecie. Oficer skwitował to jednym zdaniem:

– Sprzątaczką to zmyje. A teraz zechce pani pójść ze mną.

Przemierzali korytarz we wrogiej ciszy. Nie było tu już sal wykładowych, ale przestronne, urządzone w stylu średniowiecznym salony. Zerkając do środka, Erika widziała a to gotycki kominek, a to stele z woskowanego drewna, a to kolekcję błyszczących stalowych zbroi, jednak najbardziej uderzające było dla niej, że pośród tych średniowiecznych zabytków wszechobecne są czaszki – symbol SS.

– Muzeum Dziedzictwa to osobista decyzja Reichsführera, którego życzeniem jest, by w Wewelsburgu zgromadzono najważniejsze świadectwa naszej historii i dominacji na przestrzeni wieków.

Erika wolała nie przypominać mu, że kiedy Rzym budował fora, świątynie i termy, Germanowie mieszkali jeszcze w drewnianych szałasach w leśnej kniei. Oficer z powagą na twarzy skłonił się, przepuszczając ją przodem. Weszła do pomieszczenia będącego prawdopodobnie zamkową kaplicą, z której usunięto wszystko, co wiązało się z religią. W miejscu chrzcielnic i ołtarza wznosiły się teraz wysokie, mocno oświetlone witryny, których zawartość natychmiast przyciągnęła wzrok Eriki.

– Wszystkie wyeksponowane tu przedmioty to plon poszukiwań Ahnenerbe, instytucji SS prowadzącej badania historyczne na całym świecie, od Tybetu po Irak, od Skandynawii po Wyspy Kanaryjskie.

– O, Fräulein von Essling, no właśnie, Wyspy Kanaryjskie – rozbrzmiał rażąco metaliczny głos. – Wiedziała pani, że znaleźliśmy tam istne cuda?

Erika odwróciła się w stronę wejścia. Szczupła sylwetka pojawiła się w progu. Oto przybył Heinrich Himmler. Wąskie ramiona, chude nogi – wyglądał jak wieszak na mundur.

– W roku 1939 – kontynuował Reichsführer, ujmując Erikę pod rękę – ekipa Ahnenerbe została wysłana na Kanary. To był ogromny sukces. Słyszała pani, że w sercu wyspy znaleźliśmy inskrypcje runiczne, świadectwo cywilizacji wikingów?

– To nieoczekiwane odkrycie – skomentowała powściągliwie.

– To nie odkrycie, ale potwierdzenie, Fräulein von Essling. Byłem pewien, że ludność Wysp Kanaryjskich jest czysto aryjska.

– Jak to: pewien?

Oczy Himmlera rozbłysły w uśmiechu za okrągłymi okularami w srebrnych oprawkach.

– Zwróciła pani uwagę, że Wyspy Kanaryjskie w rzeczywistości są wyłaniającymi się z Oceanu Atlantyckiego górami?

– Oczywiście...

– Otóż na tych stromych górach przeżyli ci, którym udało się ocaleć po przejściu najpotężniejszych w historii przypływów morza.

– O jakim kataklizmie pan mówi?

– O tym, który pochłonął Atlantyde i...

Rozległ się nieludzki krzyk. Więzień, pomyślała Erika, a Himmler kontynuował, jakby nic się nie stało:

– ...inny mityczny kontynent, położony na północy: Hiperboreę. Macierz rasy aryjskiej. Ta cywilizacja nie miała sobie równych, a my przywrócimy ją do życia. Tymczasem jednak zechce pani zrobić mi przyjemność i iść ze mną do Wieży Północnej.

Erika po raz pierwszy spotkała się z Reichsführerem, choć był znajomym jej rodziców. Zwłaszcza ojca, który szybko zauważył go wśród niespokojnych duchów kręcących się przy Hitlerze. Himmler, któremu schlebiało, że jak Göring jest przyjmowany w wyższych sferach, później zawsze sprzyjał interesom Esslingów. Erika obawiała się, że teraz wystawi jej rachunek za te przysługi.

– Jest pani cenionym archeologiem, Fräulein von Essling. Czytałem niektóre pani raporty z badań. Świadczą o imponujących umiejętnościach, choć ich wyniki nie zawsze pozostają w zgodzie z ideologią, której bronimy.

– Archeologia nie zajmuje się polityką.

– W historii każda interpretacja jest uprawianiem polityki. Ale nie mówmy już o tym, mam dla pani niespodziankę. Zapraszam.

Erika weszła do okrągłej sali z potężnymi kolumnami, które upodobały ją do obejścia chóru. W świetle pochodni, których cienie tańczyły po sklepieniu, pomieszczenie to kojarzyło się ze znaną tylko wąskiemu gronu wtajemniczonych grotą przygotowaną na sekretny rytuał.

– Czy pani, znawczyni wieków średnich, zetknęła się kiedyś z taką architekturą?

Archeolog pokiwała głową.

– Tak, w niektórych kaplicach, zwłaszcza najstarszych, spotyka się ten typ kolistych arkad przy ołtarzu. W ten sposób wydzielano przestrzeń sakralną we wnętrzu świątyni.

Oczy Himmlera rozbłysły za okularami.

– Widzę, że doskonale zna pani swoją dziedzinę, ale czy pani wie, skąd naprawdę pochodzi ta tradycja?

Erikę przebiegł dreszcz. Było jej zimno, a poza tym nie potrafiła zapomnieć nieludzkiego wycia sprzed chwili.

– Z archeologicznego punktu widzenia hipotez jest wiele. Tego typu święte kręgi można spotkać w prehistorycznych grotach.

Himmler wpadł jej w słowo, potrząsając głową:

– Dla Ahnenerbe jest tylko jedno możliwe źródło. To celtyckie kromlechy, te kamienne kręgi, jak w Stonehenge, świadectwo kultu życiodajnej energii zrodzonej z zaślubin ziemi z niebem.

Erika na wszelki wypadek nie wtrąciła, że kiedy pierwsi Celtowie przybyli do Anglii, stojące kamienie ze Stonehenge były tam już od kilku stuleci.

– A teraz proszę spojrzeć na posadzkę.

Na środku pomieszczenia wykuto w zielonym marmurze osobliwy motyw. Erika nigdy nie widziała niczego podobnego. Pioruny zdawały się wychodzić z mglistego środka, rozświetlając wszystko na swej drodze. A może były to wysuwające się korzenie nocy ziemi... Z pewnością jednak ten symbol emanował dziwną mocą.

– Żaden symbol nie istnieje, jeśli nie obdarzy się go potęgą – powiedział zwierzchnik SS. – Weźmy na przykład naszą swastykę: żeby panowała dziś nad Europą, trzeba było napić ją krwią zmarłych. Zresztą zaraz sama pani zobaczy.

Himmler przeszedł przez salę ku drzwiom, za którymi znajdowały się kręcone schody. Erika podążyła za nim. Ujrzała wysoką salę, w której płonął ogień.

– Ten ogień nigdy nie gaśnie, jest symbolem potęgi SS: to stos, który ma oczyścić świat.

Z twarzą poczerwieniałą od szaleńczego tańca płomieni Himmler wyglądał jak zjawa wysłana z głębi piekieł. I nagle Erika zrozumiała, dlaczego ten człowiek wzbudza strach nawet w Göringu.

– Ale żeby żyć, ogień potrzebuje wciąż trawić. A my mamy obowiązek go karmić.

Dotąd nieruchomi za załomem muru, dwaj strażnicy wyszli, prowadząc więźnia, którego oczy zbiegały ze strachu.

– To Polak – skomentował Himmler – bezużyteczna istota ludzka. Ale jego śmierć na coś się zda. Zaczynajcie.

Odruchowo zamknąwszy oczy, Erika usłyszała paskudne trzaski, potem poczuła odrażający smród palonego tłuszczu. Ogarnęła ją głęboka odraza do tych ludzi i potwornego widowiska, na które ją tu zaproszono. Mimo to zrobiła co w jej mocy, by nie okazać swych odczuć.

– Możemy już wracać na górę – oznajmił Reichsführer. – Ogień dokona zbawiennego dzieła.

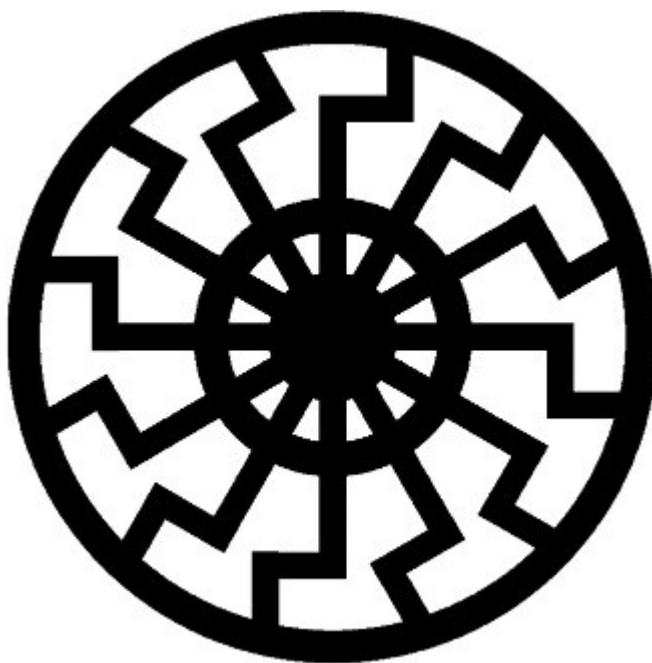
Na górze Himmler ujął Erikę pod rękę i poprowadził na środek sali.

– Proszę mnie teraz uważnie posłuchać: jest lepszy sposób niż śmierć, by osiągnąć potęgę, ponieważ istnieją przedmioty, które przez wieki żywiły się ludzkim bólem.

Wpatrywała się w niego, nie pojmując. Miała wrażenie, że stoi przed nią średniowieczny mnich, który mówi o mocy relikwii – kości świętych zmarłych męczeńską śmiercią czy też drewna z krzyża, na którym skonał Chrystus...

– Zapewniam panią, że w pewnych niezwykłych miejscach żarliwość i cierpienie przeistoczyły się w obiekty czystej potęgi.

Himmler spojrzał w dół, na symbol wykuty w kamieniu.



– Oto Czarne Słońce SS. Katalizuje zarówno moce telluryczne, jak energie magnetyczne, żeby jednak je żywić, potrzebuję relikwii ognia i krwi...

Zafascynowana Erika patrzyła na ten niezwykły symbol, na sploty zielonych żył, które teraz kojarzyły jej się z gniazdem węży.

– ...A pani ją dla mnie znajdzie.

Francja
Montségur
Maj 1941

Słońce zaczynało tracić blask. Schodziło ze szczytu nieba, przesuając się ku horyzontowi. Już teraz światło nie dosięgało pewnych zakątków na dnie dużej doliny, skąd wysnuwały się pierwsze pasma mgły. Chwilami lodowaty podmuch wilgoci chwycił za kostki jak ręka, która wyłoniła się spod ziemi. Ubrany w bluzę mundurową Tristan drżał. Nigdy nie lubił gór. Rozpaczliwie szare zwały skał, zieleń ociekająca wodą zdawały się przynależać do świata, z którego on był wykluczony. Przed chwilą wysiedli z samochodu zaparkowanego na świeżo zniwelowanym kawałku ziemi. Ścieżka wydeptana przez chodzące tędy stada biegła przez górską łąkę, niezbyt bujnie porośniętą trawą.

– To *prat des cremats*²² – oznajmił Weistort, który miał czas zebrać informacje, gdy Tristan był uwięziony w Castellón. – Szesnastego marca 1244 roku katolickie wojska zdobyły zamek. Wszystkim, którzy byli gotowi wyprzeć się herezji, zagwarantowano, że ocalą życie, jednak takich znalazła się tylko garstka, przeważnie byli to wyczerpani wielomiesięcznym oblężeniem żołnierze, którzy pragnęli jak najszybciej wyrwać się z tego piekła.

– A pozostali?

– Nie chcieli wyprzeć się swej wiary. Łącznie dwieście dwadzieścia osób, które Kościół postanowił spalić na jednym stosie. Tu, na tej łące. Zwycięzcy zbudowali ogrodzenie z pali i wypełnili je wiązkami chrustu, a potem zamknęli tam skazanych. I rozpalili ogień. Ponoć smród był nie do zniesienia.

Dotarli na skraj łąki. Wysokie bukszpany zwartymi szpalerami szturmowały górę. Ledwie widoczna ścieżka wyglądała jak ślad wijący się między skałami. W każdej chwili można było pośliznąć się na mokrej ziemi albo potknąć o wystające wapienie.

– Wyobraża pan sobie papieskich żołnierzy, krzyżowców pocących się w kolczugach, na pół oślepionych przez hełmy z przyłbicami, a jednak szturmujących te kamienne mury obronne? Wystarczył jeden strzał z łuku albo kuszy, żeby wbić ich w ziemię.

Zadyszany Tristan spojrział w górę. Zamku wciąż nie widział. Wspinaczka była ciężka, bukszpany chłostały twarze i ciała. Musiał chwycić się wszystkiego, co wystawało, żeby nie

spaść. Ręce miał już zakrwawione od ciągłego przytrzymywania się szorstkich gałęzi i ostrych kamieni.

– Skoro ten zamek jest nie do zdobycia, to dlaczego padł?

– Niech pan się odwróci.

Widok roztaczał się stąd kilometrami, aż po zbocza Pirenejów. Labirynt mrocznych dolin, gęstych lasów, rozległych wysoczyzn.

– Po pierwszych szturmach krzyżowcy postanowili otoczyć zamek, aby odciąć go od zaopatrzenia i pomocy. Tyle że linia oblężenia szybko okazała się dziurawa w wielu miejscach. Była jak sito i oblegani nigdy nie zaznali głodu ani pragnienia. Oblężenie mogłoby trwać latami.

Wyszli z zarośli. Teraz zbocze pięło się w górę, nagie i skaliste aż do zamku. Francuz zatrzymał się, zdziwiony. Nic nie wyglądało tu jak na obrazie.

– Jeżeli szuka pan pierwszych linii obrony, jak na obrazie czy miniaturze, to nie ma tu nic takiego, ani murów obronnych, ani barbakanu²³.

– Albo nic z nich nie zostało – poprawił Tristan. – Na tak stromym zboczu przez siedem stuleci te konstrukcje miały dość czasu, żeby runąć i zniknąć. Należałoby szukać niżej, w tym bukszpanowym lesie, czy nie ma tam zwaliska kamieni, ciosanych albo z resztkami zaprawy. Wtedy moglibyśmy się przekonać, czy obraz jest wierny.

– Z przyjemnością stwierdzam, że zaczyna pan z nami współpracować.

– A mam wybór?

– Absolutnie nie.

– Wciąż nie usłyszałem, jak padło Montségur.

Weistort przystanął, żeby odetchnąć. Wskazał spadzisty występ na prawo od zamku.

– Oblężeni nie umocnili tego występu, ponieważ po trzech stronach jest tu przepaść. Najmniejszego ryzyka. Tyle że krzyżowcy posłużyli się baskijskimi najemnikami. Ci ludzie nie wiedzą, co to lęk przestrzeni. Nocą wspięli się po jednej ze ścian, weszli tu i utrzymali pozycję przez czas potrzebny do ustawienia trebusza²⁴.

Tristan wyobraził sobie zamek bombardowany kamiennymi kulami, które niszczyły mury, powalały wieże.

– Heretycy wytrwali trzy miesiące, potem się poddali.

Zamek był coraz bliżej. W środkowej części muru, zwróconej na południe, widać już było duży otwór, a za nim drewnianą platformę. Na tym tarasie stali dwaj niemieccy żołnierze obserwujący przez lornetki okolicę.

– Jesteśmy w wolnej strefie – oburzył się Francuz. – Co robią tu żołnierze?

– Zawarliśmy z rządem Vichy umowę o współpracy. Współpracy naukowej, w dziedzinie archeologii... dzięki temu niemieccy badacze mogą prowadzić prace terenowe w Carnac, w Eyzies...

A zatem Niemcy swobodnie przetrząsali prehistoryczne grotty Périordu i badali megality Bretanii. Ale czego właściwie szukali?

– Montségur zostało uznane za specjalną strefę badawczą. Dyskretny oddział wojskowy chroni to miejsce. A ekipa archeologów dotrze tu jutro.

Ostatnie metry wspinaczki były najtrudniejsze. Osłabiony po miesiącach więzienia Tristan czuł, że nogi się pod nim uginają i że nie radzi sobie ze strachem. Od grabieży w Montserracie utracił kontrolę nad własnym życiem. Stał się więźniem losu, o którym decydowali inni. Obok niego Weistort wspinał się energicznym krokiem, z uśmiechem na ustach. On był żywy, Tristan nie. Tristan stał się cieniem, popadł we władanie demona.

Weszli na zamkowy dziedziniec pełen kamieni i splątanych ciernistych gałęzi. Tristan miał wrażenie, że znalazł się w grobie. To widać było tylko od wewnątrz, ale mury układały się w kształt trumny. Grób pod gołym niebem. Z murów wystawały jeszcze kamienie, które kiedyś musiały być stopniami schodów. Żeby uwolnić się od poczucia pogrzebania, Francuz wszedł na te rozchwiane stopnie. Przed sobą, po przeciwnej stronie dziedzińca, zobaczył szczątki donżonu. Czworobocznego, z okienkami strzelniczymi, został ścięty i nie miał ani blankowania, ani machikułów, ani śladu dachu. Przede wszystkim jednak wznosił się na skraju zamku w zupełnie innym miejscu niż na obrazie: wieżę usytuowano w centralnej części budowli, a nie na jej końcu.

– Dziwne. Ten zamek wcale nie przypomina castrum z obrazu – stwierdził Tristan.

Weistort splótł ręce na piersi.

– Zgadza się. Jednak wszystkie zamki przez lata swego istnienia są nieustannie niszczone i odbudowywane. Nie mamy pewności, czy jesteśmy teraz w tej samej budowli, która w roku 1244 opierała się oblężeniu.

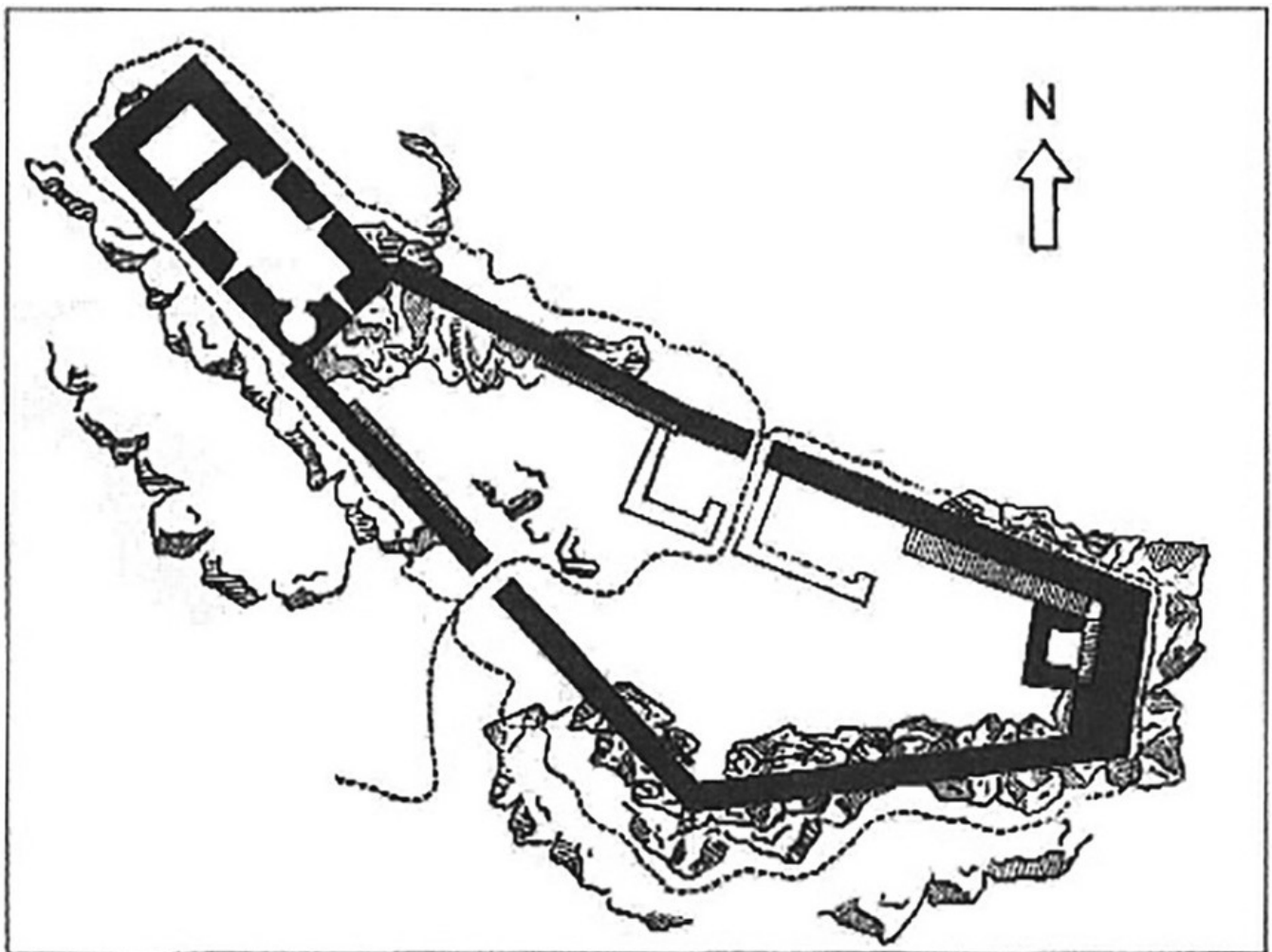
Grupa żołnierzy weszła na dziedziniec, niosąc skrzynie i narzędzia. Tristan zszedł z rozchwianych kamiennych schodów. Mimo że wciąż czuł dotkliwy ból mięśni, lęk ustąpił instynktowi przetrwania. Już raz był martwy, za drugim razem umrze naprawdę. Nie miał wyboru, musiał współpracować. Ale po swojemu...

Uprzątnąwszy mniej więcej płaski skrawek terenu, żołnierze zabrali się do rozbijania namiotów. Tristan podszedł. Niektóre już stały i gromadzono w nich sprzęt do poszukiwań, w innych ustawiano łóżka polowe i stoły do pracy. Pod murem, nieco na uboczu, rozbito mały namiot, w którym znalazł się składany stół zarzucony mapami i raportami. Wartownik strzegł wejścia, więc Francuz po prostu się cofnął. Czuł na karku spojrzenie Weistorta. Jednak to, że go obserwowano, nie przeszkadzało mu w niezależnym myśleniu. Doliczył się jedenastu łóżek, pomijając to w namiocie na uboczu, prawdopodobnie przeznaczone dla dowódcy grupy. A zatem dwanaście osób w ruinach zagubionego u stóp Pirenejów zamku. W dodatku odznaki na rękawach żołnierzy świadczyły, że większość z nich to inżynierowie,

specjaliści w dziedzinie budowy dróg i mostów... Dziesięciu mężczyzn zdolnych przetrząsnąć każdy zakamarek Montségur. A wszystko z powodu zwykłego obrazu.

– Pójdzie pan ze mną na skalną półkę na wschodzie. To tam rozstrzygnęły się losy Montségur.

Weistort trzymał w ręce plan zamku. W jego lewej części widać było kwadratowy donżon z poprzecznymi okienkami strzelniczymi, kręconymi schodami i pomieszczeniem w głębi. Tristan przypuszczał, że jest to zbiornik na wodę. Ponieważ w Montségur nie było ani studni, ani też widocznego źródła, oblężeni musieli zapewne zadowolić się wodą spadającą z nieba. Architekt niewątpliwie liczył się z ciasnotą miejsca, najeżonego w dodatku skałami. Kiedy jednak patrzyło się na plany, kształt zamku przypominał średniowieczny sarkofag czekający na zwłoki, które zostaną w nim złożone: z głową na boku, widoczną z profilu w obrysie donżonu, a ciałem w pozycji płodowej w obrysie murów. Potwierdzało się pierwsze makabryczne przeczucie Tristana – nad tym zamkiem unosiła się śmierć.



Wyszli przez Bramę Południową, skręcili w lewo i ruszyli po skałach, które zdawały się rosnać pod murem. Po kilku metrach mur gwałtownie skręcał w lewo tak jak wypłaszczenie, nagle mocno zwężone. Wędrówka stała się trudniejsza. W pewnej chwili musieli zboczyć i pójść wzdłuż wschodniej ściany zamku.

– To pięta achillesowa fortecy, ponieważ wychodzi na płaskowyż. – Esesman wskazał palcem punkt na planie. – Właśnie dlatego jest tu podwójny mur i umocnienia.

Szli teraz po kamieniach, które się osunęły. Choć pokryły je zarośla, na ziemi widać było zarysy fundamentów. Tristan nie potrafił wyobrazić sobie całego kompleksu architektonicznego. Ta skalna ostroga stanowiąca przedłużenie zamku od wschodu była chyba kiedyś zabudowana, ale w jaki sposób? Czy znajdowały się tu domy, czy fortyfikacje?

– Zaraz będziemy na miejscu.

Z cienia tego, co wyglądało na szczątki wieży, wyłoniła się pusta przestrzeń. Weistort zbliżył się do niej.

– To tu wdarli się baskijscy najemnicy. Najpierw zdobyli wieżę, zabili jej obrońców, a potem wycofali się za fosę, którą osłaniał mur. Wznosił się prawdopodobnie gdzieś...

Przerwał mu kobiecy głos:

– Wystarczy się odwrócić.

W świetle zachodzącego słońca ujrzeli młodą kobietę. Ubrana w brązową parkę, schowała włosy pod zsuniętą na bok beret. Wyglądała jak kłusownik. Jednak jej szare oczy, zwrócone prosto na nich i zmrużone, nie zdradzały najlżejszego strachu.

– Mury obronne znajdowały się tu, gdzie teraz są zarośla. Widać jeszcze ich zarys, chociaż mur zburzono.

Weistort zdjął czapkę, skłonił głowę i strzelił obcasami.

– Oberführer Weistort, do usług. Doskonale mówi pani po niemiecku. Czy mogę zapytać, gdzie się pani nauczyła tego języka?

W szarych oczach błysnął ogień.

– Tutaj to ja zadaję pytania! I mam tylko jedno: co robicie w moim domu?

Żyronda
Maj 1941

Malorley skończył ostatnią serię ćwiczeń, leżąc na podwórzu. Wstał spocony. Chłodne poranne powietrze podrażniło mu płuca i gardło. Anglik ogarnął spojrzeniem pola ciągnące się aż do okolicznych lasów. Wszystko było białe. To nie śnieg, lecz cienka warstwa szronu przykryła ziemię jak okiem sięgnąć. Zupełnie jak gdzieś na krańcach Surrey czy Walii... Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie kojarzył Francji z mrozem. Przed wojną pływał przez La Manche, by udać się do Paryża albo na Lazurowe Wybrzeże, a nie do jakiejś dziury w Żyrondzie. Francja, jaką sobie wyobrażał, była radosna, słoneczna i zielona. Teraz przywdziała szare i zgniłozielone barwy rozpacz, rozdarta na dwie części od Jeziora Genewskiego po podnóże Pirenejów.

Nareszcie był we Francji. Jego wysiłki nie poszły na marne. Opłacało się nawet kłamać. Żeby przekonać Krąg Gordona do wpłynięcia na Churchilla, sfabrykował to i owo. Zdjęcia napromieniowanych esesmanów na szpitalnych łózkach powstały w pracowni falsyfikatów SOE. Zegarmistrzowska robota! Byli to żołnierze poparzeni podczas bitwy o Belgię i leczeni w szpitalu polowym. Fałszerze z SOE postarali się upodobnić ich do napromieniowanych. Malorley nie był z siebie dumny, ale dokumentacja przekonała komitet do podjęcia korzystnej dla niego decyzji. Odsunął od siebie te negatywne myśli. Liczyła się tylko misja, a on nie wątpił w złoczynną moc insygniów. I to było najważniejsze. Chuchnął w dłoń, żeby je rozgrzać. Wkrótce zacznie świtać, muszą ruszać w drogę.

Malorley po raz enty zmrużył oczy, wpatrując się w drogę biegnącą wzdłuż gospodarstwa. Obawa, że nagle wpadną tu Niemcy, nie opuszczała go od przyjazdu. Jednak wokół panował niezmacony spokój. I może ten spokój był niepokojący.

Odwrócił się i po chwili pchnął ciężkie dębowe drzwi prowadzące do jadalni. Woń niedogaszzonego drewna unosiła się pod niskim sufitem i lepiała do grubych ścian. Dwoje agentów SOE siedziało przy obfitym śniadaniu. Właściciel gospodarstwa, olbrzym o jowialnej twarzy, podał im dziwny płyn, ciemny i gęsty, parujący z kubków. Jean Vercors był człowiekiem prostym, ale o wyrobionych poglądach. Nienawidził Niemców, z którymi walczył podczas pierwszej wojny światowej. Był sierżant odznaczony po bitwie pod Verdun, przeszedł na emeryturę dwa lata przed wybuchem wojny w 1939 roku. Nie mógł pogodzić się z faktem, że jego jednostka rezerwowa stała z bronią u nogi podczas inwazji na

Francję. Dopiero od trzech miesięcy należał do raczkującej i małej siatki ruchu oporu, ale przez jego gospodarstwo przewinęło się już około dziesięciu spadochroniarzy zmierzających w różne strony Francji. Jego młodszy brat Blaise, z którym prowadził gospodarstwo, bawił się w przemytnika.

– Lukrecja, cykoria i porcja koniaku – powiedział wesołym głosem. – Kiedy brakuje kawy, nie ma nic lepszego, żeby postawić człowieka na nogi. Nieboszczyk wstałby po tym z grobu!

Malorley usiadł między swoimi agentami i wypił łyk mikstury. Nie skrzywił się tylko przez grzeczność, ale dyskretnie odsunął od siebie kubek. Na środku stołu leżała mapa Francji. Uderzył łyżeczką o blat.

– Dobrze. Teraz powtórzymy instrukcje. Znacie nasz cel: dotrzeć do Tuluzy.

– Powtarzaliśmy to już dziesięć razy – rzucił zniecierpliwionym głosem Charles, starszy z agentów, mężczyzna o surowej twarzy i czarnych włosach gładko zaczesanych do tyłu.

– W takim razie zrobimy to po raz jedenasty – odparł oschle Malorley. – Być może dzięki temu nie będzie pan musiał powtarzać tego gestapowcom.

Poznali się wczoraj i już od pierwszych chwil było oczywiste, że nie ma między nimi porozumienia. Malorley wyczuwał narastającą niechęć agenta i zaczynał żałować, że wybrał właśnie jego.

Zwrócił się do młodej kobiety – blondynki około trzydziestki, o owalnej buzi i łagodnych oczach ukrytych za niezbyt ładnymi okularami.

– Jane?

– Jestem Henrykowa Darcourt, pańska troskliwa żona. Jedziemy oboje na dworzec w Bordeaux, a stamtąd pociągiem do Tuluzy. Na trasie czekają nas dwie kontrole. Pierwsza na dworcu Saint-Jean w Bordeaux, druga w pociągu, kiedy będziemy przekraczali linię demarkacyjną.

Były sierżant dosiadł się do nich.

– Mieście się na baczności, Niemcy poprosili francuskich żandarmów o wsparcie na dworcu w Saint-Jean. Musicie też uważać na ubranych po cywilnemu agentów Gestapo, bo roi się od nich jak od kleszczy na łbie bezpańskiego psa.

Malorley skinął głową i spojrzał na Charles'a. Agent ciężko westchnął, a potem zaczął mamrotać pod nosem:

– Jestem komiwojazerem, handluję konserwami. Jadę ciężarówką do Libourne z Blaise'em, hodowcą świń. A tak przy okazji, dziękuję za wycieczkę w towarzystwie tych uroczych stworzeń. W wolnej strefie Blaise podrzuci mnie na dworzec w Mirande, gdzie wsiądę do ekspresu do Tuluzy.

Malorley złożył mapę, kontynuując odpytywanie:

– Punkt kontaktowy w różowym mieście? Godzina nawiązania kontaktu? Hasło?

– Restauracja Jowialny Wieprzek, rue Bouquières – odparł Charles, patrząc ponuro. – Między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Mężczyzna w głębi sali, będzie miał czarny kapelusz z taśmą z szarego filcu. Położy go na stoliku. Hasło rozpoznawcze: „Dobry kapelusz zawsze się przyda”.

Kobieta uzupełniła z powagą:

– Kontakt ma dodać: „Nawet wiosną”. Jeżeli odpowiedź będzie niedokładna, uciekać z restauracji i modlić się do Boga Wszechmogącego.

Charles po raz pierwszy się uśmiechnął, Malorley natomiast zachował kamienną twarz.

– Nie ma w tym nic zabawnego, ponieważ oznaczałoby to, że wpadliście na niemieckiego agenta albo na członka antykomunistycznej policji Vichy. I możecie być pewni, że jego koledzy czekaliby przy wyjściu z restauracji, żeby was zatrzymać. I z pewnością odesłaliby was do strefy okupowanej.

Charles przeczesał palcami włosy.

– Z całym szacunkiem, komandorze, kiedy poproszono mnie, żebym do pana dołączył, pracowałem tu, tworząc poważną siatkę konspiracyjną. Czy mógłbym poznać cel naszej misji?

Malorley odparł głosem zimnym jak lód:

– Nie. Gdyby wpadł pan w ręce Gestapo, mogłoby to doprowadzić do niepowodzenia całej operacji. Kiedy już wszyscy dotrzemy do Tuluzy, wydam nowe instrukcje co do dalszych działań. Są jeszcze jakieś niejasności?

Z ich twarzy wyczytał, że o nic już nie zapytają. Jego bezapelacyjny ton ochłodził nastroje. Gospodarz wstał od stołu i oznajmił:

– No, przyjaciele, czas na nas. Państwa Darcourt osobiście odwiezie na dworzec Saint-Jean, a Blaise zajmie się handlarzem konserw.

Droga do Żyrondy

Ciężarówka z plandeką jechała wolno po krętej drodze departamentalnej w kierunku Lagon. Z tyłu przeraźliwie kwiczało dziesięć prosiąt ściśniętych w kojcu transportowym. Paskudny zapach wypełniał nawet kabinę kierowcy. Charles zerkał ukradkiem na Blaise’a – przemytnika w kaszkiecie wciśniętym na głowę, z której czas wyskubał już większość włosów.

– Okropnie tu cuchnie, aż trudno wytrzymać – powiedział Charles, krzywiąc się.

Wieśniak uśmiechnął się przebiegle.

– Owszem, dokładnie to samo mówią podczas kontroli Niemcy. I dzięki temu nie odkryli dotąd, gdzie transportujemy amunicję dla naszych ludzi.

Mimo niebezpieczeństwa brat dawnego sierżanta wydawał się całkowicie spokojny.

Agent wyciągnął paczkę gauloises’ów i podsunął ją kierowcy.

– Nie, dziękuję. Nie palę – odparł Blaise. – Mamy pół godziny do linii demarkacyjnej.

– Wielu jest takich, którzy działają jako przemytnicy? – spytał Charles.

Wieśniak zaśmiał się cicho.

– Zależy, co pan określa tym słowem. Ja robię to z przekonania, inni dla pieniędzy. Za jeden przerzut mają dwadzieścia tysięcy franków. I dziesięć dodatkowych, jeżeli dostarczą klienta Niemcom.

– Słucham?

– Nie wszyscy, zapewniam, ale są i tacy. Mieliśmy we wsi takiego łajdaka. Nazywał się Amédée, był kawalerem. Wziął pieniądze od dwóch żydowskich rodzin, a potem wysadził je przed komendanturą w Pessac. Chyba nie zabrał ze sobą tej forsy do rajku, kiedy dwa dni potem walnął głową o kowadło. Pech.

– Wypadek?

– Tak mówią...

Agent SOE zapalił papierosa i zapatrzył się w winnice poprzecinane gęstymi zagajnikami.

– Piłem kiedyś wino Saint-Émilion. Przed wojną. W 1927. W restauracji w Caen. Do dziś pamiętam ten smak. Istne чудо.

Blaise lekko się uśmiechnął.

– Szczęściarz z pana. Mnie nigdy nie było na to stać. Zresztą Niemcy rekwirują wszystkie dobre butelki, a trzeba przyznać, że znajdują się na pinardzie.

– Pewnego dnia, już wkrótce, odbierzemy je, a wtedy przyślę panu całą skrzynkę.

Przemytnik zacisnął palce na kierownicy.

– Nie wierzę, przyjacielu. Szwaby nas zmiażdżyły. Armia nie istnieje, a po tamtej stronie linii demarkacyjnej stary marszałek może lada chwila wykitować.

– A Anglia? A de Gaulle? A apel 18 czerwca?

Ciężarówka zwolniła, wchodząc w pnącą się do góry serpentynę, a potem przyspieszyła na zjeździe. Świnie znów głośno wyrażały niezadowolenie. Wieśniak porozumiewawczo spojrzął na pasażera.

– O Angolach nie powiem złego słowa. Dzielnie się trzymają. Ale de Gaulle to jakiś żart! W zeszłym roku chciał odbić pétainowcom Dakar. Kompletna kłapa. – Przemytnik zaśmiał się szyderczo. – Ten wasz generał lepiej radzi sobie w radiu niż w terenie. Moim zdaniem nie zrobi kariery.

– Nie rozumiem, dlaczego w takim razie pomaga pan ruchowi oporu?

– Nienawidzę szwabów. To chyba wystarczy, a poza tym...

Nie dokończył zdania: z zarośli wybiegła sarna i znieruchomiła na środku drogi niczym posąg. Uniosła łeb i z drżącymi nozdrzami patrzyła wielkimi oczyma.

– O Boże!

Blaise zahamował, jednocześnie odbijając w bok, ale lewą stroną ciężarówki uderzył w zwierzę. Świnie znów podniosły wrzawę. Charles chwycił się rączki drzwi, żeby nie

polecieć do przodu. Gałęzie dębów drapały szybę i plandekę i wóz po chwili wylądował w rowie.

Minęło kilka minut, zanim mężczyźni się otrząsnęli. Przemutnik wysiadł pierwszy, żeby ocenić skalę zniszczeń.

Ciężarówka wyglądała jak hipopotam wylegujący się w kałuży. Przednie koła do połowy zapadły się w błoto. Blaise usłyszał kwiczenie za swoimi plecami. Odwrócił głowę i zobaczył trzy prosiaki pędzące w stronę winnicy. Agent SOE usiłował jakoś załatać dziurę w plandece, żeby uniemożliwić ucieczkę reszcie świń, które z wrzaskiem próbowały wydostać się z wozu.

– Cholera – zaklął Blaise. – Źle się zaczyna ta wasza operacja.

Montségur

Maj 1941

Drzwi dworu trzasnęły, jakby do starego domostwa wdarł się majowy wichur. Po odgłosie szybkich kroków dobiegającym z wyłożonego kamiennymi płytami holu Jean d'Estillac odgadł, że wróciła jego córka. Pokonała drogę do zamku mimo zimna i zmierzchu, a wróciła równie rozwścieczona jak wtedy, kiedy go opuszczała. Jean z przyjemnością wtulił się w głęboki skórzany fotel, który przywiózł z Anglii, gdzie przez rok prowadził wykłady. To była świetna inwestycja – pozwalała mu spokojnie znosić ostry charakter ukochanej córki. Słyszał, jak idzie teraz przez salon po układanym w jodełkę parkiecie z takim hałasem, jakby pędzili po nim szarżujący kawalerzyści. Czasami dziwił się, że na jej widok nie drżą mury.

Laure była wściekła. Ten niemiecki oficer ze swoją lodowatą uprzejmością i pobłażliwością zwycięzcy zakpił sobie z niej. W trzech zdaniach wyjaśnił, że od tej chwili zamek stanowi strefę specjalną przejętą za zgodą rządu Vichy przez Rzeszę w celu przeprowadzenia poszukiwań. Oficjalne dokumenty pozostają do jej dyspozycji. Jeżeli sobie tego życzy, otrzyma ich kopie. Odwróciła się i odeszła bez słowa. Bezradność doprowadzała ją do szału. „Za zgodą rządu Vichy”. I co jeszcze?! Jakby nie dość było, że ten zdzieciniały starzec obalił Republikę, to teraz, siedząc sobie u wód, wdzięczy się do Niemców i rozdaje im dziedzictwo narodowe Francji. Dziedzictwo, które od stuleci należy do jej rodziny i jest przez nią chronione. Ponieważ szła korytarzem prowadzącym do biblioteki, zobaczyła kątem oka portret marszałka Pétaina zawieszony przez ojca na ścianie. Jak Francja mogła złożyć swe losy w ręce tego truposza?! To przechodziło ludzkie pojęcie. Chwyciła ramię, obróciła ją i stary marszałek zawisł głową w dół w kepi na bakier. Taki los czeka tych, którzy sprzeciwiają się Laure d'Estillac.

– Tato!

Jej głos wprawił w drgania nawet najstarsze książki w bibliotece. Kurz stuleci opadał z okładek, a niewidoczne żyjątka, które od lat drzemały między kartkami, podskoczyły, jakby obudził je koszmarny sen. Wciśnięty w fotel Jean czekał na nadejście huraganu. Córka stanęła przed nim wyprostowana niczym urażona sprawiedliwość – jej oczy pały gniewem, włosy były rozplecione, usta czerwone z gniewu.

– W zamku są Niemcy. Zdążyli już rozbić obóz. Na dziedzińcu stoją namioty. Przy wejściu wartownicy. A co gorsza, na płaskowyżu natknęłam się na dwóch oficerów. –

Wykrzywiła się z odrazą. – Esesmanów. Ten, który ze mną rozmawiał, nazywa się Weistort.

Ojciec uznał, że czas ją uspokoić.

– I powiedzieli ci, że są tu, żeby przeprowadzić prace archeologiczne w ramach dwustronnej umowy między Francją a Niemcami, tak?

– Mówił tylko jeden, drugi, ten młodszy, poprzestał na patrzeniu na mnie, ale skąd wiesz...

– Prefekt mnie uprzedził.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Żebyś nie rozpętała burzy w domu, żebyś nie lżyła wszystkich i wszystkiego łącznie ze ścianami.

– Nienawidzę Niemców!

– Córko, przypominam ci, że przegraliśmy wojnę, a teraz jesteśmy pod nadzorem okupanta. Dlatego prosiłbym, żebyś powściągnęła swój temperament i nieco dyskretniej okazywała wrogość.

– Żołnierze z trupimi główkami na mundurze zajęli zamek, w którym bawiłam się jako dziecko, a ja mam milczeć?!

– Przede wszystkim postaraj się nie wchodzić na górę. Spędzą tu kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy. A skoro chcą przeszukać ruiny zamku, to życzę powodzenia.

Pełnym rozpaczy gestem Laure wskazała wszystkie książki, które zakrywały ściany biblioteki aż po sufit.

– Jak ty, człowiek, który wykladał historię herezji w całej Europie, który poświęcił życie zgłębianiu dziejów katarów, zdołasz pogodzić się z profanacją ich ostatniego schronienia i ich ostatniego, uświęconego krwią miejsca na ziemi?

– To już tylko kamienne mury, w których hula wiatr. Ruiny na szczycie góry, a nie symbol.

– Oczywiście – syknęła Laure. – Wystarczy, że Vichy wyraziło zgodę, żebyś stał się potulny jak baranek.

– Możliwe, ponieważ kiedy baranki są w stadzie i zagraża im wilk, potrzebują pasterza, który je poprowadzi.

– A ten pasterz to stary ramol, którego portret powiesiłeś w korytarzu?

Jean aż podskoczył. Nie zamierzał tolerować ataków na starego marszałka. Na bohatera, który ocalił Francję pod Verdun, a w czerwcu 1940 roku uchronił kraj od najgorszego.

– Zabraniam ci mówić w tym domu źle o człowieku, który się poświęcił, żeby nas chronić.

– A teraz mówisz jak radio Vichy.

– To głos rozsądku, cierpliwości i starań. Jedyna droga, jaką możemy teraz iść.

– Są inne...

Laure zdjęła parękę, strząsnęła z włosów drobne kropelki wody i podeszła do kominka.

– Jeżeli masz na myśli tego pułkownika, który uciekł do Londynu, tego dezertera, który nawołuje do nieposłuszeństwa i buntu...

– Nazywa się de Gaulle, tato.

– Nie chcę słyszeć tego nazwiska pod moim dachem.

Ogień palił się, delikatnie iskrząc. Nad ziemią zapadła noc. Laure pomyślała, że po raz pierwszy od wieków żołnierze zajęli Montségur. Przebiegł ją dreszcz odrazy. Mimo to zastanawiała się, o czym będą śnili ci ludzie zawieszani między niebem a ziemią. Sama nigdy nie nocowała w zamku. Teraz to sobie wyrzucała, jakby ci żołnierze, tam, w górze, mieli ukraść jej sekret.

– Od jak dawna zamek należy do naszej rodziny?

– Od niemal dwustu lat.

– Jak to się stało, że tylko ty z całej rodziny zainteresowałaś się katarami?

– Po prostu pamięć o nich zaginęła. Nikt nie pamiętał już ani krucjaty przeciw heretykom, ani oblężenia zamku, ani tym bardziej stosu. Dopiero u schyłku minionej epoki erudyci „ożywili” Montségur. Szperali w archiwach, pisali artykuły, wydawali książki. I zapomniana przeszłość powróciła.

Laure pomyślała o nazistowskim oficerze, który szukał miejsca, gdzie krzyżowcy ustawili maszynę oblężniczą.

– Tato, dlaczego Niemcy zainteresowali się Montségur?

Historyk wzruszył ramionami.

– To nic nowego, już na początku lat trzydziestych młody uczyony, Otto Rahn²⁵, przyjechał tu, żeby podjąć poszukiwania na Montségur. Był przekonany, że w zamku ukryto Graala.

– Tylko że nie ma czego przeszukiwać, zamek wznosi się na skale. Nie ma ani piwnic, ani studni, a przecież nie zamierzają chyba rozbierać murów...

Ojciec się uśmiechnął. Jego impulsywna córka czasami myślała chaotycznie, zachowując się jak linoskoczek bez liny.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć o Montségur. Tam, gdzie byłeś dziś po południu, dokładnie na kamiennej ostrodze, która posłużyła krzyżowcom do ustawienia trebusza, otwiera się przepaść, ale jest niewidoczna pośród zarośli. To nie jedyna taka, bo cały pog²⁶ pełen jest rozpadlin, szczelin, załamów skalnych.

– Zostały przeszukane, zbadane?

– Ale tylko przez nietoperze – zażartował Jean. – Jest jednak inna tajemnica: katarzy zamieszkali w tym zamku około roku 1200 i zostali tam ponad czterdzieści lat, przez dwa pokolenia. To oznacza setki kobiet i mężczyzn...

– Do czego zmierzasz?

– Wielu z nich zmarło. Gdzie są ich groby? Gdzie ich pogrzebano? Nigdy nie natrafiono na żadne kości.

– Chcesz powiedzieć, że gdzieś tu musi być nekropolia?

– To prawdopodobne. Zwłaszcza że wskazuje na to jeszcze coś. Kiedy w roku 1244 oblężeni zgodzili się poddać, poprosili o zawieszenie broni: dwa tygodnie bez ataków. Potem mieli wydać zamek.

– Krzyżowcy się na to zgodzili?

– Tak, woleli zająć fortecę bez walki. Bitwa kosztowałaby zbyt wiele ludzkich istnień.

– Dlaczego tak łaskawie czekali? I co przez ten czas robili katarzy?

– Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie, ale po bombardowaniach i ostatnich walkach musiało być wielu zabitych. Nie przesadzę, mówiąc, że dziesiątki. Co się stało ze zwłokami?

Laure odsunęła się od bijącego łagodnym ciepłem kominka i usiadła bliżej ojca. Miała wrażenie, że znów jest dziewczynką, której opowiadał wieczorami historyjkę. A ona zawsze chciała wiedzieć, jakie będzie zakończenie.

– A zatem przez te dwa tygodnie katarzy mogli pochować i ukryć swych zmarłych.

– Być może w szczelinie, do której wejście potem zasłonili gruzem. Przecież tego im nie brakowało, mury były roztrzaskane kamiennymi kulami.

Laure z fascynacją obserwowała ojca. Jak człowiek o jego umyśle, tak bystry w dociekaniach historycznych, mógł równocześnie być ślepy tam, gdzie szło o politykę? Gorzej: jak on, przez całe swe życie potępiający okrucieństwo ówczesnych władz wobec heretyków, mógł popierać władze represjonujące obywateli tak jak rząd Vichy?

– Sądzisz, że jeśli ta nekropolia istnieje, to Niemcy mają szansę ją odkryć?

– Przy odpowiednich środkach i specjalistach to niewykluczone. Ale już od siedmiuset lat pozostaje ukryta...

Laure wstała.

– Czuję się zmęczona. Wspinaczka do zamku była ciężka. I wszystkie te historie... Zaczyna mnie to nużyć. Pójdę do siebie, chcę odpocząć.

Ojciec powiódł za nią wzrokiem, kiedy szła po schodach, a potem wstał i zbliżył się do biblioteki, w której lśniły oprawy cennych książek. Ujął dwiema rękami jedną z półek i wysunął, tworząc wąski blat. Na drewnianej desce, zwykle ukrytej przed spojrzzeniami, znajdowała się aparatura do nadawania morse'em. Jean położył palec na przycisku, maszyna zaczęła stukać:

WEISTORT DOTARŁ DO MONTSÉGUR.

Bordeaux

Dworzec Saint-Jean

Maj 1941

Szary wóz zatrzymał się na uliczce biegnącej wzdłuż magazynów na tyłach dworca. Lekka mgła oblepiała jeszcze spękane mury.

– Niech Bóg ma was w opiece – rzucił Jean Vercors, przez otwarte okno wyciągając rękę do Malorleya.

– Nie wiem, czy Bóg chce wtykać nos w nasze sprawy – odparł Malorley. – Dziękuję za pomoc.

Francuz wahał się, jakby chciał coś jeszcze dodać.

– Czy mógłbym pana o coś poprosić?

– Jeżeli to nie przekracza moich możliwości.

– Widzi pan... Te kapsułki, które dają wam na wypadek wpadki... Jeden z pańskich kolegów wspomniał kiedyś o tym.

– I?

– Nie mógłby pan dać mi takich dla mnie i dla brata?

Malorley spojrział na niego ze współczuciem. Jean ciągnął:

– Gdyby Niemcy was dopadli, to nie twierdzą, że zdradzilibyście nas, ale torturowaliby was, więc...

– Przykro mi, dają nam po jednej kapsułce na osobę. Nie mogę podejmować takiego ryzyka, nie wolno mi dopuścić do ujawnienia celu naszej misji. Ale przyślę je panu przy najbliższym rzucie.

Na twarzy byłego sierżanta pojawił się smutny uśmiech.

– Nie chodzi mi o mnie, ale Blaise, mój brat... Jest jeszcze młody. Nie chcę, żeby cierpiał, gdyby wpadł w ręce tych bestii. Ludzie opowiadają okropne rzeczy...

Jane, która wszystko słyszała, wysunęła się przed Malorleya i podała Francuzowi małe metalowe pudełko.

– Niech pan to weźmie. To moja.

Anglik z kamienną twarzą patrzył, jak Francuz otwiera pudełko i wyjmuje szklaną kapsułkę w kolorze bursztynu.

– Wystarczy zmiążyć kapsułkę zębami – powiedziała Jane. – Skutek jest natychmiastowy.

Mężczyzna gorąco uściśnął jej dłoń.

– Dziwne. Właśnie podarowała mi pani... śmierć.

– Ta wojna sprawiła, że życie stało się dziwniejsze od śmierci – odparła spokojnym głosem. – Dziękuję za odwagę panu i pańskiemu bratu.

Pozegnali się jeszcze raz, a potem Citroën zniknął we mgle. Malorley zwrócił się do partnerki:

– Pod żadnym pozorem nie powinna pani oddawać mu cyjanku. To naruszenie procedury. Podniosła walizkę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Od wybuchu wojny wciąż coś naruszam. Nie posłuchałam matki Francuzki, wstępując do SOE, zamiast podjąć pracę pielęgniarki w szpitalu. Nie posłuchałam ojca Anglika, który chciał, żebym wyszła za pewnego pilota, a teraz nie posłuchałam pana. Jestem konsekwentna. Idziemy?

Nie czekała na odpowiedź i nieco go wyprzedziła. Malorley uśmiechnął się pod nosem – uprzedzono go, że agenci SOE to ludzie z charakterem. A ta dziewczyna charakter miała niezłomny. Ruszył szybko, żeby ją dogonić, i już razem dotarli do głównego wejścia na dworzec wzniesiony z szarego kamienia i kryty dachówką. Typowy dworzec, wybudowany pod koniec minionego stulecia w dużym mieście na prowincji. Zawieszony wysoko zegar wskazywał dziesiątą czterdzieści. Do odjazdu pociągu została im jeszcze prawie godzina.

Przed wejściem panował tłok. Malorley pomyślał, że nawet podczas wojny ludzie nieustannie podróżują. Różnica polegała tylko na tym, że teraz przed drzwiami wejściowymi i wyjściowymi odbywały się kontrole. Oddziały złożone z francuskich żandarmów i niemieckich żołnierzy stały przy każdym wejściu, po dwóch stronach długiej kolejki podróżnych.

Dwójka agentów dyskretnie wmieszała się w tłum. Malorley wyjął ich ausweisy z kieszeni marynarki.

– Módlmy się, żeby fałszerze z Orchard Street przeszli samych siebie.

Młoda kobieta odwróciła się do ściany, zasłaniając twarz rękami. Kiedy uniosła głowę, oczy miała przekrwione, jakby przepłakała całą noc.

– Zalety pieprzu...

Upłynął co najmniej kwadrans, zanim doszli do posterunku kontrolnego, gdzie dokumenty sprawdzali dwaj żandarmi w lekko zsuniętych z czoła kepi. Obok, trzymając się nieco z tyłu, dwaj mężczyźni w beżowych płaszczach stali z rękami w kieszeniach i posępnym wzrokiem lustrowali podróżnych.

Za tymi dwoma, pod ścianą dworca, siedziało na ławce małżeństwo z dwójką małych dzieci. Otaczali ich niemieccy żandarmi. Kobieta tuliła córeczkę i trwożnie zerkała na boki.

Malorley mimowolnie skupił wzrok na tych biedakach. Ponad wszelką wątpliwość byli to Żydzi uciekający ze strefy okupowanej. W Londynie czytał raporty dyplomatyczne mówiące o rzezi na Żydach w niemal całej Europie. Jednak działo się to głównie w Polsce i Rumunii, a trudno było mu uwierzyć, że odpowiedzialność za sytuację ponosi również Francja.

Milczenie przerwała Jane, szepcząc:

– Teraz nasza kolej.

Malorley potrząsnął głową.

– Przepraszam.

W końcu podeszli do żandarma. Anglik czuł zwrócone na siebie oczy facetów w prochowcach, prawdopodobnie agentów Gestapo. Starał się na nich nie patrzeć, ale ścisnęło go w żołądku aż do bólu. Strach znów brał górę. Głuchy, bezlitosny, ślepy. Malorley wiedział, co Gestapo robi ze szpiegami.

Żandarm wziął ausweisy i uważnie je oglądał. Agent SOE czuł, że serce wyrywa mu się z piersi. Wszystkie szkolenia świata były zaledwie marną namiastką zagrożeń, z jakimi miało się do czynienia w terenie.

Jane otarła łzy z policzka. Cudownie grała swoją rolę. Zrobiło mu się wstyd, że uległ strachowi.

Żandarm wczytywał się w dokumenty tożsamości.

– Pan i pani Darcourt, zamieszkali w Tuluzie.

Zerknął na Jane, potem na Malorleya.

– Pańska żona kiepsko wygląda.

Anglik wyciągnął z portfela kartkę i wyjaśnił w doskonałej francuszczyźnie:

– Wracamy z pogrzebu jej matki, z Lacanau.

Przed tygodniem fałszerze z SOE przygotowali akt zgonu, wykorzystując do tego celu fotografię matki jednej z sekretarek.

Żandarm ze zrozumieniem pokiwał głową, ale wciąż nie oddawał im papierów. Zauważył, że Malorley zerka na siedzącą z boku rodzinę. Anglik chciał rozwiać wszelkie wątpliwości.

– Co to za ludzie?

– Żydzi, którzy chcieli przejść do wolnej strefy. Dali się wykiwać fałszerzowi dokumentów. Nawet mój dwunastoletni syn zorientowałby się, że ich ausweisy są podrabiane.

– Co z nimi zrobicie?

Żandarm wzruszył ramionami.

– Ja nic, ale Niemcy chcą ich wysłać do obozu pracy.

– Nawet dzieci?

– Dlaczego tak to pana interesuje? Chce je pan adoptować? Jak to mówią żydki, możemy dać panu rabat. Ha ha ha! Następny!

Żandarm i jego kolega gruchnęli śmiechem, oddając im ausweisy.

Malorley najchętniej walnąłby żandarma pięścią w pysk. Ogarnął go wstyd, bo odbierając dokumenty, uśmiechnął się uprzejmie. Schował papiery i przeszedł obok dwóch ludzi w prochowcach. Nie okazywali żadnych emocji i ku jego wielkiej uldze nie zwracali już na nich uwagi, obserwując kolejnych pasażerów.

Szepnął do Jane:

– Pierwsza kontrola za nami. Teraz mamy jeszcze chwilę, żeby napić się czegoś na dworcu.

Weszli do przepelnionej hali, której dziwną populację tworzyli uginający karku Francuzi i promieniejący żołnierze Wehrmachtu. Niemieckojęzyczne tablice informacyjne na każdym kroku powtarzały treść tablic francuskich. Przez przeszkloną ścianę blade światło wpadało na perony, gdzie czekało sześć pociągów.

Para przeszła wzdłuż ściany oblepionej afiszami zapowiadającymi film z udziałem dwóch francuskich gwiazdorów, Fernandela i Raimu, którzy uśmiechali się porozumiewawczo.

– O! – zawołała Jane – Córka studniarza. Kiedy będziemy w Tuluzie, moglibyśmy wybrać się na ten film do kina.

– Żartuje pani – odburknął Malorley, przyspieszając kroku, żeby jak najbardziej oddalić się od żandarmów.

– Owszem i szkoda, że pan tego nie zrozumiał. Ale i tak bardzo lubię Pagnola.

Zatrzymali się przed tablicą informacyjną. Pociąg numer 1432 do Tuluzy miał odjechać z peronu drugiego. Mieli jeszcze około pół godziny, a Malorley musiał się napić. Przepisnęli się do lady jedyne dworcowego baru. Anglik poprosił o kieliszek bordeaux – co prawda nie najwyższej jakości – żeby otrząsnąć się po emocjach. Jane zamówiła ciepłe mleko.

– Kieliszek czerwonego wina o jedenastej rano... To niezbyt profesjonalne – stwierdziła uszczypliwym tonem.

– Dobrze mi zrobi. Szokuje to panią?

Uśmiechnęła się.

– Nie, przeciwnie, dzięki temu stajesz się prawie ludzki, drogi małżonku.

Wypił do dna.

– Uważa mnie pani za sztywnego? – Uśmiechnął się wreszcie.

– Nie bardziej niż kij od szczotki. Bez urazy.

Nagle ciężka dłoń opadła na ramię Malorleya. Za jego plecami rozbrzmiał głos. Mówił po francusku:

– Policja. Pójdą państwo z nami.

Anglik odwrócił głowę. Od razu rozpoznał mężczyznę w beżowym prochowcu.

Berlin

Opera Narodowa Rzeszy

Marzec 1941

Jasnowłosy rycerz w srebrnej zbroi i czarno-purpurowych rękawicach ujął złoty kielich i wznosił nad głowę. Za nim widać było ruiny zamku skąpane w blasku zachodzącego słońca – zbyt pomarańczowym, by mógł być naturalny. Przed nim klęczeli rycerze ubrani w białe peleryny i panny w lazurowych sukniach, a na ich twarzach malowała się pełna skupienia ekstaza. Śpiew chóru o głosach niskich i pełnych dostojeństwa rozchodził się po ogromnej sali wypełnionej po ostatnie miejsce.

A potem eleganckim, podniosłym gestem Parsifal postawił kielich na okrągłym stole z czarnego kamienia. Śpiew strun i blach wzbił się z fosi orkiestry, a dyrygent, wielki Wilhelm Furtwängler, tańcem pałeczki prowadził muzyków aż do ostatniego akordu finału. To był najwspanialszy moment, apogeum, punkt szczytowy, którego symbolem – zgodnie z precyzyjnymi wskazówkami mistrza Richarda Wagnera – było pojawienie się białej gołębic. Duch Święty lecący ku świętemu kielichowi.

Ale tym razem nie stało się jak zwykle – żaden biały ptak nie spłynął z nieba.

Nie: pojawiła się swastyka. Ciężka i czerwona jak rozżarzone węgle.

Ognista swastyka spływała z plafonu nad sceną, aż zatrzymała się nad świętym Graalem.

Z łoży honorowej szef partii narodowosocjalistycznej Rudolf Hess patrzył na scenę jak zahipnotyzowany. Brunatna marynarka, upór wypisany na twarzy, krzaczaste zrosnięte brwi, które niemal zasłaniały mu oczy. Siedział obok Führera, co było wielkim zaszczytem, i nie mógł oderwać spojrzenia od symbolu, który oczarował całe Niemcy. Moc symbolu! To był tylko symbol, a przecież stał się ich najlepszą bronią, tą, która dała im władzę.

Poruszony muzyką Wagnera, przymknął powieki. I ujrzał inną swastykę, tę przywiezioną z Tybetu przez esesmanów. Dzięki niej podbili Europę. Jeśli Himmler zdoła zdobyć następną, zawiadną całym światem. A jednak wciąż dręczyły go wątpliwości – Reichsführer nigdy nie był równie potężny... Operując gigantycznymi siłami, narażał się na ryzyko utraty kontroli nad nimi.

Burza oklasków rozpętała się w ogromnej sali, która stopniowo się rozświećlała. Wydawało się, że lawina porywa wszystko, co znajdzie na swej drodze – dusze, serca i umysły mężczyzn i kobiet siedzących w równiuteńkich rzędach.

I wtedy doszło do drugiego odstępstwa od ceremoniału wprowadzonego przez geniusza z Bayreuth. Dyrygent uciszył brawa, po czym odwrócił się w stronę łoży nad sceną, wciąż jeszcze pogrążonej w mroku.

Wyprężył prawe ramię i krzyknął drżącym głosem:

- Sieg Heil!

Sala zgodnym ruchem najeżyła się wyprężonymi rękami, najeżyła się nimi jak łan dojrzałego zboża, gdy podnosi się na wietrze.

- Sieg Heil!

Wysoko z cienia wyłoniła się sylwetka. Znajoma twarz pojawiła się w olśniewającym świetle ogromnych żyrandoli z czeskiego kryształu. Ten mężczyzna o władczej i jakże bliskiej twarzy ugiął i wznosił przedramię w sposób niemal nonszalancki. Adolf Hitler uśmiechał się dobrotliwie przy wtórze coraz głośniejszych okrzyków.

Odczekał około minuty, zanim znów usiadł. Na dole głosy cichły, słyhać już było tylko gwar, jaki zwykle towarzyszy chwilom po zakończeniu spektaklu. Tłum czarnych smokingów, mundurów galowych i kolorowych, pięknych sukien wieczorowych falował między rzędami foteli.

Usta Führera wykrzywiły się z jednej strony. Jego jasne oczy wpatrywały się w salę spojrzeniem twardym jak ciężka stalowa sprzączka u pasa.

– Spójrz na nich, pocziwy Rudolfie, na tych pięknych panów i wyperfumowane damy. Na tych aroganckich arystokratów, opasłych przemysłowców, zadufanych w sobie oficerów... Teraz, kiedy dostali Europę, wiwatują na moją cześć, ale nie daliby za mnie złamanej marki, gdy błąkałem się po mieście bez feniga w kieszeni. Ilu było tych, którzy wspierali nas piętnaście lat temu, kiedy obaj siedzieliśmy w Monachium, w więzieniu Landsberg, po nieudanym puczu?

– Kilku, mein Führer – przyznał Rudolf Hess. – Rzeczywiście trzeba było czasu i wysiłku, żeby przekonać ich do słuszności pańskiej wizji Niemiec.

Władca Rzeszy odpowiedział ciężkim beknięciem. Łożę wypełnił zapach gotowanej kapusty.

– Gardzę nimi. – Zachmurzył się. Przez chwilę masował skroń, jakby chciał uwolnić się od bólu głowy, potem uderzył drżącą ręką w kolano. – Naród, Rudolfie, naród niemiecki. Wyłącznie dla niego poświęcam wszystkie swe siły. On nigdy mnie nie zdradzi.

Hess powstrzymał się od przypomnienia, że ci przemysłowcy hojnie finansowali partię, kiedy Hitler piął się po szczeblach kariery. Ostrożnie pokiwał głową i przybrał poważny ton.

– Widziałem, jak od samego początku nawiązywał pan kontakt z naszą rasą. To niezniszczalna więź. Nikt pana nie zdradzi, nikt... Ale dziś możemy się cieszyć, mein Führer. Co sądzi pan o tym Parsifalu pod batutą naszego drogiego Wilhelma?

Twarz Hitlera nagle się rozpromieniła. Wstał i wsunął dłonie w białe rękawiczki.

– Wspaniały! Podniosły! Wzruszający! A ta wrażliwość i troska, która skłoniła go do zastąpienia gołębicą symbolem naszego chwalebego ruchu! Czułem, że łzy napływają mi do oczu. To był pański pomysł?

Hess także wstał i ruszył za swym Führerem po schodkach. Wypiął tors.

– Tak... To mój skromny wkład w dzieło wielkiego Wagnera. Nigdy nie podobała mi się ta marna chrześcijańska gołębicą latająca nad świętym kielichem. Okropność! Tylko czekać, aż go zapaskudzi odchodami. Swastyka znacznie lepiej oddaje prawdziwe znaczenie Graala. Graala czystego i aryjskiego.

– Ach, Graal... Gdyby tylko istniał...

– Ależ istnieje, mein Führer, istnieje.

Kanclerz lekko się uśmiechnął. Rudolf Hess zajmował szczególne miejsce w jego sercu. Był wiernym towarzyszem pierwszych dni, przyjacielem w chwilach zwątpienia, tym, który nigdy go nie opuścił, choć pewne jego przekonania były dziwaczne. W nagrodę powierzył mu kierowanie partią narodowosocjalistyczną. Była to funkcja nie tyle strategiczna, ile polityczna.

Hitler spuścił głowę i szepnął do Hessa:

– Oj, Rudolfie, nigdy się nie zmienisz...

– Bo nie wypieram się swoich przekonań: ani politycznych, ani duchowych.

Stanęli przed wyjściem z łoży. Führer położył dłoń na ramieniu Hessa.

– Zazdrozczę ci – szepnął. – Odkąd kieruję państwem, pogrążam się w materializmie. A wojna tylko pogorszyła sytuację. Powinienem zagłębić się w umacniających lekturach z czasów monachijskich. I częściej bywać w operze, na spektaklach takich jak ten. Dziękuję, że namówiłeś mnie, byśmy przyszli posłuchać Parsifala.

Mężczyzna o krzaczastych brwiach uprzejmię skłonił głowę.

– Chętnie polecę panu także kilka doskonałych książek, jak choćby pracę amerykańskiego pisarza, który rehabilituje Ku Klux Klan. Są w niej wspaniałe fragmenty poświęcone symbolice płonącego krzyża. Szczerze mówiąc, sądzę, że moglibyśmy budować porozumienie z prawdziwymi Aryjczykami ze Stanów Zjednoczonych. W Anglii również mamy jeszcze przyjaciół.

Twarz władcy Niemiec nagle przybrała zacięty wyraz.

– Anglia... Czy naprawdę chcesz zepsuć mi tak miły wieczór, Rudolfie?

Hess zagryzł usta, świadom niezręczności. Jego szef nie znosił najdrobniejszej wzmianki o Brytyjczykach. Otóż wiosną 1941 roku Wielka Brytania wciąż opierała się Niemcom. Ten nadęty Churchill wyrósł w oczach swego narodu na bohatera.

– Nie, mein Führer, zasmuca mnie jednak, że nasi aryjscy kuzyni z Anglii nie rozumieją, że nie jest pan ich wrogiem.

– Himmler podzielał twój pogląd, teraz jednak uważa, że czas zwrócić się przeciwko Stalinowi. I ma rację. Musimy się przygotować do starcia z groźniejszym przeciwnikiem.

– Inwazja na Rosję? – zaniepokoił się Hess, który nigdy nie był przychylny temu zamiarowi.

Hitler znów się uśmiechnął. I znów przybrał tę dobrotliwą minę.

– Och, Rudolfie... Nie mówmy już o wojnie. Od miesięcy czytam wyłącznie raporty wojskowe, noty dyplomatyczne i statystyki produkcji czołgów i samolotów. Przysyła mi je Himmler.

– Oby tylko Reichsführer nie posunął się zbyt daleko.

Panowie wyszli za drzwi i znaleźli się w korytarzu łączącym loże honorowe, dziś zamknięte ze względów bezpieczeństwa. Dwaj podoficerowie w czarnych mundurach SS stali na baczność po dwóch stronach ustawionego na trójnogu portretu Wagnera. Perfekcyjnie oddali dostojnikom honory. Hitler nagle stanął.

– Rudolfie, zostaw mnie na chwilę, muszę coś sobie przemyśleć. I postaraj się, żebyśmy opuścili gmach dyskretniejszą drogą, bo nie mam ochoty spotykać się z tą bandą pajaców, którzy czekają na mnie na dole.

– Oczywiście, mein Führer – odparł Hess i szybko ruszył w stronę bocznych schodów.

Splótszy ręce za plecami, nowy pan Europy wpatrywał się w portret twórcy Parsifala i Lohengrina, w jego twarz, którą zniekształcała natchniona, wyniosła i pełna niepokoju mina. Hitler uwielbiał go od młodości, odkąd po raz pierwszy obejrzał w wiedeńskiej operze Rienziego, jeszcze wtedy z jaskółki, razem z biedotą. On, nieszczęsny student, którego nie przyjęto do Akademii Sztuk Pięknych, wyszedł rozdygotany. Przez wiele godzin po spektaklu płakał z radości i wzruszenia. To nie przypadek, że wiele lat później nawiązał szczerą przyjaźń z Veroną, wnuczką wybitnego muzyka.

Dwaj esesmani stali nieruchomo i nawet nie mrugając oczyma, patrzyli prosto przed siebie.

– Wiecie, dlaczego Wagner jest genialnym artystą?

– Nie.

Dyktator uniósł brew.

– Można to ująć jednym słowem: Gesamtkunstwerk... Sztuka totalna! Słyszeliście kiedyś o tym?

Wartownik pokręcił głową.

– Wielka szkoda – stwierdził łagodnym tonem Hitler. – Będę musiał poprosić dzielnego Heinricha, żeby udoskonalił edukację artystyczną elit tego kraju. Uzupełnię tę lukę. Wagner uprawiał sztukę totalną. To romantyczna koncepcja z dziewiętnastego wieku. A oznacza, że wykorzystywał dla dobra swego dzieła wszystkie dostępne środki: muzykę, dekoracje, budynek opery w Bayreuth, a także legendy i aryjską filozofię. W niczym, powtarzam:

w niczym nie zdawał się na przypadek, aby melomani mogli całkowicie zanurzyć się w jego muzyce i... aby byli oczarowani. Uosabiał duszę całego narodu jak wielki cesarz Fryderyk Barbarossa.

Wartownicy nie odpowiadali, ich oczy wciąż były zwrócone w przód. Hitler znów przybrał poważny ton.

– Gesamtkunstwerk... Narodowy socjalizm także jest sztuką totalną i świat wkrótce pozna ogrom mego dzieła.

Montségur

Maj 1941

Pokryte roślinnością góry wokół Montségur przybrały soczyście zieloną barwę. Każdego ranka miliony zroszonych liści mieniły się w promieniach wędrującego po niebie słońca, a mgła, szara i mokra, zalegała w dolinie. Siedząc na skraju muru z nogami nad przepaścią, Tristan pławił się w tym słońcu, nim znów dopadnie go nowe życie. Ta pora była jeszcze spokojna, żołnierze spali pod namiotami, a on miał dla siebie cały zamek, który wyglądał niczym statek szykujący się do rejsu po bezkresnym morzu mgły. W zaroślach przypuszczających szturm na dawną fortecę trwał ptasi koncert, równie radosny jak śmiech dzieci.

Wojna, która wykrwawiała Europę, wydawała się tak odległa, że Tristan chwilami zapominał nawet o własnych tragicznych przejściach. Więzienie Montjuic, lochy Castellón – wszystkie złe wspomnienia zdawały się uciekać w dal tak szybko jak wróble, które śmigały pod niebem Pirenejów. W łagodnym ciepłe poranka Tristan rozkoszował się ostatnimi chwilami spokoju i samotności. Dopóki obóz się nie obudzi. Nie spotkał więcej młodej kobiety, która oburzała się zajęciem jej zamku. Zaintrygowała go. Czasem zerkał w zarośla, licząc, że zauważy jej beret gdzieś na zboczu. Podczas ostrej potyczki z Weistortem odwaga kasztelanki z Montségur, jak ją nazwał, zaparła mu dech w piersi. I to piorunujące spojrzenie...

Głuchy dźwięk przywołał go do rzeczywistości. Dzwonił dzwon donżonu. Zaczynał się nowy dzień niewoli.

Od przejścia zamku przez Weistorta i jego ludzi wprowadzony został ścisły plan dnia. Co rano pierwsza ekipa, złożona z mierniczych, wkraczała na teren. Właśnie ją widział Tristan tuż po opuszczeniu miejsca na murze – przechodziła właśnie pod łukiem bramy. Uzbrojeni w haki, liny i dekametry geometry zmierzili już kurtynę zamku²⁷, ustalili wymiary donżonu i wysokość murów obronnych. Teraz mieli systematycznie badać cały teren, szukając jakichkolwiek śladów budowli. Francuz powiódł za nimi wzrokiem – szli w kierunku sektora północnego, wąskiego pasa ziemi, z którego w miarę postępu prac wyłaniały się liczne elementy. Tristan podążył do kantyny, gdzie pod płóciennym daszkiem kucharz napełniał kubki ciepłym mlekiem. Kawa i cukier, jako towary trudno dostępne, były zarezerwowane dla oficerów i badaczy.

Pośrodku dziedzińca, na długim drewnianym stole, architekt rozłożył duży arkusz papieru: widać już było na nim plan fortecy, a także zarys góry, na której go wzniesiono. Skupieni wokół asystenci nanosili ołówkiem wymiary sprawdzone już przez geometrów.

Żeby sporządzić jak najbardziej precyzyjną mapę, inna ekipa prowadziła przez cały czas wycinkę drzew i krzewów, usuwając bukszpany, a przede wszystkim krzewy kolczaste i odsłaniając dawne drogi oraz ruiny murów. Każde znalezisko opisywano, sytuowano i nanoszono na plan niczym stanowisko na polu bitwy.

I tak na przykład ostroga, na którą Weistort zabrał Tristana pierwszego dnia, została potraktowana jako priorytet i oczyszczona z roślinności. Teraz lśniła w słońcu, gładka i obnażona. Wszędzie widać było kamienie – fragmenty murów i fos. Archeolog, którego zadanie polegało na badaniu i opisie kartograficznym terenu, był bladym młodym człowiekiem o przygarbionej sylwetce. Utykając, krążył pośród gruzu. Koledzy, którym obce było chyba miłosierdzie, nadali mu przezwisko Goebbelschen, a to ze względu na podobieństwo do ministra propagandy Rzeszy. Niestety młodzieńcowi brakowało charyzmy tamtego. I to jemu Francuz miał tego ranka pomagać w pracy. Od dwóch dni badali wieżę, która broniła dostępu na tę ostrogę od wschodu. Właśnie tam pewnej wiosennej nocy wdarli się baskijscy najemnicy. Dokonali rzezi strażników i zajęli teren. Kiedy Tristan opowiadał o tym ataku, Goebbelschen się uśmiechnął.

– Popatrz na podstawę wieży: jest zmniejszona ze względu na osunięcie terenu, dlatego żeby zachować stabilność, mogła mieć wysokość najwyżej dwóch pięter. A to oznacza, że było tu tylko kilku strażników, więc trudno mówić o rzezi.

Tristan nie odpowiedział. Pomyślał, że archeologia to przeciwieństwo jego pracy łowcy dzieł sztuki. Podczas gdy archeolodzy niszczyli legendy, konfrontując je z realiami w terenie, on w oparciu o obraz starał się opowiedzieć historię, odnaleźć korzenie, przywrócić do życia...

– Ale najważniejsze jest to – oznajmił Goebbelschen. Wyciągnął spomiędzy dwóch kamieni tuż nad ziemią jasnożółty fragment zaprawy murarskiej i patrzył na nią w ekstazie, jak wielbiciel sztuki, który ma przed sobą rzeźbę Michała Anioła. Widząc sceptyczną minę Francuza, wyjaśnił: – Każda zaprawa jest inna, niepowtarzalna. Ma własną zawartość piasku i wapna. To pozwala odróżnić ją od innych.

– I co z tego? – zapytał Tristan.

– Wiemy, że ta wieża pamięta rok 1244. Nie mamy natomiast pojęcia, czy obecny zamek jest tym, który oblegano, czy może został wybudowany później. Otóż wystarczy porównać obie zaprawy, tę z wieży i tę z zamku. Jeżeli są identyczne, zagadka rozwiązana, jeżeli nie...

– Jeżeli nie, to znaczy, że zamek został przebudowany po oblężeniu, tak?

Goebbelschen otarł kark. Wiosenne słońce w Pirenejach grzało mocniej niż w Berlinie.

– Tak. A przede wszystkim że krzyżowcy zburzyli pierwotny zamek, żeby wznieść inny. Ale dlaczego?

Tristan wziął dwa kawałki zaprawy.

– Sam zaniosę je architektowi – zdecydował.

Goebbelschen, którego czoło zrosił pot, rzucił okiem na pustą ostrogę.

– We wsi opowiadają dziwne rzeczy o historii tej fortecy. Żołnierze, którzy zajmują się zaopatrzeniem, powtarzają je i...

– Jakie historie?

– O stosie heretyków u stóp góry, o ponad dwustu osobach spalonych żywcem. Mówi się, że... ich dusze wciąż tu są. – Goebbelschen zniżył głos. – Niektórzy twierdzą nawet, że być może krzyżowcy wybudowali nowy zamek nie po to, żeby się bronić przed atakiem z zewnątrz... ale żeby uniemożliwić duszom skazańców ucieczkę stąd.

Francuz się uśmiechnął. Przesady zawsze go bawiły.

– „Zamek zbłąkanych dusz”... świetny tytuł powieści.

Po powrocie do zamku Tristan, zanim jeszcze przekazał próbki zaprawy, zatrzymał się przy planie fortecy kreślonym przez architekta i wciąż uzupełnianym. Teraz od wschodu fortecę chroniły wieża strażnicza, sucha fosa i barbakan. Na południu, pod wejściem do Montségur, mury obronne, których szczątki właśnie odnaleziono, zaczynały się już w połowie zbocza. Teraz zamek nie wyglądał już jak wyizolowana budowla na szczycie pogu, ale wznosił się w sercu potężnego kompleksu obronnego.

Jednak najdziwniejsza była strona północna. Tam gdzie dotąd wszystko porastały kępy krzewów, pojawiły się liczne tarasy, a na nich ślady wielu budowli.

– Geometry wykonują dobrą robotę. Myślę, że mamy tu katarską wioskę – oznajmił Weistort. – Niewątpliwie na tym terenie stały domy, warsztaty, sklepy i zbiorniki na wodę.

– Warsztaty? – zdziwił się Tristan.

– Oczywiście, przecież heretycy mieszkali tu przez kilkadziesiąt lat, musieli mieć garncarzy, kowali, tkaczy, szewców... Zresztą odnajdujemy materialne dowody ich działalności: zardzewiałe gwoździe, używaną skórę... Proszę spojrzeć.

Dwaj żołnierze weszli przez bramę, niosąc otwartą drewnianą skrzynię, z której wystawały fragmenty ceramiki. Skręcili w stronę składu – znajdował się w namiocie większym od innych. To tam gromadzono i opisywano wszystkie znaleziska.

– Niech pan zanieś tam te kawałki zaprawy.

Francuz wszedł do namiotu, gdzie zastał cywila w krawacie, czerwonego na twarzy i spoconego. Mężczyzna skrupulatnie odnotował miejsce, datę i nazwisko osoby odpowiedzialnej za znalezisko. Pracujący z nim wojskowy sfotografował kawałki zaprawy ze wszystkich stron, a następnie włożył je do tekturowego pudełka, nakleił etykietkę

i zapieczętował. Niemiecka precyzja, zdążył pomyśleć Tristan, zanim człowiek w krawacie zwrócił się do niego:

– A ty zanieś protokół znaleziska ekipie terenowej.

Francuz wziął wypełniony druk i poszedł na centralną część dziedzińca, gdzie architekt nanosił ołówkiem na plan każde znalezisko dnia.

– Co mi przynosisz?

– U podstawy wieży, na wschodnim skraju ostrogi, znaleziono zaprawę murarską.

– A, tak... Ten teren przeszukuje Goebbelschen. To świetny fachowiec. Podejdź bliżej. To ta wieża, która jest narysowana na ostatniej skale i zwraca się na wschód, tak?

Tristan sprawdził kierunek, a także ukształtowanie terenu, a potem potwierdził. Wtedy architekt narysował trójkąt, oznaczył go czerwonymi kreskami i dodał numer katalogowy fragmentów zaprawy nadany w magazynie.

– Trójkąt to symbol znaleziska o charakterze murarskim. Jeszcze kilka dni i to miejsce nie będzie miało przed nami tajemnic.

Francuz oddalił się i usiadł u stóp donżonu. Dziedziniec zamku przypominał mrowisko. Żołnierze co chwila wchodzili i wychodzili, strumień łączący różne obszary poszukiwań z „centralą” był nieprzerwany. Z zewnątrz dobiegały głuchoe odgłosy siekier, nad murami wznosił się wysoki słup białego dymu. Część żołnierzy oczyszczała kolejny teren badań, a inni palili wykarczowane drzewa i krzaki. Za kilka dni zamek Montségur będzie wyglądał zupełnie inaczej, a Tristan wciąż nie rozumiał dlaczego. Jak uczeni, badacze mogą angażować tyle sił i środków, opierając się tylko na obrazie i fonetycznej bliskości dwóch nazw „Montserrat” i „Montségur”? Wyjaśnienie mogło być jedno – on, Tristan, znał tylko widoczną część prawdy.

A tej mrocznej, skrywanej, strzegł Weistort.

Bordeaux

Dworzec Saint-Jean

Maj 1941

W biurze unosił się zapach wilgotnego tytoniu i gorzkiego potu. Brudnozielone ściany były oklejone plakatami propagandowymi sławiącymi przymierze nowej Francji z Niemcami. Oprawione w ramę zdjęcie marszałka Pétaina sąsiadowało z portretem Führera w mundurze wodza naczelnego.

Jeden z agentów Gestapo dokładnie sprawdzał zawartość dwóch leżących na biurku walizek małżeństwa, drugi tymczasem skupił się na dokumentach, a Malorley i Jane obserwowali go, siedząc na ławce pod ścianą. Za przeszklonymi drzwiami przechadzał się uzbrojony wartownik.

Szef operacji usiłował zachować spokój. W walizkach nie było niczego obciążającego, intendentura SOE przygotowała ich zawartość aż po najdrobniejsze elementy bielizny. Ubrania albo pochodziły z Francji, albo zostały perfekcyjnie podrobione przez żydowskiego krawca, który pracował dla służb. Krój marynarki, fason sukienki, długość spodni – nic nie było tu przypadkowe, nawet kartki żywnościowe, na pół wykorzystane. I nic nie mogło ich zdradzić. Jednak strach powrócił i paraliżował jego mózg.

Gestapowiec zerknął na kolegę.

– I co?

– Nic!

Zwrócił się do kobiety, trzymając w ręce ich dokumenty:

– Ja również pochodzę z Tuluzy. Studiowałem tam. To takie piękne miasto. Skazone przez tę hiszpańską czerwoną hołotę w 1939 roku, ale to nic, przy marszałku to się zmieni. Widzę, że mieszkają państwo przy avenue Jules-Julien.

– Tak, pod osiemnastką.

Agent zatrzymał spojrzenie na kobiecie.

– Dobrze znam tę okolicę. Minimes to miła dzielnica. Podoba się pani?

Malorley chciał odpowiedzieć, ale gestapowiec nie dopuścił go do głosu:

– Zadałem pytanie pańskiej żonie.

Anglik poczuł, że serce znów skacze mu do gardła. Przeszedł ćwiczebne przesłuchania na Orchard Street i znał plan Tuluzy niemal na pamięć. Ale Jane...

Wyciągnęła chusteczkę, spokojnie wytarła nos, pociągnęła nim i powiedziała nieprzyjemnym głosem:

– Nie, to przy drodze do Narbony. Na pewno mieszkał pan w Tuluzie, panie policjancie?

Gestapowiec się uśmiechnął, ale kontynuował przesłuchanie:

– Macie tam rodzinę?

Malorley pokręcił głową.

– Nie.

– Bezdziatni? Taka para jak wy powinna dać Francji ładne dzieci.

Kolaborant wypowiedział słowo „dzieci” z uśmiechem, który przyprawiał o dreszcz.

– Czy coś jest nie tak? – zapytał głuchym głosem Malorley.

– To rutynowa kontrola.

– Chodzi o to... Nasz pociąg odjeżdża za dziesięć minut.

Gestapowiec wzruszył ramionami.

– Za sześć godzin będzie następny.

Zadzwoił telefon. Mężczyzna odebrał, nie przestając wodzić oczyma po ich twarzach.

– Tak... Rozumiem. Dziękuję za wiadomość.

Dał znak koledze, który szybko zamknął walizki. A potem zwrócił się do małżonków:

– Mogą państwo już iść. Przepraszam za opóźnienie. Dostaliśmy zgłoszenie o parze, która zorganizowała siatkę szmuglerów między Bordeaux a Tuluzą. Moi koledzy właśnie zatrzymali tych ludzi przy wejściu na dworzec. Możecie pojechać swoim pociągiem.

– A jeżeli nie zdążymy?

– Gestapo nie zwraca za bilety. Jesteśmy raczej skłonni inkasować. Co, Marcel?

I obaj parsknęli drwiącym śmiechem.

Zbiegli po schodach, potem ile tchu w piersi pędzili na peron. Zawiadowca już uniósł rękę i miał lada chwila zagwizdać. Kiedy wskoczyli do wagonu, pociąg już toczył się po torach. Przeszli niemal pustym korytarzem.

– Ci Francuzi byli gorsi od Niemców – zauważyła Jane.

– Co może skłaniać ludzi do zdrady ojczyzny?

– Ideologia, władza, pieniądze... W przypadku tych dwóch łajdaków postawiłbym na pieniądze. W strefie okupowanej Gestapo rekrutowała do brudnej roboty przestępców.

Spojrzał na zegarek.

– Ale to jeszcze nie koniec. Za niespełna pół godziny przekraczamy linię demarkacyjną.

– Trzeba będzie wysiąść z pociągu?

– Nie, wręcz przeciwnie. Trzeba grzecznie siedzieć, zachowując spokój. Niemcy przyjdą do przedziału sprawdzić dokumenty.

– Zazdroszczę ci – powiedziała Jane. – Ja ledwie się trzymałam.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Kłamał. Ta niespodziewana kontrola Gestapo wprawiała go w przerażenie. Strach kłębił się w nim, skręcało go w żołądku, serce waliło mu jak młot. Bał się. Jeszcze nigdy w życiu tak potwornie się nie bał.

Pola niedaleko Libourne

Błoto znów chlusnęło spod tylnych kół ciężarówka. Charles gestykulował, dając znaki Blaise'owi.

– Stop! To nic nie da, trzeba podłożyć trochę drewna pod koła.

Oparł nogę o przedni zderzak, który który nieprzyjemnie zgrzytnął.

– Niech pan nie dotyka, ledwie się trzyma – krzyknął wystraszony wieśniak.

Już od dobrego kwadransa usiłowali wyprowadzić wóz z błota. Na próżno. Drogą nikt przez ten czas nie jechał.

Agent zerknął na zegarek. Opóźnienie było jeszcze do nadrobienia, przynajmniej jeżeli ktoś się pojawi i pomoże im wydostać się z tej błotnej pułapki.

– Znam właściciela winnicy niedaleko stąd – powiedział Blaise. – To pół godziny drogi. Ma traktor i...

Usłyszeli warkot silnika na drodze... Coraz głośniejszy. Nadjeżdżał samochód opancerzony, a za nim ciężarówka wojskowa. Oba wozy niemieckie, o czym świadczył czarny krzyż na plandecie.

Charles zamarł. Nie miał przy sobie żadnej broni, nie mógł nawet walczyć.

– Cholera, to szwaby!

– Co robimy?

– Kolaborujemy. W tej chwili to modne – rzucił przemytnik. – Szwaby w tej okolicy są usłużne.

Brnął przez błoto, wymachując uniesioną wysoko czapką.

– Oszalał pan – syknął Charles, rozglądając się wokół.

Poza zagajnikiem, w którym mógłby się ukryć, jak okiem sięgnąć były tylko winnice. Idealne miejsce, żeby dać się zastrzelić podczas ucieczki.

Blaise uchwycił jego przerażone spojrzenie.

– Niech pan mi zaufa, nie jestem ojcem Amédée.

Niemiecki konwój zrównał się z nimi i gwałtownie zahamował. Dwaj żołnierze wyskoczyli z samochodu i wymierzyli broń w przemytnika, który podniósł ręce do góry. Na szyjach mieli tabliczki identyfikacyjne Geheime Polizei.

Blaise powiedział głośno:

– Problemy z samochodem. Możecie mi pomóc?

Brzuchaty oficer wytoczył się z odkrytego mercedesa i podszedł do niego, ciężko dysząc. Skórę miał różową jak niemowlę, a jego kark marszczył się nad kołnierzykiem koszuli.

– Och, panie oficerze, spadł mi pan z nieba – powiedział przemytnik. – Ciężarówka ugrzęzła mi w błocie przez jakąś cholerną sarnę.

Porucznik obrzucił wieśniaka podejrzliwym spojrzeniem. W ciężarówce znów rozbrzmiało kwiczenie prosiaków. Twarz Niemca rozbłysła. Oskarżycielskim palcem wskazał samochód.

– Czarny rynek! Verboten – krzyknął gniewnie.

– Skądże znowu – odparł Blaise. – Mam przy sobie dokumenty przewozowe. Dostarczam świnie i puste puszki na konserwy za linię demarkacyjną.

Blaise wyciągnął z kieszeni dokumenty. Porucznik uważnie je przejrzał, a potem oddał przemytnikowi. Widać było, że się odprężył.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Pomożemy panu, nie jesteśmy tu po to, żeby dręczyć Francuzów. Ale przedtem moi ludzie zajrzą do środka, sprawdzą, czy nie ma tam niczego podejrzanego.

Mimo silnego niemieckiego akcentu jego francuski był zrozumiały.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję – skinął głową Blaise.

Oficer splótł ręce na piersi, a trzech żołnierze weszli do samochodu. Po kilku minutach wyszli odurzeni smrodem. Charles uchwycił spokojny wzrok Blaise'a.

– Panie rolniku – podjął porucznik – pomoc armii niemieckiej nie jest darmowa.

– To znaczy?

– Będę musiał złożyć raport. Wykorzystanie zasobów ludzkich armii do celów cywilnych jest zakazane w regulaminie.

Na chwilę zamilkł, a potem podjął, uśmiechając się od ucha do ucha:

– Ale jeżeli podaruje nam pan jedną z tych świń dla przypieczonego przyjaźni francusko-niemieckiej, zapomnę o raporcie.

– Z największą przyjemnością – mruknął Blaise.

Oficer warknął coś, zwracając się do swoich ludzi, i wskazał na samochód.

Charles podszedł i podsunął porucznikowi paczkę papierosów, której oficer zaczął się nieufnie przyglądać.

– Proszę o dokumenty. Nie wygląda mi pan na wieśniaka.

Anglik się uśmiechnął.

– Jestem przedstawicielem firmy produkującej konserwy. Właściciele plantacji truskawek i malin z Marmande w strefie wolnej nie mają przetwórci. Dlatego jadę zaprezentować im modele opakowań. Rozumie pan, na kompoty i konfitury. Są bardzo smaczne.

– O, francuskie konfitury! Uwielbiam je.

Oficer zapalił papierosa i wypuścił kłęb dymu, podczas gdy jego ludzie wyciągali ciężarówkę z rowu.

– Prawdę mówiąc, ta historia z granicą jest dotkliwa. Ostro się z nami obeszlście – powiedział Charles.

– Rozumiem, ja też nie byłbym zadowolony, gdyby ktoś podzielił mój kraj na dwa. Ale... trzeba było nie przegrywać wojny.

Oficer parsknął śmiechem, zadowolony ze swojego dowcipu.

– A może mógłby pan szepnąć komuś na górze, żeby przestali zamykać wjazdy i wyjazdy przy każdym końcu pola? – poprosił Blaise. – To naprawdę nie ułatwia handlu.

Oficer znów się uśmiechnął.

– Robi się to specjalnie. Wie pan, co powiedział mi jeden ze zwierzchników?

– Nie...

– Że linia demarkacyjna jest jak wędzidło wsadzone w pysk Francji. Jeżeli spróbuje wierzcąć, ściągniemy cugle. Dzięki temu wasz marszałek uważniej nas słucha.

Ciężarówka wolno wyjeżdżała z błotnej pułapki. Blaise nałożył czapkę na głowę.

– Chyba już gotowe – powiedział porucznik, patrząc łakomym okiem na jedną ze świń.

Ledwie ciężarówka stanęła na czterech kołach, tylny zderzak odpadł i potoczył się na ziemię. Charles zauważył, że Blaise sztywnieje. Niemiecki oficer wybuchnął śmiechem.

– Och, ten francuski sprzęt jest taki marny, nie to co nasze solidne mercedesy. Zaraz to naprawimy.

– Nie, nie ma potrzeby, poradzimy sobie. Serdecznie dziękujemy. Jesteśmy już spóźnieni – mówił wieśniak, podchodząc do zderzaka.

Ale jeden z żołnierzy był szybszy – zdążył chwycić kawał metalu.

Podnosząc go, nagle zastygł i krzyknął:

– Panie poruczniku!

Żołnierz odwrócił zderzak, pokazując mu ukryte w nim pudełka z amunicją.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy grubego porucznika, który wyciągnął z kabury lugera.

– Na razie raczej się nie pożegnamy. Jedzicie ze mną do komendantury. Jestem przekonany, że Gestapo z przyjemnością przedłuży naszą rozmowę.

Montségur

Maj 1941

Dzwon zawieszony w pobliżu donżonu rozdzwonił się, kładąc kres toczącej się pracy. Archeolodzy, technicy i żołnierze skierowali się do najdalszej części zamku. Rzędy ławek ustawiono przed dużą tablicą, do której przypięto powstający plan Montségur. Kiedy wszyscy już usiedli, głos zabrał Weistort:

– Już od kilku dni badamy to miejsce z pierwszą grupą geometrów i archeologów z Berlina, a także z jednostką inżynierską naszej armii. Jak wicie, to stanowisko jest dla Ahnenerbe priorytetowe... Otóż jest to etap przygotowawczy przed intensywnymi poszukiwaniami, które rozpoczną się bardzo szybko. Dlatego tak pilną sprawą było odtworzenie pierwotnego kształtu tego miejsca, odnalezienie wszystkich pozostałości, ich identyfikacja i lokalizacja. Te prace dobiegają już końca. Dlatego też, aby zamknąć je z pełną wiedzą o tym, co udało się zebrać, poprosiłem jednego z was o przedstawienie uzyskanych dotąd wyników.

Goebbelschen wstał, oblewając się rumieńcem. Kartki w jego rękach drżały. Taka publiczna wypowiedź musiała być dla niego katorgą, nie kwestionuje się jednak poleceń szefa Ahnenerbe. Podszedł do tablicy, wziął głęboki wdech i zaczął:

– Dzięki tym wstępnym poszukiwaniom nasze wyobrażenia o Montségur uległy głębokiej zmianie. Ustaliliśmy, że zamek był otoczony silnym systemem obronnym. Po pierwsze, na wschodzie, gdzie odnaleziono pozostałości wieży strażniczej, suchej fosy oraz barbakanu. Po drugie, na południu... – archeolog wziął do ręki linijkę i wskazał zbocze pod fortecą poprzecinane licznymi pokreskowanymi pasami – ...gdzie odkryliśmy fundamenty kilku linii murów tworzących system obrony bramy zamku.

Dokładnie jak na obrazie i miniaturze, pomyślał Tristan.

– Należy zauważyć, że wszystkie te instalacje obronne, zarówno na wschodzie, jak na południu, zostały celowo zniszczone.

Końcówka linijki przesunęła się w górę planu. Goebbelschen rzucił okiem na swoje papiery, a potem podjął:

– Po stronie wystawionej na północ odkryto kilka poziomów tarasów, a także szczątki zbiornika na wodę, powierzchnie magazynowe oraz bardzo liczne niskie budynki mieszkalne. Ponad wszelką wątpliwość natrafiliśmy na wioskę, w której podczas oblężenia w roku 1244

schroniła się ludność katarska. – Archeolog zmarszczył czoło. – Natomiast o ile natrafiliśmy na ceramikę i przedmioty metalowe, o tyle nigdzie nie znaleźliśmy śladów drewna.

Twarz Weistorta wykrzywiła się w uśmiechu, w którym jego usta wyglądały jak sierp.

– Proszę mi przypomnieć, kiedy katarów spalono na stosie?

– W marcu, dokładnie szesnastego marca.

– Czyli u schyłku zimy. O tej porze roku trudno znaleźć suche drewno... Zwłaszcza w tak dużych ilościach. Wyobraźcie to sobie: ponad dwieście osób do spalenia żywcem...

– Chyba pan nie sądzi, że... – Goebbelschenowi odebrało głos.

– ...że belki, futryny i inne deski wykorzystano do obrócenia tych heretyków w proch?

Oczywiście, że tak! Ale niech się pan tym tak nie przejmuje, proszę kontynuować.

Archeolog podjął niepewnym głosem:

– Mamy... mamy zatem dwa pierwotne kompleksy, wioskę oraz system obronny, których sposób budowy poddamy analizie: obróbkę kamienia, łączącą zaprawę murarską... aby porównać je z dzisiejszym zamkiem.

Rzucony przez słońce cień Oberführera padł na siedzących w pierwszym rzędzie niczym cień jastrzębia krążącego nad ofiarą.

– A gdyby nie czekając na dokładne badania techniczne, porównał pan dwa kompleksy: obecny zamek i oryginalne szczątki, to co by pan powiedział?

– W takich kwestiach trzeba być ostrożnym – odparł Goebbelschen – można jednak przyjąć, że zamek, w którym się znajdujemy, został wzniesiony po zdobyciu katarskiego fortu.

– A pierwotna forteca?

– Zburzono ją jak wszystko inne.

Weistort zerknął na Tristana, który dyskretnie skinął głową. To dlatego nie mogli znaleźć usytuowanej centralnie wieży widocznej na pejzażu Montserratu – została zburzona, zrównana z ziemią, wyrwana ze skały aż po fundamenty.

Prezentacja dobiegła końca. Plany Montségur wróciły na stół architekta, a asystenci znów uzupełniali je o nowe dane, które nieustannie spływały. Tu nowy fragment muru, tam ruiny kuźni. Goebbelschen wrócił na ostrogę. Bardziej odpowiadało mu towarzystwo kamieni niż ludzi – one, choć nieme, przemawiały językiem, który go uspokajał.

Weistort został w centralnej części fortecy. Raz po raz uderzał w ziemię podeszwą. Wsłuchiwał się uważnie w głuchy dźwięk, jaki się wówczas rozlegał. Tristan, którego wszyscy uważali za jego ordynansa, stał obok. Owca

– Nad skałą jest tu jeszcze warstwa rumowiska. Jeżeli chcemy odnaleźć fundamenty pierwotnej wieży, trzeba będzie usunąć całą wierzchnią warstwę.

– Dlaczego ta wieża tak bardzo pana interesuje?

– Sądzę, że po wkroczeniu do zamku krzyżowcy najpierw zburzyli chaty we wsi, co było łatwe, bo budowano je z gliny i kryto lekkimi dachami, a potem zniszczyli blanki i filary parapetów między strzelnicami, żeby „zdemilitaryzować” budowlę, ale nie mieli czasu rozbić wieży. Nie przed autodafe.

– Nie nadążam – powiedział Francuz.

– W takim razie chodźmy.

Namiat pułkownika stał przytulony do północnej ściany. Wejścia pilnował esesman. Wewnątrz znajdował się rozkładany stolik zarzucony dokumentami administracyjnymi i wąskie łóżko polowe, a na jednej z płóciennych ścian zawieszono portret Hitlera w partyjnym uniformie. Do tego nader skromnego wyposażenia nie pasował tylko jeden element: pod kamiennym murem zamku skrzynia podróżna ustawiona pionowo pełniła funkcję przenośnej biblioteki.

– Tuż po spaleniu heretyków – podjął Weistort – oblężeni zostali przesłuchani przez inkwizytorów, mnichów wyspecjalizowanych w tropieniu heretyków. Ci słudzy boży byli zdeterminowani w swej walce z katarami i nie cofali się przed niczym, byle osiągnąć cel. A dla nich kapitulacja Montségur była tylko kolejnym etapem w tej walce. Niech pan weźmie tę książkę w czarnej okładce, jest najgrubsza.

Tristan sięgnął po książkę i położył ją na stole, który Weistort zdążył opróżnić. Otworzył tom w miejscu, gdzie na sąsiednich stronach zamieszczono na jednej spisany odręcznie drobnymi, ściśniętymi literami tekst, na drugiej zaś jego transkrypcję.

– Ten zbiór zawiera kopie wszystkich przesłuchań, a były ich setki, przeprowadzonych przez inkwizytorów. Każdemu obrońcy Montségur zadawano te same pytania. To były rozmowy bez tortur, stosowano natomiast perswazję... Popioły stosu jeszcze nie ostygły.

Francuz przewracał kartki. Pojawiały się nazwiska, a on, czytając je, cofał się o całe stulecie. Siedemset lat temu pióro drapało welin, siedemset lat temu skrybowie zapisywali słowo w słowo prawdę i kłamstwa, a jednak te zeznania wciąż jeszcze fascynowały.

– Inkwizytorzy mieli jasno wytyczony cel – wyjaśniał szef Ahnenerbe. – Sporządzić jak najdokładniejszą listę wszystkich tych, którzy przebywali w zamku podczas oblężenia. W tym celu analizowali każdą odpowiedź, wychwytywali każde wspomniane nazwisko...

Tristan zrozumiał. Wpadł pułkownikowi w słowo:

– Żeby ustalić, czy nikt nie uciekł, tak?

– Tak. A brakowało trzech osób, których imiona znamy. Hugona, Amiela i Aicarda. Ci trzech mężczyźni zniknęli w dniu kapitulacji zamku.

– Ale dlaczego nie uciekli podczas zawieszenia broni? Przecież byłoby to znacznie łatwiejsze, oblegający prawdopodobnie nie byli wtedy tak czujni.

– Błąd! Krzyżowcy rozbili obóz u stóp murów, więc nie było szansy przejść przez tak hermetyczną linię oblężenia. Natomiast idę o zakład, że w dniu, kiedy płonął stos i uważano,

że w zamku nie ma żywego ducha, strażnicy pobiegli przyglądać się widowisku...

– A wtedy trzech mężczyźni mogli bez problemu uciec.

– Ściśle mówiąc, czterej, ponieważ ostatni jest nieznany, wspomina się o nim, ale nie podając nazwiska. Pytanie brzmi więc: gdzie się ukryli na czas, jaki dzielił wtargnięcie żołnierzy do zamku od początku autodafe?

– Na pewno nie w wiosce – odparł Francuz – bo została przetrząśnięta chata po chacie.

Weistort znów uderzył nogą o ziemię.

– Pozostaje więc tylko jedno miejsce: wieża. I z pewnością jakaś jej podziemna część. Dlatego musimy ustalić, gdzie wznosił się pierwotny donżon.

Tristan milczał pogrążony w rozmyśleniach. Czterej mężczyźni. Dlaczego aż tylu?

– Jutro przybędzie nowa ekipa, której zadaniem będzie prowadzenie specjalistycznych poszukiwań. To najlepsi w swojej dziedzinie fachowcy w Ahnenerbe, a kieruje nimi wybitny archeolog.

Francuz zapiął bluzę. Mimo wiosennego słońca wiatr z północy był zimny. Poza tym nadszedł już czas, by dołączyć do Goebbelschena.

– A, zapomniałbym – dodał Weistort. – Ten archeolog to kobieta.

*Południe Francji**Maj 1941*

Potężna lokomotywa Mikado TA 141 wesoło wypuszczała ogromne kłęby białej pary pod tuluzańskim niebem. Jej długi masywny czarny pancerz lśnił w promieniach zachodzącego słońca, które skrywało się już za Pirenejami, po hiszpańskiej stronie.

Malorley, siedząc w przedziale tylko z Jane, kontemplował sielski krajobraz za oknem wagonu. Płaskie pobielające pola ustąpiły miejsca łagodnym wzgórzom, które zaczynały się zielenić. Wiosna wkraczała już w ten zakątek Francji. Miarowy stukot kół na szynach ukołysał go, niemal uspił. Trudno uwierzyć, że w Europie toczy się wojna, pomyślał dowódca operacji, wyciągając przed siebie nogi. Przejście przez linię demarkacyjną przebiegło bez problemów, choć pociąg stał ponad godzinę, a Niemcy drobiazgowo sprawdzali wszystkie przedziały w dziesięciu wagonach. Zatrzymali i wyprowadzili na peron około dziesięciu podróżnych. Wyłącznie mężczyzn, którym kazali stać z rękami na karku.

Malorley zwrócił się do Jane pograżonej w lekturze książki, od której niemal nie odrywała oczu od chwili odjazdu:

– O, Louis-Ferdinand Céline, Tarapaty. Czytasz francuskich pisarzy, którzy są antysemitami i nakłaniają do kolaboracji z nazistami?

Oderwała oczy od książki i spojrzała na niego, lekko zaskoczona.

– Nie wiedziałam, że angielscy wojskowi lubią literaturę francuską. Tak, to jego najnowsza książka. Intendentura SOE wykazała się wielką zapobiegliwością i dorzuciła egzemplarz do mojego bagażu. A skoro już o tym mowa, mogliby przestać zmuszać mnie do noszenia wełnianych pończoch i drewniaków. To jakaś potworność. A to, co mam na grzbiecie, nadaje się najwyżej na spadochron.

Malorley się uśmiechnął. Jego zdaniem była urocza w dopasowanej sukience w drobną kratkę, a zawiązana w turban czarna chustka na głowie przydawała jej niesforne go wyglądu. Musiała wcielić się we francuską kobietę poddaną ograniczeniom okupacji, ale dbającą o zachowanie dyskretnej elegancji. Tak twierdzili eksperci SOE. Powstrzymał się jednak od komplementów, nie chcąc, by w ich relacje zakradła się jakakolwiek dwuznaczność.

– Przed wojną bardzo mi się podobała Podróż do kresu nocy Céline’a. A jak pani ocenia tę książkę?

– Pod względem stylistycznym jest doskonała. Jeśli chodzi o treść, to stek plugastw. Wiedziałam, że nienawidzi Żydów, a tu obrywa się też masonom. W całym tym pamflecie znalazłam jeden godny rozważenia pomysł: Céline postuluje skrócenie czasu pracy do trzydziestu pięciu godzin tygodniowo²⁸.

Malorley lekko się uśmiechnął.

– Trzydzieści pięć godzin... Bardzo zabawne i takie francuskie. Dobrze by było, gdyby zdołał przekonać Hitlera do wprowadzenia takiego czasu pracy w fabrykach zbrojeniowych. Może dzięki temu wygalibyśmy wojnę.

Jane schowała książkę do torby, wstała i wysunęła głowę z przedziału. Korytarz był pusty. Zadowolona zasunęła drzwi.

– Chciałabym o coś zapytać. Co zrobimy, jeśli Charles nie dołączy do nas o wyznaczonej porze?

Malorley spojrział na zegarek.

– Nasz kontakt dostał rozkaz, by wracać na miejsce przez dwa dni o tej samej godzinie. Potem Charles zostanie uznany za straconego.

– Dlaczego dwa dni?

– Ponieważ to najdłuższy czas, po jakim załamuje się torturowany.

Pokiwała głową.

– A gdyby się po prostu spóźnił?

– Wtedy musi nawiązać kontakt ze swoją siatką w Nantes albo przedostać się do Hiszpanii, a stamtąd na Gibraltar albo do Lizbony.

– Nadal nie chcesz mi powiedzieć, co jest celem naszej podróży?

Uśmiechnął się.

– Zamierzałem zrobić to w Tuluzie, po zebraniu całej grupy. Ale teraz, kiedy jesteśmy już w strefie wolnej... – Rozłożył mapę południowej Francji i dotknął palcem wskazującym konkretnego punktu. – Nasz cel znajduje się tu. W małej wiosce w departamencie Ariège. Montségur.

Młoda kobieta zwróciła na niego szeroko otwarte, zdumione oczy.

– Czy w tej dziurze są jakieś instalacje wojskowe? Jakaś fabryka, w której trzeba przeprowadzić sabotaż?

– Nie. Musimy stamtąd coś zabrać. To bardzo ważny przedmiot, od którego zależą losy wojny. Nie my jedni chcemy go zdobyć. Na miejscu jest już jednostka SS, która szuka tego samego co my.

– Przedmiot... Delikatnie rzecz ujmując, wyraziłeś się enigmatycznie. A czego dokładnie szukamy?

Malorley złożył mapę i wsunął ją do torby.

– Nie mogę tego na razie ujawnić.

– I mamy zmierzyć się we troje z bandą esesmanów? Bez broni?

– Posiłki czekają na miejscu.

Komendantura w Pessac

Charles'owi zabrakło już łez. Wypłakał je do ostatniej kropli.

Leżał goły na dziurawym materacu i nie miał już nawet siły drgnąć. Upłynęło zaledwie kilka godzin od przekazania ich w ręce Gestapo. I już zdążyli się dowiedzieć, czym są piekielne otchłanie.

Jego ciało zamieniło się w jedną wielką ranę, tylko nogi były jeszcze sprawne. Przez trzy godziny on i Blaise byli katowani. W tym czasie nie zadano im ani jednego pytania. To było dopiero przygotowanie do przesłuchania.

Specjaliści z SOE zapoznali go z tą techniką.

Technika rzeźnika.

Tak się to nazywało.

Żeby zmiękczyć mięso.

Zwłaszcza na twarzy, której nie widział, ale czuł zniekształcające ją guzy. Macał materac, szukając jego skraju, żeby się oprzeć i wstać. Natrafił palcami na metalową poręcz łóżka. Ból przeszył mu mózg.

Zanim odprowadzono go do celi, poznał na własnej skórze drugi rodzaj tortur.

Manicure.

Żeby upiększyć dłonie.

Zerwali mu paznokcie u lewej ręki. Po jednym, bardzo wolno, umiejętnie. I wciąż o nic go nie pytali.

Wył z bólu. Bardziej, niż kiedy go bili. Nie przypuszczał, że można tak cierpieć z powodu tak drobnej części ciała.

A przecież to był dopiero początek. Właściwe przesłuchanie wkrótce się zacznie. Nie zaskoczą go, eksperci SOE szczegółowo przedstawili mu metody stosowane przez Gestapo.

W końcu korytarza rozległ się odgłos kroków.

Wiedział, że się załame. Chodziło tylko o to, żeby wytrzymał jak najdłużej, zanim wyrzuci z siebie wszystko, co wie. Szkolono go także do tego. Aż do chwili, kiedy pęknie... Przesunął czubkiem języka po zaplombowanym zębie. To była ostatnia droga ucieczki z tego piekła. Wystarczyło włożyć do ust coś twardego, położyć na zębie, a potem mocno zagryźć. Plomba wypadnie i cyjanek go wyzwoli.

Tego uczono w teorii, jednak zdecydować, że się umrze... Zostać własnym katem... Żaden z oficerów z ośrodka szkoleniowego nie mógł się pochwalić, że mówi o czymś, czego doświadczył.

Metalowe drzwi zadrżały, kiedy przesuwano zasuwę.

Strumień światła zalał celę. Charles zobaczył nad sobą dwie masywne sylwetki. Okiem, które mu zostało, rozpoznał swoich oprawców.

Skulił się, podniósł z ziemi odłamek kamienia. Szybko włożył go do ust. Głos o silnym niemieckim akcencie rozbrzmiał tuż nad nim.

– Z żalem informuję, że twój przyjaciel wieśniak nie wytrzymał... naszych pytań. Umarł na zawał na początku przesłuchania. To godny pożałowania błąd moich współpracowników.

Niski brunet o chorobliwej cerze, ubrany w biały fartuch, wszedł do celi i usiadł obok niego na sienniku. Przyłożył mu stetoskop do piersi.

Pielęgniarka skinęła głową i szepnęła coś do ucha zwierzchnika. Twarz gestapowca się rozpromieniła.

– Całe szczęście! Twoje serce jest w świetnej formie. W takim razie zaraz sobie porozmawiamy.

Charles nie stawiał oporu, kiedy wlekli go za ramiona po zimnej posadzce korytarza. Zagryzł ząb w chwili, gdy wciągali go do sali tortur. Poczł gorzki płyn ściekający do gardła i zamknął oczy.

W cichej modlitwie zwrócił się do Boga. Walczył po stronie dobra. Ta nieudana operacja też służyła dobru. Najbardziej absurdalne było to, że umrze, nie wiedząc, o jakie dobro walczył.

Montségur

Maj 1941

Fasada dworu Estillac wydawała się pogrążona we śnie trwającym już od stuleci. Odnosiło się wrażenie, że od zakończenia wojny stuletniej nie zaszły tu żadne zmiany. Nie zmieniły się ani wysokie, wielodzielne okna z krzyżem spoglądające na ogród rombami szyb, ani zakratowane okienko piwniczne, za którym dawniej znajdował się loch, dziś służący jako piwnica na wino, ani okrągła wieża ze szpiczastym dachem. Tylko drzwi otwarte na skąpany w słońcu ogród witały przybysza lekkim uśmiechem. Z domu wyszedł kot z rudymi pręgami na sierści, drobiazgowo obwąchał ziemię wokół różanych krzewów, a potem poszedł się wygrzać na startych płytach służących niegdyś do młocki. Laure przez chwilę obserwowała go przez sklepienie okna na piętrze, następnie zwróciła oczy na pog. Wycinka drzew i krzewów była widoczna gołym okiem. Teraz, kiedy nie zasłaniały ich zarośla, ściany zamku lśniły jak nowiutka zbroja. Bardziej na prawo obnażona ostroga wyglądała w pełnym słońcu niczym zwierciadło.

– Panienko...

Przed drzwiami stał z beretem w ręce wieśniak, który gestykulował, dając jej znak, żeby zeszła.

– Idę, Bastienie!

Laure błyskawicznie zbiegła po kręconych schodach, pędem pokonała przedpokój i wypadła na dziedziniec. Bastien otarł pot z czoła.

– Nie będę wchodził. Czekają na mnie w gospodarstwie. Przyszedłem tylko, żeby pani powiedzieć, że Niemcy zablokowali drogę na pog. Nikogo już nie przepuszczają.

Laure poczuła wzbierający gniew. Nie wchodziła na Montségur od burzliwej rozmowy z pułkownikiem SS. A teraz nie dość, że wtargnęli do zamku, to jeszcze zabraniają jej tam bywać.

– Ludzie mówią, że na północy prowadzą wielkie poszukiwania. Zastanawiamy się, czego właściwie mogą szukać, przecież to tylko zarośla i zielsko.

Laure podziękowała mu spojrzeniem, ale wewnętrznie kipiała z gniewu. Zakaz wchodzenia do jej zamku doprowadzał ją do szału. Jeżeli esesmani sądzą, że zdołają jej to uniemożliwić, to są w błędzie. I na pewno nie będzie decydował o tym ojciec, który już się poddał. Zresztą od ostatniej rozmowy nie wychodził z biblioteki. Jakby książki mogły się do

czegoś przydać, kiedy wróg panoszy się na twojej ziemi! Laure znów spojrzała na pog. Którędy wejść, skoro główna droga jest zamknięta? Przez ostrogę? Niemcy już się tam kręcili. Północnym zboczem? Ten teren był właśnie badany. Odwróciła głowę na zachód. Wiodła tamtędy droga nad urwiskiem, jeszcze nieoczyszczona. Pewnie dlatego, że z punktu widzenia archeologów nie miała znaczenia. Zbyt wąska, skalista. Jeśli chciała się dostać do zamku, to właśnie tą drogą musiała pójść. Najbardziej stromym zboczem pogu.

Wspinała się już od godziny. Od godziny przemykała między drzewami, osłaniała się przed gałęziami, które ją chłostały, przeczołgiwała się pod krzakami. Twarz miała mokrą. Przeklinała zbyt ciężką i za szeroką parkę, która zahaczała o kolce krzaków. Buty miała podrapane, bo wiele razy ślizgała się na kamieniach. Tuż przed gzymsem poczuła silną woń stada dzików. Czarne zwierzęta szły tędy przed chwilą, jeszcze widać było odciski w ziemi ślady ich racic. Laure przez kilka minut odpoczywała. Skalny gzymś był nad nią, trzy, góra cztery metry wyżej. Musiała znaleźć jakieś przejście, komin, przez który się wciśnie, chwytając się wystających skał. Wsunęła się między dwie skalne ściany, podrapała policzek, ale zdołała postawić nogę na kamiennym stopniu. Porośnięta mchem skała przylegała do donżonu. Laure wspięła się po niej i przywarła do muru twarzą do okienka strzelniczego, które rozszerzało się jak strzemię. Przyłożyła do niego oko. Z ziemi w donżonie usunięto gruz i starannie ją wyrównano. W regularnych odstępach zrobiono w niej otwory. Sondowanie, pomyślała. Pod jedną ze ścian powstała dobudówka przykryta roślinnym dachem. Kiedy Laure odwracała głowę, żeby zajrzeć do środka, otworzyły się drzwi prowadzące na zamkowy dziedziniec. Wszedł mężczyzna w mundurze – poznała go, to był Weistort. Stał z boku, przytrzymując drzwi przed towarzyszącą mu kobietą. Razem podeszli do przybudówki. Laure cofnęła się, żeby jej nie zauważyli. Zdążyła tylko zobaczyć nieznaną z profilu – ogorzała twarz i niesamowicie jasne oczy; blond włosy splecione w warkocze i upięte w koronę. Opierając policzek o krawędź otworu strzelniczego, Laure zamierzała zerknąć jeszcze raz, ale wśród starych murów rozbrzmiał kobiecy głos:

– Oberführer, zapoznałam się ze wstępnym raportem z poszukiwań, który przysłał mi pan do Berlina. Pana ekipa odsłoniła fundamenty fortyfikacji zewnętrznych i natrafiła na szczątki wioski, ale najwyraźniej nie znalazł pan tego, co miał pan nadzieję znaleźć. Inaczej by mnie tu nie było.

Zaintrygowana Laure zerknęła przez otwór. Młoda kobieta przyglądała się już posadzce donżonu. Uniosła głowę.

- Widzę, że przeprowadził pan systematyczne sondowanie.
- Co dwa metry, ale po przejściu przez warstwę usypiska zawsze natrafialiśmy na skałę.
- Czyli nie ma śladów pieczar ani szczelin skalnych, bo przecież tego właśnie pan szuka?

Laure pomyślała o tym, co powiedział ojciec. Był przekonany, że w zamku istnieje podziemna nekropolia. Najwyraźniej Weistort także szukał zaginionych pieczar.

– Wśród dokumentów, które dostarczyliśmy pani, znajdował się wybór przesłuchań prowadzonych przez inkwizytorów. Wie pani zatem, że kiedy u podnóża góry płonął stos, z zamku wymknęło się czterech heretyków. A przecież zamek został zdobyty, przeszukany i zamieszkały przez krzyżowców. Tymczasem ci ludzie zdołali skutecznie się ukryć... Dlatego jestem przekonany, że gdzieś tu jest tajna kryjówka.

Drwiący śmiech odbił się echem od ścian donżonu.

– I chciałby pan, żebym znalazła miejsce, w którym się schowali? I to siedemset lat po tamtych zdarzeniach w zamku, który, jak sam pan mówił, został zburzony i odbudowany?

Słyszając ten ironiczny ton, Laure mimowolnie się uśmiechnęła. W głębi ducha nie miała nic przeciwko temu, żeby ktoś powalił tego pułkownika na deski.

– Fräulein von Essling, jest pani uznaną specjalistką, pani prace z dziedziny archeologii średniowiecza są cenione. Poza tym polecił mi panią Reichsführer Himmler, przyjaciel pani rodziny.

– Tak, wie pan jednak, że nie pracuję w Ahnenerbe...

– Jeszcze nie – odparł Weistort – mogę jednak znaleźć stanowisko na miarę pani kompetencji... i tego, czego od pani oczekujemy.

– Tyle że mówimy o strukturze podległej SS. Jej wyprawy, jak choćby w góry Tybetu, wykorzystują prace archeologiczne jako przykrywkę, prawda?

– Widzę, że jest pani doskonale poinformowana, ale Führer wyznaczył nam podstawową misję: odnaleźć korzenie narodu niemieckiego i dowieść jego wyższości.

– Wyższości, która według was opiera się na zapomnianej wiedzy ezoterycznej.

– Którą my odnajdziemy, zapewniam panią.

– I naprawdę pan wierzy, że katarzy posiadli jej sekret?

Głos Weistorta stał się niższy.

– Katarzy, jak nazywają ich przeciwnicy, byli dualistami, wierzyli, że świat, na którym żyjemy, został stworzony przez diabła, że jest wcieleniem Zła, ale że można dotrzeć do prawdziwego Boga. To wzniesienie się ku boskości wymagało tajemnych mocy.

Laure zauważyła, że archeolożka dyskretnie wzrusza ramionami.

– Wielu historyków nie podziela tych poglądów. Postrzegają katarów raczej jako zbuntowanych przeciw miażdżącej władzy Kościoła katolickiego i pragnących powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa, bez kapłanów i bez sakramentów.

– Dlaczego w takim razie ci ludzie uciekli?

– Wie pan równie dobrze jak ja, że Kościół zabraniał dostępu do świętych tekstów: Starego i Nowego Testamentu, zastrzegając dla siebie ich znajomość i interpretację. Jeżeli katarzy byli w posiadaniu ksiąg, w ich oczach prawdziwego Słowa Bożego, to może chcieli ocalić je przed płomieniami?

– Uważa pani, że do przeniesienia ksiąg potrzeba było czterech ludzi?

– Wiadomo, że katarzy gardzili dobrami doczesnymi, a zwłaszcza pieniędzmi, kiedy jednak żyje się w ukryciu, są one nieodzowne. Uciekinierzy mogli wynieść stąd skarb, aby kontynuować walkę w innym miejscu. Pragnę przypomnieć, że zanim zniknęli ostatni przedstawiciele tego nurtu, minęło jeszcze ponad sto lat.

– Ponieważ nie czytała pani wszystkich przesłuchań przeprowadzonych przez inkwizytorów, coś pani wyjaśnię, Fräulein von Essling. W Boże Narodzenie 1243 roku, a zatem dwa miesiące przed poddaniem Montségur, dwaj ludzie uciekli z zamku, zabierając ze sobą „złoto i srebro w dużych ilościach”, jak twierdzili świadkowie. Ten skarb przewieziono do północnej Italii, gdzie istniały liczne i pozostające jeszcze na wolności grupy katarów. A zatem tak, pieniądze faktycznie zostały stąd wyniesione i trafiły w bezpieczne miejsce, jednak na długo przed upadkiem Montségur.

– I na tej podstawie doszedł pan do wniosku, że skoro skarb finansowy został przewencyjnie zabezpieczony przed trafieniem w zachłanne ręce Kościoła, to w dniu, w którym dwustu heretyków zginęło w płomieniach, wyniesiono drugi skarb?

Weistort nie odpowiedział.

– Tyle że jeśli stało się tak, jak pan przypuszcza, i skarb został wyniesiony, to nie ma powodu szukać go tu, gdzie już go nie ma.

– Fräulein von Essling, czy nigdy nie była pani przesłuchiwana przez policję?

– Cóż to za pytanie!

– Ja byłem. W 1926 roku w Monachium.

Laure przytknęła ucho do otworu.

– W listopadzie partia narodowosocjalistyczna podjęła próbę przejęcia władzy siłą. W starciach z manifestantami policja użyła broni palnej. Było dwudziestu zabitych. Hitler trafił do więzienia, mnie przesłuchiwano. Śledczym najbardziej zależało na identyfikacji uczestników nieudanego puczu, na ustaleniu stopnia ich zaangażowania, ale przede wszystkim chcieli wiedzieć, gdzie są ci ludzie. Co godzinę podawano mi nazwiska towarzyszy, przyjaciół... Więc mówiłem.

– I nic nie było prawdą?

– Owszem, szczegóły. To jak gwoździe, na których wieszka się obrazy. Wystarcza, żeby śledczy uwierzyli w moją wersję i zaczęli się rozpraszać, zamiast skupić się na najważniejszym.

– I według pana przesłuchiwani katarzy umyślnie kłamali, podawali fałszywe nazwiska i wymyślili ucieczkę, której nie było?

– Przeciwnie, myślę, że podawali prawdziwe nazwiska właśnie po to, żeby inkwizytorzy poszli tym tropem. Co do ucieczki, to oczywiście nastąpiła i miała motywować inkwizytorów do pościgu.

Zafascynowana tym, co usłyszała, Laure zerknęła przez szczelinę. Archeolog patrzyła na pułkownika.

– A co z tym sekretem, który chce pan odkryć?

Weistort wyciągnął rękę, wskazując dziedziniec zamku.

– Wciąż gdzieś tu jest. – Mocno chwycił kobietę za ramię. – A pani go odkryje. Za wszelką cenę.

Tuluza

Maj 1941

Dotrzymuję obietnic własnych, a nawet cudzych!

Slogan wypisany czarnymi pogrubionymi literami bił po oczach z propagandowego plakatu naklejonego nad rurą gazową. Marszałek patrzył na Jane srogim okiem, a jego gładka, poważna twarz pod kepi ozdobionym dębowymi liśćmi skłaniała do uznania, że taka przechwałka jest prawdopodobna. Pod zdjęciem krótki tekst zaczerpnięty z jednego z przemówień marszałka wychwalał dobroczynne skutki polityki kolaboracji.

– Co za upadek... – szepnęła Jane, która postawiła walizkę na ziemi i ze smutkiem patrzyła na starca z galonami.

Tuż obok inny plakat przedstawiał nóż krojący chleb:

– Pokrój go na cienkie kromki. A skórki zużyj do zupy.

– Stary suchar w roli wodza, a skórki od chleba zamiast skwarek w zupie... Biedna Francja – stwierdziła, kręcąc głową.

– Idziesz? – ponaglał Malorley, czekając po drugiej stronie ulicy. – Nie mieliśmy w planie spotkania z Pétainem.

Agentka przeszła przez wąską jezdnię rue Bouquières i ruszyła w kierunku małej restauracji na parterze starej kamienicy z czerwonej cegły. Stolica Oksytanii zauroczyła ją już po tej krótkiej wędrówce z dworca Matabiau śródmiejskimi uliczkami. Zmierzch malował fasady domów pędzlem czerwonego światła i zapraszał na romantyczną przechadzkę. Na kilka bezcennych chwil, pośród uliczek rozleniwionych ciepłem wieczoru, zapomniała o tej strasznej wojnie. Na chwilę. Zbyt krótką chwilę.

A Malorley podążał wytyczoną drogą, obojętny na uroki różowego miasta.

– Nie rozumiem, dlaczego Pétain łąsi się do Hitlera jak stary pudel – szepnęła, zrównawszy się z Malorleyem. – Przecież pod Verdun dał szwabom niezłego łupnia.

Anglik pokiwał głową, otwierając drzwi Jowialnego Wieprzka.

– To rzeczywiście godne pożałowania. Na szczęście jest jeszcze de Gaulle, który może ocalić honor Francji.

Gęsty dym papierosowy i woń starej beczki wypełniały salę restauracyjną. Za barem, tuż przy wejściu, siedziała na taborecie matrona w cukierkoworóżowej sukience – cerber tej knajpki. Wyglądała jak pyzate niemowlę, któremu włożono na głowę rozczochraną siwą

perukę. Obrzuciła parę podejrzliwym spojrzeniem, a potem powiedziała głosem ślamazarnym jak ona cała:

– Jeżeli przyszlście coś zjeść, to kuchnia kończy pracę za pół godziny.

Śpiewny akcent słów kontrastował z odpychającą miną.

– Dzień dobry pani, w pełni nas to zadowala – odparła Jane, pięknie się uśmiechając.

– Macie kartki żywnościowe?

– Tak, wystarczająco dużo.

– W porządku – powiedziała życzliwiej. – Kolację podajemy w głębi sali.

Oficer SOE szybko rozejrzał się po restauracji. Ściany zdobiły plakaty reklamowe z wesołymi świniami, które się obżerały. Pod sufitem wisały szpalery wielkich szynek i grubych kiełbas. Ślinka napłynęła mu do ust – jego kontakt doskonale wybrał miejsce spotkania.

Restauracja była na pół pusta – para w średnim wieku siedziała na końcu stołu, po którego drugiej stronie trzech starców grało w domino. Dwóch mężczyzn jadło samotnie, każdy przy swoim stoliku: jeden czekał na kolejne danie, czytając gazetę, podczas gdy drugi pochylał się nad talerzem. Nikt oprócz trzech graczy nie przyglądał im się, gdy przechodzili przez salę.

– Jakie urocze powitanie – zadrwiła Jane. – Na pewno tu wrócę, żeby zaznać tuluzkańskiej gościnności.

– I ani śladu faceta z czarnym kapeluszem z szarą szarfą – dodał Malorley, w którego głosie wyczuwało się napięcie. – Nasz kontakt chyba się spóźnia.

Siwowłosy chudy kelner z kwaśną miną podszedł do nich, trzymając na przedramieniu ścierkę. Z zapalem gryzł wykałaczkę.

– Dzień dobry państwu – przywitał ich. Jego ciężkie obrzmiałe powieki nad czarnymi oczyma zdawały się ważyć tony.

– Jesteśmy bardzo głodni – odparł Malorley.

Kelner uśmiechnął się pod nosem.

– Jak większość ludzi w tym kraju, drogi panie... Dziś wieczorem szef poleca potrawkę ze świńskiej słoniny garniowanej brukwią. Jeżeli chcecie łatwiej to przełknąć, mamy smalec, oczywiście za dopłatą.

Jane wytrzeszczyła oczy, wskazując palcem sufit.

– A gdyby tak zjadł pan jeden z tych mięsnych przysmaków? – zaproponowała, trzepocząc rzęsami.

Kelner machnął ręką.

– Odradzam z troski o pani śliczne zęby. To elementy dekoracji, pamiątki z nie tak odległej epoki, kiedy oryginały mieliśmy w szpiarni. Zanim przeszliśmy na dietę Vichy. Mogę natomiast zaproponować kiszoną kapustę z boczkiem, ale to już na państwa ryzyko.

– Czyli wieprzek nie jest już taki jowialny... W takim razie weźmiemy danie polecane przez szefa – powiedziała z grymasem na twarzy młoda kobieta.

Malorley przytaknęła jej, kiwając głową.

– A macie jakieś wino?

– Jak każda szanująca się restauracja, dzbanek wina lokalnego, ale nie więcej niż dwieście mililitrów na osobę. Takie jest prawo, ale podajemy minervois, które nie przeżera żołądka.

– Doskonale – stwierdził oficer SOE, a potem odprowadził spojrzeniem starego kelnera, który oddalił się, powłócząc nogami.

– Dziwne – szepnęła Jane – byłam przekonana, że w strefie wolnej nie ma aż takich restrykcji.

– Najwyraźniej są, chyba że najlepsze dania serwuje się tu tylko dobrym klientom – powiedział Malorley, zerkając na zegarek. – Nasz kontakt spóźnił się już o dziesięć minut. Charles też.

Agentka uniosła brew i przypatrywała mu się z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Jesteś taki sztywny. Mam nadzieję, że wobec pani Malorley zachowujesz się inaczej.

– Nie ma pani Malorley. W każdym razie od naszego rozvodu przed rokiem.

Rozłożyła serwetkę na kolanach i podjęła łagodniejszym tonem:

– Nie uznasz za niedyskrecję, jeśli zapytam o powody rozstania?

– Uznam. – Obruszył się. – Ja się nie wtrącam w twoje życie prywatne.

– Chętnie ci o sobie opowiem – powiedziała, uśmiechając się przekornie. – Może to cię trochę odpręży.

– Wykonujemy zadanie. Odpręzę się po powrocie do Londynu.

– Skoro już wspomniałeś o „zadaniu”, to przypominam, że jesteśmy małżeństwem – uśmiechnęła się, ocierając się o jego ramię. – Mógłbyś być trochę czulszy. Buziak byłby całkiem na miejscu.

Anglik był zdumiony. Nie czekając na odpowiedź, Jane pocałowała go w usta. Potem jakby nigdy nic usiadła prosto i tylko figlarnie na niego patrzyła.

Mimo zaskoczenia Malorley zdobył się na porozumiewawczy uśmiech. Już co najmniej od roku nie pocałowała go żadna kobieta. Od początku wojny jego życie uczuciowe kwitło jak szkockie wrzosowisko w zimie...

– Zawsze jesteś taka wobec mężczyzn? – rzucił, rozkładając serwetkę.

– Wyprowadzę cię z błędu: to było czysto profesjonalne. Podczas szkolenia w Arisaig House, w przerwach między treningami walki wręcz i kursami sabotażu, uczymy się tego typu rzeczy. Przynajmniej w grupach żeńskich.

– Pozazdrościć instruktorom – dodał lakonicznie.

Kelner podszedł do nich z dwoma parującymi talerzami i postawił je przed nimi. Plasterki bezkształtnego mięsa pływały w grudkowatej, żółtawej papce.

– Królewska uczta – stwierdziła Jane. – Narażamy się na niestrawność.

Malorley po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

Kelner wyjął prospekt reklamowy i położył go obok solniczki w kształcie klepsydry.

– Co to takiego? – zapytał Anglik.

Kelner wskazał ruchem głowy wysokiego mężczyznę, który siedział przy jednym ze stolików.

– Tamten gość to przedstawiciel handlowy. Rozdaje prospekty pewnej dużej firmy odzieżowej...

Malorley chciał zwrócić prospekt kelnerowi i kręcąc głową, powiedział:

– Nie jesteśmy zainteresowani, proszę mu to oddać.

Kelner zmrużył małe oczy. Ręce trzymał wzdłuż tułowia.

– Powinien pan to obejrzeć. Jest tam akcesorium odzieżowe, które bardzo do pana pasuje – zasugerował kelner, odchodząc.

Malorley otworzył prospekt. Na samym środku zobaczył kolekcję lasek i kapeluszy, a wśród nich czarny z szarą taśmą.

Anglik zerknął na przedstawiciela handlowego. Ich spojrzenia się spotkały – handlowiec otarł usta serwetką, wstał i podszedł do ich stolika. Miał zaczerwienioną, dziobatą twarz i gęste wąsy, które zasłaniały górną wargę, jakby to mogło skompensować coraz silniejszą łysinę. Mężczyzna miał dobrze po sześćdziesiątce i brzuch dość typowy dla panów w tym wieku. Pochylił się nad stolikiem i dotknął palcem zdjęcia kapelusza.

– Prawda, że piękny?

– Dobry kapelusz zawsze się przyda – powiedział Malorley.

– Nawet wiosną – odparł nieznajomy.

– Nazywam się Darcourt, a to moja żona. Zechce się pan przysiąc?

– Miło mi państwa poznać. Jestem Georges. Dla przyjaciół Jo.

W chwili gdy handlowiec siadał, drzwi restauracji gwałtownie się otworzyły. Dzieciak w czapce wpadł do środka i w kilku susach doskoczył do ich stolika. Chłopiec pochylił się nad Georges'em i szepnął mu coś do ucha. Wąsacz skinął głową, wyjął z kieszeni monetę i dał małemu, a potem zwrócił się do małżonków:

– Zmiana planów. Chodźcie ze mną.

Malorley i Jane popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– Ledwie zaczęliśmy jeść – zaproponowała kobieta.

– Nie czas na dyskusje. U wylotu ulicy zauważono grupę policjantów po cywilnemu. Z całą pewnością nie są to bywalcy tej restauracji. Pospieszcie się.

Dwójka agentów szybko wstała, zabrała walizki i podążyła za kontaktem, który poruszał się z imponującą jak na tak korpulentnego człowieka zręcznością.

– Nie obawiajcie się, wszyscy, których tu widzicie, to nasi ludzie.

Kelner błyskawicznie zabrał talerze, a właścicielka i pozostali klienci zachowywali się, jakby nigdy nic.

– Ci policjanci wiedzą, kim jesteśmy? – spytał Malorley.

– Nie mam pojęcia, czasami robią naloty i sprawdzają dokumenty. Nadgorliwcy... Wojna sprawiła, że różowe miasto zamieniło się w nową wieżę Babel. Tu i w okolicy mamy dwa tysiące uchodźców przy zaledwie setce policjantów. Dziesiątki tysięcy hiszpańskich republikanów przeszło przez granicę po zwycięstwie Franco, zrozumiałe też, że francuscy Żydzi nie chcą wracać do strefy okupowanej, są jeszcze Polacy, co prawda tranzytem, i włoscy antyfaszyści... Według kryteriów marszałka nie jest to już prawdziwe, idealnie francuskie miasto.

Weszli do pomieszczenia, w którym gromadzono puste skrzynki i trzymano pojemniki na śmiecie, i przystanęli przy ogromnej drewnianej beczce leżącej tuż przy ścianie z cegły. Georges dotknął palcami jej boku, szukając czegoś. Szczęknął metal, wieko beczki się otworzyło i zobaczyli kamienne schody niknące w ciemnościach. Mężczyzna odsunął się, puszczając ich przodem, i szepnął:

– In vino veritas... Szybciej, szybciej – dodał, zamykając za sobą klapę.

Schody oświetlały już tylko smugi światła przedostające się przez szpary między deskami.

– Z walizką to nie takie łatwe – złościła się Jane.

– Zwłaszcza że nie ma światła – dodał Malorley.

– Proszę chwycić mnie za połą marynarki, schody mają dwadzieścia stopni, potem ruszymy tunelem na wprost. To nie potrwa długo.

Woń siarki unosiła się w powietrzu wokół nich. Jane żałowała, że nie ma w kieszeni chusteczki, bo naprawdę smród był paskudny. Szli trzy, cztery minuty, potem zatrzymali się w kompletnych ciemnościach. Georges pięć razy, w odstępach, zapukał w coś, co wydawało metaliczny dźwięk. Potem szczęknęła zasława, skrzypnęły drzwi i wreszcie pojawił się strumień światła. W progu stał mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Miał wysokie czoło, wąskie usta i czarne jak smoła włosy gładko zaczesane na skroniach. Długo przypatrywał się trójce przybyszy trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem, trochę tak, jakby sondował ich dusze, a potem rzucił lekko kwaśnym tonem z silnym akcentem włoskim:

– Witajcie w piekle!

Montségur

Maj 1941

– Obudź się! Coś się stało!

Goebbelschen w zaparowanych, przekrzywionych okularach na nosie gwałtownie szarpał go za rękę. Tristan siadł na łóżku polowym, jeszcze półprzytomny. Na zamkowym dziedzińcu ledwie świtało, jednak słychać było szybkie kroki i nawoływania.

– To jakiś atak? – zapytał Francuz, chwytając lampę.

Od kilku dni krążyły pogłoski o uzbrojonej grupie działającej na granicy z Hiszpanią. Niektórzy mówili, że to republikanie znowu chwycili za broń, inni, że Francuzi utworzyli tu oddział partyzancki. Te pogłoski dochodziły tutaj z doliny, od wieśniaków zaopatrujących zamek w żywność.

– Nie słyszałem strzałów – powiedział Goebbelschen – ale mówią, że w lesie aż się roi od buntowników.

Choć tak brutalnie obudzony, Tristan się uśmiechnął. Tylko archeolog, znawca średniowiecza, mógł się tak wyrazić. „Buntownicy”! A dlaczego nie kacerze albo wręcz czarownicy?

– Wiesz – podjął Goebbelschen – wczoraj mierniczy, którzy pracowali w pobliżu sektora północnego, słyszeli dziwne odgłosy dobiegające z zarośli...

– To mogły być chochliki, podobno w tej okolicy jest ich dużo – rzucił Tristan, ubierając się.

– Nie żartuj z takich rzeczy. Możliwe, że od tygodni obserwują nas buntownicy...

– I dziś o świcie ruszyli do szturmów ze sznurowymi drabinkami i hakami jak za starych dobrych czasów? Posłuchaj, powiem ci, co naprawdę słyszeli ci twoi kumple geometry. W krzakach buszowały dziki i tyle. A teraz chodźmy zobaczyć, co się tam dzieje.

Na dziedzińcu żołnierze zajęli pozycje przy wejściu, na murach leżeli strzelcy, obserwując wieś jeszcze pogrążoną we śnie. Weistort krzyczał, rzucając rozkazy tak szybko, że Tristan nie był w stanie ich zrozumieć. Goebbelschen przezornie trzymał się z tyłu, z niepokojem zerkając na szczyt donżonu, jakby się spodziewał, że napastnicy nagle się tam pojawią.

– To wartownik – powiedział Weistort. – Właśnie odnaleziono jego zwłoki.

Z jednego z namiotów wyszła młoda kobieta. Była boso, ubrana w koszulę koloru khaki, którą usiłowała związać na spodniach mundurowych. Esesman strzelił obcasami.

– Przykro mi, Fräulein von Essling, ale mamy problem.

Nie musiał już niczego wyjaśniać. Czterech żołnierzy weszło przez bramę, niosąc napięte ciężkie płótno, które ocierało się o ziemię. Sierżant podbiegł do nich z pochodnią. Na białym płótnie leżały zwłoki. Ciało było zniekształcone, ręce układały się niczym warkocz spleciony nad czołem, nogi, zgięte pod kątem prostym, zwisały po bokach.

– Samobójca – szepnął Goebbelschen. – Na pewno rzucił się ze szczytu.

Tristan nie odpowiedział. Patrzył na twarz. A raczej na jej brak. Bo głowa obróciła się do tyłu. Widać było tylko złamany kark – obnażone kręgi i włosy oblepione krwią.

– Macie tu lekarza? – zapytała Fräulein von Essling.

Weistort pokręcił głową.

– W takim razie zanieście go do mojego namiotu. Obejrzę zwłoki. Zmarli to moja dziedzina.

Esesman machnął ręką, co chyba miało wyrażać zniechęcenie. Tristan powiódł wzrokiem za kobietą, która szła przed dziwnym konduktem. Musiała być tym archeologiem z Berlina. Miała smukłe dłonie. Zauważył to, kiedy zapinała koszulę. Dłonie pianistki. Nie potrafił sobie wyobrazić, że grzebie nimi w ziemi, szukając starych przedmiotów albo grobowców.

– Żołnierze! – Niski głos Weistorta wypełnił cały dziedziniec. – Nie chcę, aby od tej chwili ktokolwiek wychodził bez mojego zezwolenia. Od dziś ten zamek jest fortecą.

Dwór d’Estillac

Ojciec Laure wstawał wcześniej rano. Śniadanie zwykł jeść samotnie w kuchni, słuchając bicia zegara i wyglądając przez okno, za którym rozpraszał się nocny mrok. Zaskoczył go widok córki. Miała czerwony policzek i powieki obrzmiałe po nieprzespanej nocy.

– Wczoraj weszłam do zamku po zachodnim zboczu.

– To od kolców? – spytał spokojnie, wskazując policzek córki.

– Nie. Otarłam się o skałę, kiedy się wspinałam, a ponieważ długo stałam z twarzą przyciśniętą do muru donżonu, pogorszyłam sprawę.

– Wybrałaś nie najłatwiejszą drogę.

– Bo tylko ta jedna nie jest pilnowana.

Kot wszedł do kuchni, miauczeniem domagając się porcji mleka. D’Estillac wziął butelkę i napełnił małą miseczkę. Właściwie ta chwila przerwy, czas na namysł, była mu na rękę. Widział, że córka chce z nim porozmawiać, ale podobnie jak on, nie wie, jak się do tego zabrać.

– Skoro weszłaś od tej strony, to raczej nie zobaczyłaś, jak toczą się poszukiwania prowadzone przez okupantów.

Wybrał słowo „okupanci” rozmyślnie, wiedząc, że córka przeżywa przejście zamku jak grabież.

– Nic nie widziałam, za to dużo słyszałam – rzuciła Laure. – Prosto z Berlina przyjechała nowa archeolożka. Tę kobietę przysłał sam Himmler.

– Kobieta? – zdziwił się d’Estillac. – Znasz jej nazwisko?

– Von Essling. Odniosłam wrażenie, że podchodzi do tych poszukiwań sceptycznie. W przeciwieństwie do Weistorta. Mówiłeś mi o podziemnej sali, esesmani też jej szukają. To właśnie ich priorytet, ale nie rozumiem, dlaczego naziści angażują takie siły, żeby odnaleźć cmentarz sprzed siedmiuset lat. To nie ma sensu.

Ojciec milczał. Zawsze był skryty. W przeciwieństwie do niej. Laure, tak jak jej matka, zwykła wyrażać swoje uczucia, nawet gdy był to lęk.

Tym razem, jak to najczęściej bywało, miała sama znaleźć odpowiedź na nurtujące ją pytania.

Montségur

Odtąd zamek przypominał linię frontu. Żołnierze kontrolowali wejścia, archeologom towarzyszyła ochrona. Wszędzie słychać było ciężkie kroki i szczęk broni, jakby niewidoczny wróg krążył nawet pośród murów zamku. Często rozlegały się dźwięki potęgujące obawy. Taka sytuacja mogła szybko doprowadzić do wypadku. Dlatego Weistort w napięciu słuchał raportu archeolożki, która dokonała oględzin zmasakrowanych zwłok żołnierza.

– Nie jestem lekarzem sądowym, ale przeszłam kurs anatomii, żeby móc badać średniowieczne grobowce. Sposób, w jaki ciało złożono w grobie, pozycja, ułożenie kończyn to elementy bardzo istotne przy datowaniu i interpretacji. – Wskazała palcem leżące na stole zwłoki. – W interesującym nas przypadku anomalia jest ewidentna: doszło do zerwania połączeń anatomicznych. Zarówno w przypadku kończyn dolnych, jak i górnych mamy do czynienia z wyłamaniem kości ze stawów.

– Czy to może być skutkiem upadku?

– Musiałyby być bardzo gwałtowny, ciało musiałyby wielokrotnie uderzać o przeszkody.

– Między miejscem, gdzie stał na warcie, a tym, gdzie go odnaleziono, jest dużo skał – stwierdził Weistort – a on toczył się po kamieniach kilkadziesiąt metrów.

– To nie rozwiązuje zagadki początkowego impulsu. Czy skoczył, czy ktoś go zepchnął? W pierwszym przypadku mamy do czynienia z samobójstwem, w drugim z morderstwem.

– Tak czy inaczej to samobójstwo – uciął esesman. – Ludzi trzeba natychmiast uspokoić.

– Zwrócił się do podwładnego: – Proszę napisać raport stwierdzający samobójstwo. I proszę rozpowszechnić informację o znalezieniu listu od narzeczonej wśród jego rzeczy osobistych. W tym liście napisała, że z nim zrywa. Muszę jak najszybciej wyruszyć do Foix, żeby poinformować Reichsführera o postępie poszukiwań, i potrzebuję bezpiecznego łącza telefonicznego. Ten wypadek nie może spowolnić rytmu prac.

– Pozostaje problem głowy – dodała archeolog.

W namiocie zapadła cisza. Oboje starali się nie patrzeć na zmarłego i otwarte złamanie kręgosłupa.

– Nawet najgwałtowniejszy upadek nie spowodowałby takiego przemieszczenia głowy. To niemożliwe.

– Co to oznacza? – rzucił oschle Weistort, żeby położyć kres tej coraz bardziej niezręcznej sytuacji.

– Kręgi są zmiażdżone, przemieszczone, czaszka oderwana od kręgosłupa...

– Czyli to morderstwo?

– Zaatakowano go od tyłu. Nie cierpiał, nie było na to czasu. Po prostu umarł.

Tristan obserwował Weistorta. To, co malowało się na jego twarzy i przejmowało nad nim kontrolę, nie było ani przerażeniem, ani gniewem. Nie, to było coś innego, silniejszego, bardziej skrytego: zmarszczka w kącie ust tylko przez moment, gwałtowne spłaszczenie policzków, niszczycielski ogień w oczach... Rozkosz, pomyślał Tristan, rozkosz zaczynających się łowów. Weistort znalazł przeciwnika, którego pragnął zabić. I już nic nie było w stanie go powstrzymać.

– Ten, kto zabił tego żołnierza, nie wie, na jakie skazał się katusze. Chcę dostać tego człowieka. Chcę go dostać, żeby go zabić.

Tuluza

Maj 1941

– Buonasera, Georges – rzucił kwaśno mężczyzna o kruczoczarnych włosach.

– Buonasera, Silvio. Jak zawsze dbasz o teatralne wejścia. Przyprowadziłem ci przyjaciół, którzy przyjechali do nas z Londynu.

– Anglicy! Serdecznie witam w moim skromnym sklepiku...

Para agentów uprzejmie się z nim przywitała.

Mężczyzna wprowadził ich do czegoś w rodzaju remizy zastawionej od podłogi po sufit na pół rozpakowanymi pudłami książek. Woń starego papieru zastąpiła tę z korytarza, którym przyszli.

– Wejdźcie, zapraszam.

Wprawnym ruchem zamknął metalowe drzwi i wskazał im kolejne schody, tym razem w górę.

– Uwaga na głowę, sufit jest niski.

Malorley zauważył stylizowaną gałąź akacji wykutą na kamiennej balustradzie i poszedł za dowódcą siatki i Włochem, który pokonywał po kilka stopni naraz, bardzo się spiesząc.

– Gdzie jesteście? – Malorley zadał to pytanie szeptem, zwracając się do Georges'a.

– U Silvia Trentina, włoskiego przyjaciela. Jako jeden z pierwszych przeciwstawił się faszyzmowi. Przyjechał do Tuluzy w 1935 roku i otworzył tę wspaniałą księgarnię. Od kilku miesięcy jest miejscem naszych tajnych zebrań.

Weszli do pomieszczenia, którego ściany z cegły tuluzańskiej zastawione były wysokimi bibliotekami. Półki dosłownie ugięły się pod ciężarem książek. Dwie kanapy obite tkaniną w kolorze jabłkowej zieleni stały naprzeciwko siebie w centralnej części sali, a między nimi znajdował się niski stół, również zastawiony stosami książek.

Włoski księgarz rozpostarł ramiona.

– Witajcie w piekle książek przeklętych. Na tych półkach zgromadziłem ponad pięćset dzieł zakazanych przez wszystkich duce, führerów, marszałków, ojczulków narodu i innych caudillów, których wydała na świat Europa uszczęśliwiona swą płodnością.

– Zapomniałeś o dziale książek erotycznych, które trafiły na indeks z wyroku papieży – dodał Georges.

– Amen – skwitował Włoch z ironicznym uśmiechem, czyniąc znak krzyża. – Odstawcie walizki i usiądźcie. Jedliście?

– Prawdę mówiąc, nie... Pański przyjaciel wyprowadził nas właśnie w chwili, gdy kelner podawał nam kolację – powiedziała Jane, wtulając się w jedną z sof.

Trentin parsknął wesołym śmiechem.

– I dobrze zrobił. Wieprzek dawno przestał być jowialny. Przyniosę wam kilka plasterków szynki z Bigorre, powinienem mieć jeszcze trochę koziego sera z Mauzac i dobre wino z Fronton. Rzadko zdarza mi się podejmować gości z Londynu.

Kiedy wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia, Malorley usiadł naprzeciwko handlowca.

– Nie obserwuje was policja?

– Tym skończonym osłom nie zaświtało we łbach, że restaurację łączy z księgarnią tajne przejście. Vichy stawia na posłuszeństwo, nie na wyobraźnię. Ale to nie będzie trwało bez końca...

– I nigdy nie robili nalotów? – przerwała mu Jane.

– Owszem, dwa razy, ale to pomieszczenie jest dobrze ukryte. Stąd do księgarni prowadzi kolejny korytarz. Jesteśmy w dzielnicy Saint-Étienne, w czasach krucjat przeciwko katarom wybudowano tu całą sieć podziemnych kryjówek. Trzeba było jakoś uciekać przed inkwizytorami. Silvio urządził tę kryjówkę dokładnie w dniu kapitulacji, przewidując nastanie ciężkich czasów. Nie wyobrażacie sobie, jakiej pracy wymagało zainstalowanie tu systemu wentylacji i podłączenie ogrzewania do tego z księgarni, ale przecież trzeba było chronić bezcenne książki.

Trentin wrócił z tacą, którą postawił na stole.

– Premier Churchill miewa się dobrze? – spytał, otwierając butelkę ciemnoczerwonego wina.

– Tak, cieszy się żelaznym zdrowiem, mimo że pali mnóstwo cygar i wypija niewyobrażalne ilości whisky.

Księgarz napełnił kieliszki.

– Cudownie, cudownie... A Ameryka? Czy przystąpi do wojny?

– Prezydent Roosevelt jest zwolennikiem interwencji – oświadczyła Jane – jednak większość jego rodaków nie chce o tym słyszeć.

Włoch wznosił kieliszek na wysokość głowy.

– Toast! Que ce pezzo di merda Hitler zdradzi Stalina i zerwie pakt niemiecko-sowiecki, atakując wreszcie Rosję – rzucił z błyskiem w oku Trentin.

– To jedyna szansa na odwrócenie kolei tej wojny. Kiedy na wschodzie zostanie otwarty nowy front, Hitler, niczym niegdyś Napoleon, zagubi się w śniegach Rosji. W przeciwnym razie Anglia zginie, a my wraz z nią.

Trójka gości wzniosła kieliszki.

– Anglia zawsze wychodzi z opresji – wtrącił Malorley. – Zawsze. Od południa do północy.

Księgarz wypił pół kieliszka, zanim mu odpowiedział:

– Jak pan zgadł?

– Zobaczyłem stylizowaną gałąź akacji przy wejściu na schody. Chociaż mogli to zrobić pańscy poprzednicy.

Trentin potrząsnął głową.

– Strzał w dziesiątkę. Wielki Wschód, a raczej to, co z niego zostało. Kazałem ją wyrzeźbić przed wojną, a teraz nie jestem w stanie jej usunąć.

– Wielka Zjednoczona Loża Anglii.

– Domyślałem się. Ale wy tam zmuszacie braci do wiary w Boga... Cóż, nic nie jest doskonałe. Witaj, bracie!

Młoda kobieta wytrzeszczyła oczy, nic nie rozumiejąc.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o co tu chodzi?

Obaj panowie milczeli. Georges uśmiechnął się i zapalił papierosa.

– Właśnie odkryli, że obaj są masonami. Od południa do północy to jedno ze zdań rozpoznawczych.

– Masoni... Odprawiacie czarne msze i inne takie? – zapytała z zażenowaniem.

Trentin uśmiechnął się rozbawiony.

– Tak, oczywiście. A w pokoju obok składamy w ofierze młode dziewice... Doprawdy, nie wolno wierzyć we wszystkie te bzdury, które rozprowadzają nasi przeciwnicy. A teraz ja panią o coś zapytam. Jest pani stanowczo za młoda, żeby podejmować tak wielkie ryzyko, a jak napisał Ronsard: „Młodość umyka, by nigdy już nie wrócić”.

Jane dopiła wino i odstawiła pusty kieliszek na stół.

– „Lepiej zniszczyć własną młodość, niż nic z nią nie zrobić”. Courteline.

Twarz Trentina rozbłysła.

– Ślicznotka ma ciętą ripostę.

Georges wstał i położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

– Czas nagli, Silvio. Poproszę cię teraz, żebyś zostawił nas samych. Dla twojego bezpieczeństwa.

Księgarz pokiwał głową.

– Wiem... Zawołajcie mnie, kiedy skończycie. Zajmę się teraz tłumaczeniem Steinbecka na francuski. Czeka mnie ciężka noc.

Georges zaczekał, aż Trentin zamknie za sobą drzwi, a potem rozłożył na stoliku mapę południowo-zachodniej Francji.

– Dobrze. Dziś zostanieie tu na noc. Jutro w południe nasz człowiek zabierze was bezpośrednio do Montségur samochodem służbowym. Dojedziecie na miejsce przed

wieczorem. Pracuje w służbach zaopatrzenia i prowadzi kontrolę sanitarną gospodarstw w Ariège i Górnej Garonnie.

Malorley spojrział na niego wyraźnie zakłopotany.

– Dziś wieczorem w restauracji miał pojawić się jeszcze jeden agent. Coś musiało stanąć mu na przeszkodzie. Chciałbym poczekać na niego do jutrzejszego wieczoru.

Handlowiec pokręcił głową.

– Wykluczone. Kierowca musi trzymać się terminarza ustalonego dawno temu. Przesunięcie wzbudziłoby podejrzenia. Jeżeli nie wyjedziecie jutro, trzeba będzie czekać do przyszłego tygodnia, bo tyle zwykle jest w trasie.

– A gdybyśmy pojechali pociągiem?

– Zdecydowanie odradzam, na linii do Foix kontrole są wzmożone.

Malorley jeszcze się wahał. Czas działał na jego niekorzyść, naprawdę nie mógł sobie pozwolić na marnowanie całego tygodnia. Z drugiej strony, decydując się na szybki wyjazd, skazywał się na działanie w terenie bez jednego z agentów.

– Zgoda, ale jeżeli nie pojawi się jutro wieczorem, będzie to znaczyło, że wpadł.

Georges pokiwał głową i nalał sobie wina.

– Nie będę nawet podejmował ryzyka. Dziś wieczorem restauracja zostanie zamknięta do odwołania. Przechwycimy pańskiego człowieka, kiedy wejdzie w uliczkę. Jeśli się pojawi...

– Znów dolał sobie wina i podjął: – W Montségur przejmie was Trencavel. To pseudonim szefa siatki w departamencie. Zajmie się wami osobiście. Nie mam pojęcia, co zamierzacie tam robić, ale uprzedził mnie, że w okolicy aż się roi od Niemców. I to nie byle jakich. To esesmani. W kategorii łajdaków nie mają sobie równych od czasów Hunów. Chociaż mam wrażenie, że nawet Attyla był sympatyczniejszy od tych łotrów.

Malorley nie zareagował, odezwała się natomiast jego młoda partnerka:

– Ale przecież jesteśmy w strefie wolnej.

Francuz zaśmiał się drwiąco.

– Ta strefa wolność ma tylko w nazwie, panienko. Niemcy mogą się tu panoszyć jak syfilis w wiejskim burdelu. I na pewno nie przeszkodzi im w tym to stare ścierwo Pétain.

Malorley postanowił spokojnie wypytać Francuza:

– Wie pan, co tam robią?

– Trencavel powiedział mi, że prowadzą poszukiwania archeologiczne. Absolutnie w to nie wierzę. Nie dziwiłbym się natomiast, gdyby poszukiwali jakiegoś skarbu. To dlatego przyjechaliście, tak?

Malorley tylko się uśmiechnął. Francuz wzruszył ramionami.

– Skoro nie chce pan powiedzieć... Ale umowa stoi, tak? W zamian za naszą pomoc Londyn dokona zrzutu stu tysięcy franków, tak jak uzgodniliśmy.

– Oczywiście, proszę się nie obawiać.

Młoda kobieta patrzyła na niego w osłupieniu.

– Pieniądze... Myślałam, że działacie w ruchu oporu!

– My tak, ale nie funkcjonariusze, którym musimy dawać w łapę. Urzędnicy prefektury, którzy załatwiają nam dokumenty, strażnicy więzienni, którzy przekazują wiadomości... Ta suma pozwoli nam też wynająć nowe, pewniejsze lokale na peryferiach miasta.

– Ilu ludzi możecie nam zapewnić na miejscu?

– Pięciu, może sześciu. To Hiszpanie, którzy ocaleli po klęsce armii republikańskiej. Uciekli z obozów Vichy i utworzyli małe oddziały partyzanckie w Ariège.

Na twarzy Malorleya pojawił się grymas.

– W starciu z SS to mało.

– Nasi przyjaciele są zaprawieni w boju. I z największą przyjemnością walczą z nazistami.

– A co z bronią?

– To nie problem, Hiszpanie przyszli z własnym sprzętem, kiedy w 1939 przekraczali granicę.

Wyjął mały pistolet z ciemną kolbą i położył go na stole przed Malorleyem.

– Kaliber dziewięć milimetrów, model CZ produkcji czeskiej, wersja 1927, solidny i skuteczny, na wyposażeniu oficerów armii republikańskiej. Przyda się panu.

– A mnie się nie należy? – zapytała niewinnie Jane.

– Z całym szacunkiem, to nie jest zabawka dla dziewcząt – odparł Francuz.

Młoda kobieta chwyciła CZ zręcznym gestem i uniosła go na wysokość oczu. Potem wprawnym ruchem wyjęła magazynek i w niespełna minutę rozłożyła pistolet na oczach oniemiałego wścicza.

– Osobiście wolę polskie visy w wersji 1935 – wyjaśniła Jane, obracając w palcach magazynek. – Są celniejsze i rzadziej się zacinają, ale poradzimy sobie i z tą czeską zabawką.

Malorley się uśmiechnął, widząc minę Georges'a.

– Wszyscy nasi agenci przechodzą gruntowne szkolenie z posługiwania się różnymi rodzajami broni. Kobiety również.

– Co za czasy – szepnął Francuz. – Niedługo zaczną się domagać praw wyborczych.

Berlin

Königsberg Platz

Biuro Futurologii i Obliczeń Specjalnych

Błede berlińskie słońce łagodnym blaskiem rozświetlało przestronne pomieszczenie, w którym kiedyś była palarnia. Z murów zniknęły burżuazyjne tapiserie z malinowego weluru, ustępując miejsca metalowym szafom tkwiącym pomiędzy zwisającymi z sufitu sztandarami ze swastyką. Jedynym odstępstwem od kanonów biurokracji był tu portret Adolfa Hitlera: zamiast tego oficjalnego, w partyjnym uniformie, zawieszono kopię obrazu pędzla Huberta Lanzingera. Führer w srebrzystej zbroi średniowiecznego rycerza dzierżył wojenny proporzec. Jego zuchwała twarz, skupiona na poszukiwaniu Graala, miała być inspiracją dla pracowników biura.

Tam gdzie niegdyś stały wygodne zielone fotele chesterfield dawnych właścicieli, pojawiły się szare metalowe biurka – standardowy model biurowy – tworzące idealnie równy rząd. Przy tych biurkach pracowało dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy skupieni na leżących przed nimi papierach. Słysząc było nieustanne skrzypienie ołówków i szmer przesuwających się po papierze linijek.

Rudolf Hess przystanął w progu i wzięwszy się pod boki, obserwował zaangażowanie swych podwładnych. Wybrał tylko najlepszych, tych, którzy przeszli trudne testy i rozmowy prowadzone w Wielkiej Rzeszy i wszystkich krajach okupowanych. Od krańców Bretanii po wybrzeża Bałtyku, od wyżyn Czech po mglistą Brugię – Hess dokonał bezlitosnej selekcji. Większość stanowili Niemcy, było jednak dwóch Polaków, Czeszka i Francuzka.

Wszyscy ci eksperci cieszyli się przed wojną doskonałą reputacją. Hess nie potrzebował dużo czasu, żeby ich odnaleźć w miarę posuwania się Wehrmachtu. Ani żeby ich przekonać. Wszyscy poza obywatelami Rzeszy musieli wybierać między kolaboracją a plutonem egzekucyjnym. I wszyscy z zapałem dołączyli do ekipy, aby służyć swą wiedzą i umiejętnościami nowemu łaadowi w Europie. Nawet polski Żyd znalazł się wśród najzdolniejszych. Jego praca tak bardzo zadziwiła Hessa precyzją i trafnością, że zastanawiał się, czy nie przyznać mu honorowego certyfikatu aryjskości.

Hess z satysfakcją spoglądał na swoją cudowną ekipę współpracowników wyjątkowych w skali Rzeszy. Ci mężczyźni i kobiety wyglądający jak urzędnicy wykonywali wspólny zawód.

Słuchali gwiazd i rozmawiali z planetami.

Byli astrologami.

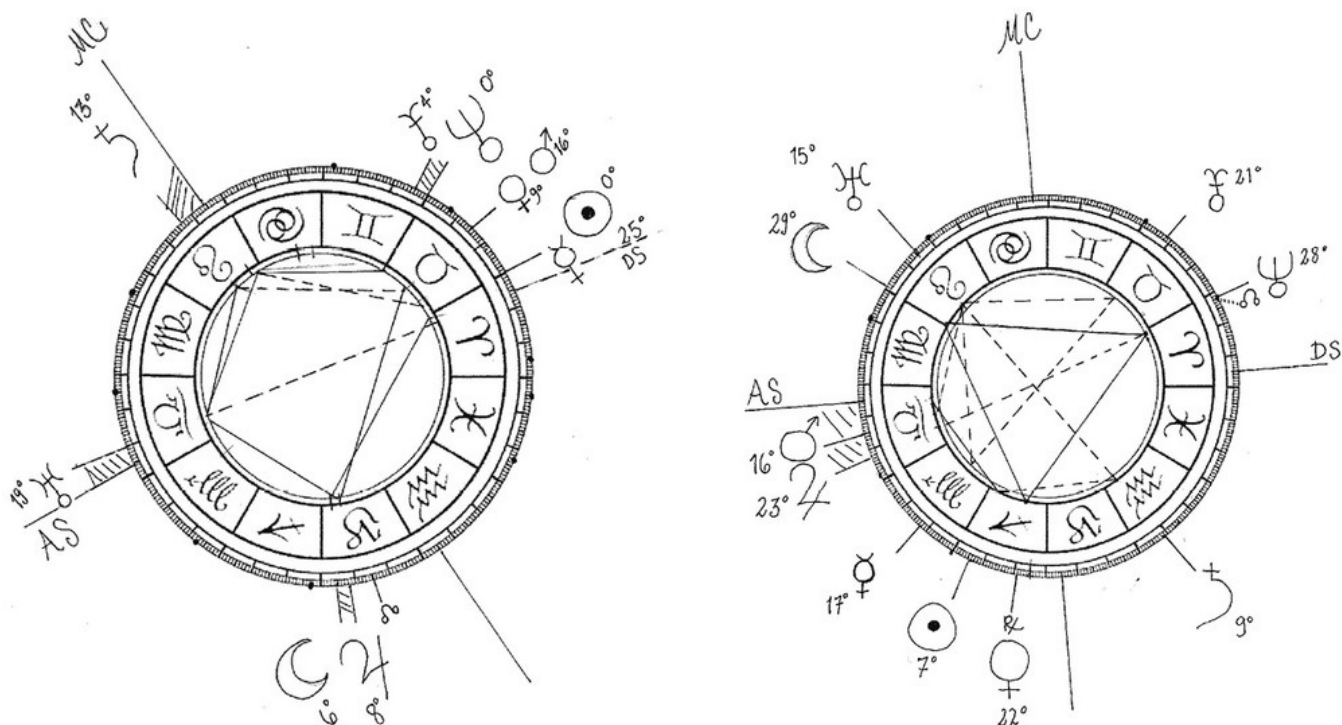
Oficjalnie ta sekcja nosiła w systemie partyjnej administracji nazwę Biura Futurologii i Obliczeń Specjalnych. Takie określenie jej aktywności uprzejmie zasugerował Hessowi jeden z jego wrogów, Hjalmar Schacht, minister finansów. Mimo że Führer osobiście wyraził zgodę na utworzenie sekcji, nie dałoby się przyznać finansów na funkcjonowanie zespołu astrologów. Biuro Futurologii i Obliczeń Specjalnych... Hess nie cierpiał tej cuchnącej technokracją nazwy i kazał umieścić przy wejściu do biura złożony srebrnymi literami napis: Skuld.

Była to jedna z Norn, trzech sióstr z panteonu mitologii nordyckiej. Wszystkie tkwały kosmiczny obraz ludzkiego przeznaczenia. Do Urd należała osnowa przeszłości, do Werdandi wątek terażniejszości, a do Skuld nic przyszłości.

BFOS, a raczej Skuld podporządkowane było bezpośrednio Hessowi i nikt oprócz niego nie miał tam wstępu.

Tercet niemieckich astrologów zajmował się głównie obserwacją układów gwiazdnych dla głównych wrogów Rzeszy: Stalina, prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina D. Roosevelta i Winstona Churchilla. Ten ostatni stał się przedmiotem szczególnej uwagi Hessa, który również po amatorsku uprawiał astrologię. Znał na pamięć dane o narodzinach upartego buldoga: przyszedł na świat 30 listopada 1874 roku o godzinie 1.30 nad ranem w Blenheim Palace w Oxfordshire. Strzelec z ascendentem w Pannie. Księżyc w Skorpionie – jego pięta achillesowa: zmienny, nieprzewidywalny, ze skłonnościami do depresji.

Hess lubił zestawiać ze sobą horoskopy urodzenia Churchilla i Führera, który cieszył się wspaniałym układem gwiazd. Byk z ascendentem w Koziorożcu, obdarzony siłą i energią wspieranymi przez ambicję i upór. Co bardziej zaskakujące, urodził się przy Marsie w doskonałej koniunkcji z Wenus w swoim znaku. To astrologiczna rzadkość, która zapewnia doskonałą równowagę pierwiastka męskiego z żeńskim. Horoskop był tak piękny, że Hess oprawił go w ramki i niczym relikwię powiesił w salonie w swoim domu.



Układy astrologiczne Adolfa Hitlera i Winstona Churchilla

Szef partii nazistowskiej podszedł do astrologa zajmującego się Churchillem. Nienawidził brytyjskiego premiera tym bardziej, że ceniał Brytyjczyków. Miał wśród nich wielu wysoko postawionych przyjaciół i wiedział, że znaczna ich część w głębi ducha sprzyja nazizmowi. Jak były król Edward VIII czy sir Oswald Mosley, lider angielskiej partii faszystowskiej, od wybuchu wojny gnijący w więzieniu.

Z powodu Churchilla Göring nie przestawał bombardować tego kraju we dnie i w nocy, a on, Hess, był tym oburzony. Anglicy nie zasłużyli sobie na taką brutalność.

– Proszę mi powiedzieć, czy ten bękart Churchill złapie syfilis!

Astrolog o zaczerwienionych ze zmęczenia oczach spojrział na swojego protektora.

– Obliczam tranzyt Merkurego w Domu trzecim. Jeżeli to się potwierdzi, możemy się spodziewać fazy nagłej depresji.

– Dobrze... dobrze... A co z moim projektem specjalnym?

Wróżbita zerknął z obawą na kolegów, a potem powiedział szeptem:

– Kończę układ. Powinien być gotowy dziś wieczorem.

Pokazał Hessowi śnieżnobiałą kartkę, na której rysował zegar astrologiczny. Na zewnątrz, a także na całym obwodzie czarnego kręgu przedstawione były pozycje planet w sercu konstelacji zodiakalnych oraz w domach astralnych. Wewnątrz, na czerwono albo niebiesko, figury geometryczne, trójkąty i kwadraty powstające z położenia planet względem siebie.

Hess pochylał się nad biurkiem, żeby ocenić pracę. Choć był w tej dziedzinie tylko amatorem, potrafił odczytać układ gwiazd w chwili narodzin.

– Wspaniale, Yaros! Pańska praca pomoże ocalić miliony istnień ludzkich.

Astrolog pomyślał, że się przesłyszał, bo po raz pierwszy zdarzyło się, by Hessa zaprzętało dobro ludzkości.

– Rzecz jasna, aryjskich! – dodał czym prędzej Hess i parsknął śmiechem.

Specjalista od gwiazd pochylił głowę, blado się uśmiechając. Drżał na myśl, że niezadowolony z jego pracy zwierzchnik wyśle go do obozu koncentracyjnego.

Hess zostawił go sam na sam z astrologicznymi kalkulacjami i udał się do prywatnego gabinetu, gdzie czekał jedyny w swoim rodzaju astrolog – wielki Woltan. Był to jego pseudonim z czasów, kiedy przepowiadał przyszłość we własnym gabinecie w Monachium. Teraz ekspert zajmował się wyłącznie układami gwiazd najwyższych dostojników nazistowskich, gwardii osobistej Führera, kadry dowódczej armii i partyjnych dygnitarzy. Każdemu z nich Hess wysyłał co roku, jako prezent urodzinowy, zegar astrologiczny i horoskop na kolejnych dwanaście miesięcy. Większość wyrzucała przepowiednie, nawet ich nie czytając. Mężczyzna o krzaczastych brwiach doskonale o tym wiedział, ale nie przejmował się, ponieważ horoskopy pozwalały mu przewidzieć ich zachowanie. „Moje astralne biuro szpiegowskie”, jak mawiał do żony.

Wszedł bez pukania i szybko zamknął za sobą drzwi. Wielki Woltan, starszy pan o szpiczastej twarzy i starannie przyciętej bródce, uniósł głowę i natychmiast poderwał się z krzesła.

– Pan Hess, jakże się cieszę...

– Proszę nie wstawać, chciałbym tylko potwierdzić pewne przeczucie.

– Proszę powiedzieć, o co chodzi.

Hess usiadł na biurku maga.

– Mam zmartwienie z Heinrichem Himmlerem. Wie pan, jak go cenię, w tej chwili jednak wyczuwam wokół niego złą aurę.

– Jakiego rodzaju?

– Zastanawiam się, czy nie jest bliski podjęcia złych decyzji. Może pan przygotować mi jego roczny horoskop?

– Tak, oczywiście.

Woltan rozwinął zwój i uważnie mu się przyglądał. Nazwisko szefa SS było wypisane drobnym, luźnym pismem na górze arkusza...

– Ma pan absolutną rację! Cóż za przenikliwość. Reichsführer jest ofiarą kwadratury w horoskopie urodzeniowym. Jowisz, który rządzi czystym rozumem, wchodzi w opozycję z Plutonem i Saturnem, a one oba mają szkodliwą moc.

– Wiedziałem! A zatem to skłania go do podsuwania błędnych decyzji Führerowi.

– Tak – przyznał Woltan. – Musi pan bardzo uważać. Ten człowiek staje się coraz potężniejszy dzięki swojej armii SS.

Hess spiorunował go wzrokiem.

– Rzecz jasna... oczywiście nie tak jak pan – wydukał brodaty wróżbita, świadom swojej gafy.

– Ja nie przemawiam do ucha Führera, ale do jego rozumu! Proszę się ograniczyć do czytania mowy gwiazd, a politykę zostawić tym, którzy się na niej znają – odparł ostro Hess, poderwał się z miejsca i wyszedł bez pożegnania.

Szef partii opuścił Woltana, nie kryjąc irytacji, i udał się do swego gabinetu.

Gwiazdy nigdy nie kłamią. Woltan potwierdził obawy związane z Himmlerem, Hess musiał więc jak najszybciej zobaczyć się z Reichsführerem, by wszystko wyjaśnić.

Stukanie jego butów rozbrzmiewało pośród ciszy. Zawsze lubił ten głuchy, męski odgłos. W kwestii męskiego obuwia jego przekonania od bardzo dawna pozostawały niezmiennie: mężczyzna, prawdziwy mężczyzna, powinien nosić twarde podeszwy. Jedynym odstępstwem, na jakie sobie pozwalał, było obuwie domowe, ponieważ inaczej żona zmuszała go, kiedy byli sami, do „jeżdżenia” na suknach.

Doszedł do końca korytarza i pchnął dwa skrzydła ciężkich drzwi z brązu, wkraczając do osobistego sanktuarium. Za nimi mieściła się sala ze sklepieniem łukowym, przypominająca nawę kościoła.

Lubił tę magiczną samotnię, spokojniejszą, bardziej intymną od partyjnej kancelarii na drugim końcu Berlina, gdzie z wielkim niezadowoleniem spędzał lwią część czasu. Tam wciąż rozbrzmiewały krzyki, trwały przepychanki, spory i intrygi. Kiedy tylko mógł, przyjeżdżał schronić się w tym gmachu, by spokojnie oddawać się rozmyślaniom.

Z wystroju pierwotnie masońskiej świątyni zachował tylko sklepienie, na którym namalowano rozgwieżdżone niebo, a także dwa symboliczne sakralne kinkiety przytwierdzone do marmurowych ścian w głębi sali: złote słońce i srebrny księżyc. Cała reszta spłonęła, poczynając od przekłętej „światłej delty”, trójkąta z okiem w środku. Już niemal sześć lat minęło od dnia, gdy przejął ten gmach, dowodząc oddziałem starych towarzyszy partyjnych. Na oczach tłumu podekscytowanych berlińczyków wyrzucili przez okna wszystko, co znajdowało się w świątyni: meble, rzeźby, książki, wisiorki, obrazy – wszystko z wyjątkiem dwóch starych strażników, którzy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności uderzyli czołem o pałkę. Potem Hess i jego ludzie zaczekali, aż zapadnie noc, i rozpalili wspaniały stos na uroczym placu Kortenberga. Ale data tego autodafe nie była przypadkowa. Stało się to 21 czerwca, w noc świętojańską, noc przesilenia letniego. Tego dnia cztery planety utworzyły doskonałą kwadraturę w konstelacji Skorpiona.

Ogień wzbudził taką radość, że trzeba było powstrzymywać najbardziej entuzjastycznych bojowników od podpalenia świątyni. Nie obyło się bez użycia pałek – tym razem do rozproszenia najmniej zdyscyplinowanych. Zniszczenie tej wspaniałej osiemnastowiecznej budowli byłoby wielką stratą, zwłaszcza że Hess zamierzał przejąć ją na własne potrzeby.

Nazajutrz zmiana właściciela dokonała się zgodnie z prawem, przed notariuszem. Mistrz Wielkiej Loży masońskiej, zastraszony dyrektor banku, przyszedł, by spontanicznie dokonać cesji aktu własności. Hessowi zależało, by w kontrakcie zamieścić klauzulę ze wzmianką: „Darowizna stanowiąca odszkodowanie za zgubny wpływ, jaki masoneria wywierała na naród niemiecki przez ponad dwieście lat”.

Hess wszedł do swego sanktuarium, nie zamykając drzwi.

Przed nim, po obu stronach alei centralnej, stały w rzędach olbrzymie posągi. Osobiście zamówił je u Arna Brekera, oficjalnego rzeźbiarza reżimu. Z prawej patrzyli na niego półnaczy mężczyźni w pozycjach bojowych, postacie o władczych twarzach i potężnych mięśniach, a z lewej kobiety, które wyciągały ręce, oddając snopy zboża, rogi obfitości lub dzieci. Po prawej cnoty męskie – odwaga, mądrość, siła i brawura, po lewej macierzyństwo, łagodność, skromność i wdzięk. Jego koncepcja sztuki była równie wyrobiona jak poglądy odzieżowe. Hess lubił przymierze piękna z prostotą. Proste idee, które potrafił zrozumieć każdy Aryjczyk patrzący na rzeźbę. Była to koncepcja bardzo daleka od zdegenerowanej sztuki, do której unicestwienia się przyczynił. Za posągami duże plafoniery rzucały ciepłe, niemal pomarańczowe światło.

Lubił iść szpalerem pomiędzy swą kamienną gwardią, by zasiąść przy biurku ustawionym na podwyższeniu w głębi dawnej świątyni masońskiej.

W oriencie, by użyć masońskiego terminu. Cóż za ironia! Znak od losu. On, który urodził się na Wschodzie, w Egipcie. W kraju faraonów, władców, którzy uczynili z Semitów niewolników.

Ból wił się jak wąż w jego rozgorączkowanej głowie. Hess się zachwiał, przystanął i oparł się o posąg walkirii.

Bóle głowy powracały z coraz większą częstotliwością. Nagle, nie wiadomo skąd, dobiegł go głos:

– To piękny dzień dla ciebie.

Jego twarz się rozpogodziła.

Poznał ten głęboki ton. To jedna z rzeźb, ta, która stała najbliżej biurka.

Baldur. Bóg światła.

Jego opiekun. Prowadził go od lat.

Po raz pierwszy usłyszał jego głos mniej więcej rok po ustawieniu posągu. Wezwał Woltana i swojego sekretarza osobistego, żeby się dowiedzieć, czy oni także słyszą słowa boga. Na próżno. Ale nie bez powodu Baldur wybrał właśnie jego, a nie kogokolwiek innego. Bóg oczywiście nie przemawiał do niego codziennie, a tylko w pewnych wyjątkowych sytuacjach.

Hess stanął nieruchomo przed posągiem. Głos znów rozbrzmiał.

– Uważaj tej zimy na uszy, będzie mroźno.

Nie wiedział, jak interpretować to zdanie. Od pewnego czasu słowa bóstwa stawały się zagadkowe, ale Hess dostrzegał pewne wytłumaczenie tej kwestii.

Jedyną rozsądną hipotezą wydawało się uznanie, że Baldur wie, iż wrogowie słuchają ich telepatycznych rozmów, i nie chce, by zrozumieli jego rady. Dlatego posługuje się szyfrem.

– Uważaj tej zimy na uszy, będzie mroźno.

Zanotował zdanie w kalendarzyku, z którym się nie rozstawał, i postanowił później pomyśleć nad jego ukrytym znaczeniem.

– Jeszcze do tego wrócę.

Ból łagodniał. Głos zamilkł.

Hess przeszedł przez salę, jakby nic się nie wydarzyło, i wbiegł po kilku stopniach. Ciężko opadł na wygodny fotel ustawiony przed biurkiem o kwadraturze tak dokładnej jak kształt płyty nagrobnej.

Podniósł słuchawkę i wezwał osobistego sekretarza.

– Proszę zadzwonić do Reichsführera Himmlera i powiedzieć mu, że muszę z nim pomówić. To pilne.

– Rozkaz.

Odkąd stał na czele partii, miał wielu nieprzyjaciół. Wszyscy knuli, starając się skompromitować go w oczach Führera. Cała ta banda karierowiczów i lizusów, którzy dołączyli do pochodu sławy, nie podejmując już żadnego ryzyka. Rozsiewali pogłoski o jego rzekomym obłędzie, o ezoterycznej manii. Nawet jego krótki pobyt w instytucie psychiatrycznym stał się dla Göringa i Goebbelsa powodem do drwin. Idioci, nie mieli zielonego pojęcia o tajemnych mocach, które rządzą światem i dla których są tylko marionetkami. Przekupili jego kucharkę, lokaja, szofera, a może nawet żonę. Tego jednak nie był pewien. Musiał zdobyć więcej dowodów.

Błyskawicznie chwycił słuchawkę, kiedy tylko rozległ się dzwonek.

– Jak się miewasz, Rudolfie?

Głos Himmlera trzeszczał, jakby dobiegał z drugiego krańca Niemiec, mimo że ich biura dzieliło tylko kilka budynków.

– Odnalazłeś insygnia z Montségur?

– Przed chwilą dzwonił do mnie Weistort. Mam wielkie nadzieje. A kiedy już znajdą się w naszych rękach, będziemy mogli podjąć ostateczny bój.

Hess zmarszczył szerokie brwi.

– Muszę się z tobą jak najszybciej spotkać.

Zapadła cisza, potem szef SS odpowiedział znużonym głosem:

– W tej chwili mam bardzo dużo pracy. Za dużo. Inwazja na Rosję...

– Nie! – przerwał mu Hess. – Nie możemy sobie pozwolić na otwarcie drugiego frontu, wciąż jeszcze prowadząc wojnę z Anglią.

- Drogi Rudolfie, nie dzwonisz chyba, żeby dyskutować o strategii wojennej?
- Koniecznie musimy się spotkać twarzą w twarz i porozmawiać.

Upłynęło kilka sekund w lodowatej ciszy, potem w słuchawce rozległ się znów głos Himmlera:

- Jutro muszę odwiedzić ważną budowę. Jestem tam umówiony z architektem i jego zespołem. Spotkajmy się na lotnisku.
- Z przyjemnością. Czyżby chodziło o któryś z nowych gmachów zaprojektowanych z myślą o Germanii, naszej nowej stolicy? Widziałem makietę kancelarii, jest wspaniała.
- Nie, absolutnie nie. To nowy obóz – odparł przesłodzonym głosem Himmler. – Nowy obóz koncentracyjny, Birkenau.

Montségur

Maj 1941

Zamek upodobił się do ufortyfikowanego obozu wojskowego. Weistort przed wyjazdem do Foix wzmocnił jeszcze zabezpieczenia. Nie chciał ryzykować opóźnień ani przerw w poszukiwaniach spowodowanych zagrożeniem zewnętrznym. Zwiększył częstotliwość i liczebność patroli, strażnikom wydał rozkaz strzelania, jeśli zauważą jakiś podejrzany ruch. Szelest w zaroślach, spadający kamień – na to wszystko odpowiadały detonacje. Tak łatwe używanie broni niepokoiło Tristana. Nie bał się o siebie, ale o dziewczynę w berecie, która nie wiedząc o nowych zasadach bezpieczeństwa, mogła chcieć dostać się do zamku. Ponieważ nie wyznaczono mu konkretnych zadań, postanowił dołączyć do grupy żołnierzy udających się do wsi po cotygodniowe zaopatrzenie. W zasadzie powinien uprzedzić o tym von Essling, jednak nie pojawiała się, zajęta przygotowywaniem nowej kampanii poszukiwawczej. Pozbawieni zajęcia Goebbelschen i pozostali badacze dreptali po otoczonym murami terenie, zerkając ukradkiem na namiot, z którego archeolog nie wychodziła od rana. Niewątpliwie, pomyślał Tristan, jest to metoda na uzyskanie autorytetu w męskiej grupie, którą ma pokierować kobieta.

Przy bramie fortecy na ziemi stała trumna. Francuz zbliżył się do niej. Pod nazwiskiem zmarłego żołnierza wypisano na czarno dwie runy SS. Tristan zadawał sobie pytanie, czy twarz tego człowieka przywrócono na właściwe miejsce.

– Zwozimy go do wsi – powiedział Röttenführer²⁹. – Tam przejmie go intendentura.

Widząc, że żołnierzom brak zapasu, by załadować trumnę, Tristan domyślił się, że krąży coraz więcej niepokojących pogłosek. Bez słowa stanął w ogonie oddziału. Kiedy tylko jego koledzy – bo przecież nosił taki sam mundur jak oni – ruszą po zaopatrzenie, on spróbuje odszukać właścicielkę zamku. Na zejście do doliny trzeba było około trzydziestu minut po stromej i śliskiej kamienistej ścieżce. Kolumna stopniowo rozciągała się na szlaku zarośniętym przez zroszony bukszpan. Podoficer szedł na czele, za nim kołysała się trumna dźwigana przez czterech żołnierzy, którzy skupiali się głównie na tym, żeby uniknąć upadku na mokrych kamieniach.

– Gdyby nas zaatakowali, wystrzelaliby nas jak króliki – rzucił żołnierz, który nerwowo zaciskał rękę na kolbie karabinu.

– Ja tam nie boję się kul, tylko tego, co jest tu, w środku – dodał młody rekrut, wskazując trumnę.

– Widziałeś jego głowę? Ten chłopak zajrzał do piekła, zanim umarł.

Tristan zbliżył się do nich, żeby posłuchać, o czym mówią.

– Im szybciej go znieśliemy, tym szybciej się od niego uwolnimy. Trzeba utrzymać rytm. A tak nawiasem mówiąc, spala go. Tak jak tych heretyków z zamku.

– Jeżeli wierzysz, że demony boją się ognia...

Ostrożność Weistorta niczego nie zmieniła. Strach opanowywał jego podwładnych. I to najgorszy z możliwych – strach przed czymś irracjonalnym. Aby sprawdzić, jak dalece może zawładnąć ludźmi, Francuz postanowił zasiać niepewność.

– A jeśli to był po prostu nieszczęśliwy wypadek? Przecież mógł połamać kości, uderzając o skały?

– A głowa odwróciła mu się przy okazji o sto osiemdziesiąt stopni? Nie, to diabelska sztuczka.

Tristan nie zdążył już odpowiedzieć. Doszli do posterunku, gdzie kontrolowano wejścia do zamku. Żołnierze odetchnęli, mogąc na chwilę postawić trumnę na ziemi. Szybko odkręcili manierki i rozszedł się zapach schnapsa zmieszany z mgłą znad doliny. Francuz nie tracił czasu. Dyskretnie skręcił w stronę wsi.

O tej porze większość mieszkańców była już w polu albo przy zwierzętach, w oborach. Jakiś pies ujadał w końcu uliczki, jak gdyby był sam na świecie. Od przybycia Niemców wioska jakby zamknęła się w sobie. Znacznej części okiennic nie otwierano nawet w dzień, ludzie starali się jak najmniej wychodzić. Na głównej ulicy otwarty był tylko sklep spożywczy: duża drewniana budka z półkami świecącymi pustką ze względu na racjonowanie żywności. Nie brakowało natomiast tytoniu. Tristan wszedł i przywitał przygarbioną postać, która stała za ladą. Była to jedna z tych kobiet w trudnym do określenia wieku, owinięta czarnym szalem, który zakrywał jej włosy i opadał na ramiona. Najprawdopodobniej wdowa.

– Poproszę o paczkę ciemnego tytoniu. I o informację: gdzie mieszkają właściciele zamku? Chudy palec wysunął się spod szala i wskazał koniec ulicy.

– Dojdzie pan do cmentarza, potem w lewo. Polną drogą. Zobaczy pan wysoką bramę. To tam.

Tristan podziękował jej i wyszedł. Na ulicy nadal nie było żywego ducha. Omiatający ją zimny wiatr nie rozpedził mgły. Tristan pomyślał, że nosi mundur wroga, a jest bez broni. Stał się łatwym celem. Mimo to nie zawrócił. Francuz dla Niemców, Niemiec dla Francuzów – ta wojna uczyniła z niego Janusa, boga starożytnych, który miał dwie twarze, różne twarze. Prawdę mówiąc, miał jeszcze trzecie oblicze, którego nikt nie znał... Jego buty

stukwały o twardą, wychłodzoną ziemię. Minął cmentarz. Zarośnięta trawą droga biegła w lewo, znikając we mgle. Postawił kołnierz munduru i zaczął pogwizdywać.

Brama była otwarta, więc przeszedł przez dziedziniec i zadzwonił do drzwi. Stała w nich ta, którą miał nadzieję zobaczyć, jednak tym razem bez beretu i z szarymi oczyma pałającymi jeszcze większym gniewem niż przy pierwszym spotkaniu.

– Widzieliśmy się w zamku, jakichś...

– Wiem, gdzie się widzieliśmy. Czego pan chce?

– Mam na imię Tristan.

– Niewiele mnie to obchodzi. Pański mundur mówi sam za siebie. Pytam jeszcze raz: czego pan chce?

Kot nieufnie wychylił pyszczek zza framugi drzwi. Chyba nie spodobał mu się mundur, bo zaczął prychać.

– Wiem, że nazywa się pani Laure d’Estillac i że zamek należy do pani rodziny.

– Należał, ponieważ go zagarnęliście.

– To sytuacja tymczasowa...

– Czyżbyście uprawiali turystykę?

Tristan o mało nie parsknął śmiechem. Tej dziewczynie naprawdę nie brakowało ani tupetu, ani odwagi.

– Prowadzimy ważne prace archeologiczne, a to zmusza nas do troski o własne bezpieczeństwo. Obecnie cały obszar pogu jest zamknięty i nie wolno przebywać tam nikomu obcemu.

– Roda que rodaras, mai dins ton pais tornaras – odparła z twardym akcentem.

– Przykro mi, ale nie zrozumiałem...

– To oksytańskie przysłowie: „Włócz się, gdzie chcesz, ale do swego kraju wrócisz”. To wy jesteście tu obcy!

– Dziękuję za lekcję języka. Zapamiętam na wszelki wypadek. Tymczasem jednak przyszedłem panią ostrzec, że wartownicy mają rozkaz strzelać bez uprzedzenia.

Laure zbliżyła się do niego.

– Czy przysłał pana pułkownik Weistort?

– Oberführer ma w tej chwili inne priorytety.

Zmarszczyła brwi zdziwiona.

– Czyli przyszedł pan tu z własnej inicjatywy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, z głębi domu odezwał się męski głos:

– Laure, masz gościa?

– To mój ojciec. Wolałabym, żeby nie widział mnie rozmawiającej z...

– Nie zamierzam się narzucać.

Zasalutował i odszedł. Kiedy był już przy bramie, usłyszał słowo. Tylko jedno.

– Dziękuję.

Goebbelschen czekał na niego przy bramie zamku. On, zwykle tak flegmatyczny, nie ukrywał podniecenia.

– Pospiesz się, Fräulein von Essling ma zabrać głos. Wszyscy zebrali się już na dziedzińcu.

Niesamowicie, przemknęło Francuzowi przez myśl, czasem wystarczy, że pojawi się kobieta, by nagle faceci nabrali entuzjazmu. Mimo to Tristan się nie spieszył. Jakaś jego część została tam, w dolinie. Od tygodni był więźniem w tej cytadeli i spotkanie z Laure olśniło go, jakby nagle znów ujrzał słońce. Jednak nękało go pytanie: co mogła sobie pomyśleć ta młoda kobieta o jego niespodziewanej wizycie? Ostry głos von Essling brutalnie oderwał go od tych rozważań.

– Na czas swej nieobecności Oberführer Weistort powierzył mi pieczęć nad pracami, którym nadamy teraz nowy kierunek. Faza rozpoznawcza została już zakończona – spojrzę na architekta i jego asystentów – i dysponujemy wystarczająco dokładnymi danymi kartograficznymi. Teraz musimy się skoncentrować na wnętrzu zamku.

Większość archeologów z trudem powstrzymała się od wzruszenia ramionami. Jaki zamek, przecież tu nic nie ma, tylko skały i kamienie!

– Jak już wiemy, otaczająca nas forteca nie jest tą budowlą, która przetrwała wielomiesięczne oblężenie w roku 1244. Wówczas wznosiło się tu castrum z charakterystyczną wieżą obronną.

– Ma pani na myśli donżon?

– Absolutnie nie. Ta wieża wznosiła się – wykonała zamaszty gest, wskazując centralną część murów – gdzieś tu.

– I co jeszcze... – mruknął pod nosem Goebbelschen.

– Od tej chwili szukamy podziemnej sali, która znajdowała się pod tą wieżą.

– Ale w tym celu trzeba by przeszukać całą powierzchnię zamku – powiedział architekt. – A to oznacza konieczność usunięcia ogromnej masy usypiska. Taka praca zajmie wiele miesięcy.

– Chyba że wiadomo, gdzie znajdowały się fundamenty wieży.

Goebbelschen zwrócił na Tristana oczy, z których wyzierało zdumienie. I to ma być ten wybitny archeolog wybrany przez Himmlera?

– Zwróciliście uwagę na otwory strzelnicze obecnego donżonu? Jest ich pięć, wszystkie dokładnie takie same. Wąska pozioma szczelina zakończona kwadratową podstawą. Ten typ otworów umożliwiał poszerzenie pola strzału, a zatem także osiągnięcie wroga u stóp muru. To innowacja techniczna typowa dla początków czternastego wieku i pochodząca z północnej Francji. Serdecznie gratuluję owocnego przetrząsania przez tyle tygodni całej okolicy, ale muszę stwierdzić, że wystarczyło zwrócić uwagę na ten banalny szczegół, by zrozumieć, że dzisiejszy zamek został zbudowany przez krzyżowców.

W ten sposób natychmiast zyskała przewagę nad całym zespołem.

– Ponoć ma na imię Erika – szepnął poskromiony Goebbelschen.

– Jeżeli natomiast macie dość cierpliwości, żeby dokładnie przyjrzeć się południowemu murowi, znajdziecie, co prawda zaślepione, ale wciąż widoczne, cztery podstawy otworów strzelniczych w kształcie trójkątów, strzemiona, które pochodzą z czasów budowy pierwotnego zamku. A ponieważ w tamtym okresie otwory strzelnicze występowały tylko w wieżach obronnych...

Tristan chwycił za rękaw Goebbelschena, który już chciał wybiec na zewnątrz, żeby sprawdzić trafność obserwacji pani archeolog.

– Jeszcze dziś po południu oczyścimy te podstawy otworów strzelniczych. Kiedy już będą odsłonięte od wewnętrznej strony murów, posłużą nam jako wskaźniki do wytyczenia obszaru wieży na dziedzińcu. A potem trzeba będzie już tylko kopać.

Architekt zaczął bić brawo, pociągając za sobą całą ekipę. Wtedy przez bramę wszedł żołnierz.

– Oberführer Weistort wrócił!

Montségur

Maj 1941

Trzy kruki siedzące na dachu starego gołębnika krakały zgodnym chórem od przyjazdu samochodu. Pojazd zaparkował przed ścianą lasu, na poboczu drogi departamentalnej, która prowadziła do wsi Montségur. Kierowca już ponad pół godziny temu poszedł na spotkanie z grupą partyzantów. Powiedział Jane i Malorleyowi, żeby czekali na miejscu, ale długo nie wracał, a zbliżał się wieczór.

Malorley stał przy aucie i przez lornetkę przyglądał się zamkowi Montségur. Pog wyraźnie odcinał się na tle różowego wieczornego nieba, a za nim, na południu, widać już było pierwsze pasma Pirenejów. Kamienna budowla lśniła ochrą w blasku zachodzącego słońca. Anglik nie mógł oderwać od niej oczu. Znał na pamięć jej tragiczną historię.

Bitwy, krew, a w końcu prochy. Prochy nieszczęsnych katarów spalonych żywcem przez inkwizytorów i krzyżowców z północy – prekursorów nazistowskiej hordy. W wielkiej księdze dziejów okrucieństwa, spisanej ludzką krwią pod dyktando ślepego boga, nie istnieje ostatni rozdział.

Agent SOE poczuł, że ta fantastyczna panorama przyprawia go o mrowienie na karku.

Déjà vu...

Czuł się tak, jakby odwiedził to miejsce bardzo, bardzo dawno temu. Zanim wyjechał z Londynu, zapoznał się z doktryną katarów i wiedział, że niektórzy wierzyli w reinkarnację. Czyżby był jednym z tych doskonałych, których dusze podróżują rzeką czasu? Czyżby wcielił się w Anglika z Devonshire?

Odpędził od siebie tę absurdalną myśl. Odkąd zaczął się zagłębiać w mroczne wierzenia wrogów, jego wizja świata uległa rozchwianiu. To wszystko podsuwało mu dziwaczne pomysły. Musiał się teraz skupić na operacji. Przybył tu, żeby przypuścić szturm na tę twierdzę i zdobyć ją. Na tym polegała jego misja.

Jego misja...

Zamierzał ryzykować życie ludzi, także własne, dla chimery, dla rzeczy ukrytej albo nie gdzieś w trzewiach zrujnowanej fortecy.

Dla artefaktu, który miały odmienić losy wojny.

Nie mógł wyznać tego Jane, wzięłaby go za wariata. Czyż jednak teatr świata nie popadł w szaleństwo i ohydę, odkąd rozpętała się ta wojna?

Hitler i jego przekłęci naziści. Armia potępieńców, cały naród potępieńców. A wśród nich pułkownik Karl Weistort, który w tej chwili przebywał za murami zamku. Niemal na wyciągnięcie ręki.

Chwila ich spotkania była już bardzo bliska. Malorley będzie mógł spełnić obietnicę, którą złożył w Berlinie tamtego tragicznego wieczoru w listopadzie 1939 roku.

Nagle jeden z kruków odfrunął i zakłócił tok jego myśli. Ptak niemal musnął go skrzydłem, a potem przysiadł na gałęzi drzewa tuż nad samochodem.

Jane wysiadła i wycelowała z lśniącego pistoletu do kruka.

– Przekłęte ptaszysko! Ucisz je albo strzele, choćby nawet miało to ściągnąć szwabów – złorzeczyła.

– Jesteś przesadna? – Uśmiechnął się, odwracając ku niej głowę.

– Skądże znowu. Kiedy byłam małą, rodzice mieli dom w okolicy Bourges, w sąsiedztwie gospodarstwa. To był cudowny zakątek, ale roіło się tam od kruków. Natykałam się na nie co rano w drodze do szkoły i co wieczór, kiedy wracałam. To było takie deprymujące. Nie pomagało, że rzucałam w nie kamyczkami, ta banda trupojadów nic sobie ze mnie nie robiła. Na szczęście w końcu udało mi się rozwiązać ten problem.

– Jak?

– Paf, paf, paf! – rzuciła, trzymając kruka na muszce. – Wtedy, w moje dwunaste urodziny, ojciec nauczył mnie strzelać i zostałam jedną z nielicznych kobiet uprawiających strzelectwo sportowe. I...

– Ciii! – przerwał.

Malorley nasłuchiwał. Wydawało mu się, że z dość daleka z leśnej drogi dobiegają jakieś odgłosy. Skrzywienie butów na kamieniach stawało się coraz wyraźniejsze.

Sięgnął po lornetkę i rozpoznał ich kierowcę wychodzącego z zarośli. Podążała za nim grupka mężczyzn – szli gęsiego, uzbrojeni. Wszyscy byli ubrani w łachmany, większość wychudzona i brodata, w wełnianych czapkach, spod których wysuwały się za długie, zwichrzone włosy.

– Bardziej przypominają rozbójników grasujących przy drogach niż oddział partyzancki – powiedział, podając Jane lornetkę. – Oby tylko nie okazali się anarchistami.

Jane parsknęła śmiechem.

– A czego się spodziewałeś? Królewskiej Gwardii Konnej?

Grymas na twarzy Malorleya był wymowny.

– Pragnę zaznaczyć, że znam Hiszpanię i jej mieszkańców. Podczas wojny domowej dwukrotnie byłem tam z misją, raz w Teruel, raz w Barcelonie. W niektórych batalionach republikańskich panowała żelazna dyscyplina, którą można było porównywać z tą, jaka obowiązuje wojska Jego Wysokości. Dotyczyło to szczególnie komunistów, a Bóg mi

świadkiem, że nie żywię do nich sympatii. Ale anarchiści... Brak dyscypliny mają we krwi. Banda głupców.

– Na twoim miejscu, Angliku, trzymałbym język za zębami. Nie za takie rzeczy zdarzało mi się podrzynać gardła.

Chropowaty, przesiąknięty hiszpańskim akcentem głos rozległ się za ich plecami. Kiedy się odwrócili, stanęli oko w oko z dwoma mężczyznami uzbrojonymi w pistolety maszynowe Erma-Vollmer, które łatwo było rozpoznać po drewnianej kolbie. Pierwszy z partyzantów miał około czterdziestki, bardzo ciemne włosy i parę grubych szkieł na nosie, a także zsunięty na bok kaszkiet. Gryzł wykałaczkę. Drugi, z koroną siwych włosów, patrzył na nich surowo.

– Na szczęście nie jesteśmy Niemcami – dodał starszy. – Nie nauczono was zabezpieczać tyłów?

– Kim jesteście?

Starszy lekko skłonił głowę.

– Jean d'Estillac albo Trencavel. Przedstawiam wam mojego przyjaciela, kapitana Enrique Bujaraloza zwanego El Cebolla.

Mężczyzna w kaszkiecie zachował kamienną twarz i nadal nieufnie przyglądał się dwójce agentów SOE. Najwyraźniej niezadowolony z tego, co zobaczył, wygładził ręką sztywną brodę i splunął na ziemię. Tymczasem w kierunku samochodu zbliżali się z przeciwnej strony pozostali partyzanci.

– To nie jest twój szczęśliwy dzień, Angliku. W Hiszpanii należałem do Kolumny Buenaventury Durrutiego, późniejszej 26. Dywizji, centuria negra. Nie znajdziesz w tej okolicy, a może nawet nigdzie we Francji większych anarchistów niż ja i moi towarzysze. Głupcy szczają na ciebie.

Malorley obrzucił go spojrzeniem od stóp do głów. Musiał natychmiast udowodnić, że to on tu dowodzi, w przeciwnym razie utraci kontrolę nad operacją. Zbliżył się do obu mężczyzn na odległość metra.

– Miałem nadzieję, że wyciągnęliście wnioski z przegranej z Franco i że nauczyliście się, jak ważnymi cnotami są posłuszeństwo i dyscyplina. Ale kiedy patrzę, jak wystroiłeś się ty i twoi kompani, obawiam się, że nic się nie zmieniło.

Napięcie w grupie gwałtownie wzrosło, twarze tych, którzy dopiero przyszli, stały się nieprzyjazne. Jane zacisnęła rękę na pistolecie wsuniętym do kieszeni spodni.

– Szefie, nie jestem pewna, czy to dobre podejście do tych ludzi – szepnęła mu na ucho. – Powinieneś być bardziej... pozytywnie nastawiony.

– Nie potrzebuję twoich rad, Jane, nie mieszaj się w to.

Hiszpan przysunął się do niego, tak że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Angliku, wiesz, dlaczego nazywają mnie El Cebolla?

– O ile dobrze pamiętam, to znaczy cebula – odparł bez zmrużenia oka Malorley. – Skoro nosisz takie okulary, to nie byłeś raczej strzelcem wyborowym. Byłeś kucharczykiem brygady?

Hiszpan odwrócił się do kolegów i skinieniem głowy dał znak, że bierze ich na świadków.

– Anglik myśli, że podczas wojny byłem cocinero!

Jego ludzie gruchnęli wesołym śmiechem. Hiszpan znów odwrócił się do agentów SOE.

– Cebula wyciska łzy. Ze mną jest tak samo: lubię doprowadzać do łez faszystów, zanim dobiję ich nożem. A może chciałbyś, żebym ci to pokazał?

D'Estillac poklepał partyzanta po ramieniu.

– Enrique... Teraz, kiedy wszyscy się już znamy, czas przejść do istoty sprawy. To nie jest odpowiedni moment na walki kogutów. – I zwracając się do Malorleya, dodał: – Ci ludzie będą się dla was wystawiali na kule, więc proszę ich natychmiast przeprosić. W przeciwnym razie zabieramy się stąd.

– Ma rację, powinieneś go posłuchać – zasugerowała szeptem Jane.

Na kilka sekund zapadła cisza, w końcu jednak Malorley skłonił głowę – najwyżej o pół centymetra.

– Panowie, proszę o wybaczenie – powiedział z twarzą lodowatą jak śniegi Syberii.

Cebolla wykrzywił twarz w grymasie, który przy dużej dawce dobrej woli można było uznać za uśmiech.

D'Estillac zaniósł się gwałtownym kaszlem. Otarł czoło chustką do nosa.

– Szturm na zamek trzeba będzie przeprowadzić szybciej, niż planowaliśmy – powiedział schrypniętym głosem. – Niemcy zbliżają się do końca poszukiwań.

– Nie chciałbym pana urazić – przerwał mu Malorley – czy jednak nie jest pan trochę za stary, żeby brać udział w tej operacji?

– Proszę się nie troszczyć o moje zdrowie. Atak poprowadzi Cebolla, on i jego ludzie dobrze znają ten teren. Już zaatakowali i zabili esesmana z zamku.

– Sam zrzuciłem go na skały – dodał Cebolla. – Nadczłowiek rozpadł się jak zwykła lalka.

– OK, ale atak pozostanie pod moją kontrolą! – syknął szef SOE. – Żeby wszystko było jasne: w uzgodnieniu z waszym dowódcą z Tuluzy całą tą operacją dowodzę ja. Jeżeli wam to nie odpowiada, możecie się pożegnać z pieniędzmi i sprzętem, który ma być dostarczony waszej siatce.

Oczy Hiszpana zwężyły się do dwóch szparek.

– No hay problema, amigo – rzucił drwiąco Cebolla. – Pokażesz nam wszystkie ścieżki w okolicy.

– Zapoznałem się z terenem przed przyjazdem, ale bez obaw, pozostawię wam operacyjne poprowadzenie ataku. Wprowadźcie nas do zamku i zneutralizujcie strażników, o nic więcej nie proszę.

– Faktycznie drobiazg... A może jeszcze dobra paella na kolację? – odparł szyderczym tonem Cebolla, po czym zwrócił się do Jane: – A panienka też zamierza do na dołączyć?

– Nie, poczekam sobie na was i zaceruję wam skarpety. Umiem jeszcze zmywać i sprzątać.

Na twarzy d'Estillaca po raz pierwszy pojawił się uśmiech. Oczy tej dziewczyny pałały takim samym ogniem jak oczy Laure, gdy rzucała komuś wyzwanie.

– Trencavel, trzeba atakować tej nocy.

Głos Cebolli przywołał go do rzeczywistości. Hiszpan położył na masce samochodu szkic z boczny wokół zamku.

– Niemcy skupili siły w zamku i postawili posterunek z reflektorem w połowie drogi. Oto, co proponuję. Pójdziemy...

Birkenau

Maj 1941

Na tę okazję więźniowie przygotowali estradę z pomalowanych desek. Wznosiła się nad placem budowy przyszłego obozu. Od samochodu do schodów czerwony dywan chronił błyszczące oficerki Reichsführera przed błotem, które od tygodnia tworzyło na tym terenie istne bagno. Odpowiedzialny za budowę architekt z niepokojem obserwował pokonującego tę drogę Himmlera, drżąc z obawy, że jakaś kropla błota mogłaby zbrukać mundur szefa SS. U jego boku Hess, ubrany w zapiętą na ostatni guzik bawarską marynarkę, siedł w milczeniu. Architekt sam już nie wiedział, którego z nich bardziej się boi. Pewne było tylko, że oficjalna wizyta dwóch wysokich dygnitarzy nie wróży nic dobrego. Na domiar złego lało jak z cebra. Ludzie na budowie brodzili w błocie jak potępieńcy. A co do samej budowy... Architekt ukradkiem potrząsnął głową. Praktycznie nie posuwali się do przodu. Zdołali tylko zrobić przecinkę w lesie i wytyczyć teren, na którym piętrzyły się materiały do budowy baraków. Przy takim tempie wszystko zdąży zgnić na placu.

Himmler wszedł na estradę pierwszy, Hess zaraz po nim. Robotnicy nie odrywali się od pracy, wycieńczeni i głodni. Architekt zrezygnował z wzywania ich na apel i ustawiania w szeregu przed Reichsführerem. Byli za chudzi, zbyt brudni, jak jakaś banda nędzarzy.

– I co o tym myślisz, Rudolfie? – zapytał Himmler, wskazując ręką plac budowy.

Hess rozpiął kurtkę. W tej wilgoci można się było udusić. Nie odpowiedział od razu. Widział tylko wielkie pole błota z tu i ówdzie ustawionymi stosami drewna i snującymi się pośród nich kościotrupami.

– Ilu więźniów ma pomieścić ten obóz?

– Sto tysięcy.

Długie doświadczenie, wyniesione zwłaszcza z kontaktów z Hitlerem, nauczyło Hessa nie okazywać reakcji na absurdalne deklaracje lub nierealne projekty. Już dawno zrozumiał, że słowo „nieprawdopodobne” wykreślono ze słownika nazistów. Poprzestał więc na zadaniu jeszcze jednego pytania:

– A na kiedy planowane jest otwarcie?

Himmler spojrzał pytająco na architekta, który stał na baczność w błocie przed estradą.

– Na październik, panie Reichsführer. Zgodnie z rozkazem.

Hess powiódł wzrokiem po gromadzie przymusowych robotników, którzy dygotali, ubrani w coś w rodzaju za dużych pizam, pchając wózki napełnione kamieniami. Himmler pochylił głowę do ucha przyjaciela.

– To polscy żołnierze wzięci do niewoli. Zamiast karmić nierobów, wykorzystujemy ich jako siłę roboczą. Wciąż muszę wyrażać zgodę na kolejną rekrutację.

Rudolf wolno pokiwał głową. Jeden z jeńców upadł przed chwilą na ziemię, a żarłoczne błoto już zakryło go lepkiem całunem. Ani strażnicy, ani inni jeńcy nie zareagowali.

– Tu powstanie obóz przyszłości – zawołał Himmler. – Sto sześćdziesiąt hektarów, ponad trzysta bloków więziennych, szesnaście kilometrów murów i zasieków... Wzorcową budowlą.

Usłyszawszy te słowa, architekt w duchu wpadł w panikę. Pół roku, zostało mu zaledwie pół roku, by wybudować tę kopię piekła na ziemi! Jeśli mu się nie uda, może zakończyć karierę po sąsiedzku, w obozie Auschwitz, gdzie działy się potworne rzeczy.

– Tu – ciągnął z coraz większym zapalem Himmler – będziemy prowadzili resocjalizację całych populacji, wychowując je przez pracę. Dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet będą się przyczyniać do budowy naszej wielkiej Rzeszy. Tu marzenie naszego Führera nabierze prawdziwego rozmachu.

– To projekt na miarę najszlachetniejszych ambicji – przyznał Hess – czegoś jednak nie rozumiem. Jakimi więźniami chcesz zapełnić ten obóz? Nie Polakami, bo jeśli będziesz ich zużywał w takim tempie, to wkrótce ich zabraknie. Francuzami? Zbyt ryzykowne, zagrażałoby polityce współpracy z rządem Pétaina.

– Zgaduj dalej – odparł Himmler z uśmiechem na twarzy.

– Więźniami politycznymi? Wszystkich już zamknęliśmy albo zlikwidowali. Żydami?

– Jeszcze nie – oznajmił Reichsführer – ale przyjdzie na to czas. Doprawdy, Rudolfie, brakuje ci dzisiaj wyobraźni!

Hess odprawił architekta skinieniem ręki. Nie znosił mieć świadków swojej bezradności. Ból głowy znów się pojawił, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Po raz kolejny słyszał głos Baldura, swojego przewodnika duchowego:

– Zapytaj o Rosję! Jeżeli tego nie zrobisz, odmroziś uszy.

Twarz Hessa pojaśniała: a zatem taki był sens przestrogi, której mu ostatnio udzielił.

– Dobrze, Baldurze. Zrozumiałem.

– I nie dawaj się. Już wiesz, jaką decyzję musisz podjąć.

– Wszystko w porządku, Rudolfie?

Głos Himmlera przerwał mu dialog wewnętrzny.

– Przepraszam... To tylko zawrót głowy. Mów, Heinrichu, nie każ mi dłużej czekać.

– Rosjanami! Pokonamy Rosjan. Raz na zawsze.

Hess zwrócił na niego oczy pełne niepokoju.

– Jak to, chcesz zaatakować Związek Radziecki? Ale przecież doskonale wiesz, że nie jesteśmy jeszcze gotowi. Pamiętasz, co spotkało Napoleona. Najechać wschód to jak rzucić się w przepaść głową w dół, jak skoczyć na złączone nogi do studni, to... samobójstwo. Trzeba wynegocjować układ z Anglią, to jedyna możliwość, jeśli chcemy potem pokonać Stalina.

– Czas negocjacji już minął, Rudolfie, nadszedł czas wojny totalnej. Teraz trzeba skończyć ze Słowianami. Właśnie dlatego buduję ten obóz. Już w pierwszych tygodniach błyskawicznego ataku będziemy mieli całe stada rosyjskich więźniów, że nie wspomnę o żydowskich pasożytach pleniących się na Ukrainie. Birkenau rozwiąże ten problem.

Hess pokręcił głową, nie wierząc własnym uszom. Powtórzył:

– Atak na Rosję to szaleństwo.

– Szaleństwo dla zwykłych ludzi, zgadzam się. Ale nie dla nas.

Hess cofnął się o krok.

– Lada moment w Montségur zdobędziemy drugie insygnium.

Rozległ się strzał. Jeden ze strażników pogonił nim ciągnącą wózek grupę Polaków, którzy resztkami sił brnęli po błocie, grzęznąc w nim.

– Kiedy? – krzyknął Hess z niecierpliwością, którą Himmler wziął za entuzjazm.

– Jeszcze najwyżej kilka dni: swastyka znajdzie się w Wewelsburgu. Teraz rozumiesz, dlaczego zaatakujemy Związek Radziecki... I pokonamy go...

Reichsführer zamilkł, zapatrzony w błotnistą polanę, w powalone drzewa, więźniów krążących jak zjawy, ale niczego już nie widział. Patrzył na swoje królestwo, które wyrastało z ziemi, na imperium o korzeniach żywiących się krwią, mające uczynić go najpotężniejszym człowiekiem w Rzeszy.

Baldur naprawdę miał rację.

W przeciwieństwie do Himmlera czy Göringa, z których jeden władał SS, a drugi siłami powietrznymi, on, Hess, zawdzięczał swoją pozycję wyłącznie przyjaźni Hitlera.

Odkąd Niemcy prowadziły wojnę, Führer potrzebował generałów, inżynierów, taktyków, techników... Droga do zdobycia władzy dobiegła końca, zaczął się podbój świata, a Hess nie miał w nim swego udziału.

Ale to się wkrótce zmieni.

Błyskawicznie podjął decyzję: to on, a nie Himmler, odmieni bieg historii.

Teren prac archeologicznych

Montségur

Maj 1941

Na zamkowym dziedzińcu odgrodzono strefę, w której grupa archeologów usuwała gruz, odkładając go kawałek po kawałku do taczek ostrożnie prowadzonych przez żołnierzy. U stóp donżonu inna ekipa siedziała przy długich stołach, uważnie oglądając każdy fragment, i segregowała znaleziska według wielkości i kształtu. Ta mrówcza praca irytowała Weistorta. Zapowiedział już Reichsführerowi rychłe odnalezienie skrytki z Montségur i chciał dotrzymać słowa. W towarzystwie Tristana krążył po terenie, smagając pejcem skórzane buty i sypiąc pytaniami.

– Warstwa archeologiczna, którą przeszukujemy – wyjaśniała Erika – odpowiada usytuowaniu zburzonych murów donżonu, ale spadając, rozsypały się po bardzo dużym obszarze. Zbyt dużym.

– To kolejny powód, żeby wprowadzić żołnierzy – powiedział dobitnie Oberführer – i jak najszybciej usunąć całe to rumowisko. Zyskamy na czasie. Berlin oczekuje na jak najszybsze wyniki.

– I właśnie to próbuję osiągnąć, zawężając pole poszukiwań. Chcę zyskać na czasie.

– Niby jak? – rzucił drwiąco Weistort. – Przeczესując całe rumowisko?

– Odnajdując na przykład narożne kamienie, co pozwoli nam odtworzyć na ziemi obrys wieży.

Weistort miał ochotę skwitować to wzruszeniem ramion, ale się powstrzymał. Essling jako jedyna się domyśliła, gdzie mogła się znajdować podziemna kryjówka, więc otwarty konflikt z nią nie leżał w jego interesie. Lepiej, aby czuła, że ma jego wsparcie, jednak pod warunkiem, że zdoła mieć ją na oku. Ta dziewczyna z rodziny, która stała na srebrnej nodze arystokracji i złotej nodze przemysłowców, opowiadała się za nazizmem zaledwie kącikiem perłowych usteczek, był tego pewien. W dodatku dowiedział się, że została zaproszona na ostatnie polowanie grubego Göringa do Carinhallu. Szczególny przywilej dla kobiety. Ogr nikogo nie zapraszał bez powodu.

– Ufam, że dobrze wykona pani to zadanie, Fräulein von Essling, jednak zdaje sobie pani sprawę z jego wagi... – Wskazał Tristana i dodał: – Zostawiam pani mojego ordynansa, będzie naszym łącznikiem.

Dwa lata więzienia nauczyły Francuza panowania nad reakcjami. Odwrócił się do archeolożki i strzelił obcasami, nie posunął się jednak do wykonania – co robili wszyscy esesmani – hitlerowskiego gestu i wypowiedzenia słów: Heil Hitler. Erika uniosła brew, przyglądając się Tristanowi, jakby właśnie znalazła go podczas swych poszukiwań, a potem skinęła, zapraszając, by usiadł obok niej. W skali od 1 do 10 przyznała mi 2, pomyślał Tristan, patrząc, jak bez wahania segreguje przynieszone szczątki budowli.

– Zawsze tak szybko ocenia pani mężczyzn?

– Czasem jeszcze szybciej.

Związała włosy w koński ogon, który jasnymi puklami opadał jej na szyję. Kiedy odrzucała na bok kolejny kamień, blask tych włosów rozświetlał oczy Francuza. Ręka archeolog zastygła nagle na odłamku, którego powierzchnia była gładza, a kąt prosty zachowany.

– Zewnętrzną stronę wyrównano dłutem. Ślady są widoczne. A więc znaleźliśmy fragment kamienia narożnego. Trzeba koniecznie odnaleźć pozostałe odłamki, żeby go odtworzyć. Chodźmy.

Von Essling poszła w stronę odgrodzonego obszaru, gdzie pracował wraz z kolegami Goebbelschen.

– Ta strefa jest podzielona na cztery kwadraty, a każdy z nich przeszukuje inna grupa archeologów. Na każdym znalezionym fragmencie wypisują kod, który umożliwi ustalenie miejsca znaleziska. A ten kawałek znajdował się...

Zwróciła się w stronę pola północno-wschodniego i uniosła kamień w górę. Jeden z archeologów otarł spocone czoło i powiedział:

– Ja go znalazłem.

– Gdzie dokładnie?

– Tu.

Miejsce znaleziska było usytuowane niemal w środku strefy.

– Od tej chwili będziecie przeszukiwać tylko pas szerokości dwóch metrów wzdłuż osi głównej. Pracują dwie grupy, zbliżając się do siebie centymetr po centymetrze. Zrozumiano? Nie wolno wam niczego przeoczyć. – Zwróciła się do Tristana: – Proszę iść do przełożonego i powiedzieć mu, że przyjdę za dwie godziny. A co do pana, to proszę nie wracać do tego czasu, lubię pracować bez zwierząt do towarzystwa.

Już miała odejść, lecz zatrzymał ją jego głos:

– Zwierzęta do towarzystwa czasem mają dobry węch. Zauważyła pani kierunek śladów obróbki na powierzchni kamieni?

– Jakie to ma znaczenie?

– Ślady dłuta biegną wszystkie od lewej w prawą. Robotnik, który docinał ten kamień, był leworęczny. To jak podpis. I chyba może się przydać, kiedy szuka się konkretnego kamienia

wśród setek innych?

– Jest pan archeologiem?

– Nie, ale uwielbiałem dostawać układanki na Gwiazdkę.

Von Essling cofnęła się o kilka kroków, jakby chciała go sfotografować.

– Nie wiedziałam, że impertynencja należy do zalet SS.

– Przyznaję, nie jest to zaleta dominująca w tej organizacji.

– Nie użył pan słowa „zakon”, jak mówią pana koledzy.

Tristan uznał, że rozmowa przybiera ryzykowny kierunek. Lepiej było się wycofać.

– Prowadziła pani już kiedyś poszukiwania podziemi?

– Owszem, ale w większości były to albo zbiorniki na wodę z systemem zbierania wody deszczowej, albo magazyny żywności. Architektonicznie nie są zbyt ciekawe, wręcz surowe, o elementarnym przeznaczeniu... Nic godnego uwagi.

– Fräulein von Essling! – krzyknął ktoś. – Kolejne fragmenty... Znaleźliśmy je.

Natychmiast poszła w stronę wołającego, a Tristan podążył za nią. Goebbelschen wprawną ręką składał szczątki. Ślady dłuta biegły z lewej strony w prawą.

– Kamień musiał się roztrzaskać, kiedy wieża runęła.

Erika kreśliła wzrokiem linię między miejscem, w którym znaleziono odłamki, a podstawą muru.

– Doskonale. Teraz możemy podzielić teren poszukiwań na pół. – I zwracając się do Francuza, dodała: – Niech pan poprosi Weistorta o przysłanie żołnierzy. Teraz oczyszczamy wszystko aż do skał.

Mimo że ten wiosenny dzień był upalny, żołnierze nosili bluzy mundurowe. Prawdopodobnie dlatego, że Weistort nie spuszczał ich z oka. Na całej długości murów dokładnie odsłaniano ich bazę. Idealnie płaska, błyszcząca jak zwierciadło. Była wręcz zbyt doskonała, nigdzie bowiem nie widać było otworu, kłapy czy stopni schodów. Tristana ogarniały już wątpliwości. Podszedł do von Essling, która nadzorowała prace przy murach. Przyglądała się starym otworom strzelniczym, z których jeden z żołnierzy mozolnie wyciągał kamienie zasłaniające szczeliny. Przez jeden z tych otworów przedostawało się światło, które padało na ziemię. Po siedmiuset latach znów przechodziło przez mury zamku.

– Połowa powierzchni została oczyszczona do podłoża, więc szansa na znalezienie wejścia spadła o połowę – stwierdził Francuz.

– Głos przełożonego znów tu jest? – odcięła się Erika, dyskretnie zerkając na Weistorta.

– A pani idzie ścieżką wiodącą wprost do celu, prawda?

– Patrzcie!

Wyłonił się szeroki mur. Erika już triumfowała, ale pułkownik wylał jej kubel zimnej wody na głowę:

– Przy tej długości muru dotarcie do fundamentów zajmie nam wiele godzin.

– Nie ma innej możliwości – odparła kategorycznie młoda kobieta. – Wydaje się panu, że grób Tutenchamona odkryto w jedno przedpołudnie?

Tymczasem Tristan uważnie przyglądał się odsłoniętym otworom strzelniczym.

– Czy nic tu państwa nie uderza? – powiedział. – Przecież te otwory strzelnicze są różnej wielkości.

– Środkowy! Jest wyraźnie krótszy od pozostałych – przyznał Goebbelschen.

– Z jakichś względów użytkowych? – zapytał Francuz.

Von Essling pokręciła głową.

– Na pewno nie.

Było południe. Słońce padało prosto na zamek, rozświetlając ciemne zwykle mury, w których oblężeni przez wiele miesięcy opierali się nieustannym atakom przypuszczanym z głębi doliny. Nagle Weistort zwrócił się do podoficera:

– Biblia, szybko.

Podczas gdy żołnierz biegł w stronę namiotów, wszystkie spojrzenia skupiły się na Oberführerze.

– Katarzy mieli swą ulubioną ewangelię i jeśli się nie mylę...

Szybkie dudnienie butów na kamiennym podłożu poprzedziło moment, gdy podano mu księgę oprawioną w czarną skórę. Przez chwilę słychać było tylko szelest kartek przerzucanych ręką w skórzanej rękawiczce, potem wyniosły głos Weistorta rozdarł ciszę:

– „Światłość w ciemności świeci...”

Wszyscy odwrócili się w stronę środkowego otworu strzelniczego, przez który jasny promień wyciągał się na ziemi jak zastygły w bezruchu wąż.

– „...i ciemność jej nie ogarnęła”.

Tristan znów spojrzał na ciemną masę muru i wskazał palcem punkt na linii prostopadłej do miejsca, w którym światło gasło.

– Tam trzeba kopać.

Żeby uniknąć ryzyka przecieku informacji, Weistort kazał odejść wszystkim archeologom, którzy aż do wieczora mieli przebywać na ośrodku. Zostali tylko Goebbelschen i Tristan, którzy pod kierunkiem von Essling rozbierali kawałek muru, prawdopodobnie kryjący wejście do podziemi. Uzbrojeni w dłuta, usuwali zaprawę murarską, a potem wyjmowali kamień po kamieniu. W tym czasie Weistort krążył w pobliżu niczym drapieżnik wokół ofiary.

– Jest – odezwała się wreszcie Erika.

Pojawiła się warstwa kamieni tworzących sklepienie. Przylegające do siebie ścianami podłużnymi, tworzyły łuk, który ginął w fundamentach. Zaprawa była tu jakby cieńsza. Z dłutem w ręku Goebbelschen spojrzał przez zakurzone okulary na Erikę, która żywo pokiwała głową. Pierwsze uderzenie metalu w spoinę. Tristan wstał, żeby nie skaleczyły go

odłamki kamienia. Na twarzach wszystkich obecnych malowało się pełne napięcia wyczekiwanie.

Odszedł, by usiąść na stosie kamieni. Myślał o nocnym ataku na Montserrat, o Lucii – co się z nią dzieje? – o miesiącach uwięzienia w Montjuic, o upozorowanej śmierci pod murami Castellón... Tyle zdarzeń na pozór nieprzewidywalnych, a jednak prowadzących go do tego miejsca.

– Stop!

Jeden z kamieni runął w dół i – sądząc po odgłosie – odbił się od kamiennej ściany.

– A jeśli to tylko studnia? – zastanawiał się skłonny do pesymizmu Goebbelschen.

– Wkrótce się tego dowiemy – powiedział Weistort. – Proszę zepchnąć wszystkie kamienie, żeby otworzyć przejście.

Oburzona Erika zaprotestowała:

– Niszcząc wejście, narażamy się na utratę cennych informacji, które pomogą zrozumieć to miejsce...

– Cenne tutaj jest to, co leży tam, w dole, Fräulein von Essling.

Lodowaty powiew wydobywał się z przejścia, które powiększał Goebbelschen.

– Kto powiedział, że w piekle jest gorąco? – zadzwiał Tristan, dołączając do nich.

Erika opuściła lampę naftową, w której świetle ujrzeli murowane sklepienie ledwie utrzymujące się w równowadze.

– Wejście było wówczas większe – stwierdził Goebbelschen. – Mogło pomieścić kilka osób. Musieli wybudować ten maskujący strop podczas oblężenia zamku.

– W takim razie proszę go wyburzyć – rozkazał Weistort.

– To nie będzie takie trudne – oznajmił Goebbelschen. – Jest już mocno spękany, wystarczy usunąć właściwy kamień.

Pochylił się i kilka razy mocno uderzył dłutem w brzegi kamienia, który już ledwie się trzymał. Zdążył odskoczyć w ostatniej chwili: strop runął, odsłaniając wielką dziurę. Erika pochyliła się nad nią. Nie potrzebowała już lampy. Światło dzienne wpadało przez otwór.

– Tu są schody!

Także Tristan podszedł do dziury. Dolne stopnie, zasypane gruzem, prowadziły do szerokiego tunelu, który biegł pod dziedzińcem. Tristan, jak wówczas, gdy odkrywał nieznany obraz, poczuł przypływ emocji.

– I pomyśleć, że ponad siedemset lat temu szli tędy ludzie...

Weistort położył mu rękę na ramieniu.

– Tak, a teraz zrobi to pan.

Montségur

Maj 1941

Weistort ustawił przed zejściem na schody dwóch wartowników i rozkazał:

– Nikogo tu nie wpuszczać bez mojego zezwolenia!

Wyposażony w latarkę Kreistel, większą i silniejszą od standardowego modelu używanego w armii niemieckiej, przystanął przed wejściem.

Snop żółtego światła rozpraszał mrok. Weistort, na którego twarzy malowało się uniesienie, zwrócił się do Eriki i Tristana:

– Czy czujecie tę magię? Za chwilę wkroczymy na obszar, którego nikt od stuleci nie pogwałcił. Jak lord Carnavon i Howard Carter, kiedy byli o krok od odkrycia grobu Tutenchamona.

Ostrożnie schodził po pierwszych stopniach. Obcasy jego butów stukały na kamieniach. Francuz i Niemka szli w tym samym tempie. Tristan musnął palcami ścianę – była wilgotna, niemal śliska.

– Każdy archeolog odczuwa takie podniecenie, kiedy jest bliski dokonania ważnego odkrycia, i wcale nie musi to być coś na miarę grobu Tutenchamona – powiedziała Erika, a jej słowa odbiły się echem od kamiennych ścian.

– To coś więcej. Nieporównanie więcej, moja droga – uśmiechnął się pułkownik. – Nie znajdziemy tu skarbu czy jakichś zabytków. Nie, my przeżyjemy misterium. Wejdziemy w krąg niewypowiedzianej tajemnicy. O ile oczywiście to, co tu razem odkrywamy, przypomina to, co widziałem w Tybecie.

Tristan milczał. Doskonale rozumiał, co czuje esesman. Otoczyła ich swoista aura nierealności. Coś pozostało w trzewiach zamku. Coś, co wyłaniało się z otchłani czasu i tylko czekało na ich przybycie, żeby ożyć. To po prostu wisiało w powietrzu.

Sekundy płynęły, a oni szli po schodach, które nagle się skończyły. W słabym świetle zobaczyli dość szeroki korytarz. W głębi, w odległości najwyżej dwudziestu metrów, znajdowało się kolejne zwieńczone łukiem przejście.

Weistort ostrożnie szedł korytarzem. Wiedział z doświadczenia, że podziemny świat często kryje pułapki: zapadnie pod nogami, opadające kraty najeżone kolcami ostrymi jak giloty... Choć podekscytowany odkryciem, nie przestał być czujny. Pragnął być tym, który przyniesie Reichsführerowi insygnia. Najchętniej – w jednym kawałku. Erika nie

podzielała jego obaw, deptała esesmanowi po piętach, chcąc jak najszybciej dotrzeć do sanktuarium, którego wrota odnalazła.

Cała trójka stanęła w progu nowego pasażu. Zachwycił ich widok, który ujrzeli w świetle latarki: groty mieniące się tysiącami stalaktytów. Weistort nie mógł się powstrzymać – poruszał latarką, a światło tańczyło po splotach kamieni. Perliste krople wody milionami śaczyły się ze skalnego lasu, migocząc i zmieniając barwy.

Weszli do środka oczarowani widowiskiem. Głos Weistorta rozbrzmiał w naturalnej katedrze:

– Cudowne... Woda musi się tu przedostawać od milionów lat.

– Pańskie nazwisko zapisze się w annałach speleologii – zażartował Tristan.

– Tam, po prawej, pod ścianą...! – rzuciła drżącym głosem Erika.

Snop światła przesunął się w kierunku wskazanym przez nią.

Dwa szkielety siedziały po obu stronach kwadratowej bramy wykutej w skale. Czaszki zastygły w potwornym grymasie, czarne oczodoły wrogo wpatrywały się w intruzów.

Weistort z satysfakcją przyglądał się temu widokowi.

– Tak, naprawdę jesteśmy już niedaleko od celu. W Tybecie także widziałem szkielety, które wskazywały drogę do sanktuarium. To z pewnością ludzie złożeni w ofierze. Była to powszechna praktyka dawnych cywilizacji. Uważano, że dusza zmarłego nie dopuści, by istota żywa wtargnęła w święte miejsce.

Wiązka światła wśliznęła się w otwór.

– Kolejny tunel – powiedziała Erika.

– Nie! – odezwał się Tristan. – To wygląda raczej na zamkniętą salę. Na suficie są bale. Chwileczkę... Słyszycie ten łoskot?

Spojrzeni w dół. Odgłos dudnienia i szum dobiegał spod ich stóp przez starą, pokrytą rdzą kratę.

– Podziemna rzeka. Idziemy po rozszalałej wodzie – niemal krzyknęła Erika.

Ale Tristan już nie słuchał. Zatrzymał się.

W głębi groty, około dziesięciu metrów od nich, w świetle latarki pojawił się posąg. Stał na wprost nich niczym skamieniała zjawa.

– Identyczny jak ten w Tybecie – powiedział Weistort.

Mężczyzna o grubo ciosanych rysach wyłaniał się ze skały, jakby był w nią wmurowany od pasa w dół. Jego wykrzywiona z bólu twarz zwracała się ku nim w niemym krzyku.

Obie ręce wyciągał przed siebie, jak gdyby błagał. Dłonie wzniesione ku górze podpierały dwie swastyki.

Zbliżali się do rzeźby ostrożnie.

Z bliska oba artefakty błyszcząły niemal fosforyzującą czerwienią w odcieniu rubinu.

Ku swemu zdziwieniu Tristan poczuł się nieswojo, patrząc na wykrzywioną twarz posągu. Miał wrażenie, że ten kamienny człowiek daje przybyszom zatrute prezenty. Weistort przerwał grobową ciszę:

– Ta rzeźba pochodzi z czasów znacznie wcześniejszych od epoki katarów. Prawdopodobnie liczy sobie tysiące lat, jednak to ta sama cywilizacja stworzyła ją i tę znajdującą się na drugim końcu świata.

– To wyjaśnia, dlaczego osiedlili się na Montségur, uważanej za miejsce święte – dodała Erika.

Szef Ahnenerbe podszedł do prastarej rzeźby i dotknął kamienia, jakby chciał się upewnić, czy jest prawdziwy. Potem jego wzrok skupił się na swastykach.

– Dwie czerwone swastyki... – powiedział jakby stropiony. – Dziwne, przecież w Thule Borealis była mowa tylko o jednej.

– Ma pan przy sobie tę książkę? – spytał Tristan.

– Nie, została w Niemczech, w siedzibie Ahnenerbe.

Weistort zauważył zaciekawione spojrzenie Francuza i dodał rozdrażnionym tonem:

– Zresztą to nie pańska sprawa.

– To najzwyczajniej niewiarygodne... – szepnęła von Essling, która przyglądała się posągowi.

Tristan zerknął kątem oka na Erikę. Wyniosła mina Niemki zniknęła. Z jej twarzy wyzierała fascynacja. Francuz skupił wzrok na ścianie za rzeźbą. Zmarszczył brwi i podszedł do skały.

– Panie Oberführer, może pan poświecić w tę stronę?

Snop światła przesunął się na Tristana, odsłaniając wykute w kamieniu inskrypcje.



Croiz rog



Crotz rog

Salut cap sinistra

Przesunął ręką po literach, które wyglądały, jakby wypisano je wczoraj.

– To nie łacina i nie starofrancuski – zauważyła Erika, stając obok Tristana.

– To na pewno oksytański – powiedział. – W tamtych czasach mówiło się tu po oksytańsku.

– Nie traćcie czasu na rozważania lingwistyczne – przerwał esesman. – Każda chwila jest cenna.

Weistort otworzył torbę. Wyjął z niej parę rękawic przypominających używane w hutach szkła do ochrony przed ogniem.

– Ku chwale Rzeszy...

Kiedy sięgał po pierwszą swastykę, Tristan krzyknął:

– Nie!

Pułkownik odwrócił się i spojrzał na niego z wściekłością.

– Oszalał pan?!

Tristan wyciągnął palec wskazujący w kierunku inskrypcji.

– To cuchnie pułapką.

– Niech pan nie plecie głupstw. W Tybecie niczego takiego nie było.

Także Erika zwróciła się do Weistorta:

– On ma rację. Niech się pan powstrzyma.

– Proszę poświecić latarką za rzeźbą.

W świetle ujrzeli dwa żelazne łańcuchy, które wychodziły ze sklepienia i niknęły tam, gdzie rzeźba łączyła się ze skałą.

– A teraz proszę poświecić z przodu.

Tristan przykucnął i dotknął palcem kamiennego ramienia.

– Tak myślałem. Wygląda na to, że we wnętrzu tej rzeźby jest ukryty mechanizm. Ramiona są ruchome. Myślę, że zostały połączone z łańcuchami. – Uniósł głowę i omiół spojrzeniem kamienny strop. Na całej jego powierzchni ułożone były krzyżujące się belki. Znów skupił się na inskrypcji, wodząc po niej czubkami palców. – Idę o zakład, że jeżeli wyjmie pan niewłaściwy krzyż, ten strop zwali się na nas i skończymy pod tonami kamieni.

– W takim razie trzeba odszyfrować napis – stwierdził Weistort.

– Cóż za przenikliwość! – zadrzwił Tristan. – Problem w tym, że ten napis to z pewnością średniowieczny oksytański. Zapomniany język, którego nikt już nie zna. Potrzebna nam pomoc.

– Ma pan kogoś na myśli?

– Córkę właściciela zamku. Laure d'Estillac.

Dwór d'Estillac

Laure głęboko westchnęła, patrząc na stertę desek zalegających pod drzwiami, które wiodły na strych w południowym skrzydle domu. Dwór popadał w ruinę, a André, ostatni służący, jaki im został, miał tak silny reumatyzm, że nie mógłby jej nawet pomóc. Już od tygodni obiecywała sobie, że zniesie maszynę do szycia swojej matki, by uszyć sobie sukienkę z prawdziwego zdarzenia.

Właścicielka sklepu z materiałami w zamian za dwie dzielne kury nioski z dworskiego kurnika dała jej półtora kuponu wzorzystego materiału „najnowszej paryskiej mody”. Przy cenie stu dwunastu franków za kurę sklepikarka zrobiła świetny interes, ale Laure nie mogła dłużej czekać. Ilekroć przechodziła przed wystawą sklepu, zawsze przed oczyma jakby cudem stawała jej sukienka. Po matce odziedziczyła dobre geny i czarodziejskie palce.

Po tej wymianie przez trzy dni gryzły ją wyrzuty sumienia, jednak dworski kurnik był wciąż zasobny, bo nikt, nawet Niemcy, nie ośmielił się przeprowadzić rekwizycji u d’Estillaców. Poza tym wątpiła, żeby ojciec albo André kiedykolwiek dokładnie policzyli drób.

Przesuwała deskę po desce, chcąc jak najszybciej odnaleźć cenny skarb. Przetrzaśnięła dwór od piwnicy po dach i już tylko to miejsce mogło go kryć. Ułożyła deski pod oknem i odruchowo spojrzała na pog. Na myśl o tym, że szkopy demolują najpiękniejszą starą twierdzę, dziś tak bezbronną, przebiegł ją dreszcz.

Ale jeszcze bardziej złościła się na siebie. Twarz tajemniczego Francuza, który przyszedł ją ostrzec, tego Tristana, zbyt często stawała jej przed oczyma. Roztaczał trucicielski czar, zarazem groźny i ironiczny. Odkąd osiągnęła wiek, w którym zaczyna się zwracać uwagę na płęć przeciwną, nigdy nie spotkała takiego mężczyzny.

Nie rób z siebie głupiej gęsi.

Od takich wątpliwych osobników trzeba trzymać się jak najdalej. A w dodatku ten typek wysługiwał się Niemcom.

Laure oderwała spojrzenie od skalnej ostrogi i zwróciła je na zamknięte drzwi. Wyciągnęła z kieszeni spodni masywny klucz i wsunęła go w dziurkę. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu zawiasy były naoliwione, a drzwi otwarły się, ledwie skrzypiąc. Woń terpentyny i wosku unosiła się w powietrzu. Przekręciła włącznik – żarówka rozbłysła i rozproszyła mrok.

Laure ze zdumieniem stwierdziła, że strych jest starannie posprzątany. Duża szafa z minionego stulecia królowała przy kredensie okrytym pokrowcem z beżowej wełny. Na środku pomieszczenia leżały rozmaite książki, drobne uszkodzone meble, fajansowe naczynia i garnki, których już nie używano, lampy bez abażurów, taboret i duża puszka po farbie. Laure przeszła kilka kroków, przymykając oczy. Zapach wosku i olejku terpentynowego wypełnił jej nozdrza. Wspomnienie radosnego dzieciństwa. Obraz matki ratującej meble wyszperane na okolicznych targowiskach.

Otworzyła oczy i wolno ogarnęła nimi pomieszczenie, potem skupiła się na części poddasza na lewo od siebie. Uśmiechnęła się.

Stara singerka była tam, tuż pod zasłoniętym lufcikiem, wciśnięta między dwa biurka z połamanymi nogami. Koło z boku, blat ze złocistego orzecha, pas transmisyjny, pedał... Cenna maszyna stała tu sobie spokojnie. Z kąta wyglądała inna znajoma sylwetka – obszyty płótnem manekin, którego matka używała, dopasowując kreacje.

Laure usiadła przy maszynie, musnęła palcem igłę. Wszystko było na miejscu. Odblokowała mechanizm i wcisnęła pedał.

Ale nic się nie stało. Zaniepokojona spróbowała jeszcze raz, jednak mechanizm nawet nie drgnął. Starła się na siłę obrócić koło, ale singerka stawiała opór.

– No nie! Przecież nie zostawisz mnie na lodzie z tym materiałem! – krzyknęła rozzłoszczona.

Pochyliła się i wsunęła rękę pod osłonę, żeby otworzyć pokrywę ochronną. Jej palce nerwowo macały mechanizm i dopiero po dobrej minucie zdołała się uporać z zamkiem bloku mechanicznego. Zwolniona sprężyna otworzyła w końcu skrzynkę.

Laure osłupiała. Tam, gdzie powinien znajdować się mechanizm, znalazła drewnianą skrzynkę, która zajmowała całą opróżnioną przestrzeń. Zaintrygowana szybko ją otworzyła. Wewnątrz ujrzała płataninę przewodów elektrycznych i szpul, a także małe słuchawki. Wyciągnęła urządzenie, żeby obejrzeć je ze wszystkich stron.

– Obawiam się, że nieprędko będziesz mogła szyć na tej maszynie.

Drgnęła i gwałtownie się odwróciła.

Znajomy męski głos dobiegał od drzwi. Zobaczyła przygarbioną sylwetkę ojca. Zbliżał się wolnym krokiem, a kiedy dzieliły ich ledwie dwa metry, zatrzymał się i splótł ręce na piersi. Jak wówczas, kiedy karcił ją jako małą dziewczynkę.

– Zawsze byłaś za wścibska.

Młoda kobieta uniosła dźwignię aparatu.

– Powiedz, to jest to, co myślę?

– Laure, nie zamierzam ci się tłumaczyć. Wyjdź stąd.

Pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Radionadajnik w maszynie do szycia mojej matki to coś, co wymaga pewnych wyjaśnień.

– Nie powinnaś była się o tym dowiedzieć. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

– Do czego ci jest potrzebny?

Twarz starego człowieka rysowała się w świetle żarówki spod sufitu.

– To zapasowy aparat, na wypadek gdyby ukryty w bibliotece się zepsuł.

Laure ze zdumienia wytrzeszczyła oczy.

– Myślałam, że jesteś zwolennikiem...

– Marszałka? Początkowo byłem, szczerze wierzyłem, że on jeden może uchronić Francję przed nazistami. Ale jesienią ubiegłego roku zrozumiałem, że jestem w błędzie.

Wstała z krzesła i podeszła do niego. Na jej twarzy malowała się powaga.

– O czym mówisz, tato?

– O sytuacji Żydów, o podziale naszego kraju na dwa... Pétain zdradził Francję. Dlatego odświeżyłem kontakty z pewnymi środowiskami.

– Z jakimi środowiskami?

Wziął córkę za rękę i wyprowadził ze strychu. Kiedy byli już na zewnątrz, zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni.

– Zapominasz, że twój stary ojciec był pułkownikiem armii francuskiej – powiedział. – Kieruję siatką w południowej połowie departamentu. A teraz zapomnij o tym, co tu zobaczyłaś. Wkrótce zaczniesz się tu dziać tyle niebezpiecznych rzeczy, że lepiej, żebyś nie była w to zamieszana.

– Masz na myśli te poszukiwania w zamku?

– Tak. Spakuj walizkę i jedź do ciotki do Carcassonne. Posiedzisz tam, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Ogrodnik zawiezie cię na dworzec we Foix.

Pokręciła głową.

– Nie, tato. Jestem z ciebie taka dumna. Jak mogę ci pomóc?

Hrabia objął córkę.

– Mówię ci, wyjedź. Jesteś młoda, masz przed sobą przyszłość.

Odsunęła się.

– Moja przyszłość to wyłącznie moja sprawa.

Gdy otwierał usta, aby odpowiedzieć, za oknem rozległ się warkot silnika ciężarówki. Stał przy oknie i twarz mu pobladła.

– Niemcy!

Usłyszeli pukanie do drzwi wejściowych. Ojciec i córka popatrzyli na siebie oczyma pełnymi strachu.

– Pójdę zobaczyć, czego chcą. Ty wracaj do swojego pokoju.

– Nie ma mowy.

Spiorunował ją wzrokiem. Wykapana matka. Równie uparta jak tamta. Może nawet bardziej.

– Proszę pana!

Odwrócili głowy ku schodom, z których dobiegał rwący się głos starego służącego.

D'Estillac przechylił się przez poręcz i zobaczył zroszoną potem twarz służącego, który stał dwa piętra niżej.

– Żołnierze... Chcą się zobaczyć z panią Laure. Natychmiast.

*Morze Północne**10 maja 1941*

Głuchy turkot śmigieł niósł się po skrzydłach, przejmował kadłub, wciskał się do kokpitu i brzęczał w uszach Rudolfa Hessa. Te nieustanne drgania nie drażniły go, wręcz przeciwnie. Jak na każdego dobrego pilota ten agresywny pomruk silników działał nań uspokajająco, dodawał mu otuchy. Hess był w swoim żywiole, sam nad powierzchnią morza, jak jeden z półbogów z nordyckich sag, wzbijających się w górę i lecących wysoko, w błękit nieba.

Jeżeli powiedzie się misja, którą sobie wyznaczył, on także stanie się nieśmiertelnym herosem Niemiec, jednym z nowych paladynów Rzeszy, człowiekiem, którego legenda dorówna legendzie o rycerzach Okrągłego Stołu. Uśmiechnął się na tę myśl. On, Rudolf Hess, dokona wielkiego czynu, dzięki czemu odzyska pełne zaufanie Führera. Uśmiech przerodził się w śmiech. Tak, już niedługo wszyscy będą musieli uznać jego wyższość. Zgodnie z obietnicą Baldura. Tego głosu w jego głowie doradzającego mu, jaką drogą podążać w życiu.

Hess zerknął na wskaźnik paliwa: zużycie było zgodne z przewidywaniami. Poza tym kazał zamontować pod skrzydłami messerschmitta 110 dwa dodatkowe zbiorniki, by mieć pewność, że dotrze do celu.

Od startu w Bawarii lot przebiegał zgodnie z planem, bez żadnych przeszkód. Hess najpierw leciał śladem bombowców, które miały siać śmierć w Londynie. Zachowując bezpieczną odległość, podążał tropem czarnych heinkli i stukasów, które teraz dotarły już do angielskiego wybrzeża. Zwiększył prędkość, by do nich dołączyć, wtopić się w formację i dzięki temu uniknąć wykrycia przez radary. Osamotniony samolot był na wrogim niebie kuszącym celem dla spitfire'ów, brytyjskich myśliwców, których piloci wciąż czekali na okazję, by dodać kolejne trofeum do listy zestrzeleń.

Nie zamierzał robić im tej przyjemności.

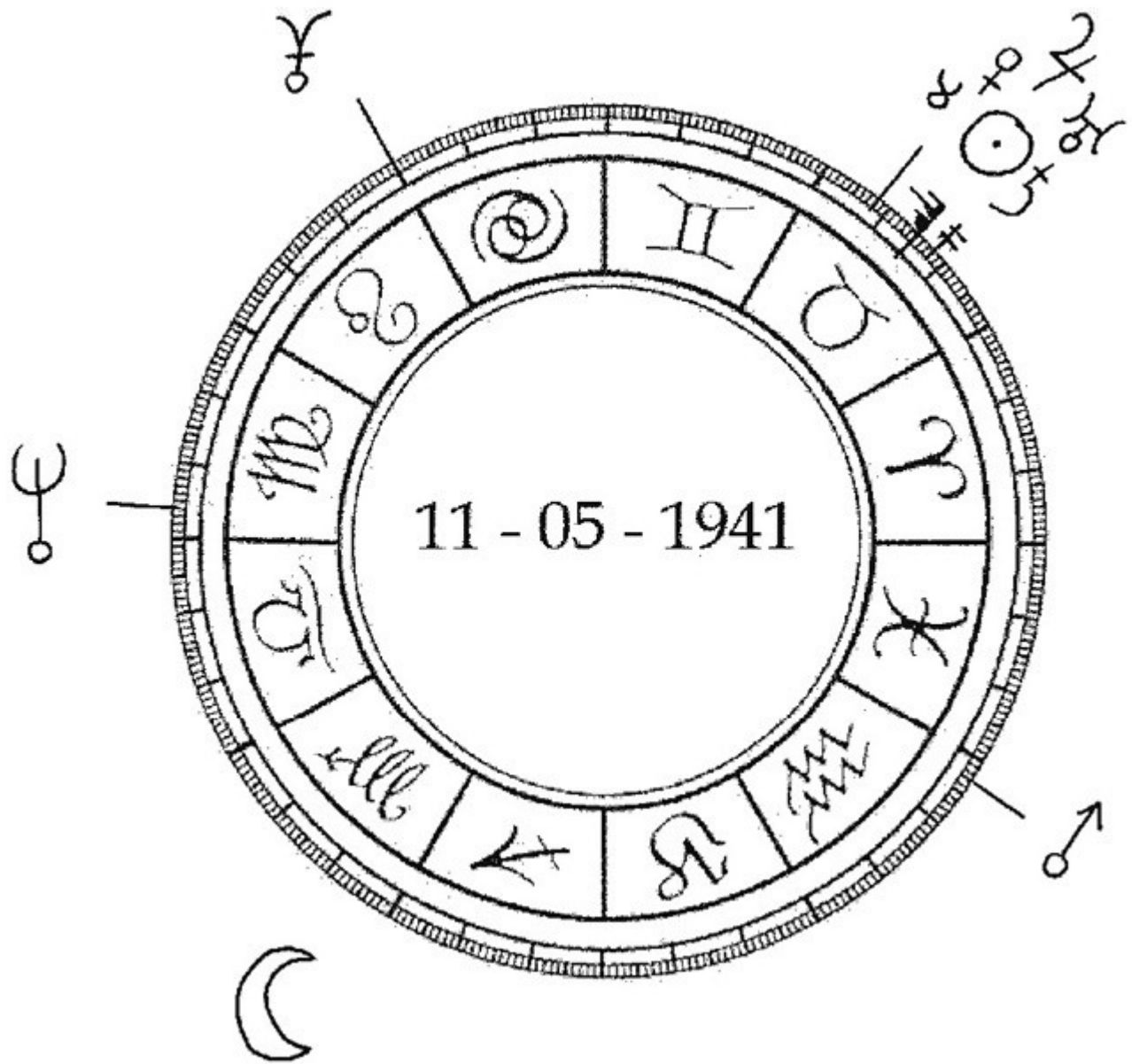
Morze Północne zostało w tyle, teraz pod skrzydłami samolotu rozciągała się pagórkowata wieś i tak będzie aż do przedmieść Londynu. Księżyc oświetlał zimnym blaskiem ten pejzaż. W przeciwieństwie do Himmlera, który postrzegał słońce jako najwyższy symbol Aryjczyków, Hess uważał, że księżyc jest najwyższym bóstwem plemion germańskich. Raz wspomniał o tym Hitlerowi, który jednak nie okazał zainteresowania kwestią. Choć miał wycucie symboli oddziałujących na wyobraźnię, nie lubił dyskutować na ten temat. Tak czy

inaczej, właśnie on, Hess, zasugerował Führerowi, żeby przyjął swastykę jako znak rozpoznawczy partii narodowosocjalistycznej. I jak zwykle się nie pomylił.

W jaskrawym świetle księżyca nie mógł wyraźnie widzieć konstelacji gwiazd. Zapalił małą lampkę, która oświetliła kartkę z nakreśloną przez jego astrologa mapą nieba.

Tej nocy z 10 na 11 maja doszło do koniunkcji planet w znaku Byka symbolizującym siłę i zwycięstwo. Zresztą właśnie ta wyjątkowa koniunkcja przesądziła o wyborze daty lotu. Hess zmienił tor lotu, żeby oddalić się od bombowców i obrać kierunek na północny zachód. Teraz angielskie radary mogły go już wykryć. Chcąc tego uniknąć, musiał obniżyć pułap, pikując w dół.

Drzątek drgał w jego rękach, igła wysokościomierza szalała. Zawsze uwielbiał to uczucie. Wyłonić się z nieba i spadać w kierunku ziemi niczym drapieżny ptak. Angielska wieś była coraz bliżej. Widział już szachownicę pól, ciemną plamę lasu, widział wsie ukrywające się w ciemnościach. Ustabilizował pułap lotu, sprawdził swoją pozycję i głęboko westchnął. Tej nocy prowadził najpoważniejszą rozgrywkę w swej karierze, podjął działanie, które miało odmienić losy wojny.



Księżyc zaczynał już zniżać się ku morzu. Błada poświata padała ukośnie, obsypując pejzaże srebrzystym pyłem. W takiej scenerii wydawało się, że na skraju lasu zza drzew lada chwila wyłoni się błędny rycerz, który szuka okazji do potyczki. Hess zszedł najniżej, jak mógł, tak że chwilami samolot niemal ocierał się o korony drzew. To był najlepszy sposób, by nie uchwyciły go radary, jednak, choć o messerschmitcie można było powiedzieć dużo dobrego, nie należał do samolotów cichych. Nocą jego warkot siał na ziemi panikę. Hess zmuszony był wznieść się, aby nie paść ofiarą obrony przeciwlotniczej. Po lewej zabłysnął reflektor, który zaczął omiatać niebo. Miasto musiało być już niedaleko. Hess pociągnął dźwazek i skręcił lekko na zachód – w takiej chwili nie mógł dopuścić, żeby ustrzelono go jak jakiegoś kruka. Pierwsza detonacja rozległa się w pobliżu, wprawiając kadłub w drgania. Czarne iskry rozprysnęły się po niebie. Wykryła go bateria przeciwlotnicza. Musiał wznieść

się znacznie wyżej, poza zasięg angielskich rakiet. Kolejna salwa rozdarła noc. Pilot poczuł, że przyspieszenie wgniata go w fotel. Po kilku minutach stał się niewidoczny.

W młodości Hess marzył o lataniu. Samolot był dla niego cudem. W roku 1914 zgłosił się na ochotnika, wierząc, że zostanie bohaterem; tymczasem uczyniono z niego zjawę tkwiącą w błocie w okopach pod Verdun. Wybuch pocisku, na skutek którego odniósł ciężkie rany nóg i pleców, ocalił go przed powolnym i nieprzynoszącym chwały konaniem. Kiedy tylko Hess stanął na nogi, natychmiast wrócił na front, ale tym razem kula przedziurawiła mu płuco, szybko kładąc kres jego ambicjom. Wojna lądowa na dobre go zniechęciła, więc znów zgłosił się na ochotnika, tym razem jednak po to, żeby zostać lotnikiem. Ale pech go nie opuszczał: jego samolot rozbił się podczas szkolenia. Kiedy ponownie wzniósł się w powietrze, po zaledwie tygodniu zawarto pokój. Jakby ciążyła nad nim klątwa. Hess nigdy się z tym wszystkim nie pogodził, a najtrudniej było mu patrzeć na paradach na Göringa obwieszanego medalami za zestrzelenie dwudziestu dwóch nieprzyjacielskich samolotów. Jednak potrafił być cierpliwy.

A dziś za to wszystko miał wziąć rewanż.

Światło dzienne stopniowo gasiło blask księżyca. Hessowi coraz łatwiej było zorientować się w terenie. Zmienił się krajobraz na ziemi. Pola otoczone zagajnikami, gęste lasy zniknęły, ich miejsce zajęły pasma gór urywających się stromymi brzegami i rozległe wrzosowiska. Tak prezentowała mu się Szkocja. Hess przechylił się, żeby wyjrzeć przez szybę kokpitu. Zaczerwienione z niewyspania oczy mocno go piekły. Stara celtycka ziemia, pełna zamków i mitów, zawsze go fascynowała, a teraz zamierzał dorzucić jeszcze jedną legendę do wielu mówiących o tej wyjątkowej krainie.

Na horyzoncie pojawił się biały cień – Morze Irlandzkie. Rozłożył na kolanach mapę i wpatrywał się w nią w szarym świetle brzasku. Po tym, jak okrążył Londyn od wschodu, by zmylić trop, skręcił na zachód, przelatując przez całą Anglię. Choć obrona przeciwlotnicza oddała kilka strzałów, był pewien, że go nie wykryto. Teraz leciał wzdłuż wybrzeża, żeby łatwiej orientować się w terenie. Z jego obliczeń wynikało, że do celu ma niespełna dwie godziny. Postukał palcem we wskaźnik paliwa. Został mu jeszcze dodatkowy zbiornik. Wystarczająco dużo, by dotarł do znanego tylko jemu miejsca – do miasteczka Eaglesham. Wiedział, że jeżeli mu się to uda, jego nazwisko zapisze się na kartach historii.

– Przyjmą cię jak króla! I już na pewno nie odmrozisz sobie uszu!

Zaszumiało mu w uszach, wzrok mu się mącił. Baldur miał paskudny zwyczaj – przemawiał do niego bez uprzedzenia.

– Jesteś posłańcem pokoju, chwała spłynie na ciebie i otaczać cię będzie na wieki wieków.

– Dziękuję Baldurze, ale teraz muszę się skupić na pilotowaniu samolotu. Pomówimy, kiedy już wyląduję.

I znów kabinę wypełnił turkot śmigieł. Baldur zniknął.

Aby nie ulec ogarniającej go ekscytacji, Hess skoncentrował się na informacjach, jakie posiadał. Od tygodni tajne służby Rzeszy przekazywały alarmujące raporty o problemach politycznych Churchilla. Nieustanne bombardowania, które zmieniły Londyn w piekło, łamały ducha oporu w Brytyjczykach. W parlamencie coraz liczniejsi deputowani tracili nadzieję. A co do Pałacu Buckingham, to milczał w nadziei na szybki rozejm. Buldog, jak Churchilla nazywali przeciwnicy, mógł wkrótce utracić większość, pojawiało się więc nazwisko człowieka, który miałby go zastąpić: lord Halifax.

Hess błyskawicznie skonsultował się ze swoimi astrologami, którzy zgodnie stwierdzili, że planety przepowiadają temu pacyfiście wielką przyszłość polityczną. Tymczasem lord niecierpliwie czekał na swoją kolej w Waszyngtonie, dokąd Churchill zesłał go jako ambasadora! Halifax, pragmatyczny izolacjonista, pragnął zakończyć tę wojnę do ostatniej kropli krwi i zaproponować Niemcom układ: Europa dla nich, a dla Anglii dominacja na Dalekim Wschodzie i w Afryce.

Prawdopodobne dojście Halifaxa do władzy przekonało Hessa do podjęcia tak odważnej inicjatywy. Musiał jednak znaleźć sposób, by nawiązać kontakt z przyszłym premierem... Nie potrzebował wiele czasu, by uporać się z tym problemem. Od lat w ścisłej tajemnicy niemiecki minister spraw zagranicznych zbierał informacje na temat wszystkich wpływowych Brytyjczyków, którzy przychylnie odnosili się do nazizmu. Były król Edward VIII miał bogatą teczkę, istniała też kopia filmu, na którym widać było, jak królewskie dzieci wykonują nazistowski gest pozdrowienia³⁰. W kartotece figurowało wiele innych osób: zagorzali antykomuniści, konserwatywni parlamentarzyści, znani arystokraci. Wśród nich szybko uwagę Hessa przyciągnęło znakomite nazwisko lorda Hamiltona. Spotkali się w roku 1936 podczas igrzysk olimpijskich. Hamilton okazał się bardzo przyjacielski i nie krył podziwu dla hitlerowskich Niemiec. I oto z tej kartoteki, na bieżąco uzupełnianej przez niemieckich dyplomatów, Hess dowiedział się, że Hamilton jest bliskim znajomym lorda Halifaxa...

Morze u wybrzeży Irlandii zasnuło się szarym woalem mgły, która atakowała, płynąc od lądu. Została mu zaledwie godzina, a może nawet trochę mniej lotu do celu, a był nim dwór Hamiltona. To miejsce miało w dodatku ogromną zaletę – własne lądowisko... Hess schodził na niższy pułap. Teraz nie obawiał się już, że zostanie wykryty. Musiał skrócić na wschód. Szkocka prowincja przesuwiała się pod skrzydłami samolotu. Hess patrzył na kompas, który wskazywał mu kierunek. Jeżeli go utrzyma, wkrótce powinien ujrzeć dwa punkty rozpoznawcze, które zaznaczył na czerwono na mapach. Zbliżył się jeszcze bardziej do ziemi, aby nie wchodzić w gęstą mgłę. Kryte dachówką wiejskie domy lśniły kroplami rosy. I nagle je zobaczył: dwa zielone jeziora po dwóch stronach biegnącej prosto drogi. Eaglesham znajdowało się tuż za nimi. Aby odciążać samolot, zrzucił paliwo z dwóch dodatkowych zbiorników. W ostatniej chwili wykonał skręt, żeby ominąć wieś. Leciał na takiej wysokości, że dwa czarne krzyże na kadłubie były widoczne gołym okiem. Wolał

wylądować niepostrzeżenie. Przed sobą ujrzał pas startowy. I nagle pojął swój błąd – messerschmitt nie był w stanie tu wylądować, bo asfaltowy pas, nad którym leciał, był o wiele za krótki, odpowiedni dla małego samolotu turystycznego. Hess poderwał maszynę, żeby podjąć decyzję, ale wiedział, że ma tylko jedną możliwość: musiał skoczyć ze spadochronem.

Dave McLean w stodole gospodarstwa Floors oparł widły o ścianę. Jego plecy i ręce domagały się chwili odpoczynku. Od świtu bez przerwy przerzucał siano. Opadł na przysypany wiórami pień i wyciągnął kapciuch z tytoniem. To na pewno pozwoli mu zapomnieć o zbolałych kościach. Kiedy już zwinął sobie papierosa, wyszedł ze stodoły. Nie mógł przecież palić tuż obok siana, które sięgało aż po strop – jedna iskra, a wszystko poszłoby z dymem, zanimby się obejrzał! Kiedy już dotykał palcem kółka zapalniczki benzynowej, wybuch zerwał dachówki, które posypały się z góry jak grad. Padł na ziemię, żeby się schronić, ale po chwili dźwignął się cały rozdygotany. Tuż za stodołą w niebo wzbil się pióropusz płomieni. Na ziemię spadały kawałki metalu, gryzący zapach paliwa rozchodził się po podwórzu.

– Na rany Chrystusa... – wybełkotał Dave, nie wierząc własnym oczom.

Na niebie tuż nad nim rozpostarła się ogromna biała kopuła i opadała niczym bóstwo spływające z przestworzy. Dave pobiegł do stodoły i wrócił z widłami w rękach. Spadochron leżał już na wybrukowanym podwórzu, a skoczek zdejmował uprząż. Podeszedł, utykając.

– Jestem...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Błyszczące zęby wideł dotknęły jego szyi.

Montségur

Grota

Maj 1941

Laure d'Estillac obrzuciła pełnym pogardy spojrzeniem esesmana, który doprowadził ją do wejścia do groty. Tristan podszedł do niej szybkim krokiem i dał strażnikowi znak.

– Wracaj na posterunek przy bramie, to rozkaz pułkownika. Ja się nią zajmę.

Esesman nawet nie drgnął.

– Jeżeli mi nie wierzysz, to idź do swojego dowódcy – powiedział zniecierpliwiony Tristan.

Niemiec rzucił jakąś obelgę i odwrócił się na pięcie. Tristan przez chwilę patrzył, jak się oddala. Potem powiedział do Laure:

– Uprzejmie z pani strony, że zechciała pani przyjść. Nie pożałuje pani tego.

– A miałam jakiś wybór? – odparła, patrząc na niego z wrogością. – Co do pana, to mam wrażenie, że z przyjemnością zdradza pan ojczyznę.

Skwitował oschle:

– Uczestniczę tylko w poszukiwaniach. Nie jestem ani żołnierzem, ani policjantem i proszę mi wierzyć, absolutnie nie popieram ich ideologii. Co się zaś tyczy struny patriotyzmu, to dawno już pękła.

– I ma pan nadzieję mnie przekonać?

Wzruszył ramionami i wskazał wewnątrz groty.

– Skądże... Jednak radzę się pospieszyć. Pułkownik nie lubi czekać na swoich gości.

Weszła za nim do groty i jej gniewna mina natychmiast zniknęła. Nawet sobie nie wyobrażała, że w podziemiach zamku, który od dzieciństwa przemierzała wzdłuż i wszerz, może istnieć coś tak wspaniałego.

– Niesamowite... – szepnęła. – Jak odkryliście to miejsce?

– A gdybym pani powiedział, że to swego rodzaju podchody albo poszukiwanie skarbów, które zaczęło się dwa lata temu w hiszpańskim klasztorze o nazwie Montserrat?

Nie odpowiedziała, kręciła tylko głową i rozglądała się wokół, oczarowana pięknem podziemnego świata.

– Ale to jeszcze nie koniec – dodał Tristan, wskazując palcem wykutą w skale wnękę, w której wznosił się posąg.

Tuż przed wejściem do sanktuarium odskoczyła, gdy poczuła pod stopą kratę. Pochyliła się. Z ciemnej otchłani dochodził głuchy pomruk.

– To podziemna rzeka – wyjaśnił Tristan. – Płynie pod całą grota.

Kiedy Laure podniosła głowę, ujrzała sylwetki dwojga Niemców wyłaniające się z mroku w świetle pochodni.

– No nareszcie! – rzucił wyraźnie zniecierpliwiony Weistort. – Potrzebujemy pani wiedzy, proszę się pospieszyć.

Laure weszła do sanktuarium, mimowolnie pozwalając się ponieść ciekawości. Erika obserwowała ją z niechęcią, jakby uważała jej obecność za coś niestosownego.

– Czy to katarzy wyrzeźbili tę postać? – zapytała młoda Francuzka.

– Nie, najprawdopodobniej ta rzeźba pochodzi sprzed tysięcy lat – odparł Weistort. – Wydaje się jednak, że ci wasi heretycy dodali tu pewien mechanizm. Taką osobliwą piekielną pułapkę, żeby nie dopuścić do zabrania insygnium. Tak w każdym razie sądzi nasz drogi Tristan.

Zbliżyła się do rąk rzeźby i zauważyła dwie swastyki.

– Swastyki? Chyba mi nie powiecie, że wśród katarów byli naziści! Co za ohyda, a ja zawsze podziwiałam ich idee!

– Te krzyże również pochodzą z wcześniejszych czasów – wyjaśnił życzliwym tonem Tristan.

Ale dwójka Niemców zareagowała na jej oburzenie inaczej i na ich twarzach malowała się teraz wrogość. Weistort bez słowa chwycił ją za ramię i ustawił przed inskrypcjami.

– Pani komentarze niewiele mnie obchodzą. Proszę przetłumaczyć, bo chyba zna pani ten język.

– Nie powiedziałabym, że go znam, ja mam go we krwi. Mój ród należy do najstarszych w regionie. Wśród katarów spalonych pod zamkiem byli moi przodkowie.

Nazista wysilił się na lekki uśmiech.

– Wyrazy współczucia, a teraz słucham.



Croiz rog



Crotz rog

Salut cap sinistra

– To boli! – warknęła Laure, próbując się oswobodzić. – Nie zamierzam wam w niczym pomagać.

Pułkownik puścił jej rękę i z kabury u pasa dobył lugera.

– Policzę do pięciu...

Tristan chciał ją zasłonić, ale Weistort wycelował w niego.

– Ani kroku!

Esesman obrócił się i przytknął lufę do skroni Laure. Na twarzy młodej kobiety widać było ogarniającą ją panikę.

– Słucham – powtórzył niespodziewanie łagodnym tonem szef Ahnenerbe.

Laure uważnie wpatrywała się w napisy i wydawało się jednak, że się waha.

– Jeśli pominąć dwa różne symbole, swastykę i skorpiona, oba napisy znaczą to samo. Chodzi o krzyż: croiz w starofrancuskim, crotz po oksytańsku. Co do rog, to słowo oznacza kolor czerwony. A trzeci wers, Salut cap sinistra, można przetłumaczyć jako „Ocalenie lewej głowy”.

– Świetnie... – rzucił Weistort. – Symbol swastyki wskazuje właściwy krzyż. Pierwszy.

Tristan pokręcił głową.

– Nie rozumiem, po co mieliby zadawać sobie tyle trudu, żeby ukryć insygnium, a równocześnie pozostawić tak łatwą do rozwiązania zagadkę. Jeden krzyż nazwany jest słowem oksytańskim, więc bliskim katarom, drugi słowem z języka wrogów.

Już po raz drugi od ustalenia lokalizacji pierwotnego donżonu Erika z wyraźnym zainteresowaniem spojrzała na Tristana.

– Pułkowniku, on ma rację, kluczem na pewno jest skorpion. Dlaczego wybrali właśnie ten symbol?

Weistort zaczął tracić cierpliwość.

– Marnujemy cenny czas!

Tristan splótł ręce, jego umysł intensywnie pracował.

– Skorpion jest symbolem astrologicznym, ale katarzy absolutnie nie wierzyli w astrologię. To także symbol niebezpieczeństwa, śmierci, jadu, zła...

– Jak nazizm – zadrwiła Laure. – Jesteście na dobrej drodze.

Rozdrażniony Weistort brutalnie pchnął ją na rzeźbę.

– Jeszcze jedna tego typu uwaga, a zastrzelę jak psa.

Erika tymczasem oglądała skałę.

– Skorpion... skorpion... Wczujmy się w kontekst tamtych czasów. Katarzy walczyli z krzyżowcami, którzy przybyli z północy, i z Kościołem katolickim...

Nagle Tristan uderzył pięścią w skalną ścianę.

– Mam! Orient! Chrześcijaństwo od najwcześniejszych lat musiało walczyć z herezją. W Judei, w Syrii, w Egipcie...

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała Erika.

– Pierwsi chrześcijanie określali heretyków mianem skorpionów, tych zabójczych stworzeń z pustyni. Heretyk kryje się pod kamieniem Kościoła, a jego wierzenia są niczym jad dla wiernych. Dlatego też wszyscy, którzy byli prześladowani przez nową religię, posługiwali się symbolem skorpiona jako znakiem rozpoznawczym. – Podeszedł do rzeźby i podjął: – Jeśli przyjąć tę logikę, właściwy krzyż to ten od skorpiona.

– Nie jestem pewna – skomentowała Erika. – To może być celowe wprowadzenie w błąd intruzów. Swastyka również nie należy do symboli używanych przez Kościół.

– A trzecia część inskrypcji? Zapominacie o niej? – wtrąciła się Laure. – Salut cap sinistra, ocalenie lewej głowy.

Erika stanęła przed rzeźbą i powiodła dłonią po kamieniu. Jej palce przesuwają się po torsie, dotykały ramion, zatrzymały się u nasady szyi.

Wtedy z jej ust wyrwał się okrzyk:

– Tu jest szczelina, bardzo wąska, ale biegnie wokół szyi.

Nie czekając na ich reakcję, ujęła w dłonie głowę postaci i obróciła w lewo. Z posągu dobył się zgrzyt. Jeden z łańcuchów biegnących po murze nagle się naprężył.

– Ocalenie... Głowa zwrócona w lewo przynosi ocalenie. Bardzo zręczne, ten mechanizm musi mieć dwie sprężyny – mówiła von Essling. – Przypuszczam, że jeżeli zdejmie się właściwy krzyż, drugi łańcuch też się zablokuje.

– Trzeba tylko wiedzieć, który jest właściwy.

– Ten heretyków... – powiedział Tristan.

– Nie jestem tego pewna – odparła archeolog. – Druga możliwość jest równie uzasadniona. Katarzy, którzy wymyślili tę zagadkę, wiedzieli, co robią. Chcieli doprowadzić do obłędu każdego, kto spróbuje ją rozwiązać.

Weistort przerwał milczenie:

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić: nasi francuscy przyjaciele rozstrzygną kwestię. Eriko, proszę tu do mnie wrócić, a wy dwoje zostańcie koło rzeźby.

Niemcy wycofali się z sanktuarium, zostawiając Laure i Tristana samych.

– Tristanie, skoro jest pan taki pewny siebie, niech pan zaczyna.

– A jeśli się mylę?

– My stracimy krzyż, a pan życie. Niech się pan pospieszy!

Tristan przez krótką chwilę wpatrywał się w twarz przerażonej Laure, a potem oznajmił:

– Jeżeli pan ją uwolni, wykonam polecenie.

Esesman wybuchnął gromkim śmiechem.

– Cóż to, teraz zebrało się panu na zabawę w szlachetnego rycerza? To takie romantyczne, takie francuskie...

– Decyzja należy do pana, ale przecież sam pan powiedział: czas nagli.

Po krótkim wahaniu Niemiec skinął głową, dając znak Laure.

– Zgoda. Niech się pani cofnie.

Laure zwróciła się do Tristana:

– Dziękuję... W gruncie rzeczy nie jest pan aż takim łajdakiem.

– Niech się pani wynosi, zanim się rozmyślę.

Młoda kobieta dołączyła do Weistorta i Eriki, a Tristan wyciągnął ręce ku rzeźbie. Miał wrażenie, że oba krzyże bacznie go obserwują.

Wybrać ten od skorpiona czy ten od swastyki?

Tristan niemal czuł, jak pot sączy się przez pory jego skóry. Poszukiwania dobiegały końca. Być może kończyło się również jego życie.

Zamknął oczy.

Ci, którzy wymyślili tę piekielną pułapkę, byli katarami. Nie rozumowali tak jak ich wrogowie.

Myśl jak oni.

Wszystko było na odwrót. Katarzy wierzyli, że światem rządzi diabeł, a nie Bóg. Rzeczywistość była tylko iluzją, a utrata życia wyzwoleniem. Oni nie bali się śmierci. W przeciwieństwie do swych wrogów z Rzymu.

Strach... Strach jest tylko iluzją.

Zwarł się wewnątrz.

Gdyby się bał, myślałby jak krzyżowiec.

Nie wolno mi się bać. Jestem katarami, jestem doskonały. Zasadzka to tylko iluzja. Tak!

Zasadzka była zbyt oczywista. Łańcuchy... To sklepienie nad głową – tysiące ton skał, które mogą na niego runąć. A pod stopami przepaść za żelazną kratą. Piekło.

Cała ta scenografia została przygotowana, by przerazić intruza. Pozbawić go rozumu. Katarzy stawiali na religijny strach krzyżowców. Katolicy wiedzieli, że dokonując złego wyboru, trafią do piekła. Podczas gdy wybór dobrego krzyża niczego nie spowoduje i wyjdą stąd zwycięzcy, by podbijać świat dzięki mocy insygnium. Upojeni przekonaniem o słuszności swej sprawy.

Jak naziści.

Tristan otworzył oczy.

Ależ tak!

Katarzy grali strachem.

To było takie oczywiste. Odgadł, na czym polega ta pułapka: na tym, że jej nie ma.

Bez wahania sięgnął nad kamienną rękę ze swastyką skorpiona. Znów zamknął oczy. Potem szybkim ruchem zabrał swastykę z dłoni rzeźby. W posągu coś zadźwięczało i tym razem drugi łańcuch wyprężył się z ponurym zgrzytem. A potem zapadła cisza.

Tristan uniósł insygnium ciężkie jak ołów. Obrócił je i zobaczył wygrawerowany krzyż wielkości monety. Krzyż. Symbol Chrystusa. Uśmiechnął się. Udało mu się.

– Gratulacje, Tristanie! Proszę szybko przynieść mi tę swastykę.

Głos Weistorta odbił się echem w całej grocie. Erika i Laure wyglądały, jakby kamień spadł im z serca.

Tristan odwrócił się, trzymając w ręku insygnium. Szedł wolno, jakby się bał, że może uruchomić jakiś inny mechanizm. Ale wokół panował spokój.

Przy wejściu do sanktuarium Weistort zachłannie wyciągał ręce.

– Zastanawiam się, czy nie zatrudnić pana w Ahnenerbe. Powiem Reichsführerowi, że...

Nie zdążył dokończyć zdania.

Od wejścia do groty dobiegł ich trzask serii z karabinu maszynowego.

Montségur

Grota

Maj 1941

Nagle z drugiej strony korytarza rozległ się głuchy pomruk. Zawtórowały mu krzyki i detonacje. Szef Ahnenerbe wyciągnął lugera i strzelił na oślep w stronę wyjścia. Z korytarza ktoś krzyknął po niemiecku:

– Nie strzelać! To ja, Werner.

Weistort opuścił broń. Jeden z pełniących wartę esesmanów wpadł do sali, potwornie krzycząc. Na jego bluzie widać było powiększającą się szkarłatną plamę.

– Zaatakowali nas. Cały oddział. Wyrośli jak spod ziemi.

– Gdzie drugi wartownik?

Esesman spojrzał na niego z przerażeniem w oczach i potrząsnął głową.

– Nie wiem... To działo się tak szybko.

Weistort chwycił jego pistolet maszynowy i sprawdził magazynek.

– Prawie nie ma naboń. Napastnicy wyłapią nas jak szczury.

Tristan zbliżył się do niego, ściskając w rękach świętą swastykę.

– Insignium, szybko! – krzyknął Weistort.

Francuz oddał mu je bez słowa.

Laure, której serce wyrывało się z piersi, przywarła do jednej ze ścian groty. Była pewna, że to ojciec przyszedł tu, żeby ją uwolnić. Musiała mu jakoś pomóc. Ale jak?

Także ranny wartownik oparł się o ścianę. Z trudem chwycił oddech. Próbował zatrzymać życie, które z niego uchodziło, przykładając rękę do rany, ale krew tryskała spomiędzy jego palców.

– Jest jeszcze... pewna szansa. Syrena alarmowa już wyje. Hans przy wejściu... On... się nie podda. Posiłki...

I osunął się na ziemię.

– Nie wytrwamy tu długo z tą amunicją – krzyknął Weistort.

Erika chwyciła zakrwawiony pistolet wartownika i przyjęła pozycję strzelecką na wprost wejścia. Na jej twarzy majaczył dziwny uśmiech.

– Panią to bawi? – zdziwił się pułkownik.

– Ironia losu... Umrzeć w zabitej deskami dziurze we Francji. A wszystko po to, żeby zdobyć swastykę, chociaż w Niemczech są ich miliony.

Znów odezwała się broń maszynowa. Strzałem zawtórował przeraźliwy krzyk. W korytarzu rozległy się kroki. Weistort strzelił na oślep.

– Wstrzymajcie ogień, mamy dla was propozycję – krzyknął obcy głos.

– Jaką propozycję? – wrzasnął Weistort. – Nie macie szans! Moi ludzie dotrą tu lada chwila.

I puścił serię, by poprzeć słowa czynem.

– Może, ale nie dość szybko, żeby was uratować. Wystarczy, że wrzucę tam granat, a zostaną z was strzępy. Wpuście mnie, wejdę bez broni.

Tristan spojrział na pułkownika.

– Weistort, niczym nie ryzykujemy. A zyskamy na czasie.

– Ma rację – poparła go Erika.

Szef Ahnenerbe skinął głową.

– Zgoda, włącz! Z rękami w górze.

Upłynęło kilka sekund, zanim w świetle pochodni ujrzeli sylwetkę mężczyzny. Malorley wyszedł na środek sali z podniesionymi rękami.

Zanim cokolwiek powiedział, długo patrzył na esesmana.

– Jeżeli odda mi pan swastykę, obiecuję darować panu życie. Chociaż mam wielką ochotę pana zabić. Już od tak dawna pana obserwuję...

Szef Ahnenerbe osłupiał.

– Kim pan jest? Czyżbyśmy się znali?

Malorley spojrział mu prosto w oczy. Z nienawiścią.

– Otarliśmy się o siebie w Berlinie. W listopadzie 1938. Wychodził pan z księgarni, a ja właśnie do niej szedłem. Nie pamięta mnie pan, wcale się nie dziwię... był pan upojony sobą.

– W 1938...

– Odświeżę panu pamięć. W kryształową noc zamordował pan jednego z moich przyjaciół, profesora Neumanna, człowieka głębokiej kultury i wielkiej wiedzy. Prowadził księgarnię nieopodal synagogi. Przypomina sobie pan?

Weistort odparł bez wahania:

– To ten Żyd! Przecież to nie są istoty ludzkie, więc dlaczego miałbym pamiętać...

– Doprawdy? Jednak wtedy ten Żyd miał w pańskich oczach wielką wartość. Ukradł mu pan książkę. Thule Borealis Kulten.

– Pan... pan wie...

– Przyszedłem za późno. Nie zdołałem go uratować, zdążyłem jednak z nim porozmawiać.

Esesman cofnął się o krok. Nie lubił, kiedy zjawy wyłaniały się z przeszłości.

– Kiedy już odda mi pan artefakt – dodał Malorley – zwróci mi pan także książkę. A pana przyjaciele wyjdą stąd żywi.

– Nie mam jej, durniu! Borealis jest w bezpiecznym miejscu, w Niemczech. Nigdy pan jej nie odzyska, chyba że wtargniecie do Rzeszy! A na to się nie zanos!

Na twarzy Malorleya pojawił się wymowny uśmiech.

– Chyba że odzyskam swastykę!

Usłyszeli odgłos szybkich kroków. Pojawił się zadyszany d’Estillac. Za nim stali Cebolla i dwaj jego ludzie z pistoletami maszynowymi.

– Gdzie moja córka? Gdzie Laure?

– Jestem, tato.

Nie zdążyła do niego podejść. Erika przytknęła jej broń do żeber, od strony serca.

– No cóż, widzę, że mamy towar wymienny – mruknął Weistort, uśmiechając się triumfalnie.

Zapadła długa cisza. A potem rozległ się dziwny świst i ostry, przejmujący syk.

– Pociski dymne, na ziemię, amigos! – krzyknął Cebolla, który wrzucił do groty granaty.

Z ziemi wzbily się w górę kłęby szarego dymu. Zaraz potem padły strzały. Tristan rzucił się w stronę sanktuarium. D’Estillac chciał podbiec do córki, ale Weistort powalił go serią z pistoletu maszynowego.

– Nie! – krzyknęła Laure, wyrywając się Erice.

Wtedy Malorley kilkakrotnie strzelił do Weistorta, który zniknął w dymie. Niemiec padł na plecy i upuścił swastykę. Erika rzuciła broń, by chwycić insygnium, i przeczołgała się poza zasięg strzałów.

Na ziemi, nie zważając na to, co dzieje się wokół niej, Laure podtrzymywała głowę ojca i gładziła go po włosach, jakby próbowała łagodnie obudzić dziecko. Malorley podbiegł do niej.

– Już mu nie pomożesz, chodźmy.

Znów padły strzały, wymiana ognia nasilała się przy wejściu.

– Los Alemanes nadciągają! – krzyknął Cebolla. – Czas się wynosić.

Malorley siłą oderwał Laure od zwłok jej ojca i pchnął w stronę Hiszpanów.

– Jeżeli nie wrócę za pięć minut, uciekajcie! Muszę odnaleźć swastykę.

Zawrócił do sanktuarium. Dym coraz bardziej przypominał zwykłą mgłę. Słyszał, że pod jego stopami strumień ryczy jak bestia, która próbuje się wyrwać z podziemnego koryta. Piekło nie mogło być gorsze od tego miejsca. Idąc, potknął się o ciało Weistorta. Usłyszał jęk. Esesman żył. Malorley oparł się pokusie, żeby wpakować mu kulę w łeb. Przez ułamek sekundy twarz Neumanna tańczyła mu przed oczyma, ale nie miał dość amunicji. Poszedł dalej, uważnie wpatrując się w zasnutą dymem przestrzeń. Widział, jak kobieta chwyta

swastykę i turla się z nią po ziemi. Potem się czołgała... Pochylił się. Tak, była tu, wtulona w skały jak jadowita żmija.

Erika zobaczyła mężczyznę, który podnosi się i celuje do niej. Przytuliła swastykę do piersi. Głupi odruch, powiedziała sobie, ale nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Nagle przed Anglikiem stanął Tristan. Jego ciało osłoniło ją. Chciała wstać, żeby uciec, jednak nieoczekiwanie dym w sanktuarium zaczął gęstnieć. Tristan i jego przeciwnik stali się ledwie cieniami, a wkrótce pochłonęła ich mgła.

Cebolla trzymał Laure za ramiona. Z niepokojem zerknął na wejście do groty, gdzie nasiliła się strzelanina.

– Moi ludzie na zewnątrz nie wytrzymają już długo. Musimy uciekać.

Laure próbowała się wyrwać.

– Nie możemy go zostawić...

Malorley wyłonił się z kłębow dymu niczym zjawa powracająca z piekła. Cebolla podszedł do niego.

– Zabierajmy się stąd.

Anglik nie odpowiadał. Nic już do niego nie docierało. Podążał za innymi. Jego misja była zakończona.

Montségur

Maj 1941

Pędzili po zboczu ile tchu w piersi, starając się omijać dwie plamy żółtego światła. Syrena alarmowa w zamku wyła. Kule niemieckich karabinów maszynowych znowu siekały otaczające ich krzewy. Jeden z Hiszpanów z przeraźliwym krzykiem padł na ziemię, trafiony serią w plecy. Przyszedł tu cały oddział, a teraz zostało ich zaledwie czworo: Malorley, Jane, Laure i dowódca Hiszpanów. Z dwóch partyzantów, którzy zostali w tyle i osłaniali odwrót, powstrzymując pościg esesmanów, żył już tylko jeden. Anglik szedł, utykając, bo tuż za murami zamku skręcił nogę.

– Kryć się za murkiem! – krzyknął Cebolla, który biegł dziesięć metrów przed nimi.

Malorley i dwie kobiety przywarli do ścianki z kamieni. Niżej drogi nie osłaniały już ani skały, ani zarośla – wiodła przez pastwisko omiatane światłem reflektorów.

Skulona Laure drżała jak liść, zdruzgotana śmiercią ojca. Jane przytuliła się do niej i ujęła w dłoń jej twarz.

– Wyjdziemy z tego, obiecuję ci.

Księżyc oświetlał zalaną łzami twarz Laure.

– Ja... nie mogę się ruszyć. Idźcie...

– Nie ma mowy. – Jane spojrzała na Malorleya. – Nie możemy tu zostać. Znajdą nas.

– Myślisz, że chcę spędzić noc na tym zboczu? – syknął Malorley, masując kostkę, żeby złagodzić ból. Zwrócił się do Hiszpana: – Ej, cebula! Jakie mamy możliwości?

– Jesteśmy w potrzasku. Dopóki świecą tymi przekłętymi reflektorami, mogą nas wystrzelać jak zające. A musimy przejść tą drogą, żeby dołączyć do moich na dole.

Cebolla sięgnął po lornetkę i usiłował ocenić sytuację na drodze przy łące. Blask księżycy pozwalał zaledwie dostrzec czarny cień przypominający ciężarówkę.

Nagle dostrzegł trzy pary świateł, które przesuwają się po drodze departamentalnej od strony Montferrier, w kierunku partyzantów.

– Caliente... Muy caliente. To na pewno francuscy żandarmi wezwani na pomoc. Kazałem swoim ludziom ściąć drzewa i zatarasować drogę, ale to zatrzyma ich na krótko.

– Pętla się zaciska... Na górze mamy szwabów, na dole tamtych – powiedział Malorley. – Faktycznie wpadliśmy w potrzask.

– Ktoś z nas musi się wspiąć na tę skalną ostrogę na górze i rozwalić reflektory. To da nam czas na przejście przez pastwisko i dotarcie do ciężarówki. Z tą zwichniętą nogą i tak nie dasz rady, więc pójdę ja.

Jane poderwała się z miejsca, chwytając karabin Hiszpana.

– Ja się tym zajmę.

– Wykluczone – krzyknął Malorley. – Ja...

Partyzant pokręcił głową.

– Nie, señora. To zbyt niebezpieczne, na górze zostali Niemcy, trzeba celnie strzelić.

Znów odezwała się broń maszynowa. Kule rozbijały kamienie niespełna dwa metry od nich.

– Przed wojną byłam mistrzynią świata w strzelaniu – podjęła spokojnie Jane. – A pan, señor? Sądząc po grubości pańskich szkieł, nie był pan najlepszym strzelcem w Hiszpanii.

Malorley podniósł głos:

– Zabraniam ci! Nie lekceważ rozkazów!

– Przecież to nic nowego, prawda? Tylko ja jedna jestem w stanie w nie trafić. W dodatku biegam szybko, bardzo szybko. I wrócę do samochodu jeszcze przed wami.

Hiszpan spojrział na nią ze szczerym smutkiem.

– Nie zdążysz do nas dołączyć.

Załadowała broń i zarzuciła ją na ramię.

– Nigdy nie widziałeś, jak biegałam w liceum. Jak strzała.

– Dobrze... Gdybyśmy musieli odjechać przed twoim powrotem, dwóch moich ludzi będzie na ciebie czekało. Znają okolicę jak własną kieszeń, więc może uda wam się uciec przez las.

– Świetnie się składa, lubię biwaki na łonie natury.

Serie z broni maszynowej już zamilkły, żółte kręgi światła znów przeczesywały łąkę, jakby żyły własnym życiem. Jeden z nich raz po raz przesuwiał się tuż obok grupki, niemal się o nią ocierając.

Laure zaczęła krzyczeć. Malorley zmusił ją, żeby padła na ziemię, bał się bowiem, że Niemcy ją zauważą.

– Niemcy starają się nie marnować amunicji – stwierdził Hiszpan. – Czekają na przybycie posiłków. Wiedzą, że nie mamy jak uciec.

Jane odczekała, aż plama światła się przesunie. W odpowiedniej chwili wbiegła na ciemną ścieżkę.

– Jane, nie! – krzyknął Malorley, wstając, żeby ją złapać, ale ból zwałił go z nóg.

Młoda kobieta niespodziewanie zawróciła, podeszła do niego i ujęła w dłonie jego twarz.

– Tym razem to już czysto prywatne – powiedziała łagodnym głosem.

Przywarła ustami do jego ust. Pocałunek był czuły, a Malorleyowi wydawało się, że trwa całą wieczność. Potem, zanim zdążył się zorientować, wstała i uśmiechnęła się jak łobuziak.

– Teraz będziesz musiał zaprosić mnie na kolację – rzuciła. – I to do najlepszej restauracji w Londynie.

– Jesteś szalona, ja...

Cebolla patrzył, jak agentka wspina się po ścieżce i znika w ciemnościach.

– ¡Que valiente! Spotkałem kobiety takie jak ona podczas wojny domowej, bojowniczkii armii republikańskiej. Twoja agentka jest ulepiona z tej samej gliny. – Spojrzał na szlochającą w kącie Laure. – A co do tej...

Malorley podszedł do córki Trencavela i położył dłoń na jej przedramieniu.

– Uspokój się, Jane na pewno...

– Niech mnie pan nie dotyka! – wybuchnęła, cofając rękę, jakby prześliznęła się po niej wąż. – Wynoście się stąd! Wszyscy!

– To napad hysterii, pozwólmij jej dojść do siebie – szepnął do Cebolli.

Hiszpan pokręcił głową zirytowany. Przykucnął przy Laure i chwycił ją za ramiona.

– Señorita, ojciec wstydziłby się za ciebie!

– Dureń! Ledwie go znałeś! – odparła z wściekłością.

Cebolla bez namysłu strzelił ją w twarz.

– Tylko dwie osoby nazwały mnie durniem, señorita. Moja matka, niechaj spoczywa w spokoju, i pewien komunistyczny pułkownik. Skończył w dole z kulką między oczami. Powinnaś wziąć przykład z tamtej dziewczyny, która ryzykuje własne życie, żeby ratować twoją skórę.

W ciemnościach rozległ się warkot silników.

Cebolla chwycił lornetkę i spojrzał na drogę.

– Ciężarówka zbliżają się do blokady. Jeżeli Jane się nie powiedzie, będziemy musieli się rozdzielić i uciekać różnymi ścieżkami, a z tą zwichniętą nogą nie daję ci większych szans.

Tymczasem Laure przełknęła łzy i wpatrywała się w łękę rozpościerającą się przed nimi.

– Le prats del cremats...

– Co takiego? – zapytał Malorley.

Dziewczyna chyba się pozbierała. Teraz mówiła wolno i dobitnie:

– Tu zginęło ponad dwustu katarów, którzy przeżyli oblężenie. Spalono ich żywcem, także kobiety, dzieci i starców. Kronikarze opowiadają, że trzeba było całego dnia i całej nocy, żeby wszystkich ich spalić. Pomyśleć tylko, że może tu umrzemy, podczas gdy...

Dwa strzały padły w krótkim odstępie, rozdierając ciszę.

Plamy światła nie tańczyły już po łące. Znowu zaterkotała broń maszynowa. Cebolla poderwał się na równe nogi.

– Udało się jej! ¡Estupendo!

Malorley wstał, sięgnął po chlebak, zarzucił go na szyję i się skrzywił. Ból nie ustępował. Laure również się podniosła i bez słowa ujęła go za rękę.

– Dziękuję, ale postaram się sam sobie poradzić – powiedział Anglik.

Pokręciła głową, chlipnęła i rzuciła:

– Przynajmniej tak mogę pomóc. Proszę się o mnie oprzeć.

Malorley odwrócił się i zerknął na ścieżkę prowadzącą na pog. Wytężył wzrok, szukając Jane, ale na próżno.

– Wróci, na pewno wróci – uspokajała go Francuzka.

– Musimy iść! – krzyknął Cebolla.

Wysunęli się z zarośli i zaczęli zbiegać po porośniętej trawą łące. Wszędzie wokół świstały kule.

– Uda się nam! Strzelają na oślep.

Podtrzymywany przez Laure Malorley pokonywał drogę łatwiej, niż się spodziewał.

Kiedy byli w połowie łąki, nad ich głowami rozległo się pohukiwanie.

– Granatnik! Padnij!

Trójka uciekinierów przywarła do ziemi. Huk dotarł do nich z tyłu – pocisk poderwał grudy ziemi i spalonej trawy, które posypały się na nich.

– Ruszamy!

Malorley i Laure, w przemoczonych i ubłoconych ubraniach, z trudem zdołali się podnieść. Przed nimi na skraju lasu przy drodze stali dwaj mężczyźni. Dawali im jakieś znaki.

Ciemności znów rozdarło wycie pocisku, ale oni byli już pod lasem. Tym razem wróg także chybił.

Dwaj partyzanci podbiegli do dowódcy i pomogli całej trójce ocalonych wsiąść na tył ciężarówki.

– Jefe! Podłożyliśmy ładunki pod duże drzewa tuż za najbliższym zakrętem, na drodze do Fougax – powiedział jeden z nich, niski, o twarzy pokrytej ciemnymi bruzdami. – Kiedy go minimy, wysadzimy je, żeby żandarmi nie mogli nas dalej ścigać. Zatrzymamy ich tu na dość długo.

– Jeżeli wcześniej te ich przekłete granatniki nie rozerwą nas na strzępy – mruknął Cebolla.

Kolejny wybuch roztrzaskał drzewo kilka metrów od nich. Podmuch był odczuwalny nawet w samochodzie.

– Musimy jechać! – krzyknął jeden z partyzantów. – Następny już nas nie ominie. A jeżeli nawet nie trafi nas bomba, żandarmi zgarną nas jak dojrzałe gruszki z drzewa.

– Zaczekajcie jeszcze – rozkazał Anglik, unosząc plandekę i wpatrując się w łąkę przez lornetkę.

– Przykro mi, ale to zbyt niebezpieczne – odparł Cebolla. Potem zwrócił się do jednego ze swoich ludzi: – Pacho, zaczekaj na dziewczynę. Jeżeli wróci, zabierz ją do szałasów Monts d’Olme. Niemcy was tam nie znajdą.

Partyzant skinął głową i pobiegł w stronę łąki, trzymając pistolet maszynowy gotowy do strzału.

Uruchomiony silnik ryknął, ciężarówka przez chwilę drgała. Koła ślizgały się w błocie, ale w końcu wóz wytoczył się na drogę i zaczął oddalać się od zaimprovizowanej zasadzki.

– Nie, stop! – ryknął Malorley, który stał, zaciskając ręce na lornetce. – Tam, na łące! To Jane! Udało się jej!

Laure przytuliła się do niego, trzymając się brezentu. Cebolla uderzył w blachę dzielącą ich od kabiny kierowcy.

– Zatrzymaj się, Pepe!

Ciężarówka stanęła.

W lusterku widać było sylwetkę Jane.

Dziewczyna zbiegała ze zbocza. Nie miała już broni.

Anglikowi serce skoczyło do gardła.

– Da radę!

Jane biegła ile sił w nogach, ale za nią pojawiło się dwóch ludzi. Uzbrojonych.

– Niemcy!

– Szybciej, do diabła! – krzyczał Malorley, zaciskając ręce na poręczy.

Pokonała ponad trzy czwarte odległości, kiedy znów nastąpił wybuch.

Potężny podmuch rzucił dziewczynę do przodu; leciała, jakby potknęła się o niewidoczną przeszkodę.

– Nie! – krzyknął Anglik.

Widział, jak dziewczyna próbuje się podnieść, jak wyciąga rękę ku czarnemu niebu i znów upada. Malorley ścisnął lornetkę, jakby chciał ją zmiażdżyć. Bezradny obserwator, czuł, jak narasta w nim wściekłość.

– Jest ranna. Trzeba po nią iść!

Hiszpan położył mu rękę na ramieniu.

– Nie zdążymy. Tylko Pedro może ją uratować. Jeżeli Jane jeszcze żyje.

– Wykluczone – sprzeciwił się Malorley, odpychając go. – Jeżeli brak wam odwagi, pójdę sam. Odpowiedzialność biorę na siebie, ja dowodzę tą akcją.

Szef SOE już zamierzał wysiąść, kiedy poczuł, że coś twardego dotyka jego potylicy.

– Nie, señor. Przejmuję dowodzenie – powiedział Cebolla, zaciskając palce na rękojeści pistoletu.

Zanim Anglik zdążył powiedzieć słowo, Hiszpan wymierzył mu cios w głowę. Malorley osunął się na deski. A Cebolla na oczach osłupiałej Laure puknął w ściankę kabiny.

– Vaya, Pedro!

Nieco wyżej, na łące katarów, leżała z rozpostartymi rękami Jane. Nie mogła wstać, nic nie słyszała, bo wybuch rozerwał jej bębunki.

Teraz wszystko stało się takie spokojne, takie ciche.

Leżała na plecach, z głową na chłodnej trawie, dokładnie tam, gdzie przed wiekami nocą obróciło się w proch dwustu niewinnych ludzi. Wpatrywała się w atramentowe niebo upstrzone srebrzącymi się punkcikami. Nie czuła bólu. Jej świadomość ulatywała pod rozgwieżdzonym niebem.

CZĘŚĆ TRZECIA

W środku wysokiej skały,
Co stromo piargi ścieli,
Śpi wielki Barbarossa,
Stary cesarz Fryderyk.

[...]

Cesarz nigdy nie umarł,
On żyje po dziś dzień,
Ukryty w swym pałacu,
Zapadł w głęboki sen.
Odszedł, kiedy świetności
Cesarstwa [Rzeszy] nadszedł kres,
Lecz jeszcze tu powróci,
Cesarstwo wróci też.

Friedrich Rückert, Der alte Barbarossa, wiersz, którego uczono
na pamięć we wszystkich szkołach Rzeszy (przeł. W. Radwański)

Berghof
Maj 1941

Przy wyjeździe z Salzburga mercedes wspinał się doliną Salzachu, a następnie zwolnił, zapuszczając się między pierwsze pasma Alp Bawarskich. Siedzący z tyłu Joseph Goebbels zamknął oczy. Od najmłodszych lat czuł odrazę do gór. Gołe wyżyny, zaśnieżone wierzchołki przejmowały go wstrętem, jego, berlińczyka z wyboru, nie potrafiącego żyć inaczej niż w zawrotnym rytmie stolicy. Niestety Führer miał diametralnie różne upodobania – opiewał czystość gór i zachwycał się przejrzystym niebem nad szczytami. To umiłowanie skłoniło go do budowy alpejskiej rezydencji, Berghofu, do której przenośli się już wiosną wraz z najbliższymi. Tu realizował swą pasję, odbywając długie wędrówki, a przede wszystkim gorące dyskusje pod gwiazdami. Goebbels pokręcił głową. Niekończące się monologi Hitlera pod gołym niebem były jego zmorą: on, który wychodził z siebie, kiedy nie mógł mówić, musiał godzinami słuchać lirycznych wlotów wodza rozwodzącego się nad zaletami diety wegetariańskiej albo wychwalającego opery Wagnera.

– Dojeżdżamy do Berchtesgaden, proszę pana.

Joseph odpowiedział na słowa kierowcy lekkim skinieniem głowy. Nigdy nie wdawał się w pogawędki ze służbą – to była jego zasada. Tym bardziej że podejrzewał Himmlera o utrzymywanie siatki informatorów w jego otoczeniu. To zresztą wcale nie było dziwne, bo szef SS i Gestapo był paranoikiem i nieustannie szpiegował wszystkich starych towarzyszy, dygnitarzy obecnego reżimu. Choćby w ubiegłym tygodniu Berlin obiegała idiotyczna pogłoska: Göring, który – jak było powszechnie wiadome – kolekcjonował obrazy, rzeźby – miał ulec nowej pasji i... zbierać staniki, wypełniając nimi całe witryny³¹. Pojawiła się nawet fotografia tego zbioru. Zdaniem Goebbelsa za tymi pogłoskami bez cienia wątpliwości stał Himmler, który podjął kolejną próbę osłabienia pozycji dowódcy Luftwaffe, by zająć jego miejsce zaufanego człowieka Hitlera.

Opony zgrzytały na żwirowej drodze wiodącej do willi Führera. Joseph zmrużył oczy, patrząc na ogromną białą fasadę skąpaną w słońcu. Okna balkonowe były szeroko otwarte. Hitler przeżuwał gniew na tarasie. Tym razem Himmlera i Göringa czekały ciężkie chwile. Karzeł, jak przezywali go inni dygnitarze, lekceważąco wzruszył ramionami. Jak dowódca Luftwaffe mógł dopuścić do ucieczki Hessa, który odleciał sobie samolotem? Jak szef SS, który wszystkich śledził, mógł niczego nie zauważyć? Czy to karygodne zaniedbanie czy

świadomy współdziałł? Już nie wspominając o tym, że Himmlera i Hessa łączyło głębokie zamiłowanie do tego idiotycznego okultyzmu, z którego trzeba jak najszybciej oczyścić nazizm.

Samochód zatrzymał się przy budce strażnika. Podoficer wyszedł z niej i okrążył pojazd. Na widok ministra propagandy zsalutował. Joseph się uśmiechnął: Göring pogrążony w erotycznych fantazjach, Himmler zanurzony w świecie ezoteryki, Hess zbiegły do wrogiego państwa... Czuł, że po tym pobycie w Berghofie może w końcu polubić góry.

Siedząc w wiklinowym fotelu, Hitler wpatrywał się spod bawarskiego kapelusza, który rzucał cień na jego twarz, w masyw Obersalzbergu rysujący się na tle nieba w promieniach zachodzącego słońca. Ten widok nigdy go nie nudził, a to nie tylko ze względu na dzikie piękno, ale też z powodu fascynującej legendy. To tam, w tajemnej komnacie ukrytej w trzewiach góry, miał spoczywać pogrążony w głębokim śnie cesarz Fryderyk Barbarossa. Według przepowiedni w dniu, w którym kruki spadną z nieba, monarcha obudzi się i przywróci swe imperium na kolejne tysiąc lat. Hitler nie mógł nie utożsamiać się z legendarnym cesarzem. Po raz pierwszy odwiedził ten region na początku lat dwudziestych, będąc zaledwie jednym z wielu agitatorów politycznych, kiedy partia narodowosocjalistyczna składała się tylko z grupki gniewnych ludzi. Jego mentor, Dietrich Eckart, poradził mu, żeby odpoczął i nabrał sił na powietrzu, w górach, z dala od wyziewów Monachium.

– Pokażę ci górę starego cesarza. Czarodziejską górę.

Oczarowała go, urzekła. To był znak od losu. Od jego przeznaczenia. Pewnego dnia on także przemienił legendę w rzeczywistość. Po latach wybudował sobie swe orle gniazdo, Berghof, schronienie. Spośród wszystkich oficjalnych rezydencji tę lubił najbardziej. Właśnie w Berghofie podejmował wszystkie najważniejsze dla Niemiec decyzje. I dla Europy. Lubił myśleć, że naprzeciwko, w Obersalzbergu, stary cesarz w milczeniu czuwa nad nim i wspiera go. A także uspokaja.

Jednak tym razem Hitler nie był w stanie odzyskać pogody ducha. Trawił go gniew. Na najstarszego przyjaciela, który go zdradził.

– Mein Führer, przyjechali.

Głos Martina Bormanna, sekretarza, wyrwał go z zadumy.

Zwrócił na niego oczy. Jak zawsze kiedy ogarniał go gniew, prawa ręka mu drgała, czego otoczenie starało się nie zauważać.

– Wszyscy już są?

– Feldmarszałek Göring i Reichsführer Himmler czekają, mein Führer. Ponieważ ma to być narada w ścisłym gronie, nie wzywałem ani szefa sztabu Keitla, ani Alberta Speera.

– A Goebbels?

– Przed chwilą przyjechał.

Hitler wstał i poszedł do salonu głównego. Mimo że słońce grzało szyby, w kominku z czerwonego marmuru palił się ogień. Ten kominek był prezentem od Mussoliniego. Führer wszedł po trzech stopniach dzielących salon na dwie części i usiadł w lewym rogu pomieszczenia, pod którego prawą ścianą stało duże biurko zarzucone mapami Europy Wschodniej. To był jego ulubiony zakątek – kanapa, dwa stare fotele i niski, podniszczony stolik. Funkcjonalność i prostota. Położył ozdobiony piórkami kapelusz – bawarski symbol, którego nie cierpiał, ale trzeba było zdobyć się na ten ukłon wobec lokalnego kolorytu – i skupił wzrok na plafonie kasetonowym. Belki tworzyły doskonałą symetrię. Właśnie tego potrzebował, żeby skupić myśli. W Berghofie nic nie mogło odciągać jego uwagi od myśli i marzeń. Czyste, wyraźnie zarysowane linie, duże okna wpuszczające światło, niewiele mebli... Za nim stał w milczeniu Bormann. Za nic na świecie nie przerwałby medytacji Führera, nie wspominając o tym, że z radością kazał czekać Goebbelsowi, Himmlerowi i Göringowi, czym wzbudził w nich niepokój. Trzy wielkie bestie Rzeszy w Berghofie musiały nauczyć się zachowywać jak zwierzęta domowe – lękliwe i podporządkowane.

Hitler nadal snuł rozmyślenia. Odwrócony plecami do ognia, z rękami opartymi na podłokietnikach i półprzymkniętymi oczyma, wyglądał jak śpiący drapieżnik, ale Bormann wiedział, że szykuje się do pożarcia ofiar.

– Niech wejdzie Göring. Sam.

Ciężkie buty feldmarszałka uderzały o marmur jak kowalski młot. Ogr znowu przytył, pomyślał władca Rzeszy, słysząc, jak dyszy na schodach.

– Mein Führer!

– Siadaj, Hermannie.

To była jedna z tajemnic Hitlera: mimo że kipiał gniewem, potrafił zapanować nad głosem, nadając mu spokojne brzmienie, co jednak nigdy nie trwało długo. Göring pojawił się w mundurze szefa Luftwaffe, obwieszony odznaczeniami, które podzwaniały, kiedy tylko drgnął. Czoło miał zroszone potem i wciąż mrużył zaczerwienione oczy. Strach odciskał się na jego twarzy piętnem silniejszym niż rozpasanie. Hitler splótł ręce na piersi i zapytał:

– A zatem samolot może przelecieć nad Niemcami, od Bawarii po Morze Północne, pokonać La Manche, przefrunąć nad Anglią i wylądować w Szkocji, a ty nic o tym nie wiesz?

– Mein Führer, proszę pozwolić, że wyjaśnię: Hess wykorzystał niezarejestrowaną oficjalnie maszynę. Prototyp samolotu, na którym, co podkreślam, trenował od wielu tygodni.

– Ta informacja jest pewna? – Hitler zmarszczył brwi.

– Całkowicie. Służby Luftwaffe przesłuchały mechaników odpowiedzialnych za stan maszyny. Wszystkie zeznania są zgodne.

– Od wielu tygodni... – powtórzył Führer. – Chcesz mi powiedzieć, że to była zaplanowana i przygotowana ucieczka?

– Wszystko na to wskazuje – odparł Göring. – Ale... nie ja jestem odpowiedzialny za pilnowanie go.

Hitler zwrócił gniewne spojrzenie na Bormanna.

– Wprowadź Himmlera i Goebbelsa.

Znów stukot butów, ale tym razem szybszy. Himmler strzelił obcasami, potem skłonił głowę. Joseph szedł jeszcze po schodach, bo sztywna noga utrudniała mu poruszanie się.

– Heinrich, jak to się stało, że kryminalne działania Hessa nie zostały wykryte?

– Mein Führer, mówimy o jednym z najwyższych postawionych polityków w kraju – odparł szef SS. – Policja nie miała podstaw, by go obserwować.

Göring prychnął.

– Daj spokój, Heinrich, każdy z nas ma swoją teczkę w twoich zbiorach! A ty dbasz, żeby starannie uzupełniać te akta. Każda pogłoska, byle plotka jest tam odnotowana. Coś o tym wiem! Niemożliwe, żebyś nie został poinformowany o przygotowaniach Hessa do ucieczki.

– Hermann, przypominam ci, że wystartował z lotniska Luftwaffe, więc trudno uwierzyć, że o tym nie wiedziałeś.

Hitler zerknął na Goebbelsa, a potem warknął:

– Bormann, raport!

Sekretarz wyjął z kieszeni notes i przeczytał:

– Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami Hess wystartował z bawarskiego lotniska wczoraj pod pozorem lotu ćwiczebnego. Samolot, Messerschmitt 111, został na jego prośbę wyposażony w dwa dodatkowe zbiorniki. Ponieważ często testował ten samolot, co zostało uzgodnione z zakładem, który go wyprodukował, ta prośba, choć zaskakująca, nie wzbudziła podejrzeń mechaników.

Hitler o mało nie wyskoczył z fotela.

– To niedopuszczalne, żeby ludzie, na których spoczywa odpowiedzialność za niemiecki wysiłek zbrojeniowy, stali się współnikami...

Bełkotał, gniewnie waląc ręką o blat stołu. Teraz zawładnął nim gniew. Nie był już w stanie dokończyć zdania.

– Mein Führer, dokonujemy właśnie ich aresztowań pod pozorem wezwania na zebranie robocze w Berlinie – uzupełnił Himmler.

– I jak przypuszczam, w drodze przytrafi im się wypadek? – zaśmiał się szyderczo Ogr.

– Kontynuuj, Bormann.

– Samolot przeleciał nad Niemcami aż do Morza Północnego, potem dołączył do bombowców lecących na Londyn. Tam tracimy jego ślad na radarach.

– Hess był doskonale poinformowany – stwierdził Himmler, przecierając okrągłe szkła. – Ale ja oczywiście nikogo nie oskarżam.

Rozwścieczony Göring rzucił mu spojrzenie tak ponure jak niebo przed burzą.

– Tego ranka – podjął Bormann – nasza siatka wywiadowcza w Anglii poinformowała, że samolot Hessa rozbił się w południowo-zachodniej Szkocji, kilka kilometrów od Glasgow, pod miasteczkiem Eaglesham.

– Wypadek? – zapytał Goebbels.

– Tego nie wiemy, podobnie jak nie wiemy, dlaczego przelatywał nad Szkocją. Natomiast Hessowi udało się użyć spadochronu. Wylądował zdrow i cały.

– Niestety – podsumował Himmler.

A Hitler zaczął wrzeszczeć:

– Uczestniczył we wszystkich walkach, dzielił ze mną celę, kierował partią, cieszył się moim pełnym zaufaniem! Dlaczego?! Dlaczego dopuścił się zdrady?

– Wyjaśnię powód tej podróży – zawołał Göring. – Hess to wariat, który wyobraża sobie, że pisana mu jest wielka przyszłość. Każe sobie stawiać horoskopy, słyszy głosy. Utrzymuje armię astrologów, którzy poświęcają czas na układanie horoskopów. Wszyscy pamiętamy, jak oznajmił nam, że Churchill straci władzę, bo tak jest zapisane w gwiazdach. Oczywiście według niego... To wariat, któremu pomieszało się w głowie od okultyzmu. Zresztą nie jemu jednemu.

– Bardzo prawdopodobne – dodał Goebbels – że obracając się wśród tych nawiedzonych, Hess popadł w swego rodzaju obłąd. To zresztą wyjaśniałoby jego postępek. Zapewne uwierzył, że ma wypełnić powierzoną mu przez siły nadprzyrodzone misję, której celem byłoby doprowadzenie do pokoju między naszym krajem a Anglią.

– Tak sądzisz? – zdziwił się Hitler.

– Oczywiście, i nie wątpię, że renomowany psychiatra mógłby to oficjalnie potwierdzić. Nasz przyjaciel Hess, człowiek bez reszty oddany naszej sprawie, psychicznie nie wytrzymał ciężaru odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła. To ofiara, a nie winowajca.

– Gdyby Hess został uznany za obłąkanego – podjął Göring – jego postępek nie miałby już charakteru politycznego, a jedynie patologiczny i to by wszystko zmieniło.

– Zwłaszcza gdyby diagnoza została postawiona już kilka miesięcy temu – podsunął Goebbels. – Jeżeli podejmiemy taką decyzję, wyślę odpowiednio sformułowany komunikat do wszystkich gazet niemieckich i europejskich.

Po chwili milczenia Karzeł podjął:

– Dobra propaganda, tego właśnie potrzebujemy! Zresztą przyszła już pora, żeby zrobić porządki w naszych szeregach. Trzeba skończyć z tymi wszystkimi, którzy wierzą, że wojnę można wygrać dzięki horoskopom, rytuałom i całej reszcie bzdur... To wypaczenie niemieckiego ducha, więc nie wolno nam go tolerować!

Göring zerknął na Himmlera. Na jego stłuszczonej brodzie majaczył już obwisły uśmiech.

– Całkowicie zgadzam się z Josephem. Proszę wydać rozkazy, mein Führer, trzeba raz na zawsze skończyć z tą idiotyczną perwersją.

Spokojny i dobitny głos Himmlera zaskoczył wszystkich.

– Sprawa jest już załatwiona. Moi esesmani aresztowali grupę astrologów pracujących dla Hessa. Zaczną mówić, i to bardzo szybko.

Hitler, którego napięcie kompletnie rozstrajało, natychmiast się odprężył.

– Na szczęście jesteś na posterunku, Heinrich.

W tej samej chwili twarze Karła i Ogra stały się kamienne, a oni obaj powściągali wściekłość: Himmler znowu się wywinął. Jeden z adiutantów uchylił drzwi salonu, wśliznął się jak cień i po cichu podszedł do stołu, przy którym odbywała się narada.

– Reichsführer jest proszony do telefonu. To pilne.

Göring syknął jak wąż:

– Idź, Heinrichu, jestem pewien, że astrologowie mają ci dużo do powiedzenia. Sądzisz, że już wiedzą, jaka czeka ich śmierć? Co mówią gwiazdy? Szubienica czy pluton egzekucyjny?

Himmler pokręcił głową.

– Ani jedno, ani drugie. Wkrótce powstanie nowy obóz koncentracyjny w Birkenau. Udadzą się na jego otwarcie.

Adiutant podał mu słuchawkę.

– Reichsführer?

Himmler poznał podenerwowany głos Eriki von Essling:

– Mamy ją!

Berlin

Maj 1941

Tristan wyglądał przez okno pokoju. Wciąż tam byli. Zaparkowali po drugiej stronie ulicy i obserwowali wejście do hotelu. Francuz widział, jak co godzinę wysiadają z auta i przechadzają się po chodniku. Dwa molosy o szczękach tak kanciastych jak ramiona, gorsze od psów stróżujących. Poirytowany Tristan odsunął się od okna i usiadł na łóżku. Żle spał. To był sen upstrzony brutalnymi scenami, w których nieustannie powracały dwie swastyki, Weistort leżący na ziemi w kałuży krwi, metaliczny dźwięk odbijających się rykoszetem kul... Istny danse macabre.

Po odnalezieniu swastyki i ataku partyzantów wszystko potoczyło się bardzo szybko. Heinkel w barwach Luftwaffe zabrał jego i Erikę na lotnisko wojskowe w Pamiers. Weistorta przewieziono do szpitala we Foix. Był w stanie krytycznym.

Ich samolot miał międzylądowanie w Chalon-sur-Saône, gdzie uzupełnił paliwo, ale nie zezwolono im opuścić pokładu. Potem polecili już bezpośrednio do Berlina. Tuż po lądowaniu na Tempelhofie rozdzielono ich. Erika ze swastyką wsiadła do jednego samochodu, on w towarzystwie dwóch gestapowców do drugiego.

Wciąż byli na dole.

Prawdopodobnie czekali na decyzję co do jego dalszych losów.

Skoro Weistort nie był w stanie zeznawać, tylko Erika mogła go jeszcze ocalić, ale przecież odeszła bez słowa.

Podszedł do lustra wiszącego na ścianie. Przez chwilę patrzył na swoją twarz, na malujące się na niej zmęczenie, które podkreślał już kłujący zarost. Nie poznawał samego siebie. Miał ostre spojrzenie, jego ciało mocno wychudło. Wyglądał, jakby wyrwał się z piekła. Zastanawiał się, co się stało z Laure. Podczas tego starcia w grocie gdzieś się ulotniła. Nawet jeżeli tam nie zginęła, już nigdy jej nie zobaczy. Dzień, kiedy ujrzał ją na Montségur, tak kategoryczną i ciskającą gromy szarymi oczyma, wydawał mu się teraz odległy o lata świetlne. Jeszcze raz przejrzał się w lustrze, potem uniósł głowę. To nie była pora na rozmyślanie o przeszłości.

Zrobił to, co musiał.

Ktoś zapukał do drzwi. Tristan instynktownie się cofnął. Nie mógł liczyć, że przyniesiono mu śniadanie do pokoju... Sięgnął po koszulę i szybko ją włożył. Znów rozległo się pukanie.

Gdyby przyszli po niego gestapowcy, nie bawiliby się w takie grzeczności. Tristan głęboko odetchnął i otworzył drzwi.

Przed nim stała Erika.

Odmieniona nie do poznania. Pani archeolog zniknęła. Nie nosiła już ani szarych płóciennych spodni, ani poplamionej błotem kurtki – była ubrana w dopasowaną spódnicę i szmizjerkę, która cudownie podkreślała dotąd tak skrzętnie ukrywane kształty. Tristan stał nieruchomo, oniemiały.

– Nie zaprosisz mnie?

To, że zwróciła się do niego per ty, też było nowością. Francuz się cofnął, a Erika von Essling podeszła prosto do lustra, by poprawić włosy. Nie była dziś uczesana w warkocze, jasne pukle wiły się i tańczyły po jej szyi.

– Do tej chwili mój pobyt w Berlinie był raczej smutny... – zaczął Tristan, usiłując pozbierać myśli.

Ale Erika wcale go nie słuchała. Wyglądała przez okno. Jeden z gestapowców wysiadł z samochodu i ruszył w stronę kawiarni na rogu ulicy.

– Chce zatelefonować. Mamy mało czasu.

– Mało czasu na co?

W jej spojrzeniu coś się zmieniło. Wpatrywała się oczyma o kształcie migdałów w jego twarz z niezwykłą uwagą, jakby dostrzegła w nim coś, o czym sam nie wiedział.

– Wtedy w grocie... dlaczego mnie uratowałeś?

Tristanowi stanęła przed oczyma tamta scena, moment, gdy nie dopuścił do jej śmierci. Dlaczego stanął na drodze losowi? Odpowiedź mogła być tylko jedna, ale nie nadszedł jeszcze czas. Von Essling podeszła.

– Weistort był już wyłączony z gry. Wystarczyło, żeby umarła, a odzyskałbyś wolność. Ta Francuzka pomogłaby ci uciec.

Tristan rozłożył ręce i patrzył na nią, lekko stropiony.

– Jaką wolność? Żeby ukrywać się jak szczur w górach Ariège, czekając na hipotetyczną klęskę Niemiec? W kompanii tych zawszonych partyzantów? Być ściganym przez francuską żandarmerię i pułk żądnych zemsty esesmanów? Dziękuję, ale dałem z siebie już dosyć podczas pobytu w Hiszpanii. Wolę życie, które przynosi... więcej korzyści.

Podeszła jeszcze bliżej, oczy jej błyszczały.

– Choćby to miało być życie pod sztandarami narodowego socjalizmu?

– Jestem pewien, że w tym pokoju są podsłuchy umieszczone przez twoich przyjaciół z Gestapo, ale nic mnie to nie obchodzi. Ideologie przyprawiają mnie o mdłości, ślicznotko. Wszystkie obiecują raj, a dają tylko piekło. Nazizm, komunizm, liberalizm, socjalizm, anarchizm, patriotyzm... Dostaję wysypki na dźwięk słów kończących się na -izm.

– Naziści chcą stworzyć nowy świat. Właśnie rodzi się wielka Europa, więc będą potrzebowali wszystkich.

– Spróbuj powiedzieć to Żydom, ale uprzedzam, że raczej nie zachwyci ich świetlana przyszłość, jaką obiecuje twój Führer.

Dzieliło ich już tylko kilka centymetrów. Tristan pochylił się i szeptał jej do ucha.

– Gwiżdżę na tę twoją wielką Europę, na twojego Hitlera, na Pétaina, Stalina i całą resztę po przeciwnej stronie. Chcę tylko wygrać dla siebie, ile się da. Pomogłem wam odnaleźć tę cholerną swastykę. Czekam na stosowne wynagrodzenie.

– Przynajmniej jesteś szczerzy – rzuciła z ironicznym uśmiechem. Uniosła rękę i musnęła palcami policzek Tristana. – Co do wynagrodzenia, to ode mnie możesz otrzymać tylko jedno... – Wymownie spojrzała mu w oczy, a potem rozpięła górny guzik bluzki. Mały guzik z masy perłowej, który błysnął jak zmruczenie oka przeznaczenia. – Czy to wystarczy, żebyś powiedział, dlaczego mnie uratowałeś?

Dłonie Tristana delikatnie oparły się na jej biodrach. Jej ciało pod spódnicą było niczym gorąca, pełna życia obietnica. Wydawało mu się, że już zapomniał, jakie to uczucie.

Dekolt bluzki się pogłębiał. Pod cieniutką tkaniną rysowały się wznórki piersi i sutki wyprężone tak, jakby ruszały do szturm na niebo. Pochylił się, układając wargi do pocałunku. Skóra jej dekoltu była tak delikatna jak morska piana w upalny dzień. Tristan poczuł, że palce Eriki zanurzają się w jego włosach. Oboje oddychali coraz szybciej. Pokój przestał istnieć. Miejsce i czas odpływały w dal. Jak w starych baśniach magiczna mgła spowiła świat, aby ochronić ich przed spojrzeciami. Usta Tristana wędrowały w górę, ku twarzy Eriki, przesunęły się po szyi, by całować rozpalone policzki. Erika rozpięła już guziki jego koszuli i pieściła delikatną dłonią twardą męską skórę.

Pod palcami czuła, że ciepło ogarnia to ciało, jakby Tristan wracał do życia za sprawą jej pieszczot. Zaczęła wędrowkę w dół.

W jej oczach rozbłysły figlarne ogniki, jakich nigdy u niej nie widział.

– Chyba dostałam już odpowiedź.

Tristan chwycił ją w ramiona i namiętnie pocałował. Jego ręce stały się bardziej nachalne, zuchwalsze. Żądza w nim pałała. Od ponad roku nie tknął kobiety, a ta, którą miał teraz obok siebie, była niezwykle zmysłowa.

Erika wydała przeciągły jęk, który go rozpałił.

Drżała w jego dłoniach i już po kilku sekundach leżeli razem na łóżku. Ich ubrania opadały na podłogę, zostawiając miejsce zniecierpliwionym, namiętym ciałom.

Nazajutrz obudził się bardzo późno. Jeszcze oszołomiony przewrócił się na łóżku, po omacku szukając kochanki.

Ale łóżko po obu stronach było puste.

Erika zniknęła. Uleciała.

Zastanawiał się przez krótką chwilę, czy ta magiczna noc nie była tylko snem. Usiadł na skraju łóżka obolały i rozejrzył się po pokoju. A raczej po swoim więzieniu.

Poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku. Przemknęło mu przez myśl, że dar Eriki mógł być prezentem dla skazańca tuż przed egzekucją.

Drzwi, które otwały się z trzaskiem, dały odpowiedź na to pytanie.

Dwaj mężczyźni w płaszczach z czarnej skóry wtargnęli do pokoju. Stanęli przed nim, trzymając ręce w kieszeniach. Ich twarze były nieprzeniknione. Jeden rzucił mu spodnie na pomiętą pościel.

– Francuz, idziesz z nami.

Szkocja
Maj 1941

Mimo opaski na oczach i skutych kajdankami rąk Hess szybko się zorientował, że w końcu jest przewożony. Cichy pomruk silnika, delikatne obicie siedzeń... Jechał luksusowym samochodem, a nie, jak poprzednio, na wilgotnej ławie ciężarówki, którą przetransportowano go po nieudanym lądowaniu do najbliższego więzienia. Przez trzy dni pozwolono, żeby gnął w ciasnej celi jak zwyczajny złodziej przyłapany na kradzieży kur. Pojawił się lekarz, który zabandażował kostkę zwichniętą przy awaryjnym lądowaniu, dano mu też za duży garnitur i parę butów bez sznurowadeł, a potem nareszcie go przesłuchano. I wtedy Hess osłupiał. Niestarannie ogolony podoficer postawił na stole maszynę do pisania, zapalił papierosa i dopiero potem flegmatycznym głosem zapytał go, kim jest.

– Rudolf Hess.

Wojskowy z całkowitą obojętnością napisał jego nazwisko, zadał kilka rutynowych pytań, zgniółł papierosa w popielniczce i wyszedł bez słowa. I przez dwa dni Hess siedział sam, widując tylko strażnika, który przynosił mu posiłki. Aż nagle sprawy nabrały tempa. Przyszedł golibroda, potem fryzjer – wszystko pod nadzorem uzbrojonych wartowników. Przyniesiono mu tweedowy garnitur i lakierki. Ledwie zdążył je zasznurować, a już zasłonięto mu oczy i wsadzono go do auta, które mknęło przez noc.

Mimo zasłoniętych oczu Hess czuł, że rozpiera go duma. Teraz zaczynała się jego prawdziwa misja. Za kilka godzin, za kilka minut zostanie oficjalnie przyjęty, a wtedy... O mało nie wybuchnął jadowitym śmiechem na myśl o żołnierzu, o tym podoficerku, który z taką obojętnością zapisał jego nazwisko. Powinien już gryźć paznokcie i walić głową w ścianę. W Niemczech by go rozstrzelano. Wyobrażał sobie zdumienie brytyjskiego rządu. Co? Hess? Jeden z najbliższych towarzyszy Führera? Tu, w naszym kraju? Na pewno ogarnia ich panika. Skoro aż tak długo nie podejmowali decyzji, to zapewne potrzebowali czasu, żeby otrząsnąć się ze zdumienia. Kogo wysłać, by z nim negocjował? Churchilla? Ale on jest bliski utraty władzy. Może jego następcę? Tak, lorda Halifaxa. Hess błyskawicznie owinie go sobie wokół palca. Niesie pokój, pokocha go cała Anglia. Może nawet zostanie zaproszony do pałacu Buckingham. Astrologowie wprawdzie tego nie przewidzieli, jednak teraz wszystko jest możliwe... A miny Goebbelsa i Göringa, kiedy zobaczą jego, Hessa, siedzącego obok króla...!

Samochód się zatrzymał. Trzasnęły drzwi. I dłoń w rękawiczce pomogła mu wysiąść.

– Zdejmijcie mu opaskę i kajdanki.

Zaczynało świtać. Hess przetaił oczy. Stał przed portalem starego kościoła z szarą wieżą, która wznosiła się nad cmentarzem. Omszałe krzyże wyglądały, jakby od lat nikt o nich nie pamiętał. W dole słychać było szum potężnego strumienia. Cóż, Anglicy naprawdę potrafią kreować atmosferę, wybierając scenografię! – pomyślał Hess. Oficer dał mu znak, by ruszył. Hess odczekał kilka sekund, by tamten nie pomyślał, że jest mu posłuszny, potem przeszedł przez dziedziniec. Przez chwilę się zastanawiał, czy to nie pułapka. A jeśli brytyjskie władze utrzymały jego lądowanie w ścisłej tajemnicy? Jeżeli rząd Churchilla, żeby nie stracić twarzy i władzy, podjął decyzję o pozbyciu się go? Czyż stary kościół, zagubiony gdzieś na prowincji, nie jest do tego idealnym miejscem? Może nawet jest tu krypta? I skończy tam pod kamienną płytą, na zawsze anonimowy...

– Ktoś na pana czeka.

Na środku nawy przejście blokował stół. Przy nim naprzeciwko siebie ustawiono dwa krzesła. Hess kaszlnął. Gdzieś musiały się palić świece. Nie lubił tego gryzącego zapachu religii. Zaskrzypiały drzwi. Rudolf odwrócił głowę. Pojawiła się potężna postać, potem ciężka ręka zgmiotła cygaro w najbliższej kropielnicy. Powiernik Führera odgadł, zanim głos wypełnił nawę:

– Wierzy pan w Boga, mister Hess?

Na scenę wkroczył Churchill.

W ustach buldoga pojawiło się nowe cygaro, przez krótką chwilę płonęła zapalka. Hess, podobnie jak Hitler, nie palił, nie pił i drastycznie ograniczył spożycie mięsa. Dyscyplina i szacunek dla ciała były najważniejsze, gdy tworzyło się nową cywilizację, która miała przetrwać tysiąc lat. Imperium Brytyjskie, jeśli było podobne do swego przywódcy, dożywało swych dni. Premier nie dość, że niszczył swe płuca potężnymi kłębami hawany, wyraźnie cierpiał też na poważne dolegliwości wątroby, o czym świadczyły pęknięte naczynka krwionośne w jego oczach i zaczerwieniona, niezdrowa skóra nosa. Alkoholik, pomyślał Hess.

– Nie odpowie pan na moje pytanie?

– Osobiście nie wierzę w Boga, wierzę natomiast w przeznaczenie. A dziś przeznaczenie jest niemieckie.

Buldog usiadł. Hess słyszał jego oddech – głośny i szybki.

– Czy to przeznaczenie sprawiło, że skoczył pan ze spadochronem nad Szkocją?

– Zdecydowanie.

– Pański wódz jest zdecydowanie odmiennego zdania.

Churchill skinął na oficera, który podszedł i położył na stole stos niemieckich gazet.

– Od pańskiego spektakularnego lotu z Niemiec nie schodzi pan z pierwszych stron. Proszę to przejrzeć.

Rudolf ogarnął tytuły spojrzeniem i wzruszył ramionami. Spodziewał się tego. Oczywiście, że ani Hitler, ani partia narodowosocjalistyczna nie mogli publicznie mówić o realnym celu jego misji.

– Hess jest szalony? – przeczytał Churchill. – Hess dotknięty chorobą umysłową? Pański przyjaciel Goebbels właśnie przygotowuje opinię publiczną. Dziś podejrzewa się, że pan oszalał, jutro pojawią się na to dowody. Karzeł nie zmarnuje takiej okazji, żeby się pana pozbyć.

– Faktycznie przygotowujemy opinię społeczną, ale na coś zupełnie innego. A w tej grze jesteśmy od was znacznie lepsi.

– Jeżeli ma pan na myśli swoich przyjaciół, czyli Göringa i Himmlera, to są przede wszystkim znacznie silniejsi od pana i postarają się szybko zająć jeszcze ciepłe miejsce po panu u boku Hitlera. Mister Hess, jest pan skończony.

– To pan jest skończony jako premier, Herr Churchill.

Panowie patrzyli na siebie jak dwaj pokerzyści, starając się odgadnąć, który blefuje. Winston Churchill pierwszy odkrył karty.

– Oto pierwsza strona jutrzejszego „Timesa”. Muszę przyznać, że szczególnie przypadł mi do gustu ten tytuł: Rudolf Hess prosi o azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. Przyjaciel Hitlera, który ucieka przed dyktaturą w swojej ojczyźnie, żeby schronić się w najlepszej z demokracji... Cały świat będzie to czytał...

– Zwłaszcza kiedy się dowie, że przyjechałem, aby w imieniu Führera przynieść pokój.

Winston uniósł ciężką od braku snu powiekę.

– Pan miałby przynieść pokój?

– Tak, pokój, który gwarantuje byt pańskiego imperium. Od Kanady po Indie przez Afrykę.

– A dla was Europa, tak?

– Dla Anglii dominacja na morzach, dla Rzeszy władza na lądzie.

Buldog odwarknął bez namysłu:

– Nigdy.

Hess roześmiał się drwiąco.

– Proszę mi nie wmawiać, że troszczy się pan o losy Europy. Francuzami pan gardzi, o Czechach i Polakach nic nie wie... Nie, jeżeli odrzuca pan propozycję pokoju, to wyłącznie dlatego, że chce pan utrzymać władzę.

– My, Anglicy, uwielbiamy mówić źle o przyjaciółach, jednak to nasi przyjaciele. Naród wybrał mnie po to, żebym wygrał tę wojnę.

– A co powie naród, kiedy zrozumie, że jego dzieci giną od bomb wyłącznie po to, żeby stary alkoholik mógł popijać whisky przy Downing Street 10?

Churchill wstał, zapalił cygaro, a potem przywołał oficera czekającego przy drzwiach.

– Proszę odprowadzić pana Hessa do jego tymczasowej rezydencji.

Rudolf Hess również wstał.

– Odrzuca pan moją ofertę?

– Nie ma i nie było żadnej oferty.

– W takim razie przegra pan tę wojnę. Anglia została sama.

Churchill spojrział na niego spod oka.

– Chyba że wasz wielki Führer wbije sobie do głowy, że musi zaatakować Rosję, jak uczynił kiedyś Napoleon... A wtedy otworzy się drugi front.

Twarz Hessa przelotnie spochmurniała, ale nic już nie powiedział. Choćby chciał, nie mógł zdradzić Führera. Churchill natychmiast zadzwoniłby do Stalina, żeby go ostrzec. Próbował nawiązać telepatyczny kontakt z Baldurem, lecz bóg był dziwnie milczący.

– A może ma pan dla mnie jakieś informacje na ten temat? – próbował pociągnąć go za język premier.

Hess pokręcił głową.

– Nasz wódz i Stalin zawarli pakt o nieagresji. Führer zawsze dotrzymuje obietnic.

– Oczywiście! – Churchill parsknął śmiechem. – Jak w Monachium, kiedy obiecał nam pokój po inwazji na Czechosłowację. Mój poprzednik Chamberlain do dziś dostaje wysypki, kiedy myśli o tym, jak dał się wykiwać. – Buldog odkaslnął, a potem znów przybrał ostry ton. – Dobrze, zmarnowałem już dość czasu. Wkrótce przeniesiemy pana do więzienia bardziej odpowiedniego dla osoby pańskiej rangi. Prawdopodobnie do londyńskiej Tower. Przy odrobinie szczęścia bomba pańskiego przyjaciela Göringa uwolni nas od pana.

Oficer położył rękę na ramieniu Hessa. Spotkanie dobiegło końca.

– To nie bombardowania Luftwaffe zniszczą Londyn – rzucił oburzony Niemiec.

Idący ciężkim krokiem w stronę drzwi Winston Churchill wzruszył ramionami.

– Sam o tym wiem.

Hess drżał z gniewu.

– Nie, tego dokona inna potężna armia! – rzucił. – Armia, która przybędzie z odległych wieków. Niezwyciężona armia, która rzuci Anglię na kolana i pokona cały świat.

Churchill nagle się zatrzymał. Czuł mrowienie na karku. Znał to wrażenie nazbyt dobrze. Doznawał go zawsze, kiedy groziła mu katastrofa.

– Blefuje pan, mister Hess. Taka armia nie istnieje.

– Ma pan rację, Herr Churchill, nie istnieje... jeszcze nie istnieje. Ale my właśnie ją tworzymy. Ściśle mówiąc: ożywiamy.

– Po raz pierwszy od lat będę zmuszony dać wiarę niemieckiej prasie. Pan naprawdę jest obłąkany!

– Tę armię tworzą cztery elementy! Żywioty, z których jeden już odnaleźliśmy, a wkrótce będziemy w posiadaniu drugiego.

– A gdzie go odnaleźliście?

– W Tybecie, w 1939 roku.

Winston Churchill zamarł. Mrowienie w karku ogarniało już jego mózg, a pamięć podsunęła mu nazwisko: Malorley!

– Od tego czasu pokonaliśmy Polskę, Francję, Norwegię, Grecję...

– Dość!

Hess wbił spojrzenie swych stalowych oczu w mętne oczy Churchilla.

– Jeżeli odrzuci pan pokój, to pan okaże się szalony.

Niewyróżniający się samochód wiózł premiera przez wsie w kierunku najbliższego lotniska wojskowego. Cywilny samolot, którego nie ujęto w planie oficjalnych lotów, czekał, aby dyskretnie zabrać Churchilla do Londynu. Wokół podnosiła się mgła. Winston przetaił grubymi palcami zaparowaną szybę, a potem oparł rozpalone czoło o lodowate szkło. Od rozstania z Hessem miał wrażenie, że stalowa obręcz ściska mu głowę. W myślach wszystko mu się mieszało. Malorley, Tybet i ten zamek w ruinie gdzieś na południu Francji. Jak on się nazywał? Wkrótce ciemna wstęga pasa startowego pojawiła się na rozległej równinie. Samochód zaparkował przed hangarem, z którego dochodził głuchy turkot śmigła.

– Samolot jest gotowy, panie premierze. Będziemy w Londynie za...

– Znajdź mi telefon. Natychmiast!

Zaprowadzono go do zakamuflowanego hangaru. W głębi, przy biurku z nielakierowanego drewna, osłupiały technik stanął na baczność.

– Zostawcie mnie samego.

Sekretarka odebrała po trzecim sygnale.

– SOE, sekretariat sekcji F.

– Mówi premier, proszę połączyć mnie z Buckiem!

Churchill nie musiał długo czekać.

– Buckmaster, słucham, panie premierze?

– Są jakieś wieści o Malorleyu?

– Tak, panie premierze, ale...

– Nie każ mi czekać.

– Przykro mi, ale siatka francuskiego ruchu oporu, która zajęła się logistyką jego akcji, została zdemaskowana. Wszystkich jej członków aresztowano.

– Co to oznacza?

– Straciliśmy ich, panie premierze.

Zamek Wewelsburg

Maj 1941

Salon Reichsführera przypominał sale balowe, jakie Erika widywała we Włoszech. Długi, wyłożony parkietem, sprawiał, że niemal się czekało, aż tancerze pojawią się w drzwiach, a w powietrzu zabrzmiały melodyjne dźwięki walca. To było tylko marzenie, bo kiedy Reichsführer wydawał przyjęcia w zamku pośród mgieł, w starych murach nie rozbrzmiewała żadna muzyka, a co gorsza nie można było liczyć, że znajdzie się coś do jedzenia i picia na zawsze skromnie zastawionych stołach. Mimo to, patrząc na twarze zaproszonych dygnitarzy SS, Erika pomyślała sobie, że niektórzy, o już pałających policzkach, musieli o wszystko zadbać...

Młodej kobiecie nie sprawiało przyjemności pozostawanie wśród tej bandy aroganckich samców. Miała ochotę wyjść i wrócić do pokoju, gdzie czekałby Tristan. Nigdy nie zaznała takiego upojenia. Francuz nie był tak przystojny jak jej nieliczni wcześniejsi kochankowie, jednak bez porównania bardziej pociągający. Łagodny i pełen żaru zarazem, nie kochał się z nią tak, jakby była tylko obiektem podboju. I przy nim czuła coś więcej niż tylko rozkosz. Na myśl o tym, że gestapowcy mogą torturować Tristana, przebiegł ją dreszcz. Musiała koniecznie znów pomówić o nim z Himmlerem.

Odsunęła od siebie myśli o Tristanie i przeszła w spokojniejszy zakątek salonu. Od pewnego czasu tak właśnie zachowywała się podczas przyjęć. Ale tym razem dekoracje ścian diametralnie różniły się od tych z pałacu marszałka Göringa. Jej spojrzenie zatrzymało się na czarnym skórzanym pejczu wiszącym na pobielanej wapnem ścianie. Wyglądał jak jadowity wąż wijący się w górę. Nie przypominał tego, który miał jej ojciec, jednak wzbudzał takie same odczucia. Cierpienie, ból i poniżenie. Ojciec używał knuta, plecionego sznura z węzłami, służącego ongiś do poskramiania muzyków w carskiej Rosji. Było to, można rzec, jego narzędzie pedagogiczne, używane wobec służby. I nie tylko.

Odwróciła oczy od nienawistnego narzędzia i zauważyła, że jeden z gości, Hauptsturmführer³², nachalnie się w nią wpatruje. Alkohol, którego zapewne sobie nie żałował, rozpalił jego policzki, uwydatniając liczne blizny znaczące pijacką gębę.

– Otto Skorzeny – przedstawił go Himmler, podchodząc do niej z esesmanem – należy do gwardii osobistej Führera. To jeden z naszych najbardziej obiecujących oficerów.

Kapitan uklonił się Erice.

– A jeśli porusza panią widok tych blizn – dodał Himmler – co zdarza się wielu kobietom, to powinna pani wiedzieć, że są pamiątką po licznych pojedynkach na szablę, które kapitan stoczył w burzliwych latach młodości.

– Trzymałam w rękach czaszki przeżarte przez trąd i takie, które roztrzaskano kamieniem, zdarzały się też szczątki spalonych żywcem, więc te ślady kocich pazurów nie robią na mnie żadnego wrażenia – odparła Erika.

Zbity z tropu i urażony Skorzeny poprzestał na skłonieniu głowy. Potem zniknął.

– Wie pani, jak rozmawiać z mężczyznami – skomentował Reichsführer. – Jest pani twarda. Doskonały przykład aryjskiej kobiecości, w pełni zgodny z moim wyobrażeniem. Moglibyście mieć piękne dzieci, silnych, niezłomnych esesmanów.

Erika o mało się nie udławiła, słysząc słowa pana domu, ale zachowała kamienną twarz. Błądą i zimną.

– Podziękowania za to należą się mojemu ojcu. On wpoił mi te wartości.

Ten łajdak, mój ojciec.

To on pokazał jej, czym jest ból i jak go przetrwać. On nauczył ją zadawać śmierć. Odpędziła od siebie wspomnienie kata swojej duszy i podjęła:

– Skoro już mowa o mężczyznach, chciałabym wiedzieć, co się dzieje z tym Francuzem, Tristanem, który pomógł mi zidentyfikować tak pożądanego przez pana obiekt.

– Wiem, że jego los leży pani na sercu – stwierdził Himmler – i proszę mi wierzyć, że nam również. Zajmiemy się nim należycie, ale nieco później. Proszę nie ulegać sentymentom. To szkodzi zdrowiu.

Lodowaty ton zmroził von Essling. A więc wiedział. Himmler podjął:

– Ale nie pogratulowałem pani jeszcze wspaniałej pracy, jaką wykonała pani w zamku Montségur. – Nie dając jej czasu na odpowiedź, Himmler ujął ją pod rękę. – Führera, którego poinformowałem o pani odkryciu, uderzyło podobieństwo nazw Montségur i Montsalvat, zamku Graala z Wagnerowskiego Parsifala.

– Nie wiedziałam, że Führer interesuje się tymi...

Reichsführer wpadł jej w słowo:

– Nie wie pani wielu rzeczy o Führerze. Proszę iść ze mną.

Opuścili salon i znaleźli się na schodach, gdzie na półpiętrze pełnili wartę esesmani w mundurach galowych. Na widok Himmlera otworzyli drzwi prowadzące do długiego, wykładanego kamiennymi płytami korytarza. Erika zauważyła, że ściany po obu stronach są ślepe, jak w suterenie.

– Jest tu tylko jedno wejście – wyjaśnił Himmler. – Chodzi o zachowanie pełnego bezpieczeństwa.

I pokazał jej jedyne drzwi w końcu korytarza.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? – zdziwiła się von Essling.

– Tak, tu znajduje się pokój Hitlera.

Himmler wyjął klucz z brązu i wsunął go do zamka.

– Kiedy planowałem Wewelsburg, Führer zgodził się mieć w zamku swój pokój, ale pod jednym warunkiem: że przyjedzie tu dopiero po ostatecznym zwycięstwie. To honorowy pakt między SS a nim. Co jeszcze bardziej motywuje nas do pokonania wszystkich wrogów.

– Reichsführer odsunął się, przepuszczając Erikę. – Urządziliśmy go zgodnie ze wskazówkami Führera. Bez wątplenia to pomieszczenie przystaje do jego osobowości. Nazwaliśmy je Barbarossa.

– Od imienia germańskiego cesarza? Dlaczego?

– Dla Führera to wzór. – Himmler ciągnął konfidencjonalnym tonem: – A ja jestem pewny, że jest reinkarnacją Barbarossy.

Już od progu Erikę uderzył ascetyczny charakter tego miejsca, które przypominało celę mnicha: jedno okno osłonięte ciężkimi zasłonami, istic spartańskie łóżko polowe, rustykalny drewniany stół, a na nim odręcznie pisana partytura.

– To dar od rodziny Wagnera. Wie pani, że Hitler się z nimi przyjaźni? Podczas jego pobytu w więzieniu w roku 1924 to oni dostarczyli papier, na którym napisał Mein Kampf. A poza tym dzieci Wagnerów go uwielbiają, nazywają go wujkiem Wolfem!

– Wujaszek Wilk? Osobliwy przydomek!

Szef SS zignorował tę uwagę.

– Natomiast laska, która stoi przy łóżku, należała do Nietzschego. Ofiarowana przez siostrę filozofa w dowód wdzięczności za to, co Führer uczynił dla Niemiec.

Erika miała ochotę powiedzieć, że siostra autora Zaratustry zasłynęła przede wszystkim jako ta, która haniebnie wypaczyła dzieła brata, aby przystawały do nazistowskiej ideologii, ale ugryzła się w język i skupiła uwagę na imponującej ogromnej bibliotece, która zajmowała dużą część pokoju.

– Z szesnastu tysięcy tomów należących do jego prywatnych zbiorów Hitler postanowił wybrać i zgromadzić tu swe ulubione książki.

Von Essling podeszła bliżej. Seria identycznych grzbietów zajmowała całą półkę. Na każdym z nich widniały inicjały A.H.

– To jeden z pierwszych przekładów Szekspira na niemiecki. Nasz Führer uważa go za najwybitniejszego dramaturga wszech czasów.

– Anglika?

– Hitler to czytelnik bez uprzedzeń. Niech pani rzuci okiem na przykład na tę półkę przy oknie.

To nie były już starannie opracowane woluminy, ale rozmaite książki o pozólkłych sfatygowanych okładkach.

– Te dzieła Führer kupował w Wiedniu, kiedy przygotowywał się do egzaminów do Akademii Sztuk Pięknych³³. W tamtych latach odmawiał sobie posiłku, żeby móc kupić coś do czytania. Jestem przekonany, że na tych książkach najbardziej mu zależy.

Mimo że okładki były zniszczone. Erice udało się odczytać kilka tytułów.

– Przepowiednie Nostradamusa z objaśnieniami... Martwi są żywi... Parsifal, przesłanie objawione...

– Jak pani widzi, zainteresowanie Hitlera okultystycznymi aspektami dzieła Wagnera nie jest nowe.

– Ale od tego daleko do fascynacji obracającymi się stolikami i przepowiedniami renesansowego astrologa...

Ponieważ wstała, Himmler podszedł bliżej, by mówić jak najciszej.

– Właśnie to stanowi o sile Führera: on pozostaje ponad dobrem i złem, prawdą i kłamstwem; przekracza wszelkie granice, a pani powinna postępować tak samo.

Erika lekko się zaniepokoiła. Reichsführer stał bardzo blisko. Czyżby składał jej propozycję? Ależ skąd, po prostu wpadł w uniesienie, ślepo wierząc w potęgę geniuszu swego wodza. A przede wszystkim chciał ją przekonać.

– Proszę zerknąć na parkiet.

Lakierowane klepki zaczęły się kolejno przesuwać, odsłaniając przezroczystą płytę nad okrągłą izbą z ciosanego kamienia. Błysnęło oko reflektora, potem drugie, trzecie, czwarte... i za każdym razem pojawiała się wykuta w kamieniu swastyka.

– To ja kazałem je umieścić bezpośrednio pod pokojem Führera. Tu znajdują miejsce święte swastyki.

Himmler wskazał palcem jedną z nich, wykutą w skale.

– Na wschodzie umieściliśmy swastykę przywiezioną z Tybetu. Na południu tę, którą odnalazła pani w Montségur.

Zafascynowana von Essling patrzyła na te symbole przypominające węże, które zjadają własne zwoje.

– Z każdą nową swastyką Niemcy posuwają się naprzód niczym nieodparta fala. Najpierw Europa, wkrótce Rosja...

– Sądzi pan, że te przedmioty naprawdę mają moc zwyciężania wojen? – zapytała Erika.

– Czy pamięta pani salę wiecznego ognia, którą widziała pani, kiedy po raz pierwszy gościła w Wewelsburgu?

Zażenowana skinęła tylko głową. Woląca o tym nie mówić. Przejmujące krzyki palonego żywca więźnia do dziś brzmiały jej w uszach.

– W Tybecie, w Montségur... wszędzie, gdzie znajdowały się te krzyże, swą moc zachowywały wyłącznie dlatego, że przyjmowały najpotworniejsze cierpienia ludzkie.

Le prats del cremats, pomyślała archeolog, to przeklęte miejsce, gdzie setki ofiar zginęły w iście piekielnym ogniu.

– Leczą z czasem ich moc osłabła, trzeba więc naładować je energią.

– Co zamierza pan zrobić?

– Wygląda pani na zaskoczoną. Ale przecież to archeologia pokazała nam grobowce królów, których chowano wraz ze sługami zabijanymi na tę okazję.

– Barbarzyński rytuał!

– Nie, to zapomniana wiedza przodków. Wiedza rasy wyższej, która aby żyć i rozkwitać, musi składać w ofierze wszystko, co od niej gorsze. Proszę uważnie przyjrzeć się krzyżowi, który przywiozła pani z Montségur. Od siedmiu wieków nie otrzymywał należnych ofiar. Jest spragniony bólu.

Pod ich nogami otworzyły się drzwi. Dwaj strażnicy weszli do krypty, niosąc młodego, nagiego mężczyznę, który siedział przywiązany do krzesła. Postawili go przed znajdującym się na środku pomieszczenia dołem, a potem inny wartownik wszedł, popychając lufą pistoletu maszynowego młodą, również obnażoną kobietę.

– To dwójka komunistycznych bojowników – wyjaśnił Reichsführer. – Fanatycy, nigdy się nie zmieniają.

– Są kochankami? – spytała Erika, gdy kobieta zarzuciła ręce na szyję współwięźnia.

– Właśnie.

Żołnierz oderwał ją od mężczyzny i rozkazał stać metr od dołu.

– Wie pani, że etnologowie z Ahnenerbe odkryli pewną niezmienną w składaniu ofiar z ludzi w wielkich cywilizacjach?

Erika pokręciła głową. Stanąwszy przed młodą komunistką, esesman wy dobył sztylet i dał go kobiecie, równocześnie celując do niej z lugera.

– Wszystkie ofiary były ochotnikami. I właśnie dlatego nie zabijemy tej pary, ale jedno z nich zdecyduje się to zrobić.

– Nie mają żadnego powodu, żeby ulec.

Himmler obserwował ich, jakby byli zwierzętami doświadczalnymi użytymi w laboratorium.

– Mają. Miłość! To żalosne uczucie... Żołnierz proponuje kobiecie, by dokonała wyboru: albo ona sama zabije mężczyznę swego życia i będzie ocalona, albo odmówi, a wtedy zostanie zgwałcona na oczach kochanka i również na jego oczach poddana torturom, które ją zabiją. Ma dziesięć sekund na podjęcie decyzji.

– To nikczemność – szepnęła Erika.

– Proszę nie podchodzić do tego emocjonalnie – odparł Himmler. – Z mojej strony nie ma w tym żadnego sadyzmu. Ja nie uważam ich za istoty ludzkie, więc nie wiem, na czym mógłby polegać problem moralny...

Von Essling zamarła, widząc, jak młoda kobieta bierze sztylet i zaciska na nim rękę. Biedaczka płakała i drżała, nie mogąc się ruszyć. Esesman zbliżył się do niej i przytknął lufę pistoletu do jej skroni.

– Strażnik zaczął właśnie odliczać sekundy – komentował beznamiętnym tonem Himmler.
– Proszę sobie wyobrazić, co się dzieje w umyśle tej kobiety. Jest rozdarta między dwiema niemożliwymi do pogodzenia opcjami.

Nieszczęsna dziewczyna zbliżyła się do partnera i uniosła sztylet. Mężczyzna zdawał się ją zachęcać.

Erika zerknęła ukradkiem na Himmlera: człowiek w okrągłych okularach patrzył na to widowisko jak zahipnotyzowany, górna warga mu drgała.

Nagle kobieta odwróciła sztylet ostrzem do siebie i wbiła go sobie w pierś. Przez chwilę się chwiała, potem jej ciało upadło na swastykę. Ku zaskoczeniu Eriki Reichsführer wydał krótki chichot satysfakcji.

– Dokładnie tak, jak przewidywaliśmy. Nie była zdolna zdecydować i wolała odebrać sobie życie. To doskonały dowód jej przynależności do niższej rasy. Co za słabość charakteru! Ale przynajmniej ich śmierć na coś się przyda. No, to jeszcze nie koniec.

Strażnik powłókł ciało kobiety po posadzce i rzucił do okrągłego dołu. Potem wraz ze strażnikiem, który właśnie wszedł, podnieśli mężczyznę na krzesło i jego również wrzucili do dołu.

– Widzi pani, nie jestem potworem. Umrze u boku ukochanej. Skona z głodu i pragnienia. Strażnicy przesunęli płytę, zamykając dół.

Erika nie ruszała się z miejsca, porażona barbarzyńskim czynem, którego była świadkiem. Himmler nieprzypadkowo pokazał jej tę potworność. Testował ją. Okazując najłżejsze oznaki wstrętu, podpisałaby wyrok śmierci na siebie. Ale jej odrazę wzbudzało coś jeszcze, coś chorego, co czało się w niej samej. Ta spijająca krew swastyka niemal ją hipnotyzowała. Nie była już zwiniętym w kłębek węzem, lecz bestią. Bestią, która wyłoniła się z mroku, która nawiedzała wszystkie mitologie, tą bestią, której głód trzeba było nieustannie zaspokajać...

– Fräulein von Essling?

Pytający ton Himmlera brutalnie sprowadził ją na ziemię.

– Przepraszam, Reichsführer, to tylko chwila zamyślenia.

– Raczej fascynacji. Każdy, kto widział święte swastyki, doznał tego odczucia. Wyobraża pani sobie, co się stanie, kiedy będą tu wszystkie cztery...

Erika wbiła wzrok w dwa jeszcze puste miejsca na krzyże. I poczuła zawrót głowy.

– Tyle że teraz nie znajdzie ich już Weistort, ale pani.

*Wybrzeże Morza Śródziemnego**Maj 1941*

Przyrastający księżyc migotał nad zatoką, rzucając słabą poświatę na brzeg i okolicę. Fale łagodnie dogasały na piasku, nadchodziły jedna po drugiej, rytmiczne jak metronom. Małeńka plaża zarzucona była czarnymi, cuchnącymi algami. Zbite w stosy, piętrzyły się pod walącymi się drewnianymi chatami – smutną pamiątką po kwitnym przed wojną nadmorskim kurorcie.

Usiadłszy na porzuconym pontonie, który utknął między skałami, Malorley położył torbę myśliwską między stopami i z niepokojem patrzył na zegarek. Potem sięgnął po lornetkę, by obserwować ciemne morze. Nic. Żadnego światła na wodzie. Jak okiem sięgnąć tylko Morze Śródziemne – takie spokojne, tak rozpaczliwie puste. Zżerała go złość, to byłoby zbyt głupie. Wyjść cało z opresji, żeby teraz zostać na tej plaży, jakby o nim zapomnieli! Droga z Montségur była ciężka, ale stosunkowo krótka, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że biegła przez góry, by uniknąć ewentualnych kontroli żandarmerii. Opuścili Ariège godzinę po wydostaniu się z zamku, a potem samochód wjechał drogą do Prades w Pirenejach Wschodnich. Kierowca uznał, że lepiej ominąć Perpignan ledwie przejezdnymi drogami, i pędził, aż zatrzymał się nad zatoczką pod Collioure. Malorley przez całą drogę prawie się nie odzywał, przed oczyma stała mu Jane, taka, jaką widział ją po raz ostatni na łączce.

– Wciąż nic? – zapytała Laure, opierając się o drzwi walącej się budki.

– Żółty Tryton każe na siebie czekać – szepnął zwierzchnik SOE. – Już dwie godziny opóźnienia.

– Żółty Tryton... Kolejny żalony szyfr wymyślony przez Radio Londyn – zadrwił Cebolla, który krzątał się przy małej łódce przywiązanej do pokrytego rdzą pierścienia, podczas gdy Hiszpan w kaszkiecie położył na pontonie parę wiosł.

– Tryton to nazwa typu okrętu podwodnego Royal Navy. Kolor oznacza rodzaj misji, która tym razem polega na zabraniu nas stąd.

– Za godzinę zacznie świtać, nie będziemy mogli dłużej tu zostać – irytował się Hiszpan. – Pozostanie nam iść w głąb łądu, w kierunku Montauriol, żeby się ukryć.

Laure d'Estillac podeszła do agenta SOE.

– Co z pana nogą?

– Wspaniale – rzucił tonem, który miał być pogodny. – Usztywniłem ją dwiema deszczułkami ze skrzynki. Mogę zacząć treningi, żeby wystartować na najbliższej olimpiadzie.

Jeden z partyzantów zaczął śpiewać smętną piosenkę. Słowa wlatywały w poświacie księżycy.

– Calla te, conno – ofuknął kompana Cebolla. – Przez ciebie wpadniemy!

– To kataloński, tak? – zapytała Laure.

– Tak... Carles pochodzi z Girony.

– A co znaczą te słowa?

Uśmiechnął się w półmroku.

– Nie wiem, czy powinienem tłumaczyć je panience...

– Bez obaw, jestem pełnoletnia...

Hiszpan wskazał palcem punkciki światła błyszczące na wzgórzach na prawo od nich.

– Widzi pani tę wioskę? To Collioure. Piosenka Carlesa mówi o niej, a dokładniej o wznoszącym się nad nią zamku. Tłumaczenie brzmi dosłownie: na samym szczycie góry jest jebane Collioure. Tam żandarmi gruchoczą nam lędźwia...

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

– Nazywają go zamkiem królewskim. Spędziłem tam pięć miesięcy zaraz po ucieczce do Francji w 1939 roku. I zapewniam panią, że nie ugoszczono nas tam po królewsku. To istna katorga, stłoczyli nas jak bydło. Oferta: ciężkie roboty, baty, głodowe racje żywieniowe. Czterech moich towarzyszy umarło z wycieńczenia.

Malorley nadstawił ucha, przez cały czas obserwując morze.

– Sądziłem, że w tym okresie Francja była waszym sprzymierzeńcem.

– Dziwny to sprzymierzeniec. Otwarto przed nami granice, żebyśmy mogli uciec przed Franco, ale nikt nie zamierzał zostawić na wolności wycofującej się armii, za którą podążały wystraszone rodziny. Internowano nas w zagrodach dla bydła, a nasz los zależał tylko od komendantów, którzy bywali mniej lub bardziej ludzcy. Pech chciał, że w Collioure rządził kapitan Raulet, legionista, wielbiciel Caudilla.

– Hijo de puta. – Carles splunął.

Cebolla poklepał kompana po ramieniu.

– Razem z towarzyszami uciekliśmy z tego piekła i schroniliśmy się w Ariège. Powrót w tę okolicę kompletnie mnie rozstraja. Zwłaszcza że stąd już tylko kilka kilometrów do ojczyzny i...

– Jest! – przerwał mu Malorley. – Łódź podwodna przypląnęła!

Laure i dwaj Hiszpanie odwrócili głowy w kierunku wskazanym przez Anglika.

Na ciemnych falach, w znacznej odległości od brzegu, błyskało w regularnych odstępach żółte światło. Malorley chwycił swoją torbę, włączył latarkę i wysłał morse'em krótką wiadomość, żeby potwierdzić swą obecność na brzegu.

– Ruszamy! – krzyknął Cebolla. – Okręt gotowy!

Dwaj Hiszpanie siedli do wiosła, a Anglik i Francuzka zajęli miejsca na dziobie. Partyzanci wiosłowali jak galernicy, wydając stłumione okrzyki. Dopiero po dziesięciu minutach łódź dotarła do miejsca spotkania.

Przed nimi rysowała się długa, czarna, wąska masa kołysząca się na ciemnych wodach. Od dziobu po rufę miała niemal sto metrów długości, jak oszacował Malorley. Widział już taką jednostkę w porcie w Portsmouth przed wybuchem wojny. Drapieżna bestia. Na środku wznosił się kiosk, a nad nim sterczała antena. Stojąc na małym mostku, mężczyzna w grubym, granatowym swetrze z golfem rozglądał się wokół przez lornetkę. Niżej, na pokładzie, trzech marynarze czekali przy dziale kalibru 102 milimetry przytwierdzonym do metalowego podłoża. Dawali znaki ludziom w łodzi, zachęcając ich do podpłynięcia.

Łódź zakotwiczyła i kołysała się tuż przy kadłubie stalowego drapieżcy. Cebolla rzucił linę, a jeden z marynarzy zręcznie ją chwycił. Łódź natychmiast się ustabilizowała.

– Myśleliśmy, że się na was nie doczekamy! – skomentował Malorley.

– My też baliśmy się, że nie dopłyniemy! – odparł podoficer, przywiązując linę cumowniczą.

– Wypływając z Malty, natknęliśmy się na dwa U-Booty³⁴, musieliśmy kluczyć, żeby je zgubić. Wchodźcie!

– Chwileczkę, marynarzu, musimy pożegnać się z przyjaciółmi.

Malorley i Laure zwrócili się do Hiszpana:

– Jeśli dowiesz się czegoś o Jane, prześlij informację radiową.

Hiszpan spojrzał na niego ze smutkiem.

– Señor, nie warto się łudzić, powiedziałem ci już, że mój towarzysz nie mógł się do niej zbliżyć.

– Nigdy nic nie wiadomo, obiecaj!

– Dobrze... Ale w zamian ty też mi coś obiecaj.

– Zależy co. O co chodzi?

– Angliku, jeżeli los pozwoli, by pewnego dnia twój kraj pokonał nazistów, powiedz Churchillowi, że nasza prawdziwa walka dopiero się zacznie. Wrócimy do Hiszpanii, żeby przepędzić Franco. A Anglia będzie musiała nam pomóc.

Malorley mocno uściśnął rękę guerillero.

– I postawić anarchistów na jego miejscu? Nie jestem pewien, czy nasz premier odniósłby się do tego przychylnie. Jednak obiecuję ci, że przekażę wiadomość.

– Pospieszcie się – rzucił z wysoka oficer. – Nie chcę się tu kręcić, sygnalizowano nam, że w rejonie Port-Vendres pojawił się okręt patrolujący marynarki francuskiej.

Gdy Malorley wspinał się na pokład wspierany przez marynarza, Hiszpan położył ręce na ramionach Laure.

– Señorita, pani ojciec był prawdziwym łajdakiem!

– Co takiego? – oburzyła się dziewczyna.

– Arystokratycznym łajdakiem, ale miał wielkie cojones, o takie – powiedział, wykonując taki gest, jakby ważył w dłoniach orzechy kokosowe. – Walczyć u jego boku było wielkim zaszczytem. Mam nadzieję, że okaże się pani godna takiego ojca i że będzie pani kontynuowała jego walkę.

Dała wyraz wzruszeniu, również go obejmując, a potem przy pomocy dwóch marynarzy weszła na pokład. Odcumowano łódź i Hiszpanie oddalili się od okrętu podwodnego.

– Zrobię co w mojej mocy! – krzyknęła Laure, zwracając się do Hiszpana, który już wiosłował.

Agent SOE patrzył, jak łupina partyzantów znika w ciemnościach. Ogarnęło go głębokie współczucie. Ci ludzie, których prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy, wracali, aby walczyć we wrogim kraju, a ich jedyną motywacją była absurda nadzieja, że przygotowują się na obczyźnie do nowej wojny. Wojny na ich ojczystej ziemi. Tej, która ich odtrąciła i już nie chce.

Malorley i Laure po raz ostatni spojrzeli na łódź, a potem poszli w stronę kiosku.

Nagle pośród nocy zawyła syrena.

Za skalną ostrogą, która zamykała zatoczkę, pojawił się kadłub czarnej jednostki z potężnym reflektorem.

– Okręt! – krzyknął dyżurny oficer.

Ledwie wszczął alarm, a od strony tajemniczej jednostki dobiegł ich huk działa. Wybuch w odległości stu metrów od okrętu podwodnego poderwał potężne masy słonej wody, które opadły na nich jak tropikalna ulewa.

– Marynarka narodowa, pierwsze ostrzeżenie – zagroził głos z megafonu. – Wyłączyć silniki i czekać na inspekcję na pokładzie!

Snop światła z reflektora błyskawicznie omiatał wodę, zbliżając się do nich.

– Zanurzenie! – krzyknął do mikrofonu oficer, a potem zwrócił się do przemoczonych Malorleya i Laure: – Ruszcie się albo wyrzucę was za burtę!

Świdrujący dźwięk wydobył się z wnętrza okrętu.

Dwójka nowo przybyłych wsunęła się w otwór i zeszła po metalowej drabince. Wylądowali na stanowisku dowodzenia okrętu, gdzie pełno było biegających we wszystkie strony marynarzy. Silna woń smarów i gorzkiego potu unosiła się w powietrzu.

– Zanurzenie: trzydzieści metrów! – krzyknął oficer, a potem zwrócił się do pasażerów: – Chwycić się skórzanych pasów, będzie bujało.

Kapitan manipulował peryskopem, obracając go we wszystkie strony i nie odrywając prawego oka od okularu.

– To patrol straży przybrzeżnej, nie możemy wpaść w ich ręce, a po Al-Marsa al-Kabir³⁵ nie będą się z nami cackali! Maksymalne nachylenie, poruczniku!

Jego podkomendny wcisnął duży czerwony guzik.

Kolejny wybuch wstrząsnął całym kadłubem, okręt przechylił się na prawą burtę. Malorley i Laure ledwie zdążyli chwycić się pasów zwisających z metalowego sufitu. Doskonale skoordynowane ruchy załogi tworzyły osobliwy mechaniczny balet. Laure patrzyła na tych marynarzy z podziwem, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, że nie gubią się w tym lesie dźwigni, przycisków, światełek i najrozmaitszych ekranów.

– Wytyczyć kurs na 160 – rzucił kapitan do nawigatora, który manipulował kompasem i ekierką, stojąc przed rozwieszoną na ścianie mapą morską.

Nagle podłoga się pochyliła – dziób skierował się w dół. Malorleyowi zrobiło się niedobrze, a chwila dekoncentracji wystarczyła, by puścić pas. Zdążył tylko przycisnąć do siebie torbę myśliwską. Na szczęście oficer w golfie chwycił go w porę, sam zaś zachował równowagę, najwyraźniej przyzwyczajony do tego typu manewrów i ciągłego kołysania.

– Uchybiłem swym obowiązkom. Komandor porucznik Richard Peacock, witam na pokładzie Tetrarchy. Od tej chwili znajdują się państwo na terytorium brytyjskim. Przynajmniej na razie, bo ten przekłety patrolowiec może nas obrzucić bombami głębinowymi.

– Nawet sobie pan nie wyobraża, z jaką radością powracam na łono matki ojczyzny – odparł Malorley, kołysząc się jak szmaciana lalka zamocowana na niewidzialnych sznurkach.

– Dokąd płyniemy?

– Bierzemy kurs na Gibraltar, musimy tylko unikać Włochów, którzy patrolują cały sektor między Balearami a Półwyspem Iberyjskim.

– Za ile tam dopłyniemy?

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś dziesięć godzin. Potem odlecą państwo samolotem do Londynu przez Lizbonę. I znowu: jeżeli wszystko będzie dobrze, za niecałe dwa dni zobaczy pan Piccadilly Circus.

Kolejny pomruk dotarł do nich przez stalowy kadłub. Kołysali się – tym razem we wszystkie strony. Cały okręt drżał. Strumień wody trysnął z rury i zawirował nad ich głowami, ale kapitan nie zwrócił na to uwagi. Jeden z marynarzy podbiegł ze ścierką i kluczem francuskim, żeby usunąć awarię.

Laure z niepokojem spojrzała na Malorleya, który udał, że tego nie zauważa, choć sam wcale nie czuł się bezpiecznie.

– Przez najbliższe godziny będę miał sporo pracy – podjął kapitan z zatroskaną miną, zwracając się do agenta SOE i jego towarzyszki. – Proszę wybaczyć, ale tu tylko by państwo przeszkadzali. Radzę wykorzystać ten czas, żeby odpocząć w mojej kajucie, są tam dwie koje.

– Dziękuję, rzeczywiście padam z nóg – powiedziała słabym głosem Laure.

– Wybaczy pani tę ciasnotę – dodał Peacock. – Nasz wieloryb jest długi jak trzy korty tenisowe, ale jego wnętrze zajmują silniki, akumulatory i uzbrojenie. Człowiek na takiej jednostce jest tylko gościem, a komfort znaczy dla admirała Royal Navy tyle co szminka do ust.

Dał jeszcze kilka wskazówek marynarzowi, który kontrolował wielki jak zegar manometr, po czym kazał mu opuścić stanowisko i odprowadzić pasażerów. Przez cały czas okręt zanurzał się w głębinach.

Przeszli przez szereg przedziałów, których ściany pokrywała płatanina kabli i rur najrozmaitszych wielkości. Im dalej byli, tym bardziej warkot silników przemieniał się w głucho, ale silne drgania, które brzmiały jak ziajanie olbrzymiego zwierzęcia.

W końcu dotarli do maleńkiej kajuty kapitana sąsiadującej z mesą oficerską. Piętrowe łóżko wciśnięte było między nocny stolik i metalowe krzesło przykręcone do podłogi.

– Obudzimy państwa dwie godziny przed dotarciem do celu – powiedział uprzejmym tonem marynarz, a potem dodał: – Jeżeli nie pójdziemy wcześniej na dno...

Skinął głową na pożegnanie i zniknął w trzewiach okrętu.

Huk znacznie potężniejszy od poprzedniego rzucił ich na ścianę dzielącą kajutę od mesy. Złowieszcze trzaski i zgrzyty rozlegały się wokół nich, jakby okręt giął się i skręcał. Malorley z obawą spojrzął na Laure, modląc się, żeby nie wpadła znów w histerię.

– Mam nadzieję, że nie cierpi pani na klaustrofobię...

– Jeżeli chciał pan zapytać, czy nie zaleję się łzami jak w Montségur, to odpowiedź brzmi: nie. Ale to wcale nie znaczy, że jestem spokojna. Przeraza mnie świadomość, że mogłabym umrzeć, topiąc się w tej stalowej trumnie.

Okręt ustabilizował się w poziomie i Laure wreszcie wdrapała się na górną koję, a Malorley usiadł na dolnej. Ostrożnie ułożył torbę myśliwską obok poduszki i wyciągnął się w miarę wygodnie, chociaż nogi wystawały mu poza łóżko tak wąskie, że zastanawiał się, czy nie ma przy nim pasów zabezpieczających przed upadkiem.

Z góry dobiegł go głos Laure:

– Słyszałam, że obiecał pan mojemu ojcu zająć się mną.

– I właśnie wywiązuję się z obietnicy. Jest pani cała i zdrowa. I z upływem każdej godziny oddala się pani od nazistowskiego zagrożenia.

– Nie tylko o to chodzi. Chcę wrócić do kraju, ale tym razem po to, żeby walczyć. Chcę pomóc ojca.

– Nie wiem, czy...

– Stracił pan Jane, poświęciła się. Zajmę jej miejsce. Rachunek się zgadza.

Malorley splótł ręce pod głową.

– Nie poradzi sobie pani, szkolenie jest niezwykle ciężkie, odpada dziewięćdziesiąt procent kandydatów, a szansa przeżycia agentów działających w terenie jest znikoma. Mogę natomiast załatwić pani pracę w naszej strukturze. Pani profil...

Dziewczyna zeskoczyła z łóżka i przykucnęła obok niego.

– Nie będę ani sekretarką, ani pielęgniarką. A jeśli nie dostanę, czego chcę, wrócę do Francji pierwszym kutrem rybackim, jaki znajdę.

Ziewnął na całe gardło, żeby ją zniechęcić do rozmowy, ale nie ruszyła się z miejsca, a na jej twarzy malowała się determinacja.

– Dobrze, zastanowię się nad tym po powrocie do Londynu – rzucił w końcu z ciężkim sercem.

– Mam na to pańskie słowo?

– Tak, moje, a nawet innych, jak mawiał Pétain.

Zadowolona wróciła na górę.

Malorley czuł, że ogarnia go zmęczenie. Twarz Jane majaczyła mu przed zaczerwienionymi oczyma. Jeszcze raz wzniósł ku niebiosom błaganie, by miała czas rozgryźć kapsułkę cyjanku.

Bilans jego misji był ze względu na straty w ludziach przerażający. Stracił właściwie cały oddział, a na dokładkę d'Estillaca. Gdyby Churchill dał mu więcej ludzi, można było uniknąć tej rzezi.

– Malorley...

Anglik poczuł narastające rozdrażnienie.

– Chce mi się spać.

– Ten Tristan, kolaborant, który pracował dla Niemców...

– Tak... Szkoda, że nie mogłem zastrzelić go w grocie – odparł Malorley. – Nienawidzę Francuzów, którzy brukają honor ojczyzny.

Głos Laure zabrzmiał teraz niepewnie. Przypomniała sobie jego twarz, kiedy przyszedł do niej do dworu.

– W grocie pozwolił jednak, żebyśmy uciekli, chociaż mógł nas wydać Niemcom.

– Tak, ja też zwróciłem na to uwagę. Ale to przez niego naziści dostali to, czego chcieli.

– Jednak miał taki dziwny wyraz twarzy, prawda? Jakby chciał nam coś powiedzieć...

Oficer SOE nie chciał wdawać się w tę rozmowę. Wsunął się pod koc z ostrej wełny z oznakowaniami Royal Navy.

– Kto wie, może nawet w takich śmieciach zostaje czasem odrobina człowieczeństwa. Dobranoc!

I nie czekając na odpowiedź, zgasił światło. Kajuta pogrążyła się w ciemnościach, które rozpraszała tylko mała czerwona lampka na suficie.

Znów rozległ się huk i korpus Tetrarchy przeraźliwie jęknął.

Malorley skulił się, przywierając plecami do metalowej ściany. Świadomość, że tylko kilka centymetrów żelastwa dzieli go od milionów ton lodowatej wody, wprawiała go w przerażenie.

Pogrążył się w głębokim, mrocznym śnie.

Berlin

Prinz Albrecht Strasse

Maj 1941

Wysoki, potężny gmach, w którym mieściła się siedziba Geheime Staatspolizei, w skrócie zwanej Gestapo, nie zawsze był synonimem strachu i okrucieństwa. Do kwietnia roku 1933 działało w nim wspaniałe muzeum sztuki dekoracyjnej, a berlińczycy odwiedzali je, by oglądać bogatą kolekcję znanych i cenionych w całej Europie dzieł. Jednak po dojściu Hitlera do władzy z sal zniknęły eksponaty, a ich miejsce zajęły narzędzia tortur; kosztowne koronkowe suknie pięknych dam z XIX wieku zastąpiono płaszczami z czarnej skóry, szkicowniki artystów ustąpiły zaś miejsca kartotekom zadreńczonych więźniów.

Z upływem lat Gestapo stało się groźną strukturą biurokratyczną, której macki sięgały coraz dalej. Pod kierownictwem Himmlera armia kompetentnych i oddanych agentów – łącznie piętnaście tysięcy ośmiuset ludzi – pracowała z zapalem, by unicestwić niezliczonych wrogów Rzeszy: komunistów, Żydów, liberałów, demokratów, katolików i opornych protestantów, a także partyzantów... Krótko mówiąc, wszystkich tych, którzy nie podzielali wiary w zwycięski narodowy socjalizm. A takich było wciąż wielu. Aby uporać się z tym gigantycznym zadaniem, zatrudniano licznych fachowców: policjantów, szpiegów, księgowych, specjalistów w dziedzinie przesłuchań, sekretarki, statystyków, kierowców, kryptologów, a nawet lekarzy i doskonale wyszkolonych pielęgniarki, którzy mieli dbać o utrzymanie przy życiu więźniów przesłuchiwanym w okrytych straszliwą sławą piwnicach.

Choć przy Prinz Albrecht Strasse pracowała tylko część tych ludzi, reszta zaś była rozproszona po całych Niemczech i okupowanej Europie, miejsce to było o tyle specyficzne, że dyrekcja administracyjna funkcjonowała w nim obok komórek represyjnych. „Białe kołnierzyki” i kaci spotykali się w południe w kantine i nikogo to nie dziwiło...

Przetrzymywany w celi na czwartym piętrze Tristan wciąż nie mógł zrozumieć, co właściwie tu robi, odpowiadając od kilku godzin na pytania policjanta. Był wyczerpany i u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie takiego przyjęcia spodziewał się w Berlinie.

– A ta dziewczyna? – zapytał łagodnym tonem siedzący naprzeciw niego policjant. – Ta Laure d’Estillac. Z raportu wynika, że jej ojciec kierował siatką ruchu oporu, do której należała banda groźnych hiszpańskich komunistów.

Oficer oddzielał sylaby i z wahaniem stosował łączenia międzywyrazowe, ale jego francuski był bardzo poprawny, a ton przesłuchania niemal uprzejmy. Można było odnieść wrażenie, że czuje się zakłopotany, zadając po kilka razy to samo pytanie.

– Powtarzam po raz kolejny – zirytował się Tristan – że jej nie znałem. Ani jej, ani członków tego oddziału.

Znużony, masował skronie – dokuczliwy ból głowy nie ustępował od chwili aresztowania w pokoju hotelowym. Już od prawie dwudziestu czterech godzin tkwił w tej celi o podwyższonym standardzie: osiem metrów kwadratowych, łożko, materac, ubikacja. W porównaniu z lochem w Barcelonie warunki były wręcz luksusowe. Przez tę dobę podano mu nawet dwa gorące posiłki, co kłóciło się z ponurymi opiniami o nazistowskich więzieniach.

Wzniósł oczy i spojrzał na policjanta, który nie przestawał przeglądać akt leżących na metalowym stole wstawionym tu przed przesłuchaniem. Około sześćdziesiątki, o dziobatej twarzy, ostrych rysach, nie przystawał do wizerunku idealnego Aryjczyka. Komisarz Drexler przedstawił się bardzo grzecznie, może za grzecznie, i od kilku godzin niezmiernie bombardował Tristana pytaniami.

– Sprawa jest przykra, bo pozwolił jej pan uciec – powiedziała, splatając palce jak do modlitwy. Teraz wyglądał jak typowy gruby, obłudny mnich.

Tristan uderzył pięścią w stół.

– Nie jestem taki jak wy w Gestapo, nie morduję ludzi tylko dlatego, że coś mi się w nich nie podoba.

– Kto panu powiedział, że ja zabijam ludzi? – odparł ze stoickim spokojem policjant. – Jestem komisarzem Kripo, nie należę do Gestapo. Moja praca polega na ściganiu wszelkiego rodzaju kryminalistów. A w pańskiej sprawie pomagam kolegom.

Oficer wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

– Ale ja nie jestem złoczyńcą. Wychodzę z siebie, by panu wytłumaczyć, że pomagałem pułkownikowi Weistortowi w misji o strategicznym znaczeniu dla Rzeszy. Psiakrew! Jak długo tu zostanę? – wybuchnął Tristan i poderwał się z miejsca.

Policjant wzruszył ramionami.

– Proszę usiąść... Tak długo, jak długo będzie trzeba, przyjacielu. Wie pan, dlaczego wezwano mnie tu pilnie, abym osobiście pana przesłuchał? Otóż nie tylko dlatego, że niewielu oficerów z mojego wydziału włada pańskim językiem.

– Nie wiem, może ze względu na skrywaną fascynację archeologią?

– Skądże znowu. Skrzypek ceni mnie z konkretnego powodu.

– Skrzypek? Czyżby należał pan także do berlińskiej orkiestry symfonicznej? – zakpił Tristan.

Policjant pochylił się nad stołem.

– To jeden z przydomków Obergruppenführera Reinharda Heydricha, szefa RSHA36 i prawej ręki Himmlera. Wirtuoz smyczka, to jedna z jego licznych zalet... – Policjant spojrział Tristanowi prosto w oczy i bez odrobiny niechęci oświadczył: – Nikt mi nie dorównuje w rozpoznawaniu kłamców.

Tristan nie mrugnął okiem i przez kilka sekund milczał. Milczenie przerwał policjant, podejmując spokojnym tonem:

– W mojej długiej karierze rozpracowałem ponad tysiąc podejrzanych. Często zdarza mi się pomagać kolegom z Gestapo, bo chociaż to skuteczni policjanci, słabo znają się na psychologii. Wystarczy zejść do piwnic tego budynku, żeby się o tym przekonać.

– Uwierzę panu na słowo – odparł Tristan. – Ostatnie dni były naprawdę ciężkie, więc wolałbym pobyt w uzdrowisku, gdzie mógłbym wrócić do zdrowia, a ponoć uzdrowiska to niemiecka specjalność. Oczywiście obok obozów dla więźniów...

Brwi policjanta drgnęły.

– Nie radzę panu dowcipkować. Ze mną to jeszcze ujdzie, z moimi kolegami już nie. A przeszłość z czasów wojny w Hiszpanii nie przemawia na pańską korzyść. Przyzna pan, że to jednak dziwne, bo przecież ten oddział, który zaatakował zamek, składał się właśnie z dawnych republikanów.

– Po prostu stanąłem po niewłaściwej stronie, zgoda? A co do tych ludzi, to ich nie znam. I przypominam panu, że pułkownik Weistort doskonale wiedział o mojej przeszłości.

Policjant znów wsadził nos w akta.

– Tak, ale niestety nie może zaświadczyć, że mówi pan prawdę. Wielka szkoda.

– Do diabła, wezwijcie Erikę von Essling, ona potwierdzi moje zeznania.

Komisarz Drexler długo przypatrywał mu się w milczeniu, mrużąc oczy, a potem podjął:

– Nie przejawia pan szczególnej sympatii do narodowego socjalizmu ani do Niemiec, jest to stwierdzone w tym raporcie, odnotowane przez samego pułkownika Weistorta. Co jest pana prawdziwą motywacją?

– Wola przeżycia! Powtarzam to po raz enty! Chcę przeżyć. Moja ojczyzna, Francja, została pokonana, Anglia jest na kolanach, nienawidzę Stalina i jego kumpli, a Niemcy odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem. Nie wiem, jak mam to panu wytłumaczyć. Staję po stronie zwycięzcy. W tej chwili taka moda panuje we wszystkich okupowanych przez was krajach.

– Podoba mi się ten pański idealizm.

– Idealizm zostawiam rewolucjonistom, patriotom i głupcom.

Komisarz podrapał się po tłustej brodzie i poskładał akta Tristana.

– Dziękuję za współpracę. Będę z panem szczerzy: zdołał mnie pan przekonać tylko w połowie. Wciąż pozostają strefy mroku. A policjant nie znosi mroku, lubi dzień, jasność, słońce... Oślepiające światło prawdy.

– Przykro mi, że nie potrafiłem pana olśnić – mruknął Francuz. – Co będzie dalej?

Drexler westchnął i ciężko dźwignął się z krzesła.

– Zaraz zadzwonię do Skrzyпка i podzielę się z nim wrażeniami. Potem zostają dwie możliwości. Albo wrócę, żeby kontynuować rozmowę i rozwiać czarne chmurki, przesłaniające horyzont. To dla pana najlepsze rozwiązanie. Albo Skrzypek postanowi oddać pana w ręce Gestapo i będzie pan musiał odwiedzić ich cele... w suterenie. A może wywiozą pana za miasto i rozstrzelają w pobliskim lesie. Widziałem okólnik w tej sprawie, tutaj prawdziwym problemem stało się pozbywanie się zwłok...

Tristanowi ścisnęło się gardło.

Drexler zastukał w drzwi i odwrócił się do niego.

– Idę na obiad. Chce pan coś zjeść?

– Nie wiem, czy po tym, co mi pan powiedział, zdołałbym cokolwiek przełknąć.

Drzwi się otworzyły, komisarz wyszedł na korytarz i na odchodnym rzucił niemal serdecznie:

– W kantine oficerskiej mają wspaniałe sznycle z grzybami. Na pana miejscu skorzystałbym, bo to może być pański ostatni prawdziwy posiłek.

– Niech go pan sobie wsadzi, sam pan wie gdzie! – krzyknął więzień, ciskając w jego stronę krzesłem.

Odbiło się od stalowych drzwi w chwili, gdy się zamykały.

Tristan podszedł do okna, żeby opanować strach. Wielkie, pyzate cumulusy przesuwwały się pędem po lazurowym niebie nad miastem. Podmuchy wiatru mocno uderzały o okna. Tristan miał wrażenie, że szyby lada chwila roztrzaskają się pod jego naporem. On sam też ledwie się trzymał.

Od jak dawna w jego krótkim życiu nie było ani chwili beztroskiej radości? Po raz ostatni zdarzyło się to, kiedy ukrywał się w Katalonii, ale nie trwało długo. Wodził oczyma po fasadach domów po drugiej stronie ulicy. Za tymi oknami byli mężczyźni, kobiety, dzieci... Oczywiście sami Aryjczycy, ludzie posłuszni swemu ukochanemu Führerowi. Wieczorem rodziny zasiądą razem do stołu, żeby jeść i żartować. Gardził nimi, mimo to jednak trochę im zazdrościł. On wybrał inną drogę, samotną, i to bardzo dawno temu.

A teraz ta droga być może nagle się urwie. Przed oczyma stanęła mu scena z zamku: esesmani zarżnięci przez Hiszpanów. Nawet ci łajdacy mieli bliskich, którzy ich teraz oplakiwali.

A po nim nikt nie uroni łzy.

Za bardzo igrał ze szczęściem.

Im dłużej zastanawiał się nad ostatnimi, brzmiącymi jak pogróżka słowami niemieckiego policjanta, tym jaśniejszy stawał się ich sens. Nie zdołał go przekonać. Kierunek: podziemia...

Na myśl o torturach oblał go zimny pot. Umrzeć... tak, to była jedna z opcji w życiu, na jakie się zdecydował. Ale być okaleczonym, katowanym, obdzieranym ze skóry, palonym...

Przez kilkanaście minut wpatrywał się w niebo. Ucieczka była wykluczona, w tym ogromnym budynku pracowały na pewno setki policjantów. Miał takie same szanse ujść stąd z życiem jak larwa z woliery pełnej ptaków.

Zwrócił oczy na brukowany dziedziniec – miał pod sobą sześć pięt. Pojawiało się trzecie wyjście. Takie, którego policjant nie brał pod uwagę. Lot. Przy tej wysokości szanse na przeżycie były równe zeru.

Tristan powiódł palcem po splekanym kicie uszczelniającym krawędzie szyb. Usunięcie go nie byłoby trudne, natomiast kraty wyglądały na przeszkodę nie do pokonania. Nie rzuci się z okna. Przeszedł na środek celi, błyskawicznie analizując sytuację. Nie miał żadnego ostrego przedmiotu, żeby podciąć sobie żyły, a nawet gdyby go miał, to żeby umrzeć w ten sposób, trzeba było godzin.

Jego spojrzenie zatrzymało się na butach. Nie miał sznurowadeł, odebrano mu je, zanim trafił do celi.

Nagle w korytarzu rozległy się odgłosy kroków. Kripo czy Gestapo?

Za drzwiami rozbrzmiały gardłowe okrzyki. To nie był głos Drexlera.

Z rozpalonym do czerwoności mózgiem podniósł krzesło i mocno je chwycił. To była marna broń, ale nie mógł tak łatwo się poddać.

Drzwi otworzyły się z ponurym zgrzytem. W strumieniu białego światła pojawili się dwaj mężczyźni. Byli ubrani w czarne skórzane płaszcze.

Tristan od razu zrozumiał.

*Przedmieścia Berlina**Maj 1941*

Tristan w ułamku sekundy znalazł się w korytarzu, z którego zniknęli strażnicy. Potknął się, przechodząc przez kratę: nie dano mu nawet czasu na porządne założenie butów.

– Tędy.

Z potężnym hałasem zeszli po metalowych schodach, których nie używano chyba od lat. Na każdym półpiętrze żałośnie trzeszczały słabe żarówki.

– W prawo.

Tristan wyszedł na małe podwórze zarzucone śmieciami. Ostra woń piżma chwyciła go za gardło. Szczury. Nagle snop światła latarki padł na drewniane drzwi wzmocnione metalową belką. Jeden z gestapowców szybko ją podniósł.

– Ruszaj się.

Na zewnątrz czekał samochód z włączonymi reflektorami. Zanim rzucili go na tylne siedzenie, przewiązali mu oczy. Potem czyjaś ręka uderzyła w karoserię i samochód ruszył.

Berlin

Siedziba Ahnenerbe

– Nie spodziewała się pani tego?

Von Essling zawahała się, zanim weszła na zadbany trawnik wiodący do wejścia: pięć białych kolumn wspierało przestronny taras, na który wychodziły okna weneckie. Śnieżnobiała rezydencja nie miała w sobie nic z instytutu badawczego.

– Proszę się nie krępować, niech się pani tu rozejrzy – dodał Himmler, uśmiechając się pod wąsikiem.

Przez chwilę Erika poczuła się jak żona oprowadzana po swym przyszłym domu. Mimo to ruszyła wzdłuż frontu do dwóch ostatnich kolumn i skręciła między nimi w bok. Poprzeczne skrzydło wysuwało się w głąb za tylną fasadą. Kątem oka zobaczyła wysoki fronton, nad którym pochylały się gałęzie potężnego dębu.

– Oczywiście przejeśliśmy go. Przedtem mieszkała tu rodzina arystokratyczna. Dekadenci. Teraz tu ważą się losy narodu niemieckiego... I pani.

Przedmieście Berlina

Samochód zwolnił. Kolejny zakręt. Tristan leżał z twarzą wciśniętą w skórzane siedzenie, z trudem oddychając. Jeden ze strażników otworzył okno. Zimne powietrze pełzało po

koszuli więźnia, mroząc skórę i dając przedsmak śmierci, która była tuż-tuż. Samochód znowu przyspieszył. Ile czasu mu jeszcze zostało? Godzina? Więcej? Już raz zdarzyła mu się egzekucja, teraz jednak nie miał szans się wywinąć. Za dużo wiedział. Tajemna droga, którą odkrył między Montserratem a Montségur, miała zniknąć. A on wraz z nią. Bez śladu i nie zapisując się w historii trwalej niż tylko jako przelotny obraz w pamięci Lucii i Laure. Co do Eriki... Samochód znowu zwolnił. Tristan słyszał szum wiatru w koronach drzew. Las, przemknęło mu przez myśl. Za kilka minut wyprowadzą go z auta, potem będzie musiał iść.

Kierunek: jedno z tych cichych jezior, które otaczały Berlin.

I nie będzie trzeba nawet kuli, wystarczy worek i kilka kamieni.

Siedziba Ahnenerbe

Erika powoli odkrywała, że budynek wraz z aneksami został podzielony na sekcje badawcze, z których każda zajmowała się ściśle określoną dziedziną nauki. W jednej z sal, wyłożonej boazerią i wychodzącej na ogród, archiwiści starannie katalogowali prywatne zbiory biblioteczne przewiezione niedawno z Norwegii.

– Dysponujemy jednostkami SS wyspecjalizowanymi w odzyskiwaniu cennych dokumentów i dzieł sztuki – wyjaśnił Reichsführer. – Tu mamy zamówienie jednego z naszych uczonych zajmującego się starożytnymi pismami. Odczytuje inskrypcje runiczne w rejonie Morza Północnego i Bałtyku. To bardzo ważna praca, ponieważ runy były świętym alfabetem Germanów.

– Zamówienie? – zdziwiła się von Essling, która przez wszystkie lata pracy archeologicznej musiała wypełniać stopy papierów, żeby dostać dodatkową łopatę czy kilof.

– Potrzebował tej biblioteki, więc ją przewieźliśmy – odpowiedział krótko Himmler. – Może przejdziemy do sekcji archeologicznej? Zna pani Carnac?

– Oczywiście, sanktuarium megalityczne w Bretanii.

– Setki wzniesionych kamieni – dodał z entuzjazmem Himmler. – Granitowy las. Ale na razie znamy tylko jego część. Proszę spojrzeć!

Weszli do pomieszczenia o ścianach wyłożonych korkiem i dosłownie wytapetowanych fotografiami. Na większości z nich widać było leżące na ziemi megality świeżo oczyszczone z mchów i wrzosów.

– Nasi badacze odnaleźli dziesiątki zwalonych, a potem zakopanych megalitów. Mierzymy je, ustalamy kierunek ułożenia, a potem precyzyjnie nanosimy na mapę.

Erika pochyliła się nad planem upstrzonym czerwonymi i czarnymi krzyżykami.

– Czy na tym stanowisku udało się odnaleźć inne obiekty archeologiczne? Ciosany kamień, szczątki naczyń?

– Tak, ale to bez znaczenia – odparł Reichsführer – ponieważ Carnac to przede wszystkim obserwatorium astronomiczne. Najstarsze w Europie.

Von Essling słyszała już o tej teorii, jednak żadne badania nigdy jej nie potwierdziły. Himmler popukał palcem w jedno ze zdjęć.

– A my tego dowiedzimy. – Spojrzał na nią i znów się uśmiechając, zapytał: – Kontynuujemy zwiedzanie?

Berlin

Samochód się nie zatrzymał. Teraz jechał brukowaną drogą, której wyboje dawały się Tristanowi we znaki. Jeden ze strażników położył mu rękę na karku. Szybkość zmaląa i słychać było echo silnika, którego warkot odbijał się od ścian domów. To oznaczało, że znów są w Berlinie. Francuz nadstawiał ucha, by wyłować jakiś dźwięk, słowo, ale okna były chyba zamknięte. Może przewozili go do innego więzienia. I na tym skończyły się jego rozważania. Gwałtowne hamowanie rzuciło nim o oparcie siedzenia. Trzasnęły drzwi, a zaraz potem głos, który poganiał go już w więziennych korytarzach, wrzasnął:

– Wsiadaj!

Siedziba Ahnenerbe

Weszli na piętro, do ustawionych w amfiladzie pokoi z oknami na taras. Przez jedno z nich, szeroko otwarte, Erika zobaczyła rzeźbiącego twarz mężczyznę z gęstą brodą.

– Pozwoli pani, że przedstawię kapitana Schäfera – powiedział Reichsführer. – To on kierował wyprawą do Tybetu. Bohater SS.

Oficer odrzucił pasemka jasnych włosów, które opadały mu na czoło, i odsłonił wodniste, niemal białe oczy. Himmler pochylił się lekko, przedstawiając Erikę:

– Fräulein von Essling, archeolog, która przeprowadziła operację Montségur.

Schäfer skłonił głowę.

– Gratuluję sukcesu misji... Bardzo mi przykro z powodu Weistorta. Byłem z nim w dolinie Yarlungu i muszę przyznać, że okazał się niezwykle skuteczny.

– Fräulein von Essling zastąpi pułkownika Weistorta na czele Ahnenerbe. Tymczasowo, dopóki pułkownik nie wybudzi się ze śpiączki.

Erika zmarszczyła brwi – nie zaakceptowała jeszcze propozycji Reichsführera. Co się tyczy Schäfera, to nawet jeśli ta nominacja go zaskoczyła, nie dał tego po sobie poznać. Przeciwnie – ujął Erikę pod rękę.

– Podczas wyprawy do Tybetu dokonałem pomiarów twarzy setek Tybetańczyków i doszedłem do wniosku, że ten lud jest dwojaki. Z jednej strony wieśniacy nomadowie, słowem, klasy niższe, których obecność jest skutkiem najazdów mongolskich, z drugiej... – Delikatnie położył dłoń na twarzy, którą rzeźbił. – Z drugiej rasa panów. Ta, która włada Tybetem. Wydłużona broda, nie tak mocno wystające kości policzkowe, wysokie czoło uwypuklające oczy... Słowem, Aryjczycy.

Himmler wtrącił się do rozmowy:

– Te prace pozwolą nam zebrać niepodważalne dowody anatomiczne przynależności do rasy aryjskiej, a także przygotować się do przyszłych precyzyjnych selekcji. – Zerknął na zegarek. – Schäfer, drogi przyjacielu, musimy już iść. Chcę jeszcze pokazać naszej drogiej Erice coś bardzo ważnego.

Oddalili się, a po chwili weszli w korytarz, który doprowadził ich do dawnej kaplicy o ścianach zdobionych nordyckimi freskami. Światło docierało tu przez witraże z symbolami SS. Pośrodku znajdował się ołtarz oddzielony szklanymi ścianami. Leżała na nim książka oprawiona w czerwoną skórę.

Kiedy podeszli bliżej, Himmler oparł rękę o przezroczystą ściankę.

– Thule Borealis Kulten. To dzięki niej wszystko się zaczęło... – Zamilkł, zdjął okulary i dokładnie je przetrął. Wydawało się, że nic nie jest w tej chwili ważniejsze, jakby nagle losy całego świata okazały się uzależnione od tego prostego gestu. – Nie powiedziała mi pani, czy zgodzi się tymczasowo zastąpić Weistorta.

– Ma pan nowe informacje o stanie jego zdrowia?

– Został przeniesiony do szpitala SS na przedmieściach Berlina. Nadal jest w śpiączce. Potrzebuję pani, by go zastąpić. A zatem?

Kobieta wiedziała, że odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna.

– Zgadzam się. Tak.

Himmler nałożył okulary i uśmiechając się, powiedział:

– Bardzo mnie to cieszy. Wkrótce będzie pani zgłębiać tę księgę. Tymczasem jednak chodźmy, weźmiemy udział w drobnej ceremonii.

Anonimowa ręka zerwała opaskę z oczu Tristana, a druga przyłożyła mu zimną lufę pistoletu do pleców. Byli w lesie. Francuz szedł jak automat po piaszczystej ścieżce, która skrzypiała pod jego nogami. Przez prześwity w zaroślach zobaczył soczyście zielony gazon parkowy. Zbliżając się do niego w asyście dwóch gestapowców, coraz wyraźniej widział fasadę dwupiętrowej rezydencji z długim balkonem na górze. Okrągłe okno frontonu zdawało się obserwować park.

– Szybciej. Czekają na ciebie.

Przed fasadą ustawiła się grupa esesmanów w mundurach galowych. Błyszczące hełmy, białe rękawiczki, broń na ramieniu. Tristan odruchowo zwolnił. Już po raz drugi znalazł się przed plutonem egzekucyjnym. Oficer szedł wolnym krokiem po żwirowej alejce, dokonując przeglądu broni i mundurów.

Tristan się skrzywił.

W przeciwieństwie do Hiszpanów, Niemcy robią to z pompą, pomyślał.

Nagle zobaczył, że oficer i żołnierze się wyprężyli. Z głównych drzwi rezydencji wyłonił się mężczyzna w mundurze SS i zbliżał się sprężystym krokiem.

Oddział jak jeden mąż strzelił obcasami, oddając honory wysokiemu oficerowi, który wszedł na dziedziniec główny.

Tristan od razu go rozpoznał. Był to jedyny nazistowski dygnitarz noszący okulary.

A zatem Himmler pofatygował się osobiście, żeby wysłać go na śmierć.

Cóż za zaszczyt!

Nagle serce zabiło mu szybciej.

Ona!

Właśnie pojawiła się Erika. A więc i ona przybyła, by uczestniczyć w spektaklu. Cóż to za kobieta, skoro jednej nocy poszła z nim do łóżka, a dzień później chce patrzeć na jego śmierć?

Wyprężył tors i uniósł głowę. Jego oczy odwróciły się od żołnierzy z plutonu, by skupić się na Ericie. Ze wzdrganiem. Nie zamierzał dawać jej w prezencie swego strachu...

Himmler podszedł do plutonu i dał znak oficerowi dowodzącemu.

– Wszystko gotowe?

– Tak jest, Reichsführer.

– W takim razie wykonać.

Tristan zamknął oczy. Tym razem nie będzie ucieczki, niczego nie uda się odwiec. Wyprężył się odruchowo, jakby napięte mięśnie mogły ochronić go przed kulami.

Żołnierze zgodnie zaprezentowali broń, a na frontonie, nad głową Eriki, rozwinęła się flaga nazistowskich Niemiec.

– Muzyka!

Zza rogu instytutu wyłoniła się orkiestra dęta w mundurach galowych i zagrała Horst Wessel Lied – hymn partii narodowosocjalistycznej. Tristan wytrzeszczył oczy. Żołnierze trzymali broń przy nodze, Erika stała obok dowódcy SS i z uśmiechem patrzyła na Tristana.

Himmler zaszalutował, a potem podszedł do Tristana. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni pudełko z czarnego aksamitu z czerwoną swastyką na wieczku. Muzyka zamilkła, uderzono w werble. Tristanowi wydawało się, że trwa to całą wieczność. A potem znów zapadła cisza. Wśród niej rozbrzmiał głos Himmlera:

– W imieniu naszego Führera Adolfa Hitlera... – Uniósł wieczko pudełka i wyjął małą czarną swastykę z metalu zawieszoną na ciemnej szarfie. – Odznaczam pana Krzyżem Żelaznym za służbę na rzecz Rzeszy...

Tristan doznał zawrotu głowy. Nie rozstrzelano go, ale odznaczono! I to najbardziej zaszczytnym medalem przyznawanym za zasługi wojskowe!

Himmler przypiął odznaczenie do klapy pomiętego garnituru Tristana i dodał niemal tonem pogroźki:

– Za dotychczasową i za przyszłą.

Gdzieś w Europie

22 czerwca 1941

Dwie srebrzyste linie falowały w promieniach księżyca i znikwały w ziejącej paszczy tunelu. Leżąc za zwalonym pniem na skraju lasu, który niemal ocierał się o tory kolejowe, Laure d'Estillac czuła szybkie bicie swojego serca. Do przyjazdu pociągu zostało jej zaledwie dziesięć minut. Tylko tyle, żeby założyć ładunek i wrócić do kryjówki. Była na siebie wściekła. Pół godziny! Zmarnowała pół godziny na tym skrawku lasu, nie mogąc znaleźć wejścia do przeklętego tunelu.

Wokół niej panowała spokojna noc, a jednak jej zdenerwowanie sięgało zenitu. Obok wylotu tunelu znajdowała się budka strażnicza z reflektorem. Wydawało się, że w pobliżu nie ma żywego ducha. Nie widać było żadnej smugi światła. Z mapki wynikało, że to dawny posterunek, teraz opuszczony przez wroga. Nie miała już czasu, żeby to sprawdzić.

Uspokój się. Oddychaj powoli, nakazała sobie.

Skupiła się na biciu swego serca, wytworzyła pustkę w myślach. Tej techniki nauczył ją instruktor podczas szkolenia z sabotażu w ośrodku szkoleniowym w Glenmore Loch w Szkocji.

Nad jej głową, siedząc na świerkowej gałęzi, pohukiwała sowa, a może puchacz – Laure nigdy ich nie odróżniała.

Dziewczyna położyła Walthera PP6 na pniu drzewa i sięgnęła po plecak wypełniony materiałem wybuchowym. Ciarki przeszły jej po plecach.

Gdyby to wybuchło...!

Co ja tu robię...? Bawię się w partyzantkę, chociaż mogłabym spokojnie spać w łóżku.

Zmagała się z gonitwą myśli.

Skończ z tymi wygłupami... Czas odpalać. Oddychaj. Oddychaj.

Choć było ciemno, bez problemu otworzyła plecak i obmacała zawartość, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu.

Ładunek, detonator, przewód, zaciski... O niczym nie zapomniałam? W porządku.

Zadowolona postawiła na ziemi skrzynkę z tłokiem, za pomocą której miała odpalić ładunek, i zawiesiła plecak na szyi.

W drogę!

Serce znów podeszło jej do gardła. Dziewczyna błyskawicznie wyskoczyła poza granicę lasu. Od torów dzieliło ją zaledwie dziesięć metrów. Szybko dotarła do podsypki i położyła się tuż przy łączeniu torów. Tam gdzie – jak ją uczono – należy zakładać ładunki. Automatycznym gestem wyjęła materiał wybuchowy i umieściła go na podkładzie w miejscu łączenia – to była pięta achillesowa torów kolejowych. Odruchy wracały.

Dłonie jej się pociły, miała problem z umocowaniem ładunku. Drżały jej palce. Nagle tory zaczęły wibrować.

Cholera! Pociąg już jest! Nie zdążę. Muszę uciekać.

Ogarnęła ją bezsilna złość. Nie, musi jej się udać. Przełknęła ślinę. W takich chwilach nie wolno się poddawać.

Nie mogła się powstrzymać od zerknięcia na tunel. Ta mroczna dziura miała w sobie coś nieprzyjaznego, wręcz groźnego. Jakby pociąg mógł pojawić się niespodziewanie i zmiążdżyć ją na torach.

Uspokój się, jest parę kilometrów stąd.

W końcu przytwierdziła ładunek. Szybkim gestem wsunęła zapalnik i podłączyła przewód zapłonu elektrycznego. Kiedy wstawiała, ciężkie cęgi wypadły jej z torby i z metalicznym dźwiękiem uderzyły o szynę.

Zakłęła cicho i pochyliła się, żeby je podnieść.

Nagle błysk białego światła rozdarł ciemności.

Włączył się reflektor na budce strażniczej i zalał światłem tory.

– Halt!

Laure skamieniała.

– Achtung!

Ciężkie buty skrzypiały na żwirze.

Niemożliwe! Przecież to miejsce miało być opuszczone.

Pomacała kieszeń kurtki i znów zakłęła w duchu. Pistolet! Zostawiła go w lesie.

Sypnęła się seria z pistoletu maszynowego, kule podrywały grudki ziemi i kamienie wokół niej.

- Halt!

Nie mogła się już ruszyć. Szach i mat.

W jej polu widzenia pojawili się trzej mężczyźni. Trzej niemieccy żołnierze w hełmach i z wycelowaną w nią bronią. Załamana podniosła ręce do góry.

– Ein Sabotage! – wrzasnął jeden z nich.

– Nie... Ja tylko sadzę marchewkę – odparła Laure, świadoma bezsensu tej odpowiedzi.

Jeden z żołnierzy stanął za nią i przeszukał ją, obmacując. Jego ręce wędrowały po jej nogach.

Stała z podniesionymi rękami, ciskając gniewne spojrzenia.

– Myślicie, że...

Nie dokończyła zdania. Żołnierz uderzył ją kolbą w tył głowy. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma i osunęła się na tory.

Przebudzenie było brutalne, bo głowa Laure po prostu wyła. Dziewczyna z trudem uniosła powieki.

Łagodne światło spowijało rokokową sypialnię, w której się ocknęła. Usiadła na łóżku. Wciąż miała na sobie wojskową kurtkę i buty na kauczukowej podeszwie.

Wysoki mężczyzna z krótką, starannie przyciętą brodą stał oparty o obudowę kominka. Palił fajkę i obserwował ją z zaciekawieniem.

– Proszę się nie martwić, ból ustąpi w ciągu dwóch dni. Dwa razy oberwałem tak po głowie podczas ćwiczeń komandosów w tym samym ośrodku szkoleniowym co pani.

Głos brzmiał znajomo.

Laure przez chwilę mrugała oczami. Poznała go. Ale teraz nosił inny mundur.

– Pan komandor!

Malorley podszedł bliżej.

– Za to guza nie pozbędzie się pani przed upływem tygodnia.

– Nie rozumiem... Ośrodek szkoleniowy... – bełkotała dziewczyna. – Gdzie ja jestem?

– W prywatnej rezydencji w centrum Londynu. Przywieźli tu panią instruktorzy. Może im pani podziękować: zachowali się przyzwoicie i zostawili pani mundur polowy.

Uśmiechał się, paląc fajkę.

– No tak... wielka szkoda, nie powiodło się pani na egzaminie z sabotażu. Nie sprawdziła pani, czy przy tunelu są strażnicy.

– Straciłam dużo czasu w lesie.

– Wskazówki były błędne, żebyście marnowali czas. To klasyczny test, chodzi o sprawdzenie koncentracji podczas działania w silnym stresie. Czas... to luksus, na który nie można sobie pozwolić podczas wojny. Proszę ze mną, musimy porozmawiać.

Pomógł jej wstać.

– Dokąd idziemy?

– Do mojego gabinetu.

Opuścili sypialnię i poszli szerokim korytarzem o ścianach wyściełanych ciemnoczerwoną tapiserią i ozdobionych oprawionymi w złoczone ramy obrazami, które przedstawiały greckie maski teatralne. Na podłodze leżał gruby dywan. Trzy kryształowe żyrandole oświetlały łagodnym blaskiem drogę do drzwi w końcu korytarza.

– SOE na niczym nie zbywa. Czyżby ten domek zapewnił wam sam król? – zapytała uszczypliwie Laure.

– Znajdujemy się w Prospero's Mansion, teatrze należącym do grupy przyjaciół. – Malorley zatrzymał się przed drzwiami po prawej stronie i otworzył je. – Proszę wejść

i usiąść, Laure.

Weszła do średniej wielkości kwadratowego pomieszczenia wyłożonego boazerią. Stało w nim biurko w stylu wiktoriańskim, a okno z ciężkimi zielonymi zasłonami wychodziło na ślepe podwórze. Na wprost tego okna wisiało wysokie, szerokie zwierciadło. Wystrój był skromny – pod ścianą na konsoli stała fotografia w ramce, przy oknie wisiał obraz przedstawiający scenę z polowania z nagonką.

Usiedli naprzeciwko siebie przy biurku. Malorley znów zapalił fajkę i życzliwie przypatrywał się Laure.

– Jak przebiega pani szkolenie?

– Jeśli pominąć porażkę z tej nocy, to bardzo przyjemna zabawa. Trzy wyczerpujące tygodnie wykładów wstępnych w Brompton, potem dwa tygodnie w ośrodku ćwiczeń wytrzymałościowych w Arisaig House. No i oczywiście szkolenie spadochronowe, podczas którego o mało nie skręciłam karku.

Uśmiechnął się tylko. Najwyraźniej szkolenie nie pozbawiło tej dziewczyny werwy.

– Pytałem raczej o pani kondycję psychiczną.

– Pękłam dwa razy. Nie, trzy, jeśli liczyć policzek wymierzony sierżantowi, który mnie obrażał, kiedy robiliśmy pompki.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Ale wytrzymałam – dodała z zadziorną miną. – Mam wrażenie, że jest pan rozczarowany?

– Wręcz przeciwnie, jestem pod wrażeniem. Przeglądałem wyniki pani testu na odporność na przesłuchania w stylu Gestapo. Nawet starzy wyjadacze ze służb nie mogli się nadziwić.

– W przeciwieństwie do innych rekrutów ja zetknęłam się we Francji z prawdziwymi esesmanami, a nie z instruktorami przebranymi za nazistów, żeby tworzyć pozory autentyczności...

– Myśli pani o ojcu?

Zapaliła papierosa i się zaciągnęła.

– Teraz chce się pan bawić w psychologa? To, co się dzieje w mojej głowie, to wyłącznie moja sprawa.

– Nie chciałem pani urazić. Sądzę, że byłby z pani bardzo dumny.

– Teraz ja o coś pana zapytam – powiedziała już spokojnie. – Ma pan jakieś wieści o Jane?

Malorley spochmurniał.

– Żadnych. Dla mnie umarła na tej łące, tam gdzie spalono żywcem katarów. Wolę myśleć, że umarła na miejscu, niż że ranna dostała się w ręce Niemców.

– Przykro mi.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Malorley podniósł słuchawkę, nie odrywając oczu od Laure. Odpowiadał „tak” i „nie” i szybko zakończył.

– Dobrze. Znalazła się tu pani, ponieważ chcę złożyć pani propozycję.

– Słucham.

– Dotarły do pani wiadomości o lądowaniu Rudolfa Hessa w Szkocji w ubiegłym miesiącu?

– Tak, jak wszyscy czytałam o tym w gazetach. Został uwięziony w London Tower i najwyraźniej postradał rozum. Nawet Hitler uznał go za wariata.

Oficer SOE pokręcił głową.

– To tylko wersja oficjalna. W rzeczywistości przyjechał, żeby zaproponować Anglii pokój, ale nie poinformował o tym Führera. Proszę sobie wyobrazić, że ten potwór darzy nas sympatią, widzi w nas aryjskich krewniaków, tyle że trochę upartych, bo nie chcą zrozumieć misji cywilizacyjnej Wielkiej Rzeszy. Churchill w tajemnicy złożył mu wizytę, żeby wyrobić sobie o nim opinię. Wszedł zbulwersowany.

– Dlaczego?

– Premier odkrył, że ta znacząca w nazistowskiej hierarchii osobistość zdecydowała się na lot, podążając za radami astrologów. Że wierzy w magię i okultyzm. Od dziesięcioleci. I że nie jest w tym osamotniony...

– Coś o tym słyszałam...

– Sam Himmler jest adeptem dziwnych doktryn okultystycznych. Szczegóły mogą przyprawić o dreszcz, ale pomińmy to. Najważniejsze, że Hess powiedział premierowi o odnalezieniu w Tybecie swastyki. To odkrycie miało ponoć doprowadzić kilka miesięcy później do wywołania przez Niemcy wojny. Ale to jeszcze nie wszystko. Hess wiedział również o wyprawie pułkownika Weistorta do Montségur. Był dokładnie poinformowany o tym, co znajdowało się w kryjówce katarów.

– Trudno mi uwierzyć, że Hitler wszczął wojnę z powodu jakiegoś artefaktu – odparła Laure, zaciągając się papierosem.

– Churchill także odnosił się do tego sceptycznie. Ale muszę powiedzieć, że zmienił zdanie.

Z twarzy Laure zniknął nieco ironiczny wyraz. Malorley ciągnął:

– Po wysłuchaniu tych informacji premier polecił zamknąć Hessa i trzymać go pod kluczem, a przede wszystkim rozgłaszać wszędzie wiadomość o jego obłądnie. Ale... – Zawiesił głos, żeby wyjąć z szuflady biurka papier z nagłówkiem War Office i podsunął go Laure. – Wezwał też mnie i polecił utworzyć wyspecjalizowany departament, który zajmie się okultystycznymi operacjami nazistów. Odpowiednik Ahnenerbe, ale znacznie skromniejszy, niestety także pod względem środków finansowych.

Laure podeszła do tego pomysłu sceptycznie.

– Nie chce mi się wierzyć, że wasz premier potraktował poważnie te brednie.

– Churchill jest przede wszystkim pragmatyczny. Nie wierzy w magiczne moce, wie natomiast, że część naszych przeciwników podchodzi do tego zupełnie inaczej. Chce wiedzieć, co planują, żeby te plany pokrzyżować.

– Nie bardzo rozumiem... Wy również zamierzacie organizować wyprawy? Jak naziści?

– Musimy zbierać wszelkie informacje o tym, co szykują Niemcy, i podejmować działania prewencyjne. Ale przede wszystkim musimy myśleć jak oni i do tego potrzebujemy ekspertów.

– Ktoś taki istnieje?

– Tworzę zespół badaczy, znawców ezoteryki, magii i religii archaicznych. Muszę przyznać, że poznałem zadziwiających ludzi. Na przykład dziś mam spotkanie z niejakim Aleisterem Crowleyem³⁷, którego polecili mi przyjaciele. Niezwykła kariera. Udało mu się otworzyć centrum magii na Korfu, pod nosem Mussoliniego.

Podsunał jej fotografię łysego mężczyzny o jakby obrzmiałej twarzy (zapewne na skutek zażywania kortyzonu) i nawiedzonym spojrzeniu.

– Czarujący człowiek... Nie rozumiem tylko, co ja mam z tym wszystkim wspólnego.

– Chciałbym mieć panią w zespole.

Laure zatrzepotała powiekami, zdumiona tą propozycją.

– Żartuje pan? Nie jestem astrologiem, nie stawiam kart. Poza tym jestem racjonalna do bólu.

– Ja też, ale istnieją na tym świecie potężne siły, które nam się wymykają. Odrzucamy je z zasady, ponieważ nasz rozum nie wie jeszcze, jak je ogarnąć. Jednak pewnego dnia znajdziemy ich wyjaśnienie i uzasadnienie. Tak jak kiedyś odkryliśmy tajemnicę radioaktywności, o której dziś tyle się mówi. To, co dziś jest magią, jutro stanie się wiedzą. A ja pani potrzebuję.

Długo na niego patrzyła, a potem pokręciła głową.

– Dziękuję za propozycję, ale mam tylko jeden cel: wrócić do Francji, żeby walczyć z Niemcami.

– A może powoduje panią żądza zemsty? Oni zamordowali pani ojca.

– Gdyby nawet... W każdym razie nie mam najmniejszej ochoty bawić się w archeologa. Najlepiej będzie, jeżeli wyśle pan ofertę pracy do tego zdrajcy Tristana. Jestem pewna, że jeśli stawka będzie odpowiednio wysoka, bez rozterek duchowych zmieni barwy.

Malorley zapalił fajkę, a potem smętnie pokiwał głową.

– Spodziewałem się takiej reakcji. Wie pani, że z powodu niepowodzenia tej nocy nie zostanie pani przetrzucona do Francji przez co najmniej pół roku? I będzie pani poddana kolejnej ocenie. Przy mnie dostanie pani natychmiastowy przydział do zadań na terenach okupowanych.

Laure pomasowała obolały kark. Instruktorzy nie żalowali sił. Zawahała się. Propozycja była kusząca, w przeciwieństwie do perspektywy powtarzania szkoleń. Ale nie odpowiadały jej te historie z magią i czarami... Jeszcze raz spojrzała na fotografię grubego łysego gościa o obrzmiałej twarzy. Nie, wykluczone, żeby został jej kolegą z pracy!

– Raczej nie... – powiedziała, odsuwając fotografię. – Dobranoc, komandorze.

Wstała i zasalutowała regulaminowo. Malorley również.

– Jak pani chce. Proszę wracać do sypialni. Jutro odwiozę panią do ośrodka szkoleniowego. Nigdy więcej pani o mnie nie usłyszy.

Szła już do drzwi, kiedy rozległ się głos Malorleya:

– Mogłaby mi pani wyświadczyć jeszcze jedną przysługę? Na prawo od pani stoi naczynko z wyciorami do fajki, o tam, na komódce. Zechce mi pani podać jeden?

– Oczywiście.

Gliniane naczynko stało tam, gdzie mówił. Tuż pod dużą fotografią wiszącą na ścianie w srebrnej ramce. Rzuciła na nią okiem. Sześciu umundurowanych mężczyzn pozowało fotografowi, stojąc ramię w ramię. Na ich twarzach malowało się zmęczenie. Wszyscy trzymali broń na ramieniu. Malorley w mundurze hiszpańskiej armii republikańskiej stał wśród nich.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – zapytała.

– W styczniu 1937 roku. W Teruelu, w Hiszpanii, podczas wojny domowej. Intelligence Service wysłał mnie tam, abym dowodził brygadą międzynarodową. To oficerowie z mojej jednostki. Anglicy i Francuzi.

Laure wyjmowała wycior, kiedy jej oczy zatrzymały się na jednym z mężczyzn. Klęczał, opierając ręce na lufie broni. Uderzył ją ten ironiczny uśmiech.

Długo stała w milczeniu, wpatrzona w żołnierza.

– Ten facet na zdjęciu... chyba mi się nie przywidziało. To...

Malorley z uwagą obserwował ją zza biurka.

– Już mówiłem, to dowództwo mojej brygady. Zechce mi pani podać ten wycior?

Odwróciła się zniecierpliwiona.

– Niech pan skończy z tą komedią! – rzuciła, dotykając palcem wskazującym ramki zdjęcia. – Dobrze pan wie, o kim mówię.

Malorley wzruszył ramionami.

– To już nie pani sprawa, skoro odrzuciła pani moją propozycję.

Gniewnym gestem zdjęła zdjęcie ze ściany i podeszła do biurka, żeby podsunąć mu je pod nos.

– Proszę odpowiedzieć, Malorley. Od początku znał pan tego człowieka? Pracował dla pana, zgadza się?

– Bardzo mi przykro, ale to tajemnica wojskowa. Jak wszystko, co dotyczy spraw toczących się w tym departamencie. Życzę dobrej nocy, Laure.

– Niech pan ze mną tak nie gra! Doskonale pan wiedział, że spojrzę na to zdjęcie, kiedy poprosił pan o ten cholerny wycior.

Nie zareagował.

– Przejrzałem dokumentację z pani szkolenia. Jeden z instruktorów zauważył, że ma pani wyostrzony zmysł obserwacji. Nie mylił się.

Laure d'Estillac z natężeniem wpatrywała się w fotografię.

– A więc to naprawdę on...

Komandor wziął zdjęcie do ręki.

– Tak, to jeden z moich najskuteczniejszych oficerów. Nazywa się Tristan... Tristan Marcas.

Patrzyła na niego zdumiona.

– A swastyka zabrana przez Niemców z Montségur?

Malorley tylko się uśmiechnął.

– A... to starcie między panem a nim w sanktuarium?

– Wywodzi się pani z rodu katarów, więc przecież doskonale pani wie, że wszystko jest tylko iluzją... Tristan się zorientował, że zamontowany przez katarów mechanizm to tylko atrapa. Umieścili go tam, żeby odstraszać intruzów. To, którą z bliźniaczych swastyk wyjąłby z rąk posągu, niczego by nie zmieniło, nic by się nie zawaliło. Najważniejsze było jednak, żeby oddać Niemcom fałszywą swastykę.

– Jak to zrobił?

– Zła miała z tyłu wygrawerowany zwykły krzyż. Krzyż dla dobrych chrześcijan, dla katarów symbolizujący nicość. Mówiąc prościej, ta swastyka była tylko ułudą.

– A skąd wiedział, że zaatakujecie ich w grocie?

– Tristan wiedział, że nasze służby go obserwują i że prędzej czy później zdołamy go odnaleźć. Gdybyśmy nie wkroczyli, ukryłby prawdziwy artefakt pod nosem Niemców. Postarałby się w jakiś sposób przesłać mi wiadomość, to bardzo pomysłowy i zaradny człowiek... – Wypuścił kłęb dymu z fajki i podjął: – Naziści wyjechali z fałszywą swastyką. My mamy prawdziwą.

– Ale ta z Tybetu pozostaje w ich rękach?

– Tak, każda ze stron ma po jednej... Teraz Dobro i Zło osiągnęły remis, choć pozostały jeszcze dwie inne swastyki do odnalezienia. To będzie nasza misja. Musimy też wyjaśnić zagadkę ich pochodzenia. Nie wiadomo, kto je wykonał i dlaczego przed tysiącami lat rozrzucano je po całym świecie.

Oczy Laure rozbłysły.

– Domyślam się, że Niemcy przekonani, że mają autentyczne insygnium z Montségur, staną się nieprzewidywalni. Rozszaleją się jeszcze bardziej, będą chcieli... – Urwała w pół słowa, jakby dotarło do niej coś zupełnie oczywistego. Dopiero po chwili podjęła: – Będą chcieli otworzyć drugi front, tak?

– Niemcy stają się najsłabsi, kiedy czują się niepokonani. Poza tym... – Malorley uniósł fajkę do ust i delectował się dymem. – Poza tym mamy agenta w jądrze ciemności.

EPILOG

W tym samym momencie tysiące kilometrów na wschód od Londynu miało miejsce niezwyklej wagi wydarzenie.

W dniu 22 czerwca 1941 roku, dokładnie o trzeciej nad ranem, dywizje Hitlera ruszyły na liczącej ponad tysiąc kilometrów linii frontu, by zalać sowieckie imperium. W historii ludzkości nigdy jeszcze nie doszło do inwazji na taką skalę. Żaden z wielkich zdobywców – ani Aleksander Wielki, ani Cezar, Attyła, Czyngis-chan czy Napoleon – nie stworzył tak wielkiej armii.

W dniu 22 czerwca 1941 roku, dokładnie rok po kapitulacji Francji, cztery miliony żołnierzy, siedem tysięcy czołgów i samolotów, pół miliona koni rzucono na wschód.

W dniu 22 czerwca 1941 roku wojna z europejskiej przeobraziła się w światową.

Z punktu widzenia Hitlera nie był to jej naturalny przebieg, lecz coś, co nadawało jej pełny sens. Jeśli bowiem każda wojna z natury rzeczy jest potwornością, to ta, prowadzona przez niewydarzonego artystę, który został tyranem, wyróżniać się miała cechą ujętą w słowie Gesamtkunstwerk – dzieło totalne.

Zbrojnemu podbojowi Związku Radzieckiego towarzyszyła planowa eksterminacja populacji uważanych za podludzi: Żydów, Romów, Słowian... Według Führera i entuzjastycznych wykonawców jego woli nie działo się jednak zło. Wręcz przeciwnie. To była ostateczna walka o dobro narodu niemieckiego, jak głosiła nazistowska propaganda.

A ponieważ tytanicznemu przedsięwzięciu trzeba było potężnego symbolu, Hitler osobiście wybrał kryptonim inwazji:

Unternehmen Barbarossa.

Operacja Barbarossa.

Fryderyk Barbarossa, legendarny bohater Hitlera. Imię otoczone wieczną chwałą w całych Niemczech, mityczny cesarz Pierwszej Rzeszy, który również podjął krucjatę u zarania pierwszego tysiąclecia. Cesarz, który – jak głosi legenda – spoczywa w magicznej górze, czekając, by się przebudzić i przywrócić wielkość Rzeszy.

W dniu 22 czerwca 1941 roku, kilka godzin po przesileniu letnim, nowy nazistowski imperator podjął swą największą krucjatę.

Następny tom cyklu Czarne Słońce:

Noc zła

Na dalszych stronach zamieszczamy aneksy, które umożliwiają bliższe zapoznanie się z tematami poruszonymi w tej książce.

J O R O K M Z V Q Y

F Q Y X M O B J K K

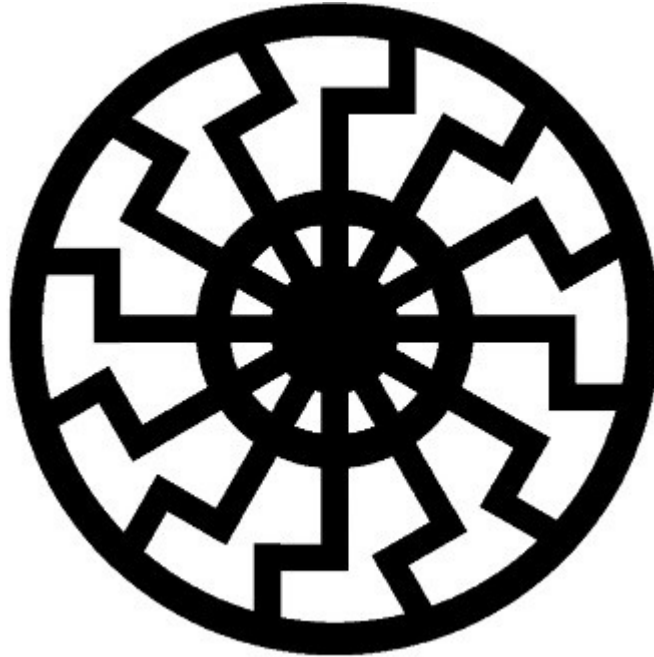
C L E S O E

Beaufort jest jedyną prawdą

Aby zrobić kolejny krok...

„Podążajcie za Hitlerem. Będzie tańczył, ale do skomponowanej przeze mnie muzyki. Otwarliśmy mu oczy i daliśmy środki komunikacji z narodem. Nie oplakujcie mnie: żaden Niemiec nie wywarł na historię takiego wpływu jak ja”.

Dietrich Eckart, mentor Hitlera, członek tajnego Stowarzyszenia Thule



Symbol Czarnego Słońca. Zdobí marmurową posadzkę sali generałów SS w Wewelsburgu, zamku Himmlera. Ten pogański znak przedstawia bieg Słońca w ciągu roku, dwunastokrotnie powtarzając nordycki symbol runiczny sowilo albo sol. Ta sama podwojona runa tworzy także znieawidzony znak SS.

Aneks

1. Odróżnić prawdę od fałszu
 2. Nazizm i ezoteryka wychodzą z czyścica
 3. Myśl totalitarna podszyta nadprzyrodzonym
 4. Swastyka, Thor i szalony bard
 5. Były mnich wieszczki niewyobrażalne
 6. Stowarzyszenie Thule – magia i mordy polityczne
 7. Mentor przyszłego Führera
 8. Diabelska kuźnia talentów
 9. Czarny zakon i zamek Wewelsburg
 10. Ahnenerbe, czyli laboratorium Zła
 11. Montségur: od Ottona Rahna po współczesną archeologię
1. Odróżnić prawdę od fałszu

Jak pisaliśmy w przedmowie, Triumf ciemności to fikcja literacka, a historia czterech insygniów zrodziła się w naszej wyobraźni, podobnie jak główni bohaterowie powieści: Tristan, Weistort, Erika i inni. Jednak książka przywołuje wiele poruszających faktów historycznych. Wyprawa Schäfera do Tybetu odbyła się w latach 1938-1939, była szeroko opisywana w niemieckiej prasie z tamtych lat i stała się tematem filmu dokumentalnego.

Dowódca ekspedycji, członek Ahnenerbe, zdobył sto osiem zwojów tybetańskiej świętej księgi Kandziur. Co dziwniejsze, esesmani naprawdę znaleźli i zabrali do Berlina posąg Buddy ozdobiony swastyką. Liczył tysiąc lat i został wyrzeźbiony w meteorycie, który spadł na ziemię przed ponad dziesięcioma tysiącami lat!

Tym, którzy lubią zbiegi okoliczności czy też synchroniczność, wyjaśniamy, że nie wiedzieliśmy o tym odkryciu, kiedy nadawaliśmy wygląd naszej rzeźbie z Tybetu. Dopiero kończąc pracę nad książką i redagując niniejsze aneksy, natknęliśmy się na tę niezwykłą historię³⁸. Podróż Himmlera do Montserratu faktycznie miała miejsce i przebiegała tak, jak to opisaliśmy; naprawdę też zadał on mnichom z klasztoru pytanie, czy nie przechowują Graala. Po „stronie” angielskiej opis SOE Churchilla oparty jest na faktach, nie było jednak operacji w Montségur ani jednostki specjalizującej się w ezoteryce. Autentyczną postacią jest także księgarz Silvio Trentin. Ten Włoch na wygnaniu odegrał ważną rolę w tuluzzańskich strukturach ruchu oporu. Do dziś jeden z bulwarów w Tuluzie nosi jego imię.

2. Nazizm i ezoteryka wychodzą z czyścica

Poruszenie kwestii powiązań nazizmu z ezoteryką okazało się zadaniem bardzo ryzykownym. Wzmianki na ten temat pojawiły się w roku 1939 w książce Rozmowy z Hitlerem. Napisana przez byłego nazistę i byłego marszałka senatu Gdańska, Hermanna Rauschninga, który przed wojną wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, ukazuje Hitlera na pół obłąkanego, doznającego ataków mistycznego delirium i zafascynowanego zjawiskami nadprzyrodzonymi. Choć książka stała się bestsellerem, to większość historyków nie uznała jej za wiarygodną. Temat powrócił we Francji w latach sześćdziesiątych wraz z książką, która wywołała sensację i gorące polemiki: Poranek magów. Autorstwa dziennikarza Louisa Pauwelsa i Jacques'a Bergiera (którego spotykamy w albumie o Tintinie Lot 747 do Sydney), naukowca, szpiega i byłego więźnia Mauthausen, praca ta po raz pierwszy omawia okultystyczny wymiar hitleryzmu, ale w ujęciu „realizmu fantastycznego”, co zirytowało większość ówczesnych krytyków.

Potem teoria ta rozpowszechniała się wśród szerokich rzesz odbiorców głównie za sprawą fikcji literackiej i filmowej, jak choćby kreskówki Hellboy czy licznych thrillerów oraz powieści science fiction przedstawiających historię alternatywną, gdzie Niemcy zwyciężają wojnę dzięki mocom tajemnym. Kinowym przykładem filmu popularyzującego powyższą teorię jest, jak łatwo się domyślić, Indiana Jones poszukujący zaginionej Arki czy też Graala. Temat pojawia się także w Internecie. Powszechnie dostępne są setki stron i dokumentów wideo. Niektóre przedstawiają analizy przeprowadzane ze zwykłej ciekawości, inne snują najdziwniejsze domysły (Hitler miałby uciec latającym spodkiem na Księżyc) lub są wykwittem obsesji albo – co także się zdarza – cynicznego rewizjonizmu.

Tak czy inaczej, fascynacja wielu nazistów ezoteryką i okultyzmem to fakt. Nawet jeśli Hitler publicznie się do tego nie przyznawał, to miał w swojej bibliotece dziesiątki publikacji

poświęconych okultyzmowi, poczynając od przepowiedni Nostradamusa, o czym już pisaliśmy. Niedawne odnalezienie w Pradze ukrytego zbioru trzynastu tysięcy ksiązek ezoterycznych, należącego do Himmlera, to tylko jeden z wielu przykładów.

Podstawowy problem polega na oddzieleniu tego, co jest tylko anegdotą, od tego, co stanowi poważną analizę. Nie możemy przecież wyobrazić sobie, że nazizm to Harry Potter na czele dywizji pancерnej.

Przez kilkadziesiąt lat temat był ignorowany albo traktowany z dystansem przez historyków. Uważali, że cuchnie siarką lub że jest po prostu nieistotny. Jedyne dostępne opracowania były publikowane przez niezależnych badaczy i przez dziennikarzy. Idąc w ślad za Pauwelsem i Bergierem, odważyli się „unurzać” w „bagnie okultyzmu”, jak powiedział niegdyś Freud – zaciekle przeciwnik wszelkiej ezoteryki. Przez wszystkie te lata pojawiło się wiele zaskakujących informacji (por. bibliografia po aneksie), często prawdziwych, czasem fałszywych, a także bardziej lub mniej trafnych wniosków, niekiedy wręcz spiskowych. W pierwszych latach XXI wieku angielski historyk Nicholas Goodrick-Clarke naruszył tabu i opublikował poważne opracowanie na ten temat: *Okultystyczne źródła nazizmu*. Tama pękła i stopniowo temat wyszedł z czyścica historii, zyskując wiarygodność.

3. Myśl totalitarna podszyta nadprzyrodzonym

Ostatnio ukazały się prace amerykańskiego historyka Erica Kurlandera, który w roku 2017 wydał nakładem wydawnictwa Uniwersytetu Yale pasjonującą książkę *Hitler's Monsters: A Supernatural History of The Third Reich*. Potwierdził w niej obsesyjne zainteresowanie okultyzmem i mówił o „nadprzyrodzonym świecie wyobrażeń”, który ukształtował umysły. Oto, co powiedział w wywiadzie przetłumaczonym na portalu Slate³⁹ o „nazistowskim myśleniu”:

„Dlaczego tylu nazistów, szczególnie ich, wierzyło lub uważało takie myślenie za interesujące albo potencjalnie przydatne do manipulowania społeczeństwem? Ponieważ wyrosli w epoce prawdziwego rozkwitu myślenia nadprzyrodzonego w całych Niemczech i w Austrii. Nawet najbardziej sceptyczni naziści uważali myślenie nadprzyrodzone za narzędzie. [...] W Niemczech liczni członkowie i zwolennicy partii narodowosocjalistycznej używali słów i idei, których bezpośrednią inspiracją były «naukowe» teorie okultystyczne i nadprzyrodzone. Wierzono zatem w istnienie ras niższych i w cywilizację Thule. [...] Był to bowiem w Austrii i w Niemczech moment historyczny, gdy z różnych przyczyn popularność pewnych idei okultystycznych i doktryn paranaukowych, a także religii alternatywnych, mitologii nordyckiej oraz folkloru niemieckiego, nasilająca się za sprawą kryzysów, takich jak pierwsza wojna światowa i krach gospodarczy lat trzydziestych, tworzyły doskonały grunt do rozkwitu nadprzyrodzonego świata wyobrażeń, aż w końcu stał się on groźnym elementem myśli politycznej. To fenomen, jakiego nie zaobserwowano wówczas w żadnym innym kraju”.

W tamtych czasach każdy Niemiec znał legendę uśpionego cesarza Fryderyka Barbarossy, który miał odbudować wielką tysiącletnią Rzeszę. Wiersza głoszącego jego kult uczono na pamięć we wszystkich szkołach.

Skoro teren został rozminowany, przejdźmy do okresu, gdy wytworzyło się owo idealne okultystyczne podłoże, na którym przyjęło się ziarno nazizmu.

4. Swastyka, Thor i szalony bard

Prześledźmy bieg historii ezoteryki nazizmu, zaczynając od jego najważniejszego symbolu: swastyki (słowo wywodzące się z sanskrytu). Odnajdujemy ją od tysięcy lat we wszystkich cywilizacjach, szczególnie w Azji, gdzie ma pozytywne znaczenie – to symbol pokoju, harmonii, szczęścia. Zwrócony w lewo, symbol ten wyobraża też ideę ruchu, Słońce, rotację sił kosmicznych. Pojawia się na posągach Buddy w Japonii, Chinach, Indiach. Swastyka jest mniej rozpowszechniona w Europie, ale i tu pojawia się w Grecji i wśród ludów nordyckich.

Jak to się stało, że znak pokoju przerodził się w groźny nazistowski krzyż odwrócony w prawo, jakby w kontrze do pierwotnych pozytywnych wartości? Wbrew utartym poglądom Hitler niczego nie tworzył, przyjmując ją za znak swego ruchu politycznego. Była bardzo popularna w niemieckich kręgach nacjonalistycznych i rasistowskich, które zyskiwały poklask u schyłku XIX wieku. Dla nich był to hakenkreuz, emblemat młota Thora, nordyckiego władcy piorunów.

W kręgach wielbiących swastykę niczym nowy krucyfiks ich aryjskiej religii pojawił się wpływowy człowiek: Guido von List. Ekscentryczny Austriak, pseudopowieściopisarz, pseudofilozof, wyznawca radykalnego pogaństwa, głosił skrajny antysemityzm i ćwiczył ze swymi pełnymi entuzjazmu uczniami magiczne zaklęcia w Czarnym Lesie. Wpływ „nordyckiego barda”, jak sam o sobie mówił, był szczególnie silny w „dobrym towarzystwie”. Von List założył Instytut Badań Mistycznych, organizował konferencje, podburzał środowiska antysemityczne. Popularyzował swastykę, w której widział symbol odnowy sił germańskich zagrożonych inwazją ras niższych. A był dopiero rok 1905, do utworzenia partii narodowosocjalistycznej zostało jeszcze piętnaście lat! Nie on jeden głosił takie rasistowskie doktryny. We Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych pojawiali się teoretycy, którzy szerzyli podobne idee, jak Francuz Joseph Arthur Gobineau, angielski pisarz Houston Stewart Chamberlain czy – w mniejszej mierze – założycielka Towarzystwa Teozoficznego Helena P. Bławatska, która wierzyła w istnienie ras wyżej rozwiniętych od innych...

5. Były mnich wieszczy niewyobrażalne

Wśród najzarliwszych wielbicieli Guida von Lista pojawił się Lanz von Liebenfels, człowiek, który miał odegrać kluczową rolę w życiu młodego Hitlera. Ten był cysters, który rzucił habit, został mistrzem tajnego, skrajnie rasistowskiego stowarzyszenia: Zakonu Nowych Templariuszy, których z templariuszami łączyła tylko nazwa. Grupka ta odprawiała

magiczne rytuały, a jej guru głosił radykalne poglądy: dobór jasnowłosych, niebieskookich kobiet i mężczyzn, aby stworzyć w zakładach medycznych czystą rasę aryjską; sterylizacja albo eksterminacja populacji uznanych za niższe, przede wszystkim Żydów; powołanie zakonu wojskowego, opierającego się na czystości krwi i uprawianiu medytacji przez kadrę dowódczą tego rycerstwa.

To już był załączek programu, który powstał po latach w nazistowskich Niemczech. Aby rozpowszechnić te odrażające idee, Liebenfels wydawał periodyk „Ostara”. Dziś wiemy, że w studenckich latach w Wiedniu Hitler był wiernym czytelnikiem „Ostary”, której cały zbiór przechowywał w jednej ze swych bibliotek. Miał też okazję poznać Liebenfelsa.

6. Stowarzyszenie Thule – magia i mordy polityczne

Wszystkie te idee mogłyby pozostać tylko martwą literą i wylądować na śmietniku historii ezoteryki, gdyby uczniowie piekielnego duetu – Lista i Liebenfelsa – nie zdecydowali się posunąć dalej.

W roku 1918 założyli inne tajne stowarzyszenie – jeszcze jedno. Ale tym razem nowego typu: Thule-Gesellschaft, bawarskie odgałęzienie Germanenorden. Skupiła się w nim dziwna mieszanina: arystokraci, oficerowie armii cesarskiej, przemysłowcy i wszelkiego rodzaju awanturnicy. Cel był już zdecydowanie polityczny – chodziło o wprowadzenie w życie idei głoszonych przez Lista i Liebenfelsa. Każde spotkanie zaczynało się od wymiany pozdrowień: uniesienia ręki i okrzyku Sieg Heil. Tak jak po latach w partii hitlerowskiej. Symbolem stowarzyszenia stał się sztylet ze swastyką o zaokrąglonych, zwróconych w prawo (przeciwnie niż swastyki azjatyckie) ramionach. Sztylet wyrażał ambicje założycieli stowarzyszenia: wznieść sztylet na wrogów Niemiec i przelewać ich krew. Thule finansowała paramilitarne oddziały nacjonalistyczne do walki z komunistami, którzy na krótko przejęli władzę w Bawarii i zemścili się potem, mordując siedmiu dowódców organizacji. Gdy stłumiono czerwoną rewoltę i stracono jej przywódców, członkowie Thule doszli do wniosku, że muszą utworzyć ruch na wzór partii komunistycznej, żeby szerzyć swą ideologię wśród ludu. Zbliżyli się do aktywistów skrajnej prawicy i tak w roku 1919 powstała DAP, Deutsche Arbeitpartei, Robotnicza Partia Niemiec. Już po kilku miesiącach stała się ona Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotników (NSDAP). Zdaniem większości historyków członkowie Thule wprawdzie przyczynili się do powstania tego monstrum, absolutnie nie znaczy to jednak, że zachowali nad nim kontrolę. Nie bez powodu – ich miejsce zajął młody, egzaltowany kapral, niejaki Adolf Hitler.

7. Mentor przyszłego Führera

Austriacki imigrant, niedoszły student sztuk pięknych, wstąpił do partii jako wojskowy szpieg, bardzo szybko jednak zaangażował się w organizowanie ruchu i zwrócił na siebie uwagę jednego z przywódców Thule, który wziął go pod swe skrzydła. Tym opiekunem był Dietrich Eckart, współzałożyciel DAP. Był ważną postacią bawarskiego życia kulturalnego,

poetą, tłumaczem Peera Gynta, błyskotliwym intelektualistą, autorem sztuk teatralnych. Był też redaktorem naczelnym „Völkischer Beobachter”, rasistowskiego brukowca, który z czasem stał się oficjalną gazetą partii narodowosocjalistycznej. Eckart był zagorzałym antysemitą, poza tym jednak fascynował go okultyzm i mistycyzm, stąd jego udział w tworzeniu ezoterycznych rytuałów stowarzyszenia Thule.

Jako pierwszy przeczuł, że Hitler to przyszły przywódca ruchu narodowosocjalistycznego. Ale przywódca, którego trzeba uczyć i kształtować, by mógł poprowadzić nowe Niemcy. Eckart ociosał surowy kamień, aby wydobyć z niego czarny diament. Po pierwsze, opłacał kursy sztuki dramatycznej i retoryki, na których Hitler doskonalił swe oratorskie zdolności i uczył się, jak rzucić czar na naród; po drugie, wpajał mu dobre maniere, przygotowując go do obracania się w monachijskich salonach. Eckart nie zawahał się osobiście zaangażować w pucz monachijski w 1923 roku – w nieudaną próbę zamachu stanu zorganizowaną w Monachium przez Hitlera i generała Ludendorffa. Zmarł w roku 1923, dziesięć lat przed przejściem władzy przez protegowanego. Na krótko przed śmiercią napisał ten proroczy tekst:

„Podążajcie za Hitlerem. Będzie tańczył, ale do skomponowanej przeze mnie muzyki. Otwarliśmy mu oczy i daliśmy środki komunikacji z narodem. Nie oplakujcie mnie: żaden Niemiec nie wywarł na historię takiego wpływu jak ja”.

Hitler utracił mentora, gdy jego partia była zaledwie jednym z wielu małych ugrupowań. Zadeedykował mu potem drugi tom Mein Kampf, porównując go do najsławniejszych Niemców.

„I pragnę zaliczyć do ich grona, jako jednego z najlepszych, człowieka, który poświęcił życie temu, by przebudzić swój naród, nasz naród, poprzez poezję i myśl, a w końcu poprzez działanie”.

8. Diabelska kuźnia talentów

Gdy pozycja Hitlera się wzmocniła, oddalił się od Thule, którego istnienie, podobnie jak większości tajnych stowarzyszeń, zostało zakazane. Choć publicznie kpił z wiary w okultyzm, otaczał się jego adeptami, ludźmi, których pasjonowała ezoteryka. To oni tworzyli jego gwardię osobistą. Fascynujący się astrologią Rudolf Hess, szef partii narodowosocjalistycznej, który poleciał do Anglii, by negocjować pokój, należał do jego otoczenia. Alfred Rosenberg, „oficjalny filozof” partii, odpowiadał za grabież dóbr kultury w Europie podczas drugiej wojny światowej. Ogarnięty obsesją spiskową i patrzący na świat przez pryzmat okultyzmu, doprowadził do ograbienia większości masonskich posiadłości we Francji i w pozostałych krajach okupowanych, ponieważ był przekonany, że masoni posiadli tajemnice alchemików... Skończył na szubienicy w Norymberdze w roku 1947.

O ile większość wpływowych członków partii narodowosocjalistycznej nie interesowała się okultyzmem, to liczba byłych członków Thule w tym ruchu była znacząca. Ian Kershaw,

jeden z najlepszych biografów Hitlera, wyjaśnia, że w tym tajnym stowarzyszeniu można było znaleźć „who’s who partii narodowosocjalistycznej”.

9. Czarny zakon i zamek Wewelsburg

Utworzona przez Himmlera już w roku 1925, a więc wkrótce po powstaniu partii nazistowskiej, SS-Schutzstaffel – czyli „oddział ochrony” – mająca za zadanie zapewnić bezpieczeństwo osobiste Hitlera, właściwie nie zwraca większej uwagi, jeśli porównać ją na przykład z SA, nazistowską milicją. Jednak w ciągu piętnastu lat ta zwykła służba porządkowa upodobniła się do ośmiornicy, której macki ogarniają niemal wszystko: SS kontroluje znaczne obszary gospodarki wojennej, służbę wywiadu wewnętrznego (SD), policję polityczną (Gestapo), dysponując kilkusettyśmiczną rzeszą ludzi, wśród których jest wielu cudzoziemców, jak choćby w Dywizji Charlemagne złożonej z Francuzów.

Ta hegemonia SS w nazistowskich Niemczech była efektem ambicji i silnej woli jej twórcy Heinricha Himmlera. Długo wyśmiewany przez partyjnych kolegów, dawny hodowca kur i bankrut wyrósł w latach drugiej wojny światowej do rangi najważniejszej postaci Trzeciej Rzeszy. Potrafiąc osiągnąć silną pozycję polityczną, finansową i wojskową, Himmler zyskiwał też niemal bezgraniczne zaufanie Hitlera, który w roku 1937 zlecił mu „rozwiązanie kwestii żydowskiej” – najpierw w Niemczech, potem w okupowanej Europie i ZSRR. Po tym, jak stworzył obozy koncentracyjne dla opozycji politycznej – jak choćby wybudowany wiosną 1933 roku obóz w Dachau – Reichsführer stał się „architektem rozwiązania ostatecznego”, jak mówiono.

Himmler długo postrzegany był jako zimny, metodyczny organizator, którego bezwzględna skuteczność brała się z całkowitego braku rozterek moralnych i z literalnego wdrażania ideologii nazistowskiej. Ten portret uległ jednak gruntownej przemianie. Publikacja prywatnych zapisków Himmlera, jego przemówień adresowanych wyłącznie do esesmanów, świadectwa współpracowników składają się dziś na zupełnie inny wizerunek.

Himmler jawi się raczej jako kompulsywny samouk – co upodobnia go do Hitlera – owładnięty obsesją na punkcie nordyckich legend, zafascynowany artefaktami, przeświadczony, że wojna to także – jeśli nie przede wszystkim – duchowa walka, którą trzeba wygrać, sięgając po broń ezoteryczną.

Dlatego też stopniowo tworzył SS jako zakon rycerski, zbrojną aryjską elitę, na podobieństwo średniowiecznych zakonów rycerskich, jak choćby zakon krzyżacki. Czarny Zakon potrzebował jakiegoś ośrodka, sanktuarium, które Himmler urządził w zamku Wewelsburg będącym w jego posiadaniu od końca roku 1933. Odrestaurowany przez więźniów pobliskiego obozu koncentracyjnego, był gotów we wrześniu 1934 roku. Od tej chwili zamek pełnił funkcję centrum szkolenia ideologicznego i ezoterycznego SS.

Himmler przewidział tam sale, w których miały się odbywać ceremonie inicjacyjne, a także okrągłą kryptę, gdzie spocząć mieli najwaleczniejsi generałowie SS – swoisty

pośmiertny Okrągły Stół. Był też pokój dla Hitlera, miał jednak pozostać zamknięty do dnia ostatecznego zwycięstwa... I biblioteka wzbogacana o rabowane i zagarniane przez SS w całej Europie książki oraz muzeum, gdzie eksponowano najważniejsze znaleziska Ahnenerbe.

Zafascynowany poszukiwaniami Graala, rozmiłowany w magii, przekonany, że jest reinkarnacją niemieckiego cesarza Henryka I Ptasznika, Himmler osobiście wydał rozkaz zburzenia swego zamku 31 marca 1945 roku, aby nie dostał się on w ręce aliantów. Jednak szybsze przybycie wojsk amerykańskich ocaliło budowlę. Odrestaurowany zamek jest dziś siedzibą muzeum poświęconego jego burzliwej historii.

10. Ahnenerbe, czyli laboratorium Zła

Podczas okupacji mieszkańcy miasteczka Bédarrides w departamencie Vaucluse ze zdumieniem patrzyli pewnego ranka na oficerów SS przejmujących w posiadanie starą, zrujnowaną oranżerię z XVIII wieku, znajdującą się w miejscu zwanym Mont Thabor. Przez wiele dni ekipa prowadziła tam poszukiwania, a potem po prostu się wyniosła. Później jednostki specjalne Ahnenerbe ujrzano w Prowansji, w Normandii, w Pirenejach i w Périgordzie... Ale co mogli robić archeolodzy SS w starym budynku w Bédarrides, w zabitej dechami dziurze w hrabstwie Venaissin? Lokalni erudyci zdołali rozwikłać zagadkę. Otóż w roku 1784 w tym majątku – „wypożyczonym” przez markiza Vaucrozes – zamieszkał niejaki Pernety, mason i erudyta, ezoteryk, a przede wszystkim najlepszy alchemik swojej epoki. Przez całe lata podgrzewał swój atanor, chcąc uzyskać kamień filozoficzny. Po stu sześćdziesięciu latach, kiedy we Francji nikt już nie pamiętał tej historii, pojawili się specjaliści z Ahnenerbe, którzy również pragnęli poznać ten sekret alchemii.

Dociekania ezoteryczne, poszukiwania archeologiczne na całym ogarniętym wojną świecie: oto długo utrzymywane w tajemnicy zajęcie Ahnenerbe, najdziwniejszej struktury SS.

Utworzona w roku 1935 na usilne prośby Himmlera, była instytutem naukowym i na pozór miała realizować prosty, w pełni zgodny z nazistowską ideologią cel. Cel zawierający się już w nazwie: „poszukiwanie dziedzictwa”. Zadaniem Ahnenerbe było więc wyszukiwanie historycznych, archeologicznych, etnologicznych i religijnych śladów „rasy” germańskiej, jej aryjskich korzeni, a także, co oczywiste, dowodów niepodważalnej wyższości nad innymi ludźmi.

Te działania zaprowadziły specjalistów z Ahnenerbe zarówno do Tybetu, gdzie poszukiwali kolebki rasy aryjskiej, jak na Kanary tropem wikingów, a także do Szwecji, by odkryć prawdziwe znaczenie języka run, czy na Krym, aby odkryć hipotetyczne królestwo Gotów.

Te ekspedycje, choć prezentowane jako naukowe, często miały ezoteryczne podłoże i okultystyczne cele.

Wielu członków Ahnenerbe wierzyło, że alfabet runiczny, tak jak hebrajski dla żydowskich kabalistów, jest świętym pismem, które pozwala sięgnąć po boską wiedzę, a nade wszystko po moc. Albo że sekret rozkwitu demokracji od czasów rewolucji francuskiej tkwi w tajemnej mocy masonów, których archiwa naziści plądrowali i grabili w całej Europie.

Kiedy już poprawiono historię i zideologizowano archeologię, Ahnenerbe wyznaczyło sobie za cel napisanie przeszłości od nowa, odkrywanie zapomnianych tajemnic cywilizacji, które przeminęły. Jednak instytut, który liczył do pięćdziesięciu departamentów badawczych i opublikował setki raportów i artykułów, w rzeczywistości nie prowadził wyłącznie poszukiwań ezoterycznych. Został też zaangażowany do potwornych eksperymentów medycznych w nazistowskich obozach koncentracyjnych – eksperymentów na mężczyznach, kobietach i dzieciach. A wśród uczonych, którzy maczali w tym palce, znalazł się jeden z uczestników wyprawy do Tybetu. Otóż jednemu ze znanych członków tej organizacji, Brunonowi Begerowi, powierzono w roku 1941 zadanie zdefiniowania anatomicznych cech Żydów. Aby je wypełnić, Beger zgromadził kolekcję czaszek, przedtem zaś przekazał Wehrmachtowi następujące zalecenia: „...Po doprowadzeniu do śmierci Żyda, którego głowa nie może ulec uszkodzeniu, asystent oddzieli wspomnianą głowę od tułowia i wyśle do miejsca przeznaczenia w szczelnie zamkniętym metalowym pojemniku...”. Prowadzone do końca wojny badania anatomiczne „patologicznych cech budowy żydowskiej czaszki” miały istotne znaczenie w przygotowaniu ostatecznego rozwiązania. Po wojnie Beger dostał łagodny wymiar kary, a potem nigdy już go nie niepokojono.

11. Montségur: od Ottona Rahna po współczesną archeologię

Młody Otto Rahn przyjechał do Ariège w roku 1930. Fascynowała go herezja katarska, o której dowiedział się podczas studiów uniwersyteckich. Bardzo szybko zaakceptowany przez mieszkańców, zwiedzał zamek i okolicę, przeszukiwał i groty, i archiwa, a także zbierał informacje od lokalnych erudyty, z których wielu było przekonanych o ezoterycznym wymiarze kataryzmu. Otto Rahn podzielał ten pogląd i był pewny, że katarzy ściągnęli na siebie niszczycielski gniew Kościoła rzymskiego, ponieważ posiadli sekret zagrażający dominującej religii. Zainspirowany eposem średniowiecznego poety niemieckiego, Wolframa von Eschenbacha, a także Parsifalem Wagnera, doszedł do wniosku, że katarzy byli prześladowani, ponieważ posiadali... Graala. Rozwinął tę teorię w książce *Krucjata przeciwko Graalowi*, która ukazała się w roku 1933 i natychmiast zwróciła uwagę Himmlera. Zaangażował więc Rahna do Ahnenerbe. Tak zaczął się cykl konferencji i seminariów dla kadry SS. Dzięki sukcesowi, jaki odniósł w wyższych sferach nazistów, Rahn wydał następną książkę, *Dwór Lucyfera*. Przedstawił w niej katarów jako tych, którzy dostąpili prawdziwego światła – zgodnie z łacińską etymologią słowa Lucifer, „ten, który niesie światło”, jest przeciwieństwem obskurantyzmu religii katolickiej. Wybór Lucyfera jest

celowy, a tradycja ezoteryczna czyni z prawdziwego Graala szlachetny kamień, który spadł z czoła Lucyfera – zbuntowanego anioła, gdy został strącony z nieba.

Kamień ten miał moc Wiedzy i Potęgi... Taka idea musiała oczarować Himmlera, bo doskonale pasowała do jego obsesji na punkcie nadzwyczajnych mocy średniowiecznych artefaktów. Toteż Himmler wysłał do Montségur ekspedycję, która pod ochroną żołnierzy przeprowadziła poszukiwania. Nie wiemy, co znaleźli ci archeolodzy, wiemy jednak, że szukali w niewłaściwym zamku...

Otóż ruiny Montségur, jakie możemy zwiedzać, nie są szczątkami budowli obleganej w roku 1244. Po zdobyciu fortecy krzyżowcy zburzyli ją, a potem odbudowali i wykorzystywali zamek do obrony przed królestwem Aragonii.

Prawdziwy zamek z czasów katarskich miał zupełnie inny układ. Nie było dużego donżonu na skraju, nie było murów obronnych w kształcie sarkofagu. W nowym zamku pozostały po tamtym tylko fragmenty muru południowego z otworami strzelniczymi. Wykorzystaliśmy ten element w naszej grze.

Jak zatem wyglądało Montségur, gdy zajmowali je katarzy? Składało się z wieży głównej, do której przylegała sala szlachecka, gdzie mieszkał pan Raymond de Péreilles wraz z bliskimi. Wokół, w płataninie wąskich uliczek, stały piętrowe domy, warsztaty rzemieślników, rozmaite składy, a wszystko otaczały mury. Do dziś przetrwały z tamtych lat zaledwie nieliczne fundamenty, które można zobaczyć na ziemi od strony północnej.

Nasz opis Montségur podczas oblężenia dokładnie oddaje stan najnowszych badań archeologicznych.

Również dwie ucieczki katarów podczas oblężenia, o których pisaliśmy, są dokładnie udokumentowane w dostępnych dla badaczy protokołach przesłuchań prowadzonych przez inkwizytorów.

Wiadomo, że pierwsza ucieczka, z grudnia 1243 roku, miała na celu przeniesienie w bezpieczne miejsce pieniędzy heretyków, by mogli wykorzystać je ci, którzy jeszcze przez sto lat przetrwali w ukryciu.

Nie wiadomo jeszcze, dlaczego niektórzy katarzy ukryli się pod zamkiem w chwili kapitulacji, 16 marca 1244 roku, by uciec, gdy płonął stos, ale – jak napisaliśmy – mamy pewne domysły.

Przetrząśnięty, wymierzony, poddany badaniom zamek Montségur wciąż jeszcze skrywa tajemnice, które nieustannie fascynowały nas, kiedy pracowaliśmy nad książką. Był zamieszkiwany przez niemal czterysta lat, zaciekle atakowany podczas wielomiesięcznego oblężenia. Ale gdzie jest cmentarz Montségur?

W naturalnej grocie? A może w wykutej przez ludzi? To wciąż zagadka, zostawiliśmy jednak kilka wskazówek...

BIBLIOGRAFIA

1. Hans Biedermann, Michel Cazenave, Encyclopédie des symboles, Le Livre de poche 1996.
2. Thimoty Ryback, Dans la bibliothèque privée d'Hitler, Le Cherche Midi 2009 (wyd. pol. Prywatna biblioteka Hitlera; książki, które go ukształtowały, przeł. M. Szubert, Świat Książki 2010).
3. Ian Kershaw, Hitler, t. 1–2, Flammarion 2000 (wyd. pol. Hitler, przeł. P. Bandel, R. Bartoń, Rebis 2003–2004).
4. René Alleau, Hitler et les sociétés secrètes, Grasset 1969.
5. Hermann Rauschning, Hitler m'a dit, Pluriel 2013 (wyd. pol. Rozmowy z Hitlerem, przeł. R. Turczyn, Iskry 1994).
6. David Kinney, Robert Wittman, Le Journal du diable, mémoires d'Alfred Rosenberg, Michel Lafon 2016 (wyd. pol. Dziennik diabła, przeł. G. Siwek, Znak 2018).
7. Fabrice d'Almeida, La vie mondaine sous le nazisme, Tempus 2008 (wyd. pol. Światowe życie w czasach nazizmu: Elity europejskie wobec Hitlera, przeł. A. Wiśniewski, Wydawnictwo Dolnośląskie 2009).
8. Trevor Ravenscroft, La Lance du destin, J'ai lu 1973.
9. Jacques Bergier, Louis Pauwels, Le Matin des magiciens, Gallimard 1960.
10. Joachim Fest, Les Maîtres du IIIe Reich, Grasset 2008 (wyd. pol. Oblicze Trzeciej Rzeszy, przeł. E. Werfel, Czytelnik 1970).
11. Stéphane François, Les Mystères du nazisme. Aux sources d'un fantasme contemporain, PUF 2015. Tegoż autora: Le Nazisme révisité. L'occultisme contre l'histoire, Berg International 2008.
12. Nicholas Goodrick-Clarke, Les Racines occultes du nazisme, Camion Noir 2007 (wyd. pol. Okultystyczne źródła nazizmu, przeł. J. Prokopiuk, Fundacja Aletheia 2010). Tegoż autora i wydawcy: Soleil noir.
- 12a. Peter Levenda, L'Alliance infernale, przedm. Norman Mailer, Camion Noir 2008.
13. Noreen Riols, Ma vie dans les services secrets, Calmann-Lévy 2014.
14. Heather Pringle, Opération Ahnenerbe, Les Presses de la Cité 2007 (wyd. pol. Plan rasy panów. Instytut naukowy Himmlera a Holokaust, przeł. J. Lang, Zysk i S-ka 2009).
15. Gilles Van Grasdorff, Opération Shambhala, Presses du Châtelet 2012.

16. Sidney D. Kirkpatrick, Les Reliques sacrées d'Hitler, Le Cherche Midi 2014 (wyd. pol. Hitler i święte insygnia, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie 2012).

17. Philippe Aziz, Les Sociétés secrètes nazies, Versoix 1978.

18. Lauric Guillaud, Jean-Paul Debenat, L'Imaginaire face au nazisme, Éditions du temps présent 2014.

19. Eric Kurlander, Hitler's Monsters: A Supernatural History Of The Third Reich, Yale University Press 2017 (wyd. pol. Demony Hilera. Ezoteryczne korzenie III Rzeszy, przeł. K. Pachniak, PIW 2018).

20. Walter Schellenberg, The Memoirs of Hitler's Spymaster, Andre Deutsch Éditions, 1956 (wyd. pol. Wspomnienia arcyszpiega Hitlera, przeł. I. Sawicka, Bellona 2009).

21. Wilhelm Wulff, Zodiac and Swastika, Éditions Coward, McCann, Geoghegan 1973.

Wideografia

La Mémoire volée des Francs-maçons (Zrabowana pamięć masonów). Realizacja: Jean-Pierre Devillers oraz Eric Giacometti i Jacques Ravenne, Adltv production. Rozpowszechnianie: France 5, RTBF, Chaîne Histoire.

Internet:

<http://www.lefigaro.fr/culture/2016/03/22/03004-20160322ART-FIG00124-les-livres-d-himmler-sur-la-sorcellerie-retrouves-pres-de-prague.php>

A także, bez związku z ezoteryką, lecz aby pamiętać o niewyobrażalnym:

<http://www.memorialdelashoah.org/>

1 La Mémoire volée des francs-maçons. Realizacja: Jean-Pierre Devillers, Adltv production. Rozpowszechnianie: France 5, RTBF, kanał Histoire.

2 Dnia 7 listopada 1938 roku w Paryżu trzeci sekretarz ambasady Niemiec, Ernst vom Rath, został zamordowany przez młodego niemieckiego Żyda Herschela Grynszpana.

3 Rinpocze – dygnitarz tybetański.

4 Cuda życia.

5 Potala – rezydencja dalajlamy w Lhasie.

6 „Lew morski”.

7 Leni Riefenstahl była wielbioną przez nazistowski reżim kobietą filmowcem, a zasłynęła, filmując igrzyska olimpijskie w Berlinie w roku 1936.

8 Sztab dowodzenia trzech armii: lądowej, powietrznej oraz marynarki wojennej.

9 Niem. Lakeitel.

10 Dawny alfabet nordycki uważany przez nazistów za święty. Inicjały SS w kształcie dwóch błyskawic inspirowane były runą Sig.

11 Falangiści – skrajnie nacjonalistyczne ugrupowanie polityczne popierające generała Franco.

12 Czarne koszule – włoskie faszystowskie bojówki, których brutalność umożliwiła Mussoliniemu dojście do władzy.

13 To nie problem. Lubię mówić po hiszpańsku, chociaż nie jest to język aryjski.

14 Prawie trzy tysiące duchownych katolickich, w większości Polaków, ale także Niemców i Francuzów, więziono w Dachau. Ten obóz uważany jest za największe w Europie cmentarzysko księży katolickich z okresu drugiej wojny światowej.

15 Druga żona marszałka.

16 Churchill postawił sobie za punkt honoru, by co tydzień spotykać się ze wszystkimi szefami poszczególnych sekcji SOE.

17 Brytyjski kontrwywiad.

18 Popularna w Wielkiej Brytanii postać fikcyjna.

19 Royal Air Force, brytyjskie siły powietrzne.

20 Według Arthura Conana Doyle’a wielki detektyw mieszkał właśnie przy tej ulicy, pod numerem 221B.

21 Ze względów bezpieczeństwa szefowie niektórych służb SOE nazywani byli inicjałami swoich służb.

22 Łąka spalonych – u podnóża góry Montségur.

23 Barbakan – wysunięty przed linię murów obronnych element budownictwa obronnego, zazwyczaj połączony z bramą.

24 Trebusz – machina oblężnicza wykorzystująca zasadę dźwigni, używana do burzenia murów poprzez miotanie w nie kamieniami ważącymi niekiedy nawet sto kilogramów.

25 Otto Rahn jest autorem dwóch opracowań poświęconych tej tematyce: Kreuzzug gegen den Gral. Die Geschichte der Albigenser oraz Dwór Lucyfera. Zob. Aneks.

26 W dialekcie oksytańskim słowo pog oznacza górę, na której wznosi się zamek.

27 Element fortyfikacji zamku.

28 Naprawdę.

29 Dowódca oddziału.

30 Ten film pojawił się ponownie w roku 2015. Widać na nim przyszłą królową Anglii Elżbietę II wykonującą w roku 1933 ten gest. Sześćoletnia wówczas księżniczka nie zdawała sobie oczywiście sprawy z politycznej wymowy swojego zachowania.

31 Tę osobliwą kolekcję znaleźli w roku 1945 alianci.

32 Odpowiednik stopnia kapitana.

33 Hitler dwukrotnie zdawał egzaminy wstępne do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych i dwukrotnie mu się nie powiodło.

34 Niemieckie okręty podwodne.

35 Prewencyjne uderzenie Brytyjczyków 3 lipca 1940 r. zniszczyło flotę francuską stacjonującą w algierskim porcie, zapobiegając przejęciu jej przez Niemców.

36 Reichssicherheitshauptamt – Główny Urząd Bezpieczeństwa, struktura obejmująca wszystkie służby policji, bezpieczeństwa wewnętrznego i kontrwywiadu Rzeszy.

37 Sławny, budzący emocje okultysta, który działał w przedwojennej Anglii.

38 Odkrycie opisane w naukowym periodyku „Meteoritics and Planetary Science”, 14 września 2012, Buddha from space. An ancient object of art made of a Chinga iron meteorite fragment.

39 www.slate.fr/Story/150573/nazis-surnaturel (dostęp: styczeń 2019).